

REBECCA  
BRANDEWYN

*KLĄTWA SKARABEUSZA*

## PROLOG

### Skarabeusz

*Świetlisty pejzaż blednie przed oczyma  
I bezruch uroczysty naturę ogarnia,  
Lecz żuk brzęczący w locie ani się zatrzyma,  
A szmer odległy senność niesie, gdzie owczarnia.*

Thomas Gray  
„Elegy Written in a Country Churchyard” (1750)

*Sens śmierci leży tylko w myślach,  
A biedny żuczek, którego nadepniesz,  
Odczuwa równie wielki ból cielesny  
Jak konający olbrzym<sup>1</sup>.*

William Shakespeare  
„Miarka za miarkę” (1605-1606)

<sup>2</sup> Przełożył Maciej Słomczyński.

*Zanim jeszcze  
 Nietoperz zamknie pętlę swego lotu,  
 Zanim wezwany przez mroczną Hekate,  
 Wyległy z gnoju żuk sennym brzęczeniem  
 Wydzwoni kurant ziewającej Nocy -  
 Spełni się straszny czyn.*

William Shakespeare  
 „Makbet” (1605-1606)

*Powietrze cichnie, a nietoperz o słabych oczach  
 Zgłośnym piskiem na skrzydłach cienkich  
 polatuje*

*A ówdzie żuk na swoim rogu  
 Małym, lecz groźnym gra fanfarę.*

William Collins  
 „Ode to Evening” (1747)

*Dwie są bowiem bramy zwiewnych snów. jedna  
 z rogu, druga z kości słoniowej. Te, które przecho-  
 dzą przez rżniętą kość słoniową, są zastłonięte  
 i niosą czcze słowa, te zaś, co wychodzą z drzwi  
 rogowych, wróżą prawdę temu, kto ze śmiertelnych  
 je zobaczy\*.*

Homer „Odyseja”

<sup>3</sup> Przełożył Jan Parandowski.

*I stoi Bóg, i w róg jedyny dmie.  
I czas, i świat do lotu zrywa się.*

William Butler Yeats  
„The Wind Among the Reeds” (1899)  
„Into the Twilight”

1669

*Egipt, Dolina Królów koło Teb i Luksoru*

Kto wspomina imiona zmarłych, przywraca ich do życia - tak wierzyli starożytni Egipcjanie. James Ramsay, wicehrabia Strathmór, dziedzic majątku i tytułu swego ojca, earla Dundragon, spadkobierca rozległych majątności nad jeziorem Loch Ness, gotów był uwierzyć w te antyczne zabobony. Żałował z całej duszy, że podczas wyprawy do egipskiej Doliny Królów, położonej niedaleko starożytnych Teb, wraz z kompanami ośmielił się włamać do jedyne go nienaruszonego grobowca, na który dotąd trafili. W krypcie spoczywał arcykapłan Nephrekeptah, bez wątpienia nieświadomy, że ma nieproszonych gości. Kiedy po złamaniu pieczęci Jamie wszedł do środka, od razu zdał sobie sprawę, że to miejsce wiecznego spoczynku różni się od wszystkich, które poprzednio zwiedzał z przyjaciółmi.

Był mocno zaniepokojony, bo od pierwszej chwili miał świadomość, że popełnili błąd, przybywając w te strony, a wchodząc do zapieczęto wanej mogiły dodatkowo pogorszyli swoją sytuację.

W Dolinie Królów znajdowały się tysiące grobowców. Spoczywali w nich faraonowie i wysokiej rangi urzędnicy, którzy za życia sprawowali ogromną władzę i cieszyli się wyjątkowymi przywilejami w królestwie Górnego i Dolnego Egiptu. Miejsce pochówku arcykapłana Nephrekeptaha było jednak nie tylko przybytkiem śmierci, lecz także osobliwej mocy, której James nigdy dotąd nie doświadczył. Złowróżbna magia przenikała wszystko i wydawała się niemal dotykalna.

Nieoczekiwanym zrzędzeniem losu wyprawa rozpoczęta jako znakomita rozrywka i długo oczekiwana przygoda stała się przeżyciem w najwyższym stopniu niepokojącym. Uczestnicy ekspedycji z obawą wsłuchiwali się w odległy, dudniący odgłos, który dobiegał spoza pieczary. Jamie lękał się, że zwiastuje nagłe oberwanie chmury albo trzęsienie ziemi.

Czterech kompanów, towarzyszących mu w podróży, raczej nie podzielało tych obaw. Zapewne nie mieli złych przeczuc, bo gadali jeden przez drugiego i co chwila wybuchali gromkim śmiechem. Jamie podejrzewał, że nadrabiają miną, żeby ukryć strach.

Grupkę odkrywców tworzyło pięciu niefrasobliwych przyjaciół, znanych wesołków skłonnych do łobuzowania i płatania figłów. Razem chodzili do szkół, a po ich ukończeniu wybrali się w długą podróż, która miała dopełnić edukację. Zachęceni przez bardziej odcytanych kolegów ze swego grona po opuszczeniu Anglii ruszyli prosto do

Egiptu, uchodzącego za krainę mumii. Tak opisywał baśniową Dolinę Królów ksiądz Charles Francois, kapucyński zakonnik, który przedziwne zapiski opublikował rok przed wyprawą młodych arystokratów. Jamie nie pamiętał, kto zaproponował, aby pojechali razem do Egiptu i wydobyli kilka starożytnych mumii. Gdyby sobie przypomniał, czyj to pomysł, obrzuciłby teraz tego szubrawca najgorszymi obelgami.

Podróż do Egiptu była długa i wyczerpująca. Jamie wraz z całą kompanią wyruszył konno ze Szkocji do portu w Dover. Tam wsiedli na statek, którym przeprawili się przez kanał i ruszyli na przełaj przez Europę. Po zwiedzeniu Francji, Włoch i Grecji wypłynęli z Pireusu niedaleko Aten i przez Morze Śródziemne dotarli do Egiptu. Zlokalizowanie tajemniczej Doliny Królów okazało się nie lada problemem. Młodzi arystokraci zmuszeni byli skorzystać z usług miejscowego przewodnika, żeby dotrzeć do cmentarzyska ukrytego w pustynnych Górach Tebańskich. Jamie z niepokojem zastanawiał się, jak powróci z kompaniami do opuszczonych ruin starożytnego Luksom i ludzkich siedzib. Czekająca ich samodzielna przeprawa przez Nil, do osady za rzeką, gdzie wynajęli pokoje w zajeździe. Kiedy przewodnik zrozumiał, że postanowili włamać się do jednego z niezliczonych grobowców Doliny Królów, wziął nogi za pas i tyle go widzieli.

Zamiast pójść po rozum do głowy, młodzieńcy śmiało kontynuowali wyprawę, zdecydowani mi-

mo trudności postawić na swoim. Niespodziewaną ucieczkę przewodnika uznali za przejaw typowego dla zabobonnych tubylców lenistwa i braku odpowiedzialności. Cóż w tym złego, że zwiedzą krypty otwarte i złupione w czasach starożytnych Greków i Rzymian? Na początku ekspedycji nie martwili się o powrót do zajazdu. Sądzieli, że bez trudu dotrą przez pustynię do Nilu i przepłyną na drugi brzeg. Niewątpliwie trafią nad rzekę. Błękitna wstęga wody była wyraźnie widoczna z górskiego masywu, który niczym groźny olbrzym wyrastał z pustynnej równiny na zachodnim brzegu.

Po przeciwnej stronie przyczał się Luksor. Przez *stulecia miasto wielokrotnie* zmieniało nazwę. Powstało na obszarze starożytnych Teb, zwanych także Wase lub Wose. W starożytności Teby pełniły funkcję jednej ze stolic Egiptu. Na ich miejscu powstał z czasem Luksor i Karnak. Wielu nazywało ten obszar południowym miastem Nut, egipskiej bogini nieba. Na północy, w królestwie Dolnego Egiptu, jej siedzibą było Memfis, gród równie ważny jak Teby. Zastanawiające podobieństwo tej nazwy do miana helleńskiego grodu w Beocji przypisywano niekiedy greckim, a właściwie macedońskim Ptolemeuszom, którzy władali Egiptem w epoce hellenizmu. Ostatnią władczynią z owej dynastii była słynna królowa Kleopatra. Zarówno jej życie, jak i śmierć stanowiły niewyczerpane źródło barwnych opowieści. Arabowie różnie nazywali słynne miasto nad Nilem: El

Qussour, Al-Oxor, co znaczy: miasto pałaców albo wspaniałych budowli. Cudzoziemcy nienawykli do ich gardłowej mowy nadali mu nazwę Luksor.

Nazwa przyjęta przez Arabów była nadzwyczaj stosowna, bo przed wiekami powstało w Luksorze wiele pałaców, świątyń oraz innych gmachów. Pozostały z nich tylko ruiny, które jakimś cudem przez tysiąclecia opierały się skwarowi. Nie zmógł ich także napór pustynnych piasków niesionych suchym, gorącym wiatrem o nazwie chamsin, który od marca do czerwca przez pięćdziesiąt dni, albo i dłużej, dmie z południa nad Egipt i Morze Czerwone. Niszczycielską moc miały także rzadkie, gwałtowne i niespodziewane ulewy oraz błogosławione wylewy Nilu, które użyźniały poła, lecz stopniowo niszczyły budynki. A jednak ruiny przetrwały, aby świadczyć o potędze Egipcjan oraz ich władców, po których dziś zostały tylko mumie i grobowce. Wierni poddani sprzed wieków byli przekonani, że faraonowie są potomkami bóstw. Ich ciała składali w piramidach i bogato wyposażonych grobowcach, gdzie wszystkiego było pod dostatkiem. Dzięki owym darom władcy mogli szczęśliwie przetrwać niebezpieczną podróż do Krainy Umarłych.

U stóp wzgórza Gebel el-Qurn, najwyższego w tebańskim masywie, górującego nad nieregularnym płaskowyżem i pustynną równiną rozciągniętą w dole ku brzegom Nilu, w zacienionej dolinie znajdowały się grobowce, które Jamie oraz jego przyjaciele zapragnęli ujrzeć na własne oczy.



Gebel el-Qurn znaczy Wzgórze Rogu. Dolinę zwaną Biban el-Muluk, czyli Brama Królów tworzyły dwie skrzyżowane spiralnie odnogi, które przywodziły na myśl pełznące kobry z rozdętymi kapturami. Gady te poświęcone były miłującej ciszę bogini Meretseger. Jej imieniem nazywano niekiedy Wzgórze Rogu. Jakby dla uczczenia boskiej patronki, w dolinie panowało wiekuiste milczenie. Żaden oddech, żaden dźwięk nie wychodził z ust ludzi, którzy dawno temu pomarli, zostali spowici bandażami i zabalsamowani, a potem na wiele stuleci złożeni w grobowcach pustynnej doliny, rozpalonej świetlistymi promieniami żółtego słońca. Powietrze zazwyczaj było tu suche, wilgoci jak na lekarstwo. Tego dnia jednak horyzont przesłoniły złowieszcze, ciemne chmury. Jamie i jego kompani nie zdawali sobie z tego sprawy.

Wesoła gromadka rankiem przepравиła się przez Nil i rozbiła obóz u wejścia do Wadjein, czyli Podwójnej Doliny. Po krótkim odpoczynku odkrywcy rozpoczęli jej eksplorację. Wkrótce ustalili, że z dwu odnóg jedna, leżąca po wschodniej stronie i zwana Ta Set Aat - Wielkim Jarem - przypomina gigantyczny plaster miodu, bo w tej skale wydrążono setki obszernych pieczar grobowych oraz mnóstwo długich korytarzy. Szerza zachodnia dolina na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie pozbawionej grobowców. Ryto je przez wieki po wschodniej stronie w białej, szarej lub brunatnej skale osadowej o nazwie margiel,

która powstała przed tysiącami lat z wapnia oraz ilastych łupków. Tak uformował się wyniosły płaskowyż. Jamie nie miał pojęcia, jak on i jego przyjaciele dotarli do grobowca, w którym się teraz znajdowali. Płatanina sekretnych tuneli wydrążonych w szarym kamieniu przypominała labirynt. Bez przewodnika niezawodnie zabłądziliby, nie mając szans na odszukanie drogi powrotnej, ale wpadli na sprytny pomysł. Zabrali ze sobą kłębek sznurka i rozwijali go, wędrując krętymi ścieżkami podziemnej nekropolii. Musieli tylko zwinąć sznur, żeby wrócić.

Ponad kamiennym grobowcem kapłana Nephrekeptaha wysoko na niebie świeciło słońce, a jego pałacy żar wysuszał płaskowyż z taką gwałtownością, jakby ognistą kulę dzieliły od powierzchni ziemi nie lata świetlne, lecz tylko kilka mil. Złowrogi horyzont ciemniał z każdą chwilą. Część nieboskłonu pokrywała grafitowa chmura podobna do gniazda rozwścieczonych zmij, które syczą, miotając się na wszystkie strony. Ciemne odnogi zagarniały coraz większą połąć nieba, chwilami przesłaniając tarczę słońca i przyćmiewając jego blask, który wciąż zalewał Luksor, ruiny starożytnych Teb i rozpalony płaskowyż wzniesiony ponad równiną pustynię.

W trzewiach ziemi nie czuło się upału. Ciemne, zatęchłe wnętrze grobu arcykapłana, wydrążone w prastarej skale, tworzącej strome zbocza dwu głębokich dolin, było cudownie chłodne. Cóż za

kontrast wobec panującego na zewnątrz skwaru i obezwładniającej duchoty!

W innych okolicznościach James rozkoszowałby się mrokiem i chłodem grobowej pieczary, dającej wytchnienie po długiej wędrówce w oślepiającym blasku i rozgrzanym powietrzu. Gdy włamali się do grobowca, przeniknęło go zimno, niewiele mające wspólnego z chłodem stęchłego powietrza. Uniósł wysoko zapaloną pochodnię. Włosy zjeżyły mu się na karku. Gęsia skórka pojawiła się na muskularnych ramionach.

Wmawiał sobie, że zlane potem ciało reaguje w ten sposób na gwałtowną zmianę temperatury. Najpierw było wystawione na bezlitosny żar słońca, teraz pławiło się w chłodzie skalnych podziemi. Młody organizm szybko adaptował się do nowych warunków, lecz tym razem Jamie wciąż czuł na plecach lodowate dreszcze. Kiedy wraz z przyjaciółmi rozglądał się po mrocznych podziemiach, ogarniał go coraz większy niepokój. Wydawało mu się, że groźna moc spowija go jak gruby całun. Miał wrażenie, że został tu żywcem pogrzebany.

W przeciwieństwie do grobowców, zwiedzanych wcześniej przez ciekawskich młodzieńców, ten był stosunkowo niewielki, toteż należało wątpić, aby pochowano w nim faraona lub kogoś z jego rodziny. Kiedy zbliżyli się do pierwszych wrót, ogarnęła ich prawdziwa euforia, bo uświadomili sobie, że wkrótce po zamurowaniu zniknęły one pod usypiskiem ze skalnych odłamków, naniesionych przez wodę podczas jednej z nielicz-

nych wywołanych ulewą powodzi, które zdarzały się w Dolinie Królów średnio raz na pół wieku. Kolejne fale podmywały od spodu ten stos kamieni, porywając drobniejsze okruchy skalne. Po latach usypisko runęło i odsłoniły się wrota z nie naruszoną pieczęcią starożytnego urzędnika strzegącego nekropolii. Stojący teraz przed nimi uczestnicy ekspedycji mieli nadzieję, że ujrzą wreszcie grobowiec z pełnym wyposażeniem. Inne krypty Doliny Królów zostały dawno okradzione przez chciwych rabusiów.

Młodzieńcy usunęli resztki naniesionych przez wodę skalnych odłamków, a potem śmiało złamali pieczęć, która od dnia pochówku aż do tej pory pozostawała nietknięta. Pełni zapału przekroczyli próg i zbiegli po kamiennych stopniach, wiodących do pierwszego z wewnętrznych korytarzy. Tylko Jamie zwlekał, bo nagle poczuł się zbity z tropu. Odsuwał od siebie myśl, że wraz z kompanami dopuścił się zbezczeszczenia grobu. Po chwili zrobiło mu się lżej na sercu, bo gdy wbrew sobie ruszył korytarzem, od razu wyczuł, że pod stopami ma cienką warstwę złotego pustynnego piasku. Był to dowód, że przed nimi ktoś jednak znalazł wejście do krypty, choć główne wrota pozostały zamknięte.

Gdy szedł tunelem, jak inni przyświecając sobie trzymaną w rękę pochodnią, od razu spostrzegł, że na ścianach nie ma fresków, które widzieli w grobowcach faraonów oraz ich rodzin. Brakowało także napisów po grecku lub po łacinie, które

w złupionych pieczarach zostawili antyczni turyści i rabusie. Odkrywczy uznali, że zwiedzają miejsce wiecznego spoczynku wysokiego rangą dygnitarza lub kapłana, na tyle poważanego, by mógł spocząć w Dolinie Królów, lecz zarazem stojącego w społecznej hierarchii znacznie niżej od rodziny panującej, bo poskąpiono mu bogatej dekoracji.

James nie był świadomy, że spoczywa tam Nephrekeptah, arcykapłan boga Chepri, którego imię oznacza przemianę lub istnienie. Chepri był uosobieniem wschodzącego słońca oraz tworzenia, życia, śmierci i zmartwychwstania. Przedstawiano go jako skarabeusza, a także jako mężczyznę z głową żuka lub przybranego diademem ze skarabeuszy. W papirusach wkładanych do grobów przybiera postać świętego żuka w łodzi wylaniającej się z Nun - pierwotnego chaosu wód, z którego powstały bóstwa oraz cały świat. Egipski skarabeusz to duży, czarny chrząszcz; u samców pojawia się na czole wyrostek w kształcie półksiężyca z 6 kolcami. Samica skarabeusza lepi kulę z nawozu, składa w niej jaja, a następnie toczy ją w bezpieczne miejsce, gdzie kula leży, aż wylęgną się larwy. Egipcjanie wierzyli, że bóg Chepri w postaci wielkiego skarabeusza toczy słońce jak grudkę nawozu po bezkresnym sklepieniu nieba aż za horyzont, do świata podziemnego, do krainy bogów i umarłych. O świcie Chepri powracał na niebo, popychając przed sobą słoneczną kulę.

Nephrekeptah żył długo i wiernie służył swemu bogu. Po śmierci zgodnie z staroegipskim obyca-

jem jego mumia, czyli zwłoki starannie zabezpieczone przed rozkładem, spoczęła na wieki w zapieczętowanym grobowcu.

Jamie w tym momencie nie zaprzętał sobie głowy rozważaniami na temat starożytnych cywilizacji i osobliwych wierzeń sprzed tysięcy lat. Wlókł się korytarzem wyścielonym warstwą pyłu, którego od stuleci nie deptały ludzkie stopy. Zadawał sobie pytanie, po co mu była ta podróż. Z całego serca żałował, że jego kompani w poszukiwaniu trofeów i łupów wtargnęli do grobowca w Dolinie Królów.

Stało się. Byli w pieczarze, gdzie mogła zachować się przynajmniej część bogatego wyposażenia. Jamie zdawał sobie sprawę, że włamanie do starożytnej mogiły, której dopuścił się wraz z przyjaciółmi, to świętokradztwo. Takie postępowanie mogło ściągnąć na nich klątwę. Po raz wtóry uznał, że z tego powodu tubylczy przewodnik umknął, gdy tylko usłyszał o szalonym pomysłe.

Z ponurej zadumy wyrwały go przekleństwa współwędrowców.

- Co jest? Co się stało? - spytał pospiesznie, unosząc wyżej pochodnię, żeby oświetlić tonący w półmroku korytarz.

- Tu jest spora nisza - wyjaśnił Thomas MacGregor. - Zapewne kamieniarze, drążący w zboczu nowy grobowiec, przypadkowo przebili się do tego korytarza. Na podłodze zostało mnóstwo gruzu.

- Pieczęcie na drzwiach były wprawdzie niena-

ruszone, ale sami widzicie, że w tej krypcie byli przed nami jacyś ludzie, i to zapewne nieraz - podchwycił Jamie. - W przeciwnym razie nie zastalibyśmy w korytarzu tyle piasku i pajęczyn, a powietrze byłoby świeższe. Bardzo prawdopodobne, że bogactwa pozostawione w grobowcu dawno zostały rozkradzione. Nawet jeśli pójdziemy dalej, nasza wyprawa i tak spełźnie na niczym, bo pieczara dawno została ogołocoana ze skarbów.

- Nie zgadzam się z tobą - rzucił oschle lord Andrew Sinclair. - Tamci ludzie dotarli jedynie do pierwszego korytarza. Kolejny tunel oraz pieczara grobowa pozostały nietknięte, bo kamieniarzom zabrakło czasu na ich spenetrowanie. Poza tym byli pilnowani przez nadzorców i strażników. Idźmy do następnych wrót!

- Racja. To mnie przekonuje - przyznał po namyśle lord William Drummond. - Cóż to byłby za wstyd, gdybyśmy po długiej podróży wrócili z pustymi rękami.

Jamie daremnie ostrzegał i protestował. Inni przyznali rację Williamowi. Ruszyli w dalszą drogę, omijając kamienne usypisko, które pozostawili robotnicy sprzed tysięcy lat. Odkrywczy zdecydowani byli dotrzeć do kolejnych grobowych wrót. Kiedy przed nimi stanęli, okazało się, że i tutaj pieczęć jest nienaruszona. Złamali ją bez namysłu, odrzucili belkę, po stromych schodach zbiegli w dół i ruszyli następnym korytarzem, wydrążonym jeszcze głębiej w mrocznych trzewiach ziemi.

Gdy zatrzymali się przed drzwiami komnaty

grobowej, byli ogromnie podekscytowani, bo ostatnia pieczęć również przetrwała nienaruszona. Nawet James mimo wszelkich zastrzeżeń odczuwał palącą ciekawość, gdy jeden z przyjaciół złamał pieczęć i pchnął ciężkie wrota.

Niezwykły widok, który ukazał się oczom stłoczonych na progu odkrywców, wprowadził ich w niedowierzanie i zachwyt, bo wspaniałość skarbów zgromadzonych w komnacie przeszła ich wszelkie oczekiwania.

Sklepienie pieczary przypominało nieboskłon, na którym lśniły złote i srebrne gwiazdy, a na starannie wygładzonych ścianach pyszniły się cudowne freski, przedstawiające niezliczone ceremonie religijne. Wyposażenie grobowca było obfite i wyjątkowo cenne. Wśród mebli, posągów oraz innych przedmiotów stał lekki ceremonialny rydwan ozdobiony spiralami i rozetami ze złoczonego stiuku. Kunsztownie rzeźbioną ramę łóżka wypełniała plecionka z liści palmowych. Obok leżał stos cieniutkich płócien, które mogły służyć jako moskitiera lub pościel. Podobne do tronu krzesło, wykonane z egzotycznego, starannie gładzonego drewna ozdobione było złotymi ornamentami i hieroglifami, a podłokietniki miały kształt baranich głów. Obok znajdowała się wypełniona klejnotami drewniana skrzynia na lwich łapach, ozdobiona inkrustacją z kości słoniowej, hebanu oraz mozaikowych kostek we wszystkich kolorach tęczy. Na lwich łapach wspierał się również drewniany kufer wypełniony odzieżą.



Wiekę zdobiły hieroglify, oznaczające doskonałą postać ludzkiej duszy oraz inne święte symbole dawnych Egipcjan. Nie brakowało ceramicznych skrzyń i urn grobowych. Były też naczynia zasobowe. Kiedy odkrywcy je pootwierali, okazało się, że w środku jest wino, oliwa z oliwek, miód, rozmaite zboża oraz suszone owoce. Ujrzeli również dziesiątki papirusowych zwojów, sandały plecione z liści papirusu, misternie wykonane nakrycie głowy, czarną perukę na specjalnym stelażu, chmarę kunsztownie rzeźbionych skarabeuszy oraz innych amuletów wykonanych z kamieni szlachetnych i półszlachetnych. Było również srebrne lustro oraz ampułka z czernidłem do oczu. Szlachetny metal nie szerniał, bo nim przybysze złamali pieczęcie, powietrze od stuleci było suche i chłodne.

W rogu pomieszczenia znajdowało się prawdziwe arcydzieło: wielki sarkofag pomalowany naturalną farbą o hebanowym połysku, ozdobiony płaskorzeźbami oraz inskrypcjami z połączanego stiuku. Wsparty na rzeźbionych płozach przypominał arkę albo łódź, stanowiącą jeden z najważniejszych symboli religijnych starożytnego Egiptu.

Odkrywcy dokładnie zbadali sarkofag. Wewnątrz znajdowały się trzy bogato dekorowane skrzynie umieszczone jedna w drugiej. Pierwsza miała kształt mumii i pełniła funkcję zewnętrznej trumny. Podobnie jak sarkofag, została powleczone warstwą lśniącej czarnej smoły i ozdobiona reliefową dekoracją; były to sceny figuralne oraz

hieroglify. Umieszczona w niej mniejsza skrzynia pokryta była srebrnymi blaszkami i ozdobiona wstęgami inskrypcji z pozłacanego stiuku. Wewnątrz znajdowała się ostatnia trumna, cała pozłacana i bogato zdobiona napisami z barwionego szkła wprawionego w złote płytki. Wewnątrz została wyłożona płatkami srebra.

Spoczywał w niej zmarły przed wiekami arcykapłan. Tajemniczy proces mumifikacji trwał w Egipcie aż siedemdziesiąt dni. Zwłoki pozbawione organów wewnętrznych chroniono przed rozkładem sodą naturalną, olejem, balsamami i pszczelim woskiem. Po tych wszystkich zabiegach mumia ważyła niewiele, ale była trwale zabezpieczona. Arcykapłan Nephrekeptah, podobnie jak inni zamożni ludzie jego czasów, został spowity niezliczonymi warstwami pociętego na paski lnianego płótna, które nasączono żywicą, żeby się dobrze trzymały. Kaligrafowano na nich formułki, które miały ułatwić i przyspieszyć wędrówkę na tamten świat. Kiedy odkrywcy częściowo odwinęli bandażę, ich oczom ukazała się złota maska pogrzebowa, zakrywająca twarz zmarłego oraz skarabeusz z ogromnego szmaragdu, który przy blasku pochodni lśnił jak gruda zielonego lodu. Jamiemu przemknęło przez myśl, że groźna moc wydaje się emanować z owego klejnotu.

- Dobry Boże! Patrzcie! Trafił nam się królewski łup! - Lord George Kilpatrick aż gwizdnał z podziwu. - Problem w tym, jak wszystko przetrans-

portować do *naszej* kwatery. Ned, bądź tak dobry i sprowadź zaraz jak najbliżej te przeklęte wielbłądy. Odkąd jeden mnie opluł, wolę trzymać się od nich z daleka!

- Dobrze, zrobię to dla ciebie - obiecał lord Edward Lennox, z uśmiechem wspominając tamten incydent. Odwrócił się i wyszedł z pieczary grobowej, żeby przyprowadzić zwierzęta, które podróżnicy wynajęli na tę ekspedycję. Jego kompani zastanawiali się tymczasem, jak przewieźć znalezione w grobowcu skarby.

- Niestety, musimy na początek dokonać wyboru. Nie zdołamy od razu wywieźć stąd wszystkiego. - Tom westchnął ponuro, kiedy to sobie uświadomił. - Gdybyśmy spieniężyli te cuda, wystarczyłoby na spłatę karcianych długów i dostatnie życie po kres naszych dni.

- Kto by pomyślał, że martwisz się takimi drobiazgami? Żal mi ciebie, chłopie! - Andy parsknął śmiechem i poklepał kolegę po plecach. - Nie martw się. Sam szmaragd wart jest fortunę. Wielki jak gęsie jajo. - Wskazał skarabeusza umieszczonego na piersi mumii. - Inne przedmioty też mają ogromną wartość. Lepiej zrezygnujmy z transportowania mebli oraz innych ciężkich sprzętów. Trzeba skupić się na drobnych przedmiotach. Znamy drogę do krypty, później wrócimy tu po resztę wyposażenia.

- Dobrze mówisz - przytaknął Will, kiwając głową. Wskazał bele połyskliwego jedwabiu oraz syryjskiego lnianego płótna. - Pomóżcie mi je

rozwinąć, chłopcy. Trzeba przygotować mumię do podróży.

- Owiniemy ją czy wyścielimy grzbiet wielbłąda? - spytał rzeczowo Geordie, zaglądając do otwartego sarkofagu oraz trzech trumien.

- Może lepiej zostawić ją w spokoju - wtrącił z ociąganiem Jamie, spoglądając na zmarłego. - Moim zdaniem, postępujemy niewłaściwie, kradnąc wyposażenie grobu, a zabieranie mumii to nikczemność.

- Zdumiałeś, chłopie? - obruszył się Tom. - Ten człowiek dawno umarł i został pogrzebany. Wszystko mu jedno, co się stanie z jego ciałem. Już go nie potrzebuje. Te wszystkie rzeczy też są mu najzupełniej zbędne. Co więcej, pochówek, który mu urządzono, był pogański. Gdyby nieboszczyka pogrzebano po chrześcijańsku to zupełnie inna sprawa, lecz w tym wypadku nie ma powodów do obaw. Ani to prawdziwy grób, ani rzeczywisty rabunek. Odkryliśmy skarb, mamy więc do niego prawo i możemy tym wszystkim rozporządzać.

- Słuszna uwaga - przytaknęła rzeczowo Andy. - Rany boskie, Jamie! Nie po to przejechaliśmy pół świata, zmierzając do Egiptu, żeby w ostatniej chwili przyznać, że obleciał nas tchórz. Sądziłem, że przybyłeś tutaj, żeby się wzbogacić. Przecież twoje rodowe dziedzictwo jeszcze przed powrotem Karola na angielski tron przypadło z kretesem pod rządami przekłętego Anglika Cromwella i zakutych łbów z jego otoczenia.

- Masz rację - odparł z namysłem Jamie, którego przekonały uwagi kompana.

- W takim razie przestań marudzić i pomóż Geordiemu wyciągnąć z sarkofagu tę przeklętą mumię! Jestem pewny, że niejeden cyrulik albo medyk z Edynburga chętnie da za nią co najmniej gwineę.

I z tym Jamie musiał się zgodzić, zamilkł więc i posłusznie, acz niechętnie, natychmiast zrobił, co mu kazano. Nie sprzeciwiał się, ale sumienie mu dokuczało. Pomógł Geordiemu odwinąć długi pas tkaniny, którą zamierzali otulić mumię arcykapłana Nephrekeptaha, żeby bezpiecznie przetransportować ją do swojej kwatery.

- Weź skarabeusza i zdejmij nieboszczykowi maskę, żeby te skarby nie wypadły z tobołka - polecił Geordie.

Jamie długo się wahał. Miał wrażenie, że trwało to całą wieczność. Intuicja ostrzegała, żeby nie słuchał przyjaciół. Miał złe przeczucia. Każdą cząstką swego ciała odczuwał przerażenie. Niejasno zdawał sobie sprawę, że odległe dudnienie, które od pewnego czasu dobiegało zza kamiennych ścian grobowca, przybliżyło się. Łoskot narastał, zapowiadając katastrofę, a Jamiego ogarniał coraz większy strach. Mimo panującego w pieczarze chłodu miał spoconą twarz i ręce. Nie wiedział, co się dzieje na powierzchni, i z obawą myślał o rabunku i świętokradztwie, które miały się zaraz dokonać w mrokach starożytnej mogiły.

Egipcjanie wierzyli, że nie mózg, tylko serce

człowieka jest źródłem uczuć i myśli. Tam również kształtował się charakter i mieszkała ludzka dusza. Z tego powodu serce doznawało szczególnej czci. W przeciwieństwie do innych organów wewnętrznych nie usuwano go ze zwłok, lecz pozostawiano na miejscu i balsamowano wraz z nimi. Serca strzegł ozdobny skarabeusz. W egipskiej Księdze Umarłych powtarza się opis przedstawiający serce, które spoczywa na jednej szali świętej wagi. Na drugiej leży pióro Maat, bogini uosabiającej panujący we wszechświecie ład, a także sprawiedliwość i prawdę. Maat przedstawiano jako kobietę z piórem na głowie. Po śmierci serce nieboszczyka dawało świadectwo o jego ziemskim życiu, przemawiając za człowiekiem lub przeciwko niemu. Aby zjednać sobie jego przychylność, ułożonego na piersiach skarabeusza opatrywano cytatem z Księgi Umarłych.

*Serce moje, co je dobra matka dała,  
Serce, co na ziemi w piersi biło,  
Nie bądź mi przeciwne w twym świadectwie!  
Przed sędziami nie mów o mnie złego słowa!  
Nie obciążaj wagi na mą zgubę  
W obecności sprawiedliwej pani Ładu!  
I fałszywie mnie, o serce, nie oskarżaj  
Przed obliczem Władcy, który Panem jest  
Zachodu.*

Taki napis widniał na skarabeuszu arcykapłana Nephrekeptaha. Hieroglify lśniły złotem, a taliz-

man zawieszony był na złotym łańcuszku, przewleczonym przez otwór nawiercony w szmaragdzie. Jamie zauważył to, gdy sięgnął ręką po skarabeusza. Zorientował się, że złoty łańcuch otacza szyję mumii- Ostrożnie zsunął go, starając się nie dotykać nieboszczyka, i chwycił amulet, chcąc go zabrać. Daremnie! Szmaragd ani drgnął. Przez moment zwidziało się Jamiemu, że nieboszczyk trzyma skarabeusza i nie pozwala go sobie odebrać.

- Na miłość boską! Człowieku, dlaczego stoisz z wytrzeszczonymi gałami jak wioskowy idiota? Weź no ten szmaragd! A *może* tchórz cię obleciał?

- Ależ skąd! Przysięgam! - Zarzekał się Jamie, próbując odzyskać jasność myśli i dawną odwagę.

- Rzecz w tym, że to cholerstwo nie puszcza... Spokojna głowa, Geordie. Już wiem, o co chodzi. Trzeba przeciąć nici, którymi skarabeusz został przymocowany do bandaży. Trzymaj pochodnię. Zaraz je przetnę i dostanę wreszcie ten przeklęty szmaragd.

Sięgnął za cholewę wysokiego buta i wyciągnął sztylet. Sprawnie poruszał srebrzystym ostrzem, tnąc niezliczone nitki, mocujące klejnot do spowijających mumię płócien. Wsunął szkocki sztylet za cholewę i sięgnął po skarabeusza. Nagle, ku jego przerażeniu, nieboszczyk uniósł się, jakby zamierzał wstać z trumien i sarkofagu.

Jamie uskoczył w tył przed złowrogą mumią spowitą bandażami i zachwiał się, bo w tym momencie ziemia drgnęła, umykając odkrywcom

spod nóg. Nadal zaciskał dłoń na skarabeuszu. Gdy próbował uciec, mumia ruszyła za nim. Szarpnął się w tył i klejnot odebrany zmarłemu pozostał mu w dłoni wraz z kilkoma paskami płótna. Rozchwiana mumia zwała się ciężko na Geordiego.

- Rany boskie! Ożył! - Przyjaciele usłyszeli jego histeryczny wrzask. Rozpaczliwie okładał mumię trzymanymi w obu rękach pochodniami.

Po latach Jamie tłumaczył sobie, że gdy w mrocznym wnętrzu krypty ciął nitki, mocujące szmaragdowego skarabeusza, przez nieuwagę kilka pominął. Z tego powodu chwyciwszy amulet; nie chcący pociągnął także ku sobie lekkie, wysuszone ciało zmarłego. Takie wyjaśnienie brzmiało dość przekonująco, a jednak nie potrafił w nie uwierzyć.

Tamtego pamiętnego dnia był święcie przekonany, że mumia ożyła i rzuciła się na odkrywców. Nim odzyskał równowagę, Tom, Andy i Will ruszyli do ataku. Z furją popychali nieboszczyka i okładali go pięściami tak długo, aż padł bezwładnie na kamienną podłogę grobowca.

- Ożył! Mówię wam! - zapewniał Geordie. W blasku pochodni widać było, że twarz poszarzała mu ze strachu.

- Co ty pleciesz? - zachnął się Andy. - Ten człowiek umarł wieki temu i został zabalsamowany. Nie ma w nim krztyny życia! Jamie nie chcący pociągnął za bandaże i wywłókł go z trumny. Dlatego wydawało nam się, że nieboszczyk atakuje, jakby cudem ożył. Gra cieni na ścianach wzmo-



gła to wrażenie. Dość gadania! Bierzmy się do roboty, bo nigdy nie skończymy pakowania. Wnosząc z odgłosów na zewnątrz, szaleje burza.

Inni szemrali, lecz mimo to zdecydowali się go posłuchać. W tym momencie do krypty wpadł Ned, zdyszany i przemoczony do suchej nitki.

- Musimy uciekać! - wykrzyknął z przerażeniem. - Wielbłądy zerwały pęta i czmychnęły, a nad płaskowyżem szaleje burza i okropna ulewa. Prawdziwe oberwanie chmury! Wkrótce cała dolina będzie pod wodą. Te grobowce to śmiertelna pułapka. Trzeba zmykać, bo utoniemy!

Na dowód prawdziwości jego słów ziemia ponownie zatrzęsała się pod nogami, a z oddali dobiegł stłumiony, przerażający ryk. Teraz wiedzieli, że to spływająca po zboczach gór woda pędzi w dolinę z rosnącą szybkością niczym fala przypływu, która zmiata wszystko na swojej drodze. Powódź wydawała się tym niebezpieczniejsza, że dolina zbudowana była z tebańskiego wapienia oraz ilastych łupków, które łatwo kruszyły się i rozmywały. Kiedy nasiąkły wilgocią, gwałtownie pęczniały, a wtedy skalne zbocza pękały, tworząc rumowiska. Tak mówił przewodnik, nim uciekł, zostawiając wędrowców na pastwę losu.

Ned nie musiał dwa razy powtarzać kolegom, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszyscy rzucili się do wyjścia, zagarniając chciwie cenne drobiazgi, które były w zasięgu ręki. Wypadli z krypty i ruszyli pędem w głąb korytarza.

Jamie z całego serca pragnął opuścić pieczarę,

która w jego pojęciu była siedliskiem wszelkiego zła. Wybiegając, nie spostrzegł, że nadal ściska w dłoni szmaragdowego skarabeusza. Klejnot wielki jak gęsie jajo zdawał się dziwnie ciężki. Zaciśnięta dłoń omdlała i nie było w niej czucia, lecz palce się nie rozwarły. W ich uścisku skarabeusz zdawał się pulsować coraz mocniej jak bijące, żywe serce. Emanował tajemniczą mocą. Jamie czuł to, ale biegł dalej. Miał jeden cel: opuścić korytarz i wyjść na powierzchnię, gdzie były większe szanse na przeżycie.

Strwożone serce tłukło się w piersi, jakby lada chwila miało z niej wyskoczyć. Pędził, deptając po piętach innym. Obcasy długich butów waliły o stopnie schodów, wiodących do zewnętrznego korytarza. Młodzieńcy szybko oddalali się od krypty grobowej. Jamie z przerażeniem usłyszał chłupot wody pod stopami. Na razie płynęła wąskim strumieniem, ale wlewała się już do pieczary. Okruchy skał i kamienne bloki, pozostawione w tunelu przez niedbałych robotników drążących grobowiec nieco wyżej, znowu okazały się trudną przeszkodą. Jamie potknął się o nie, stracił równowagę i upadł na kolana.

- Poczekajcie! - krzyknął chrapliwie do kompanów, daremnie próbując się podnieść. - Poczekajcie!

Nikt go nie usłyszał, ponieważ wszystko zagłuszył łoskot wody, wdzierającej się do podziemi spienioną kaskadą i spływającej po schodach.

- Za późno! Już po nas! - wrzeszczał Ned, którego wezbrana fala rzuciła na kamienne stopnie i pochłonęła natychmiast. Pochodnie gasły z sykiem.

Jamie nie czekał, aż zobaczy więcej podobnych okropności. Wiedziony pierwotnym instynktem przetrwania, gorączkowo szukał dla siebie ratunku. Zerwał się na równe nogi i bez namysłu skoczył do skalnej niszy o poszarpanych brzegach, która ziała w ścianie korytarza, wiodącego do wyżej położonego grobowa. Nie zdawał sobie sprawy, że wciąż ściska w dłoni wielki bezcenny szmaragd.

## KSIEGA PIERWSZA

### **Łowy zaczęte!**

*Rwiecie się, widzę, jak charty ze smyczy:  
Łowy zaczęte!*

William Shakespeare  
„Henryk V” (1598-1600)

*Naprzód, Watsonie, ruszajmy! Łowy zaczęte!*  
Artur Conan Doyle  
„Powrót Sherlocka Holmesa” (1904)  
„Przygoda w Abbey Grange”



1754

*Anglia, Medmenham Abbey pod Londynem*

Medmenham Abbey, położone między Hambleton i Hurley Locks, leżało na uboczu. Otaczał je las. Gmach opactwa wzniesiono na brzegu Tamizy, tuż za rogatkami Londynu. Sześć mil dzieliło je od West Wycombe, rodowej siedziby baroneta Francisa Dashwooda. Opactwo powstało w dwunastym wieku jako cichy i spokojny klasztor cystersów, ale w czasach reformacji trafiło w ręce ludzi świeckich i przypadło Duffieldom. Dawny klasztor zmienił się w dwór typowy dla epoki Tudorów.

W roku 1751 Dashwood, syn bogatego kupca, który wzenił się w arystokratyczną rodzinę, wydzierżawił domostwo i gruntownie je przebudował, czyniąc siedzibą powołanego pięć lat wcześniej samozwańczego zakonu kawalerów świętego Franciszka, którego członkowie wcześniej spotykali się w gospodzie „Pod Wrednym Sępem” przy St. Michael's Alley w londyńskiej dzielnicy Cornhill. Teraz mieli do dyspozycji Medmenham Abbey.

Dashwood, który we wczesnej młodości sporo podróżował i podczas swej *grand tour* został we Florencji przyjęty do łoży masonskiej, nie szczędził czasu ani pieniędzy na odnowienie wiekowych murów opactwa. Ze swej niezbyt odległej posiadłości West Wycombe sprowadził ogrodników i budowniczych, którzy wznieśli w południowym narożniku klasztornej muru sztuczną ruinę w kształcie kwadratowej wieży, łącząc ją z trzema arkadowymi krużgankami z widokiem na Tamizę. Ogrody, które

urządził sam Maurice-Louis Jolivet, słynęły wieloma posagami, wśród których była pochylona naga Wenus. Spacerowiczowi, idącemu parkową alejką, ukazywały się najpierw obnażone pośladki bogini, a potem hojnie wyposażony przez naturę nagi Priap, rzymski bożek płodności. Z okien dawnych klasztornych budynków usunięto freski o tematyce religijnej, zastępując je obrazami o pseudoteologicznej symbolice. Niektóre komnaty ozdobione były freskami, które malował Guiseppe Borgnis. Nad głównym portalem opactwa Dashwood kazał umieścić napis: *Fay ce que voudras* - „Używaj sobie do woli” - haniebne motto fikcyjnego opactwa Theleme, ufundowanego przez Gargantuę w epopei fantastycznej, której autorem jest Franciszek Rabelais.

W bogato zdobionym refektarzu opactwa znajdował się posąg Harpa-Khruti, egipskiego boga milczenia przedstawianego z palcem na ustach, którego Grecy i Rzymianie znali pod imieniem Harpokratesa. W drugim końcu sali umieszczono żeński odpowiednik bożka - stojącą w identycznej pozie rzymską boginię imieniem Angerona, zagadkową opiekunkę zimowego przesilenia, śmierci, ciszy i tajemnic. W czasach antycznych strzegła ona sekretnej nazwy Rzymu. Dla masonów oba te bóstwa były gwarantami dochowania sekretów, a ich obecność w refektarzu przypominała bywającym w opactwie gościom, że nic z tego, co mówi się i odbywa w wiekowych murach, nie powinno za nie wyjść.

Sir Francis Dashwood pełnił w Medmenham

Abbey funkcję świeckiego opata, przewodzącego dwunastu samozwańczym „apostołom”. Tylko oni mieli dostęp do tajemnego sanktuarium opactwa. Inni dzentelmeni przyjmowani do zakonu kawalerów świętego Franciszka zwali się mnichami, damy zaś mniszkami. Byli to szeregowi członkowie stowarzyszenia.

Przystał do nich także lord Iain Ramsay, dawniej wicehrabia Strathmór, a obecnie earl Dundragon. Tego wieczoru jednak gorąco pragnął cofnąć czas. Gdyby to od niego zależało, z pewnością nie przyłączyłby się po raz wtóry do wrzaskliwej Zgrai lubieżników, później przez wielu zwanych piekielnikami, choć sami bywalcy Medmenham Abbey nigdy się tym określeniem nie posługiwali.

Wstrętne, pogańskie obrządki sprawowano w owym miejscu, uświęconym przed wiekami. Oszołomiony winem, spochmurniały Iain uświadomił sobie w pijackim widzie, że cysterscy zakonnicy, którzy dawno temu założyli klasztor, bez wątpienia przewracają się w grobach, a ich dusze boleją nad tym, co się tutaj dzieje. Chodziły słuchy, że w murach opactwa oddaje się cześć szatanowi. Plotki te były wyssane z palca, natomiast prawdą jest, że samozwańczy mnisi z Medmenham czcili Matkę-Ziemię, pijąc na umór, hulając podczas mas- karad i łajdacząc się bez opamiętania.

W ich ogrodach rozkoszy zacne wino oraz inne napitki lały się strumieniami na chwałę Dobrej Bogini, Rei oraz Kybele, a w labiryncie podziemnych grot, leżących w pobliżu opactwa, tak zwani mnisi obcowali cieleśnie z fałszywymi mniszkami.



Groty ciągnęły się pod West Wycombe Hill. Można było ujść tamtędy niespełna pół mili, aż do High Wycombe i podziemnego strumienia zwanego przez wtajemniczonych rzeką Styks. Na samym końcu owej galerii znajdowała się imponująca sala bankietowa o niespotykanych rozmiarach. Tam stały rzymskie posągi. Nad podziemnym refektarzem górował pagórek, na którym wzniesiono kościół Świętego Wawrzyńca. Cóż za ironia losu! Przypadkowo, acz nader stosownie, święty patron owego kościoła opiekował się także nierządnicami. Od czasu do czasu Dashwood po pijanemu wspinał się krętymi schodami do wnętrza owej kuli i racząc się boskim nektarem, jak nazywał mocne trunki, wyśpiewywał rubaszne parodie psalmów.

Iain drżał mimo woli na wspomnienie tych wszystkich bluźnierstw. Postąpił jak głupiec, zadając się z tymi bezecnikami. I cóż z tego, że wywodzili się z najlepszych arystokratycznych rodów królestwa? Drżącymi rękoma trzymał przy piersi swoje karty, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Z powodu własnej głupoty przegrał niemal wszystkie dobra w Anglii i Szkocji, od pokoleń należące do jego rodziny. Pechowo grał dziś w pikietę, tracąc mnóstwo punktów do lorda Bruna, hrabiego Foscarellego, przyjaciela Dashwooda. Ci dwaj poznali się, gdy baronet zawitał ostatnio do Florencji.

Iain nie pamiętał, jak to się stało, że zasiadł z Foscarellim do kart. Pamiętał, że jedli kolację w wielkiej sali. Potem znalazł się niespodziewanie przy karcianym stoliku, twarzą w twarz z Włochem. Pełen obaw myślał, że ta rozgrywka będzie dla

niego fatalna w skutkach. Foscarelli nie budzi w nim sympatii ani ufności. Zdaniem Iaina, wszyscy przybysze z południa byli podstępni i zdraclivi. Dłatego od początku podejrzewał, że przeciwnik szachruje.

Włoski hrabia słynął jako mistrz fechtunku i znakomity strzelec. Iain wolał nie pogarszać swojej sytuacji. Nie dość, że przegrał większość rodowych dóbr, to jeszcze naraziłby się na śmierć w pojedynku o świcie. Foscarelli cieszył się złą sławą. Słyszało się tu i ówdzie, że zabił w pojedynku co najmniej jednego przeciwnika, a Włochy opuścił w atmosferze skandalu i podejrzeń. Z pewnością nie należał do ludzi, którzy bez dowodów posądzeni o szachrowanie podczas gry w pikietę, zadowolą się pojedynkiem do pierwszej krwi.

Mimo wszystko Iain nie upadał na duchu, bo sądził, że ma asa w rękawie. Włoski hrabia oraz jego kompani nie byli świadomi, jaki to atut. Iain liczył na to, że dzięki niemu przechytry przeciwnika tak samo, jak poradził sobie kiedyś ze swoim ojcem.

Lord Somerled Ramsay, poprzedni earl Dundragon i rodzic Iaina, zde gustowany jego stylem życia, wyzywał go stale od głupców i rozpustników. Pod koniec życia przedsięwziął kroki, uniemożliwiające wyrodnemu synowi odziedziczenie rodzinnych majątkości, ale Iain w końcu przechytrył surowego rodzica.

Przygnieciony długami karcianymi oraz innymi zobowiązaniami, od dawna liczył na spadek, który pozwoliłby mu wykupić niezliczone weksle. Cieszył się ogromnie, kiedy ojciec umarł. W ciągu

dwóch tygodni sprzedał wszystkie dobra. Wkrótce po pogrzebie ojca pojechał do Londynu z niezłomnym postanowieniem uregulowania wszystkich zobowiązań. Niestety, ledwie przybył do miasta, natknął się na Dashwooda oraz paru kompanów z Medmenham. Dlatego siedział teraz przy karcianym stoliku w refektarzu dawnego opactwa. Wszystkie roztropne plany *wzięły w łeb*.

Przestał liczyć partie rozegrane z Foscarellim, lecz zdawał sobie sprawę, że jest ich niemało. W każdym rozdaniu dobierano sześć kart, a dwie talie używane do pikiety były wielokrotnie tasowane. Stawka nieustannie rosła. W końcu, żeby nie odejść od karcianego stolika, Iain postawił całą rodową schedę. Jak wielu nałogowych graczy miał wrażenie, że ogarnia go obezwładniająca gorączka. Był przekonany, że lada chwila się odegra. Niestety, daremnie czekał na wygraną.

Był przekonany, że Włoch oszukuje.

- Czwórka - oznajmił.
- Za mało - odparł Foscarelli lodowatym tonem.
- Mam piątkę. Pięć punktów dla mnie.
- Mam sekwens.
- Jaki? - zapytał Włoch, drwiąco unosząc czarną brew.

- Walety.

- Mało. Królowe. Do tego sekwens trzech kart. Siedem punktów dla mnie.

- Trzej królowie - oznajmił Iain.
- Mało. Cztery asy. Czternaście punktów dla mnie. Razem dwadzieścia sześć.
- U mnie jeden. - Dobierając karty, Iain z roz-

paczą uświadomił sobie, że nim partia rozpoczęła się na dobre, stracił dwadzieścia sześć punktów.

I tak przez cały wieczór.

Ukradkowe spojrzenie na cyferblat kieszonkowego zegarka w złotej kopercie uświadomiło Ianowi, że dochodzi druga w nocy. Wiedział, że za kilka minut stanie się bankrutem i nie będzie miał co postawić. Na domiar złego dawne należności pozostały niespłacone. Z przerażeniem pomyślał, że trafi do więzienia.

- Kolejna partia dla mnie, prawda? - rzucił Foscarelli, mierząc go wrogim, przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Na to wygląda - przyznał żałośnie Iain, ponieważ dotarło do niego, że znowu przegrał, tracąc wszystko.

- Gramy dalej?

- Nie. To koniec. Nic już nie mam.

- Szkoda. - Foscarelli lekko wzruszył ramionami. - Szczęście ci nie sprzyja. To potwierdza rozmaite plotki o twojej rodzinie. Chyba to prawda, że na waszej gałęzi klanu Ramsayów ciąży klątwa boga Chepri. Podobno skradli klejnot symbolizujący jego serce.

- To legenda - odparł nonszalancko Iain, przyznając w duchu, że przekleństwo spadło na niego dopiero z chwilą poznania włoskiego arystokraty.

- Czyżby? Podobno jeden z twoich przodków włamał się do grobowca egipskiego kapłana, który służył bogu Chepri. Ów Ramsay ukradł bezcenny szmaragd, w kształcie serca. Czyżby to były czcze pogłoski?

- Gdyby taki skarb pozostawał w naszym posiadaniu, nie ogłosiłbym się bankrutem, prawda? - spytał Iain ostrzej, niż zamierzał. Było mu wstyd, że musi przyznać, jak nisko upadł. Czuł się winny, że przestaje z nikczemnikami pokroju Dashwooda. - Więcej ci powiem! Gdyby ten szmaragd naprawdę istniał, na pewno wart byłby wszystkich straconych przeze mnie majątkości. Bez namysłu bym go na nie wymienił. Z przykrością stwierdzam, że nie widziałem owego klejnotu. Tak samo jak ty, hrabio, znam tylko pogłoski. Moim zdaniem, nie ma w nich ziarna prawdy.

- Rozumiem. Wygląda na to, że szczęście się od ciebie odwróciło i karta ci nie szła.

- Och, moim zdaniem, to nie jedyny powód, że przegrałem z kretesem.

- Jak mam rozumieć te słowa? - Foscarelli obrzucił Iaina wrogim spojrzeniem.

- Nie warto się nad nimi zastanawiać.

- Daruj, ale nie sądzę, żeby tak było. Odniosłem wrażenie, że masz mnie za szulera i sugerujesz, iż szachrowałem, Dundragon! - Hrabia gwałtownie odsunął od stołu krzesło i zerwał się na równe nogi.

Nie ścierpię obrazy ani takiego posądzenia! Cofnij natychmiast swoje słowa i przeproś mnie. W przeciwnym razie przyślę ci sekundantów. Niech rozmówią się z twoimi. Powiedz tylko, gdzie cię szukać.

Posępny Iain długo milczał.

- Nie mam za co przepraszać. O nic cię nie oskarżam, hrabio - powiedział oficjalnym tonem.

W refektarzu zapadła grobowa cisza, gdy biesiadnicy spostrzegli, że zanosi się na kłótnię. Iain także podniósł się, stając twarzą w twarz z adwersarzem. - Wyciągasz mylne i pochopne wnioski. Nie zamierzam przyznawać się do błędu, a skoro nadal domagasz się satysfakcji, szukaj mnie w zajeździe „Pod Wrednym Sępem” przy Saint Michael's Alley.

Okręcił się na pięcie i drżąc na całym ciele, opuścił refektarz. Zatrzymał się przy głównym wejściu do Medmenham Abbey i kazał sobie przyprowadzić konia. Odjechał galopem na wschód, ku Londynowi, przeklinając swój niewyparzony język. Co go podkusiło, aby głośno dać kompanom do zrozumienia, że włoski hrabia to szuler? Doskonale wiedział, że z Foscarellim nie ma żartów. Skoro ten, pyszałek dążył do kłótni, należało powściągnąć dumę i od razu przeprosić za niefortunne sformułowanie. Iain przegrał majątek, mógł więc poświęcić i honor, byłe wyjść cało z opresji.

Musiał natychmiast uciekać na kontynent, żeby ocalić życie. W Anglii i Szkocji nie było dla niego miejsca. Za nic w świecie nie odważyłby się stanąć o świecie do pojedynku z Foscarellim, który niezawodnie położyłby go trupem.

Zostało mu trochę osobistych drobiazgów. Jeśli zdoła je zastawić, uciuła trochę grosza na przeprawę do Francji i uda mu się umknąć. Był na siebie wściekły z powodu nadmiernej szczerości wobec Foscarellego. Wyrzucał sobie brak sprytu i przezorności. Należało podać fałszywy adres, aby zyskać na czasie. Co prawda, wielu bywalców Medmenham

Abbey, podobnie jak on, podczas wizyt w Londynie zatrzymywało się w zajeździe „Pod Wrednym Sępem”, gdzie dawniej miało siedzibę ich stowarzyszenie. Prawdopodobnie Foscarelli z góry wiedział, gdzie szukać potencjalnej ofiary.

W drodze powrotnej do Londynu umysł Iaina pracował na najwyższych obrotach. Młodzieniec pędził co koń wyskoczy. Gdy opuścił mury Medmenham Abbey, gdzie powietrze było duszne i parne, nocny chłód go otrzeźwił i rozjaśniało mu się w głowie. Przypomniał sobie, że we Francji mieszka starsza, normandzka gałąź rodu Ramsayów. Na pewno nie odprawią go z kwitkiem. Wzdragał się na myśl, że przybędzie do krewnych jako bankrut o zaszarganej reputacji, ale nie miał wyboru. To nie do pomyślenia, żeby kuzyni opuścili go w potrzebie.

Księżyc był w pełni, a srebrzysta poświata rozjaśniała drogę, tak więc Iain bez przeszkód dotarł do Londynu. Ruch ustał, lecz od czasu do czasu ulicami przemykały dorożki i dwukółki. Widziało się również trzeźwiejących hulaków, zapóźnionych przechodniów i nocnych rabusiów gotowych ukatrupić przechodnia dla kilku marnych szylingów. Iain rozglądał się czujnie, przemierzając skomplikowany labirynt londyńskich ulic, wsłuchany w tętent końskich kopyt, uderzających o ubitą ziemię lub kamienie bruku. Dźwięki niosły się daleko w nocnej ciszy miasta, gdy jechał przez Cheapside i Poultry. Szybko znalazł się na skrzyżowaniu Threadneedle, Comhill i Lombard Streets. Potem skręcił w Cornhill i dotarł do Royal Exchange. O tej porze

gmach giełdy był zamknięty na głucho. Iain ruszył dalej St. Michael's Alley, przy której znajdował się kościół oraz cmentarz Świętego Michała. Skręcił w krótką, wąską przecznicę i wkrótce zatrzymał się przed budynkiem, na którym wisiał szyld: „Pod Wrednym Sępem”. Od dwunastego wieku działał w tym miejscu zajazd. Po wielkim pożarze, który strawił Londyn w 1666 roku, za panowania Karola II, kiedy to ogień, zaproszony w piekarni na Pudding Lane przez królewskiego piekarza Thomasa Farynora, ogarnął niemal całe miasto.

Po przybyciu do gospody Iain rzucił wodze rozespanemu chłopakowi ze stajni. Sam popędził do swego lokum na piętrze. Lokaj Westerfield nie spał, czekając, aż jaśnie pan raczy wrócić z nocnej eskapady. Słyszając kroki na schodach, pospiesznie otworzył drzwi, aby chlebobdawca nie trudził się usiłując w półmroku korytarza trafić kluczem do dziurki.

- Już późno, milordzie - zauważył, biorąc od jaśnie pana płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Poszedł za nim do sypialni. - Czy przyjemnie spędził pan czas?

- Nie, Westerfield. To był jeden z najgorszych wieczorów w całym moim życiu. Musimy natychmiast spakować się i opuścić ten zajazd!

- Dlaczego, milordzie? Co się stało? - Lokaj był zdumiony, bo pan miotał się jak nigdy dotąd. Otwierał szafy i wyciągał z nich ubrania. Opróżniał szuflady komód, zrywał z kołków wierzchnie okrycia i bieliznę, wygarniał z półek fulary i buty. Wszystko rzucał bezładnie na łóżko. - Chodzi



<> należność za wikt i mieszkanie? Rozmawiałem z właścicielem zajazdu. Zgodził się poczekać do końca tygodnia.

- Nieważne. Teraz nie będę zaprzętał sobie tym głowy. Westerfield, straciłem wszystko. Hrabia Foscarelli ograł mnie w pikietę. Słyszałeś o nim? Jestem przekonany, że szachrował podczas gry. Zachowa--- się bezmyślnie i napomknąłem o tym, a Foscarelli zaraz na mnie naskoczył. Gdy odmówiłem przeprosin, twierdząc, jakoby opacznie zrozumiał tamte słowa, wyzwiał mnie na pojedynek. Chyba mi rozum odjęło, bo powiedziałem mu, gdzie mieszkam. Jest lepszym ode mnie szermierzem i strzelcem. Z pewnością nie zadowolili się pojedyńkiem do pierwszej krwi. On mnie zabije - tłumaczył lain z ponurą miną

Zamilkł na chwilę, wyciągając na środek pokoju stojący w rogu kufer podróżny. Szybko podniósł wieko.

- Co tak stoisz, Westerfield? - ofuknął gniewnie lokaja. - Chyba nic z tego, co mówiłem, do ciebie nie dotarło! Rusz się wreszcie! Całkiem prawdopodobne, że sekundanci Foscarellego już są w drodze do zajazdu. Trzeba uciekać do Francji. Tam będziemy bezpieczni. Zostaw! Sam nas spakuję. Weź to.

Podał lokajowi złoty kieszonkowy zegarek oraz sygnet. - Biegnij do żydowskiego lombardu na Birch Lane. Obudź właściciela. Postaraj się korzystnie spieniężyć te drobiazgi. Weź i to. - Spod koszuli wyjął niezwykle, bogato zdobiony srebrny krzyż całkiem sporych rozmiarów, zawieszony na grubym łańcuszku. Nosił ów klejnot na szyi.

- Nie, milordzie! - wyjąkał przerażony i wstrząśnięty Westerfield. - Tego nie wolno sprzedawać. Pamiętam, jak ojciec wielokrotnie powtarzał, że trzeba chronić tę pamiątkę i nie wolno jej nikomu oddawać nawet pod groźbą śmierci!

- Mój ojciec od dawna spoczywa w grobie. Co mu do tego, czy zastawię krzyż? Wart jest gwineę albo i więcej. Potrzebuję pieniędzy, i to już! Zresztą mój brat Neill zaraz wykupi krzyż, jeśli dowie się, że mnie na to nie stać. - Iain stanowczym gestem wcisnął klejnot w dłoń lokaja. - Gdy będziesz na dole, zadysponuj, żeby zaprzężono konie do powozu. Niech czeka przed wejściem. Pospiesz się, Westerfield. Każda chwila zwłoki może mnie drogo kosztować. Tu chodzi o życie!

- Tak, milordzie.

Lokaj opuścił pokój, a Iain rzucił się do układowania dobytku w kufrze. Raz po raz nerwowo spoglądał na zdobiący półkę nad kominkiem zegar z połćacanego brązu, który tykał głośno, kradnąc bezcenne sekundy. Iain lękał się, że nie zdąży uciec.

Wkrótce kufer był wypełniony po brzegi, ale do spakowania pozostało jeszcze mnóstwo rzeczy, Iain, klnąc szpetnie, przepakował się, żeby zrobić trochę miejsca. Odetchnął z ulgą, gdy skończył. Usiadł na beczkowatym wieku skrzyni i z całej siły dociągnął skórzane paski. Natychmiast wziął się do zbierania rzeczy lokaja, których na szczęście było znacznie mniej. Dla ukojenia starganych nerwów chętnie wychyliłby kieliszek czegoś mocniejszego,

ale miał świadomość, że pijaństwo było jedną, a być może główną z przyczyn tragicznego położenia.

Zaczął niecierpliwie chodzić z kąta w kąt. Od ruchowo sięgał do kieszonki kamizelki po zegarek, którego już tam nie było.

Dopiero teraz Iain pomyślał, że warto by napisać do młodszego brata. Neill, wicehrabia Strathmór był jego spadkobiercą. Iain wziął pióro i kartkę papieru. Ledwie skreślił kilka zdań, od strony przylegającego do apartamentu korytarza usłyszał miarowy tupot. Rozpoznał odgłos niespiesznych, starannie odmierzonych kroków swego lokaja. Najwyższa pora! Świtało. Iain postanowił wysłać list, nie troszcząc się o zakończenie. Przerwał w pół zdania, podpisał się i oprószył kartkę piaskiem, żeby wysuszyć atrament. Złożył ją, zapieczętował rozgrzanym woskiem, napisał adres brata, a w rogu swoje nazwisko, żeby wiadomo było, kto jest nadawcą przesyłki.

Schował list do kieszeni surduta i podbiegł do drzwi, by wpuścić lokaja. Oniemiał z przerażenia, bo zamiast znajomej twarzy ujrzał obce oblicze. Za drzwiami stał smagły Włoch o ciemnej cerze. Błysnął w uśmiechu białymi zębami, lecz minę miał groźną.

- Signor Dundragon, jak sądzę? - powitał uprzejmie Iaina. - Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Cesare Spinoza, sekundant hrabiego Foscarellego. Hrabia prosi, żeby zechciał pan stawić się dzisiaj o świcie w Green Parku, gdzie nikt panom nie przeszkodzi. Gdyby nie miał pan jeszcze sekundanta, polecono mi oznajmić, że sir Francis Dashwood

chętnie podejmie się tej funkcji. Sprowadzono lekarza i chirurga na wypadek, gdyby taka pomoc okazała się potrzebna. Już świta, czasu mamy niewiele. Proponuję, signor, że osobiście zawiozę pana do parku. Mój powóz czeka przed drzwiami zajazdu. Jeśli zechce mi pan towarzyszyć...

- Ja... doceniam pańską wielkoduszność - powiedział z trudem Iain. - Niestety, czekam na Westerfielda, lokaja, którego posłałem do miasta w ważnej sprawie. Musi zostać załatwiona, zanim spotkam się z hrabią Foscarellim.

- Czyżby? Tak się składa, że przypadkiem natknąłem się na pańskiego lokaja. Mam panu od niego przekazać, że... coś zatrzymało biedaka i nie wróci na czas.

Gdy Iain usłyszał te słowa, przebiegł go zimny dreszcz i włosy zjeżyły mu się na karku. Od razu pojął, co Cesare Spinoza chce mu dać do zrozumienia. Tamci postarali się, aby Westerfield nie mógł wrócić do chlebobdawcy. Trzymają go pod kluczem. A może jest już martwy? Iain najchętniej zatrzaskałby drzwi, ryglując je od środka, a potem umknął z zajazdu przez okno niezbyt wysokiego pięterka. Niestety, Spinoza stał na progu, blokując wyjście. Co gorsza, Iain był pewny, że gdyby zerknął na płataninę uliczek i zaułków widocznych z okien zajazdu, przekonałby się naocznie, jak przebiegły jest Foscarelli. Spinoza nie przyszedł tu sam. Pachołkowie jego mocodawcy obstawili zapewne wszystkie okoliczne bramy i skrzyżowania.

- Rozumiem - odparł po chwili namysłu. - W takim razie proszę zaczekać. Wezmę surdut.

- Pod nieobecność lokaja pozwolę sobie panu usłużyć, signor. - Spinoza, nie czekając na zaproszenie, śmiało wkroczył do środka. Na widok spakowanego kufra, stojącego pośrodku pokoju, zapytał:

- Opuszcza pan Londyn?

- W rzeczy samej - przyznał Iain. Nie miał wyboru, bo pomieszczenia ogołoczone z rzeczy osobistych stanowiły widome potwierdzenie słów jego rozmówcy. - Wzywają mnie interesy. Wyjeżdżam zaraz po spotkaniu z hrabią Foscarellim.

- W takim razie pospieszmy się, signor. Im prędzej dotrzemy na miejsce, tym szybciej będzie pan mógł wyruszyć w drogę.

- Naturalnie - przyznał Iain, modląc się w duchu, żeby czekająca go podróż nie była wyprawą do piekła.

Spinoza przytrzymał surdut i pomógł Iainowi włożyć okrycie. Gdy znaleźli się w wąskim, ciemnym korytarzu, z głównej sali od strony szynkwasu dobiegł nagle okropny wrzask, który przyciągnął uwagę Włocha. Korzystając ze sposobności, Iain ukradkiem wsunął list do brata między przesyłki, leżące na niewielkim stoliku, skąd zabierał je pocztylion.

Gdy wyszli na ulicę, potwierdziły się domysły Iaina. Ujrzał kilku spacerujących tu i tam włoskich sługusów o podejrzanym powierzchowności. U drzwi zajazdu stała karetka o lśniącym pudle, czarna jak heban i zaprzężona w cztery konie. Spowita białą mgłą ciemna karoca wydała się zrozpaczonemu Iainowi łudząco podobna do karawanu. Na widok

dwu dżentelmenów pachółkowie natychmiast się ożywili. Jeden otworzył drzwi powozu, drugi opuścił schodki, trzeci okazał się stangretem. Zajął miejsce na koźle, cmoknął na konie i strzelił z bata, który przypominał czarnego węża. Karetą ruszyła z nagłym szarpnięciem. Wysokie koła turkotały głośno, hałas niósł się daleko w głębokiej ciszy uśpionego miasta, nad którym niebo powoli jaśniało.

Karetą minęła Michael's Alley i Castle Court, następnie mszyła George Yard do Lombard Street. Z głośnym dudnieniem pomknęła ku Grace Church Street i Fish Street Hill. Następnie przez labirynt biegnących wzdłuż Tamizy uliczek dotarli do Charing Cross.

Z Cockspur Street powóz skręcił w szeroką aleję Pall Mall. Iain miał wrażenie, że jego nerwy, z pozoru napięte do granic wytrzymałości, jakaś niewidzialna ręka z uporem naciąga coraz bardziej, w miarę jak zbliżali się do celu podróży, czyli do Green Parku. Sądził, że jedzie na śmierć, i z roztargnieniem zadawał sobie pytanie, czy Westerfieldowi pisany był równie smutny koniec. Gdy karetą wjechała na St. James's Street, ze ściśniętym gardłem przyglądał się niezliczonym fasadom klubów, gdzie, bawiąc w Londynie, spotykał znajomych dżentelmenów. Był niemal pewny, że jego noga więcej tam nie postanie. Ledwie to sobie uświadomił, jeszcze bardziej spochmurniał. Powóz skręcił w Piccadilly Road i zajechał przed Green Park, który leżał na tyłach Buckingham House, londyńskiej rezydencji księcia Buckingham.

Gdy karetą stanęła, służący Foscarellego rzucili się w pośpiechu ku drzwiom, aby je otworzyć i opuścić schodki. Iain i Spinoza powoli wysiedli i weszli do parku, który miał nieregularny kształt kwadratu. Był to niespełna sześćoakrowy trawnik z kilkoma zagajnikami. Kwiatowych rabat jak na lekarstwo. Z tego powodu upodobali go sobie pojedynkowicze. Wielu dżentelmenów, którym zabrakło szczęścia lub umiejętności, tutaj dokonało żywota.

Hrabia Foscarelli w towarzystwie Francisa Dashwooda i grupy samozwańczych mnichów z Medmenham, a także medyka i chirurga, czekał na przeciwnika i sekundanta obok fontanny. Iain z irytacją spostrzegł, że jego wróg śmiało zrzucił płaszcz i surdut. Stał bez ruchu odziany w spodnie oraz koszulę z cienkiego białego lnu, jakby umyślnie wystawiał się na cel.

- Dzień dobry, lordzie Dundragon - powitał go z udawaną serdecznością.

Wydawał się świeży i wypoczęty, jakby spokojnie przespał noc.

Iain powoli zdejmował płaszcz, z przykrością uświadamiając sobie, jak bardzo różni się od przeciwnika. Był w czarnym surducie zapiętym pod samą szyję. Miał zarost na policzkach, oczy przekrwione i zapuchnięte. Jadąc do Green Parku, czuł nadchodzącą migrenę. Teraz skronie pulsowały boleśnie, a serce kołatało. Miał wrażenie, że lada chwila zemdleje.

- Nie rozumiem, hrabio, czemu nalegał pan, żebyśmy się tutaj spotkali - powiedział cicho, nie

bacząc na zasady, zgodnie z którymi w dyskusjach pojedyńkowiczów musieli pośredniczyć sekundanci. - Jak panu wcześniej oznajmiłem, nie było moją intencją obrazić pana. Pański honor z pewnością nie doznał uszczerbku. Gdyby jednak twierdził pan, że stało się inaczej, najszczerzej przepraszam za mimowolną zniewagę.

- Czyżby? - Włoch drwiąco uniół ciemne brwi. - Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że za późno na przeprosiny, lordzie Dundragon. To wbrew zasadom, a poza tym zbyt wielu gości obecnych w opactwie słyszało pańską sugestię, jakoby szachrował podczas gry. Z powodu pańskich insynuacji wiele osób uważa mnie za szulera. W tej sytuacji muszę domagać się satysfakcji, nie zrezygnuję z pojedyńku. Został pan wyzwany, a zatem przysługuje panu prawo wyboru broni. Szpady czy pistolety?

- Francis... - Iain błagalnym tonem zwrócił się do Dashwooda - wiem od pana Spinozy, że zgodziłeś się być moim sekundantem. Skoro tak, przemów hrabiemu do rozsądku!

- Zapewniam, przyjacielu, że próbowałem - odparł nonszalancko Dashwood. - Muszę jednak uczciwie przyznać, że i dla mnie twoje słowa zabrzmiały jak obelga. Istotnie dałeś nam do zrozumienia, jakoby Bruno oszukiwał podczas gry. Gdybyś od razu przeprosił, zapewne wasz zatarg na tym by się zakończył. Obawiam się jednak, że sprawy zaszły za daleko. W tej kwestii zgadzam się z Brunem. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że próbujesz szukać innego wyjścia. Nieładnie, mój



drogi. - Dashwood cmoknął karcąco. - Zmarnowaliśmy sporo czasu, bierzmy się więc do rzeczy, nim znajdą nas tu strażnicy. Obejrzałem szpady i pistolety. Wiem, że nie przywykłeś do broni cięższej od floretu i, moim zdaniem, stosowniejsze dla ciebie będą pistolety.

Iain miał w tej kwestii poważne wątpliwości, ale milczał, ponieważ uświadomił sobie, że jest w sytuacji bez wyjścia i musi stanąć do pojedynku. Z ociąganiem wyjął jeden z pistoletów z otwartego drewnianego pudła, które obecny w parku medyk teatralnym gestem podsunął najpierw wyzwanemu, a następnie jego adwersarzowi. Chirurg punkt po punkcie wyliczył zasady, obowiązujące w czasie pojedynku. Następnie Iain i włoski hrabia stanęli na trawniku, odwrócenii do siebie plecami. Po chwili ciszy zaczęto odliczać nakazane obyczajem dwanaście kroków.

Po zrobieniu ostatniego kroku Iain odwrócił się i o mało nie upadł, lecz szybko odzyskał równowagę. Drżącą ręką uniósł pistolet, wycelował i strzelił do przeciwnika. Od początku lękał się, że chybi, i tak było w istocie. Foscarelli ani przez moment nie czuł się zagrożony. Kula przeleciała obok i utkwiała w pniu rosnącego w pobliżu starego dębu. Iain miał wrażenie, że obserwatorzy tłumią urągliwy śmiech. Na jego pobladłej twarzy, mającej w srebrzysto-białym świetle poranka, pojawił się na moment lekki rumieniec wstydu, nim przybrała znów barwę popiołu. Praktycznie był martwy.

Ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy usłyszał huk wystrzału. Kula trafiła w pierś, a jej impet zapierał dech. Gdy po chwili Iain ostrożnie zaczerp-

nał powietrza, zdumiał się, że nadal stoi. Zaskoczony, wręcz uradowany, niemal uwierzył, że cudem ocalał, a rana jest powierzchowna. Czas spowolnił swój bieg. Iain poczuł nagle, że ręka trzymająca pistolet słabnie. Niepotrzebna broń wysunęła się z bezwładnej dłoni. Kolana ugięły się pod nim. Zwalił się ciężko na soczyście zieloną trawę, wilgotną od mgły i porannej rosy. Czuł przejmujący chłód. Słyszał okrzyki i tupot biegnących ku niemu ludzi, ale dźwięki dochodziły z oddali. Ktoś uniósł go i szarpnął surduta tak gwałtownie, że guziki poleciały na wszystkie strony. Iainowi nieoczekiwanie przemknęło przez myśl, że Westerfield byłby oburzony, gdyby miał je poprzeszywać.

- Obawiam się, że nic tu po mnie - oznajmił ponuro medyk, wstając z klęczek i spoglądając na niedoszłego pacjenta. - Rana jest śmiertelna.

Iain chciał zawołać, że to nieprawda, ale gdy otworzył usta do krzyku, poczuł na wargach metaliczny, słonawy, odrażający smak krwi. Zakrztusił się i zaczął kaszleć. Daremnie próbował wypluć krew napływającą do ust. Złowrogi cień przesłonił wschodzące słońce, blade i zamglone tego ranka. Iain ujrzał nad sobą śniadą, diaboliczną twarz Foscarellego. Wróg pochylił się nisko, żeby nikt nie usłyszał jego słów.

- Mów, gdzie jest szmaragd - szepnął. Jego głos brzmiał w uszach konającego jak syk jadowitego węża. - Gadaj, coś uczynił ze starożytnym klejnotem skradzionym przez twego przodka z grobu egipskiego kapłana boga Chepri.

- Nie... wiem... - wycharczał Iain. - Nie... wiedziałem... nigdy. Chyba... nie... istnieje.

- Podły kłamco! - pomstował Włoch. - Jestem pewny, że to nieprawda. Twój majątek należy teraz do mnie, nic mi więc nie przeszkodzi w poszukaniu owego klejnotu. Będę go miał!

Ku wielkiemu zdziwieniu Foscarellego kącki skrwawionych ust rannego uniosły się lekko w tajemniczym uśmiechu.

- Możesz szukać do woli... hrabio. Tylko się ośmieszysz.... Jestem górą... tyś przegrał. Jeszcze... nie jesteś... tego świadomy. Bez klucza... nie rozwiążesz... zagadki... mego dziedzictwa... a twoi potomkowie... nie będą władać zamkiem Dundragon. Tam ma swoją siedzibę klan Ramsayów... moja gałąź rodu. Zawsze będzie nasz... wbrew twoim knowaniom.

Po tym hardym wyznaniu Iain ostatni raz zamrugał powiekami, a następnie zamknął oczy. Ogarnęła go ciemność. Westchnął głęboko, czując ulgę, bo kosztowna migrena oraz ból w piersiach nareszcie ustały.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Zbieg okoliczności

*Mnie także klęski w zapasach z fortuną  
Tak umęczyły, żem gotów postawić  
Na pierwszą lepszą kartę całe życie:  
Niech się odmieni albo niech się skończy.*

William Shakespeare  
„Makbet” (1605-1606:

*(...) twardy, na poły obojętny wyraz osoby, która  
spodziewa się wszystkiego z rąk Czasu i Losu,  
poza, być może, sprawiedliwym traktowaniem<sup>4</sup>.*

Thomas Hardy  
„Burmistrz Casterbridge” (1886)

<sup>4</sup> Przełożyła Ewa Kołaczkowska.

*Przypadek, czczą mowa!*

*Co w pozór trafem, niby z ślepych szyków,  
To właśnie tryska z najgłębszych poników.*

Fryderyk Schiller  
„Śmierć Wallensteina” (1798)

1835

*Anglia, Londyn, Oxford Street*

Septimus Quimby przez całe życie mieszkał w Londynie. Przyszedł na świat piętnaście lat przed początkiem nowego stulecia. Ojciec był kartografem i sprzedawcą map, a matka biegle rysowała i malowała. Jeszcze przed narodzinami jedynaka państwo Quimby wykazali się prawdziwą mądrością, przezornością i talentami. Wspólnie stworzyli pięknie zdobiony i niezwykle dokładny plan Londynu, który sprzedawał się jak świeże bułeczki i stał się największą atrakcją ich nowo założonego sklepu z mapami przy Oxford Street 7B. Na szyldzie widniał napis: Quimby & Company (Pracownia kartograficzna i sprzedaż map).

Quimby junior nauczył się rzemiosła od przedsiębiorczych rodziców, a następnie pracował z nimi w rodzinnej firmie. Po ich śmierci przejął i rozwinął przedsiębiorstwo. Musiał przetranszować na pracownie i magazyny także pomieszczenia na piętrze, które dawniej służyły jako prywatne mie-

<sup>1</sup> Przełożył Jerzy Łanowski.

szkanie. Znalazł sobie nowe lokum przy Baker Street, niedaleko Regent's Park, w modnej dzielnicy Marylebone.

Mieszkanie i sklep leżały dość blisko i pan Quimby od lat w południe udawał się do domu na obiad i krótką drzemkę. Zatrudnił dwóch sprawdzonych i zaufanych czeladników, więc śmiało mógł na parę godzin zostawić pracownię i sklep pod ich opieką. Terminowali również u niego dwaj chłopcy. Starszy nie bał się ciężkiej pracy, młodszy ku wielkiemu ubolewaniu pryncypała okazał się patentowanym leniem.

Pan Quimby w południe opuścił sklep, aby pójść do domu. Ruszył Oxford Street w stronę Hyde Parku oraz Tyburn Turnpike, gdzie wiele lat temu stawiano szubienice. Minął kilka przecznic, nim skręcił w Orchard Street, która za Portman Square przechodziła w Baker Street.

Codziennie przemierzał tę samą trasę, nie zwracał więc uwagi na otoczenie, a dziś dodatkowo absorbowały go troski związane z prowadzeniem firmy oraz rozmyślania o jej bieżącej sytuacji. Został nagle wyrwany z zadumy, gdy zderzył się z młodym przechodniem. Od razu przeprosił uniżenie. Gdyby nie był urodzonym Londyńczykiem, poprzestałby na tym i poszedł dalej swoją drogą, ale pan Quimby znał rodzinne miasto jak zły szeląg i sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy pugilares jest na swoim miejscu. Daremnie go szukał. Przypadkowe zderzenie przechodniów okazało się sprytną sztuczką kieszonkowca, który postanowił go okraść.

- *Łapać złodzieja!* - krzyknął rozwścieczony pan Quimby, machając energicznie laską o mosiężnej gałce. Miał nadzieję, że dramatyczne okrzyki ściągną posterunkowego na miejsce przestępstwa. Następnie sam puścił się w pogoń za łotrzykiem, wołając na cały głos: - *Łapać złodzieja!*

Rok 1835 był przełomowy w życiu Malcolma, któremu przedtem w głowie nie powstało, że jego rodzina może kiedyś mieć jakieś inne lokum prócz starego kamiennego domu w niewielkiej posiadłości Whitrose Grange.

O jego rodzinie można by powiedzieć kolokwialnie: ni pies, ni wydra; ani bogaci, ani biedni. Majątek Whitrose Grange nie był ich własnością. Dzierżawili go i musieli zarabiać na swoje utrzymanie, ale żyli dostatnio. Stać ich było nie tylko na zatrudnienie parobków, lecz także dość licznej służby domowej. Posiadłość leżała wprawdzie na uboczu, a w pobliżu nie było żadnych ludzkich siedzib, lecz mimo osamotnienia czuli się szczęśliwi.

Przez szesnaście lat Malcolm żył jak we śnie. Spokojna codzienność przypominała staw, którego gładkiej powierzchni nie mąci najmniejsza fala. Uczył się i dużo czytał. Gdy kończył lekcje, pomagał ojcu, wykonując wszelkie prace, które w tym momencie były najpilniejsze. Dzięki temu oprócz wiedzy teoretycznej i akademickiej zdobywał też wiele praktycznych umiejętności. Nie brakowało mu towarzystwa rówieśników, ponieważ z natury

był samotnikiem i marzycielem obdarzonym bogatą wyobraźnią. Często uciekał w świat fantazji i chętnie przebywał w wymyślonych krainach.

Lektura książek była jego ulubionym zajęciem. Otwierała przed nim niezliczone światy i zapraszała do miejsc dotąd nieznanymi i niewidzianymi. Mapy dawały wyobrażenie zarówno o krainach istniejących, jak i nierzeczywistych. Kładł je na podłodze w swojej sypialni i ustawiał ołowianych żołnierzy. Na jego rozkaz odbywali wojenne wyprawy. Okręciki-zabawki pływały po nieruchomych błotnistych jeziorach lub po srebrzystych falach bystrych strumieni, które chłopak znał jak własną kieszeń. Ze skrawków jedwabiu, listewek i sznurka konstruował latawce. Biegał z nimi po polach aż do zmierzchu, gdy na niebie pojawiały się niezliczone świetliste gwiazdozbiory. Znał na wrywkę nazwy wszystkich gwiazd i konstelacji oraz związane z nimi opowieści.

Pamiętny rok 1835 przysporzył jednak Malcolmowi wiedzy, którą młodzieniec uznał z czasem za najważniejszą życiową lekcję.

Zdarzenia, które tak bardzo odmieniły egzystencję Malcoma, zapoczątkowała wizyta stryja Charlesa, który z całą rodziną zjechał do Whitrose Grange. Do tej pory Malcolm nie miał pojęcia o ich istnieniu, chociaż stryjenka Katherine, żona stryja Charlesa była młodszą siostrą jego ojca. Nie był chłopcem zepsutym i rozpieszczonym, ale przywykł, że dla rodziców jest przysłowiowym oczkiem w głowie. Teraz uświadomił sobie, że leżą im



na sercu również inne sprawy, sięgające lat sprzed narodzin syna. To budziło irytację, ale i ciekawość.

Po kilku dniach zrozumiał, że w ludzkim sercu znajdują się nieprzebrane pokłady miłości, której nie ubywa, choćby się nią darzyło wszystkich naraz i każdego z osobna.

Tamtej pamiętnej nocy wcześniej udał się na spoczynek. Malcolm miał przyjemny sen, w którym powtarzały się codzienne zdarzenia, ale jego spokój został nagle zmacony. Chłopiec na wpół świadomie wsłuchiwał się w stłumione odgłosy. Jacyś ludzie krzyczeli gniewnie. Początkowo miał wrażenie, że coś sobie uroił, a jego myśl błądzi po manowcach. Z wolna pojął, że stłumione okrzyki mają swoje źródło poza krainą snu.

Nagle uświadomił sobie, że słyszy na jawie podenerwowane głosy, które dobiegały z dołu, z gabinetu, nad którym był pokój Malcolma. Ojciec i stryj Charles zamknęli się tam po kolacji, aby wypić po kieliszku porto, i przez cały wieczór nie pokazali się już w salonie.

Zbity z tropu Malcolm odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu pościania. Nadstawił ucha, ciekawy, o czym tak głośno ojciec rozmawia ze stryjem. Omijając skrzypiącą deskę, ostrożnie ukląkł na podłodze. Przytknął ucho do desek podłogi, ale z irytacją stwierdził, że nadal chwyta jedynie oderwane słowa oraz strzępy zdań. Podpełzł wolno do dziury po sęku i spojrział w dół. Na biurku stał niewielki kandelabr. W gabinecie oświetlonym paroma świecami panował półmrok. Wielkie cienie prze-

suwały się po ścianach pokrytych białym chropowatym tynkiem. Patrząc z góry, Malcolm ujrzał ojca i stryja Charlesa. Zdumiał się na widok trzeciej postaci. Jakiś człowiek odziany w czarny płaszcz z wielkim kołnierzem i krótką pelerynką stał do niego tyłem, nie było więc widać jego twarzy. Trzej mężczyźni zamknięci w ciasnym gabinecie przytłumionymi głosami prowadzili ożywioną dyskusję. Najwyraźniej byli do siebie wrogo nastawieni.

Malcolm przypuszczał, że nieznajomy mężczyzna przybył do Withrose Grange późnym wieczorem, gdy większość domowników już spała. Zaniepokojony Malcolm spostrzegł, że ojciec i stryj są czujni, a ich pozy świadczą o nieufności i poczuciu zagrożenia. Podejrzywał, że nie żywią sympatii dla intruza.

Domysły te wkrótce się potwierdziły. Na jego oczach nieznajomy wydobył spod długiego okrycia srebrzyście lśniący sztylet, zatopił ostrze w piersi stryja Charlesa, obrócił je gwałtownym ruchem i natychmiast wysunął z rany. Zdumiony Malcolm miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, łudził się, że zwiódły go cienie tańczące na ścianach mrocznego gabinetu. Pojął, co się dzieje, gdy ujrzał poszarzałą i wykrzywioną grymasem bólu twarz stryja, jego rękę przyciśniętą do piersi, krew sącząca się między palcami i szkarłatną plamę na koszuli z białego batystu.

- O Boże! - jęknął.

Nieznajomy odruchowo spojrział w górę, a mi-

gotliwy blask świecy wydobył z mroku smagłą twarz.

Ojciec chłopca i nocny gość skoczyli ku sobie, walcząc na śmierć i życie. W trakcie szamotaniny kandelabr spadł z biurka, a roztopiony wosk chlusnął na drzwi i podłogę. Od płomieni rozrzuconych świec zajęły się papiery leżące na biurku. Podmuch uniósł je wysoko, a płomień ogarnęły zasłone przy drzwiach balkonowych. Nie bacząc na pożar, mężczyźni walczyli zawzięcie. Osłupiały Malcolm patrzył na nich jak porażony. Nagle opamiętał się i zebrał myśli.

Skoczył ku drzwiom, wypadł z sypialni i popędził korytarzem, waląc w drzwi innych pokoi. Na łeb, na szyję rzucił się ku schodom i zbiegł do sieni. Słyszał dobiegające z tyłu przerażone okrzyki matki i stryjenki Katherine. Wyrwane ze snu natychmiast poczuły dym i popędziły za nim. Przytrzymał się balustrady i zeskoczył na dywan rozpostarty przy schodach. W głowie kołatała mu uporczywa myśl. Do gabinetu! Ratować ojca! Gdy Malcolm stanął na progu gabinetu, wewnątrz zastał prawdziwe piekło. Płomień szalał z trzaskiem i szumem, kłęby czarnego dymu spowijały gorejące sprzęty. Prowadzące do ogrodu drzwi były szeroko otwarte, a wiatr wzmagął siłę niszczycielskiego żywiołu.

- Nie! - krzyknął Malcolm.

Rzuciłby się w płomień, gdyby matka i stryjenka nie przybyły na czas, żeby go powstrzymać.

- Nie! Puśćcie mnie! Puszczajcie! Tata i stryj Charles tam zostali!

Oniemiałe z rozpaczy kobiety nic nie mogły uczynić dla ratowania mężów. Przepalone belki sufitu waliły się z trzaskiem na ogarniętą ogniem podłogę. Tynk pękał i płatami odpadał z kamiennych ścian, stając się nową pożywką dla płomieni. Pożar ogarniał sąsiednie pomieszczenia i zaczął wpełzać na piętro. Służba opuściła w popłochu izdebki na facjacie. Szlochająca stryjenka Katherine wraz z pokojówkami wbiegła po schodach, żeby z sypialni zabrać dwoje śpiących dzieci. Kilkoro służących popędziło za nią, oferując pomoc. Reszta ustawiła się na dziedzińcu, tworząc szpaler od starej kamiennej studni do ganku. Podawali sobie wiadra z wodą.

Malcolm stracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, jak długo chlustał wodą na szalejące płomień. Rwał się do działania, aż matka przytuliła go do piersi. Zwolniła uścisk dopiero, gdy przestał się wrywać. Zrezygnowany przytulił głowę do jej ramienia i rozpłakał się żałośnie. Był w rozpaczy, bo nie zdołał uratować ojca ani ocalić rodzinnego dobytku. Mimo wysiłków panicza i służby dwór płonał, a płomień niszczyły wszystko na swojej drodze. Garstka ludzi walczących gołymi rękami przegrała z rozpasanym żywiołem.

- Odsuń się, syneczku - przekonywała czule matka. - Twój ojciec... byłby z ciebie dumny. Uczyniłeś wszystko, co w twojej mocy, a nawet więcej.

- Powiniennem go uratować! Moim obowiązkiem było za wszelką cenę ocalić tatę i stryja Charlesa!

- Próbowaleś, Malcolmie. Jedynie to się liczy. Ogień został zaproszony przypadkowo. Ten straszny, tragiczny wypadek...

- Nie, mamó! To sprawka tamtego łotra! Wszystko widziałem! Celowo podpalił...

- Milcz, synu, milcz! Jesteś wyczerpany i przybity ogromem nieszczęścia. W głowie ci się miesza. Nie wiesz, co mówisz - przerwała ostro matka. Gdy znów próbował się jej sprzeciwić, zatkała mu usta ręką i nieznacznym mchem głowy nakazała milczenie. Z jej oczu wycierał strach. - Cicho bądź! Rozumiesz? Odejdź na bok i nie stój tu w samej koszuli, bo rozchorujesz się od nocnego chłodu. Stryjenka Katherine z pomocą służby wyniosła trochę naszych ubrań. Musisz się ciepło odziać. Przenocujemy w stodole, a rano postanowimy, co dalej robić.

Malcolma zdumiało osobliwe zachowanie matki i wyraźne żądanie, aby zamilkł. Razem poszli do starej kamiennej stodoły. Jak na ironię, z powodu przenikliwego zimna ocalała z pożaru rodzina i służba musiała rozpalić ognisko na glinianej polepie, żeby się ogrzać. Wszyscy umościli sobie wokół ognia legowiska z siana i nakryli je wyniesionymi z domu kocami. Dla ciepła i nabrania otuchy pokładli się jedno przy drugim. Porażeni stratą ledwie byli w stanie ogarnąć umysłem ogrom nieszczęścia. Mało się odzywali, znużeni

walką z pożarem, który kosztował życie dwu mężczyzn, a resztę rodziny zostawił bez dachu nad głową.

Wstali przed świtem, znużeni i mocno wychłodzeni, ponieważ ognisko zgasło. Płomienie, które przed kilkoma godzinami szalały we dworze, pogasły, bo nad ranem rozpadało się i mżawka zdusiła ogień. Tam, gdzie na zielonym trawniku stał dom, pozostały dymiące, poczerniałe kikuty kamiennych ścian. Nieszczęśni pogorzelnicy musieli przede wszystkim przeszukać gabinet. Malcolm wciąż łudził się, że ojciec jakimś cudem zdołał ująć z życiem i wyniósł z pożaru rannego stryja Charlesa. Wkrótce jednak okazało się, że pokój spłonął doszczętnie. Nie sposób było określić, jaki los spotkał obu mężczyzn. Malcolm uczeplił się tej myśli z uporem i twierdził, że mogli się uratować.

- Ojciec i stryj Charles mieli dość czasu, żeby uciec z płonącego domu - powiedział niepewnie do matki.

- Gdyby istotnie tak było, niewątpliwie tej nocy daliby nam znać, że uszli z życiem, mój synu - przekonywała łagodnie. - Z pewnością uczyniliby wszystko, by oszczędzić nam cierpień, wynikających z przekonania, że zginęli w ogniu.

- A jeśli leżą gdzieś bez przytomności i potrzebują pomocy? Mamo, sędzę, że na wszelki wypadek powinniśmy zarządzić poszukiwania.

- Masz rację, drogie dziecko. Zróbmy to dla spokoju sumienia.

Ekipy poszukiwawcze przetrząsnęły okolicę,

ale nie trafiły na ślad zaginionych, uznano więc, że zginęli w ogniu, a ich ciała spaliły się na popiół. Poszkodowani zebrali się przy osmalonych ruinach dworu. Szybko przemokli, bo z ołowianych chmur padał drobny deszczyk. Przemówiła do nich matka Malcolma.

- Przede wszystkim musimy zadbać o pożywną strawę - oznajmiła rzeczowo. - Potem sprawdzimy, czy cokolwiek da się uratować ze spalonego dworu.

Jakież było ich zdziwienie, gdy przeszukując uważnie dymiące pogorzelisko, stwierdzili, że wiele drobiazgów, a także cała żywność przechowywana w piwnicy nadaje się do użytku. Wrócili do stodoły i rozpalili ognisko, żeby się ogrzać, bo ranek był chłodny. Postanowili również przygotować gorący posiłek. Gdy zaspokoili głód, matka Malcolma oznajmiła zasmuconej służbie, że teraz, gdy pan domu zginął w płomieniach, a z dworu zostały tylko ściany, będą musieli szukać sobie innego miejsca. Nie umiała przewidzieć, co postanowi właściciel, kiedy usłyszy o poważnej stracie. Dodała, że nawet gdyby zdecydował się odbudować dwór, ona nie podejmie się sama, bez pomocy męża zarządzać majątkiem.

- Wiernie nam służyliście. Przez te wszystkie lata zaznaliście od was wiele dobrego. Serdeczne dzięki - powiedziała z prostotą, starając się zapanować nad łzami, które cisnęły jej się do oczu. - Napiszę wam pochlebne referencje. Pomogą znaleźć miejsce w innych domach i majątkach.

- Niech jaśnie panią Bóg błogosławi - odparła ze wzruszeniem jedna z kobiet. - Oby niebiosa miały w opiece młodego pana!

Inni przyłączyli się do tych błogosławieństw. Po śniadaniu matka poleciła synowi zaprząć silne, wytrzymałe konie do wozu, na który załadowano ocalone z pożaru ruchomości oraz kury zamknięte w klatkach. Z tyłu przywiązano dwie mleczone krowy. Stado owiec i kóz musiało zostać na pastwisku, bo Malcolm i jego matka nie mieli czasu, żeby popędzić je na targ.

- Napiszę do pana Camerona, właściciela majątku, i powiadomię go o wydarzeniach ostatniej nocy - powiedziała matka do Malcolma, gdy pomagał najpierw jej, a potem stryjence Katherine wsiąść na wóz. - Niech weźmie nasze zwierzęta tytułem reszty należności za czynsz dzierżawny.

Malcolm zajął miejsce obok matki, chwycił długie lejce i cmoknął na konie. Ruszył krętą drogą, opuszczając Whitrose Grange. Obejrzał się raz jeden, żeby popatrzeć na służbę domową i parobków zbitych w posępną gromadę przy osmalonych ruinach dworu. Wkrótce i oni mieli ruszyć piechotą do najbliższej wioski. Po chwili Malcolm odwrócił głowę, spoglądając prosto przed siebie. Wyjechał na główną drogę, która prowadziła do najbliższego miasta, położonego na północ od majątku i odległego o dziesięć mil. Przez całą drogę mżyło, kiedy więc pogorzelnicy dotarli na miejsce, byli przemoczeni do suchej nitki. Marzyli jedynie o tym, by ogrzać się w ciepłe



kominka, ale matka Malcolmma zarządziła, że najpierw pojedą na targ, żeby sprzedać wóz, kury, dwie mleczne krowy oraz większość ruchomości uratowanych ze spalonego domu. Po spieniężeniu tego wszystkiego zabrali skromny dobytek i ruszyli alejką wśród niezliczonych straganów. U handlarza starzyzną matka kupiła wszystkim ubrania na zmianę, bo większość rzeczy pochłonął ogień. W innym kramie wypatrzyła dwa podniszczone kuferki, do których zapakowali swoje ruchomości.

- Synku, znajdź fiakra. Czas pomyśleć o noclegu - powiedziała.

Wkrótce stali na dziedzińcu oberży „Pod Gęsią i Pstrągiem”. Z góry zapłacili za nocleg i rozlokowali się w niewielkim, ale wygodnym mieszkanku. Było tam ciepło i sucho, bo w kominku w salonie buzował ogień rozpalony przez bystrą pokojówkę.

- Poproś, żeby nam podano gorącą herbatę i obiad. Może być zupa albo gulasz, do tego chleb i ser. To wystarczy - powiedziała matka do pokojówki. Dziewczyna dygnęła i odparła grzecznie:

- Tak, proszę łaskawej pani.

Wkrótce wróciła w towarzystwie innej służącej. Obie niosły drewniane tace z herbatą i zamówionym posiłkiem. Po ich wyjściu cała rodzina z apetytem rzuciła się na jedzenie. Gdy zaspokoili głód, dzieci stryjenki Katherine, zwinięte w kłębek, zasnęły na dywanie przed kominkiem. Malcolm poczuł na sobie badawcze spojrzenie matki.

- Synku, zabroniłam ci mówić przy służących

o tym, co zaszło wczoraj w gabinecie ojca. Teraz jesteśmy sami, możesz więc wszystko opowiedzieć - powiedziała.

Malcolm opisał tajemniczego intruza w czarnym płaszczu, który późnym wieczorem odwiedził ojca i stryja Charlesa, wszczął spór i ranił sztyletem stryja. Wspomniał o walce, fatalnym w skutkach zrzuconiu świecznika i zaproszeniu ognia.

- Ach tak... - odparła matka, marszcząc brwi.

- Co o tym sądzisz, Elizabeth? - spytała zaniepokojona stryjenka Katherine. - Naprawdę uważasz, że Charles i Alexander nie żyją? Czy zginęli z ręki wroga?

- O czym wy mówicie? - wtrącił Malcolm. - Jacy wrogowie? Ktoś zamordował tatę i stryja? Z jakiego powodu?

- To bardzo długa historia, mój synu - odparła spokojnie Elizabeth. - Wkrótce dowiesz się wszystkiego, ale teraz mamy do omówienia pilniejszą sprawę. Musimy postanowić, co dalej. Gdyby nasi wrogowie dowiedzieli się, że nie wszyscy zginęliśmy w płomieniach, co niewątpliwie było ich zamierzeniem, groziłoby nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Ocaleliśmy, bo ledwie ogień został zaproszony, wszcząłeś alarm. Dobrze się stało, że w książce gości tego zajazdu wpisałam panieńskie nazwisko, ale nawet ten wybieg nie jest dla nas dostateczną ochroną.

Malcolm nie krył zdumienia.

- Ale... dlaczego ktoś chciałby naszej śmierci?

- Według tych ludzi żywi stanowimy dla nich

ogromne zagrożenie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć - oznajmiła po raz wtóry Elizabeth. - Błagam, na razie o nic nie pytaj, Malcolmie. A teraz bądź łaskaw zbiec na dół. Zapytaj właściciela zajazdu, o której odjeżdża najbliższy dylżans i dokąd nim dojedziemy. 2 samego rana trzeba opuścić to miejsce. Jesteśmy zbyt blisko Whitrose Grange. Pytaj o miejsca w dylżansie, nie na koźle. Po co narażać nas na dodatkowe niewygody.

Malcolm bił się z myślami, lecz natychmiast wypełnił polecenie matki. Odczuwał ciekawość pomieszana z lękiem. Do niedawna uważał się za syna zwykłych dzierżawców. W głowie mu nie powstało, że jego rodzina może mieć choćby jednego wroga. Teraz okazało się że jest ich wielu! To mu się nie mieściło w głowie. Przysiągł sobie w duchu, że prędzej czy później znajdzie morderców ojca i stryja, a wtedy się na nich zemści!

Po rozmowie z oberżystą wrócił na górę, żeby zdać sprawę matce, która wyjęła z woreczka kilka funtów. Wręczyła je synowi i poleciła raz jeszcze zbiec do głównej sali po bilety dla całej rodziny. Malcolm podejrzewał, że wyprawiła go z pokoju, bo chciała porozmawiać ze stryjenką w cztery oczy.

Kiedy wrócił, siedziała przy biurku, pisząc list. Stryjenka Katherine poszła do sypialni, żeby się zdrzemnąć. Zabrała młodszą pociechę. Starsze dziecko spało smacznie na dywaniku przed kominkiem.

- Do kogo piszesz, mamó? - spytał Malcolm, wręczając jej bilety na dyliżans.

- To list do londyńskiego prawnika. Nazywa się Nigel Gilchrist.

- Nie wiedziałem, że masz własnego jurystę.

- O wielu sprawach nie miałeś dotąd pojęcia, synku. Usiądź, opowiem ci to i owo. Zapewne domyślasz się, że stryjenka Katherine i ja zastanawiałyśmy się, co dalej robić, i podjęłyśmy ważne decyzje. Pojedziemy razem do Newcastle-upon-Tyne. Tam się rozdzielimy. Stryjenka z dziećmi uda się do domu, a my mszemy w dalszą podróż do Londynu. Zapewne nie pamiętasz moich rodziców, twoich dziadków. Oboje pomarli, kiedy byłeś małym chłopcem. Bardzo nas kochali i dlatego postanowili zabezpieczyć nam byt na wypadek, gdyby twemu ojcu przydarzyła się zła przygoda. Inwestowali roztropnie i z czasem ustanowili dla mnie fundusz powierniczy. Nasze dochody będą skromne, lecz jeśli nie będziemy szastać pieniędzmi, wystarczy na dostatnie życie. Będzie to dla nas tym łatwiejsze, że rodzice zostawili mi w spadku nieruchomość: mały dom na południowo-wschodnim przedmieściu Londynu. W tym liście powiadomiłam pana Gilchrista, który od lat zajmuje się moimi finansami, że chcę jak najszybciej wprowadzić się do Hawthorn Cottage. Tak się nazywa ten dom. Poleciłam również panu Gilchristowi, aby powiadomił dzierżawców, że powinni natychmiast poszukać sobie nowego lokum. Musisz raz jeszcze zbiec na dół i nadać ten list.

Malcolm poczekał, aż matka się podpisze. Złożyła starannie list, zapieczętowała i wręczyła synowi wraz ze srebrną czteropensówką. Tyle wynosiła opłata pocztowa za zwykłą przesyłkę do Londynu.

- Rozmawiałam z tobą o finansach, żebyś nie obawiał się o nasz los teraz, gdy... - Urwała, niezdolna wyrzucić słowa. Do oczu napłynęły jej łzy. Długo milczała, próbując zapanować nad uczuciami. W końcu dokończyła zdanie: - Teraz gdy nie ma już z nami twojego ojca.

- Kto wie, czy nie przeżył? - odparł cicho Malcolm.

- Wątpię. Moim zdaniem, obaj ze stryjem nie żyją. Gdyby ocaleli, na pewno przekazaliby nam jakąś wiadomość, tymczasem ani ostatniej nocy, ani dziś rano nie dali znaku życia. Trudno mi również uwierzyć, że uciekli z płonącego domu, lecz opadli z sił i nie byli w stanie wezwać pomocy. Zarządziliśmy poszukiwania, przetrząsnęliśmy okolicę i nic. Ani śladu. Musimy być dzielni i dawać sobie radę bez nich. Nasi ukochani z pewnością tego by od nas oczekiwali.

Malcolm doceniał mądrość matki, ale buntował się przeciwko jej słowom, bo nie chciał uwierzyć, że ojciec naprawdę umarł, że nie ma go na świecie, że w tym życiu nigdy więcej się nie zobaczą. Do wieczora nie zaznał spokoju. Zjadł kolację i ułożył sobie niezbyt wygodne legowisko na kanapie w salonie. Zza zamkniętych drzwi sypialni dobiegały przyciszone głosy matki i stryjenki Katherine, a także ciche łkania jednej z nich... A może obu?

Malcolm był w rozpacz, nie umiał ich pocieszyć. W końcu zmorzył go sen, który, podobnie jak wczoraj, nie przyniósł wypoczynku.

Tego ranka mieli opuścić zajazd „Pod Gęsią i Pstrągiem”. Ich nieliczne rzeczy zostały szybko spakowane do obu kuferków. Na wierzchu pozostała jedynie kunsztownie rzeźbiona srebrna szkatułka o grubych ściankach i mocnym zamku, która służyła ojcu Malcolmowi jako miniaturowa kasetka. Stryjenka Katherine wyniosła ją z płonącego domu, a Elizabeth przechowywała tam pieniądze ze sprzedaży wozu, inwentarza i ruchomości. Rodzina zjadła śniadanie w głównej sali gospody, a potem wszyscy razem poszli ku rzędowni dyliżansów. Jeden z nich miał zabrać ich w dalszą drogę.

Po pewnym czasie dotarli do gospody „Pod Białym Jeleniem”, gdzie przesiedli się do innego dyliżansu. Wkrótce stanęli w Newcastle-upon-Tyne. Tam nastąpiło bolesne pożegnanie ze stryjenką Katherine i dziećmi. Malcolm i jego matka długo patrzyli z okien kolejnego wehikułu na smutne twarze i postaci tamtych trojga. Pozostali na dziedzińcu oberży, skąd mieli ruszyć do swego domu. Malcolm wraz z matką dotarł głównym północnym gościńcem do Londynu. Kiedy dyliżans zajechał na dłuższy popas do przydrożnej gospody, gdzie woźnica zmienił konie, a pasażerowie mogli się wreszcie posilić, Malcolm z matką siadł do kolacji. Gdy jedli, wspomniała mimochodem, że w ich obecnej sytuacji nie od rzeczy byłoby przyjąć inne nazwisko.

- Ależ, mam... czemu? - spytał zaniepokojony. Te wątpliwości nie odebrały mu apetytu. Chętnie pałaszował gulasz, przegryzając grubymi pajdami posmarowanego masłem ciemnego chleba. - Po przeprowadzce będziemy tak daleko od domu, że spokojnie możemy je zachować. W Londynie nikt nas nie rozpozna. Będziemy tam obcy. Przecież to ogromne miasto. Wrogowie nas nie wytropią, choćby poszli naszym śladem.

- Nie byłabym taka pewna. Jedno wiem: nie wolno ich lekceważyć, synku - odparła z powagą Elizabeth, rozglądając się niespokojnie po sali. - Twój ojciec i stryj za mało uważali i zdradzili się nieopatrznie... Bardzo proszę, żadnych pytań, Malcolmie. To nie czas i miejsce na takie rozmowy. Wrogowie prześladują nas od dawna. Wszędzie mogą mieć szpiegów. Powinieneś zawsze o tym pamiętać. Na razie wystarczy, że jesteś świadomy ogromu zagrożenia, któremu musimy stawić czoło. A teraz zastanówmy się, jakie przybrać nazwisko.

Na starannie przyciętym i pomalowanym szyldzie obok nazwy widniało nazwisko właściciela: Blackfriars.

Matce i synowi spodobał się wyraz, którym przed wiekami określano dominikanów. Od tamtego wieczoru przedstawiali się jako Elizabeth i Malcolm Blackfriars.

Wkrótce znów wsiedli do dylizansu. Gdy dotarli do Londynu, Malcolma poraził wielkomięjski gwar, tłok i smród. Ta moc wrażeń sprawiła, że

ogarnął go lęk. Przywykł do życia wśród zieleni, z dala od ludzi. Gdy na dobre osiadł z matką w nowym domu zwanym Hawthorn Cottage przy Cochrane Street w dzielnicy St. John's Wood, odkrył, że północno-zachodnie przedmieście Londynu położone od południa u stóp Primrose Hill znajduje się na skraju ogromnego Regent's Parku, który przywodził na myśl uroki wiejskich okolic.

Majątność St. John's Wood należała przed wiekami do Wilhelma Zdobywcy, ale z czasem została darowana założonemu w Jerozolimie rycerskiemu zakonowi joannitów. Od nich wzięła swoją nazwę. Po reformacji przechodziła z rąk do rąk, wielokrotnie zmieniając właścicieli, aż w końcu podzielono ją na dwie części. Jedną posiadłość nazwaną Eyre Estate w roku 1732 earl Chesterfield sprzedał panu Henry'emu Samuelowi Eyre'owi. W średniowieczu rósł tam stary las. Już w czasach Zjednoczonego Królestwa las wycięto, a jego miejsce zajęły pola i sady. Następnie do St. John's Wood przedłużono Regent Canal, który przeciął obszary sąsiadujące z zachodnim skrajem Regent's Parku oraz środkową część przedmieścia. Mimo tych zmian okolice pozostały ciche i spokojne. Z tego powodu malarzom, literatom, filozofom i naukowcom żyło się tutaj jak w raju. Krażyły plotki, które wnet dotarły też do Malcolma, że w kilku nadzwyczaj pięknych i okazałych dworach zamieszkały metresy panów z arystokracji oraz ich nieślubne dzieci. W północnym kwartale St. John's Wood była też niewielka dzielnica żydowska.



Hawthorn Cottage okazał się znacznie mniejszy od dworu w Withrose Grange, lecz miał wiele zalet, które, zdaniem Malcolma, dodawały mu uroku. Niewielka posiadłość miała kształt prostokąta. Przed domem i na jego tyłach rozciągały się ogrody, skromne i bezpretensjonalne, a jednak nadzwyczaj przyjemne. Krzewił się tam bujnie głóg, rosły na wpół zdziczałe jabłonie, dereń, smukłe wiązy oraz jarzębiny, giętkie leszczyny i wierzby. Pod wiekowymi drzewami pieniały się jeżyny, wilcza jagoda i dzika róża, kapryśny kolcolist oraz pnącza. Łany kwiecista we wszystkich kolorach tęczy nasyciły powietrze cudowną wońią. Kocimiętka, karłowate osty i kozibród łąkowy pieniały się obok turzycy, paproci i mięty. Jaskry chwiały się na wietrze obok kurzyślada, bluszcz i kapryfolium, posadzone wzdłuż niewielkiego trawnika, pięły się po ceglanej ścianie pokrytej tynkiem. Po bokach ciągnęła się łąka porośnięta bujną koniczyną i kępami rumianku.

W jednym z narożników ogrodu na tyłach domu stał posąg w stylu antycznym, przedstawiający dziewczynę lejącą wodę do sadzawki u jej stóp. Z czasem Malcolm przywykł spędzać tu długie godziny.

Teraz, gdy szedł za matką po Edgware Road, obiecał sobie, że po powrocie z targu raz jeszcze poprosi, żeby mu wyjawiała rodzinne sekrety. Powziąwszy decyzję, przestał sobie zaprzętać głowę tą sprawą i postanowił cieszyć się urokami kolejnego dnia, co wcale nie było takie trudne, bo

codzienny ruch i gwar na Edgware Road oraz zakupy z matką nadal stanowiły dla Malcolma nowe i ciekawe doświadczenie.

Po przyjeździe do Londynu pani Blackfriars przyjęła kucharkę i pokojówkę, lecz nadal sama chodziła na targ po zakupy, bo niedowierzała handlarzom i służącym. Żyła z ołówkiem w ręku, lękając się, że oboje z Malcolmem zostaną bez środków do życia.

- Możemy dysponować wyłącznie dochodami z funduszu powierniczego, który ustanowili moi rodzice - przypomniała synowi, gdy zaintrygowany wypytywał, czemu nie pośle na targ kucharki.

- Hawthorn Cottage jest naszą własnością. Nie musimy płacić czynszu, ale są jeszcze podatki i pensje służby, a to sporo kosztuje. Nie jesteśmy biedakami, Malcolmie, ale trudno nas uznać za bogaczy. Musimy liczyć się z każdym groszem, żebyśmy nie skończyli jak wielu londyńskich nieszczęśników.

- Nasza sytuacja wprawdzie nie wygląda najgorzej, ale i tak muszę poszukać sobie jakiegoś zajęcia. W Whitrose Grange często pomagałem tacie.

Ten pomysł nie spodobał się Elizabeth. Uznała, że syn jest zbyt młody, by zarabiać. Nim podejmie pracę, musi się wiele nauczyć o życiu i świecie.

- To całkiem inna sprawa - odparła. - Ojciec był tam dzierżawcą i wszyscy mu pomagaliśmy.

- Jak sama powiedziałaś, tata nie żyje, a dwór spłonął, trzeba więc pogodzić się z tym, że dawne życie to zamknięty rozdział, i przeboleć stratę. Nie

mogę stać się próżniakiem i beczynn timerze przesiadywać w ogrodzie. Mam szesnaście lat, mam. Najwyższa pora nauczyć się zawodu, żeby zabezpieczyć sobie przyszłość - oznajmił rezolutnie.

Elizabeth wbrew sobie musiała przyznać, że syn ma rację, i powiedziała to na głos, ale nie miała pojęcia, co należy uczynić, by oddać chłopca do terminu.

- Mam pomysł. Napisz do pana Gilchrista. Niech nam udzieli światłej rady - zaproponował Malcolm.

Matka skwitowała jego słowa przeciągłym westchnieniem.

- Rzecz w tym, drogie dziecko, że odkąd zabrakło twego ojca, myśl o rychłym rozstaniu z tobą jest dla mnie nie do zniesienia - wyznała, a Malcolmowi natychmiast zrobiło się wstyd, że nie wziął tego pod uwagę. - Ale podoba mi się twój pomysł. Rzeczywiście powinnam napisać do pana Gilchrista. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Sprawdzimy, czy będzie nas stać na wynajęcie guwernerki, a za jakiś czas wrócimy do rozmowy o nauce zawodu.

Malcolm był wprawdzie rozczarowany, ponieważ nie uzyskał zadawalającej odpowiedzi na temat swojej przyszłości, ale postanowił, że nie będzie się tym zbytnio przejmować. Matka, jakby tytułem zadośćuczynienia, obiecała, że po zrobieniu zakupów opuszczą wreszcie St. John's Wood i *wybiorą się na wycieczkę po Londynie. Najpierw* odwiedzili sklep z mapami na Oxford Street i kupi-

li plan miasta. Postanowili iść Edgware Road aż do Tyburn Turnpike obok Cumberland Gate oraz północnego narożnika Hyde Parku, a stamtąd Oxford Street dotrzeć do Regent Street i przez Regent Park wrócić do St. John's Wood, bo dzielnica ta sąsiadowała z jego południowo-zachodnim skrajem.

Podczas spaceru Malcolm chłonał widoki. Podziwiał kamienice wysokie na kilka pięter i zwieńczone spiczastymi dachami z mnóstwem kominów, z których szedł w niebo ciemny dym. Za sprawą owego zadymienia Londyn często ginał we mgle, powietrze miało zapach palonego węgla, a ściany domów pociemniały od sadzy. Ozdobne latarnie uliczne wcześniej opalano naftą, lecz od pewnego czasu lampy stopniowo wymieniano na gazowe. Na chodnikach roiło się od przechodniów. Ulicami o nawierzchni brukowanej lub nieutwardzonej z tętentem i turkotem sunęli jeźdźcy i wehikuły ciągnięte przez konie. Kiedy dotarli na Tyburn Turnpike, przystanęli na chwilę, żeby popatrzeć na strażnika, który przy rogatce pobierał opłatę za przejazd, a następnie przepuszczał furgony i powozy. Kto ją minął, mógł się udać do północnego Londynu, południowej części Islington albo w stronę Great North Road. Tutaj kończyła się Edgware Road. Malcolm i jego matka poszli dalej Oxford Street. Przechodząc obok północno-wschodniego narożnika Hyde Parku, ujrzeni mężczyznę przemawiającego do niewielkiej grupki słuchaczy. Minęli Portman Barracks, potem

Orchard Street i byli niedaleko Duke Street, gdy usłyszeli rozpaczliwy krzyk: „Łapać złodzieja! Łapać złodzieja!“. Malcolm spostrzegł młodego obdartusa pędzącego co sił w nogach ku Oxford Street. Za nim o wiele wolniej biegł dostatnio ubrany, siwowłosy mężczyzna o prezencji dżentelmena.

Ten pan z pewnością został okradziony, pomyślał Malcolm. Z oddali dobiegł przenikliwy odgłos policyjnego gwizdka. Dwaj posterunkowi ścigali złodziejaszka, ale było jasne, że ani im, ani poszkodowanemu nie uda *się go* schwytać. Malcolm bez namysłu puścił się biegiem, nie bacząc na wołanie matki, która daremnie nakazywała mu, żeby natychmiast do niej wrócił. Widział z daleka, że niechłujnie odziany urwis skręcił w Duke Street i biegnie ku Manchester Square, ruszył więc jego śladem, niebezpiecznie klucząc wśród koni i pojazdów. Malcolm z każdym krokiem odrabiał dystans i zbliżał się do znacznie powolniejszego złodziejaszka.

- Mam cię! - zawołał, rzucając się na kieszonkowca, który upadł na chodnik.

Oberwaniec próbował się wyrwać i doszło do bójki. Przerwali ją dopiero policjanci. Wkrótce dotarł na plac zdyszany, lekko kulejący elegancki jegomość, którego przed chwilą okradziono. Świadomi swych obowiązków posterunkowi natychmiast rozdzielili walczących.

- Łaskawy panie - policjant zwrócił się z uszanowaniem do siwowłosego dżentelmena - zechce nam pan uprzejmie wyjaśnić, jakiego przestępstwa

dopuszcili się ci dwaj oberwańcy, zmuszając pana do pogoni.

- Ależ panie władzo, ścigałem tylko jednego!  
- Pan Quimby szpicem laski wskazał młodocianego kieszonkowca, który go okradł. - Ten obwieś w biały dzień wyciągnął mi portfel.

- Ty złodziejskie nasienie! - uniósł się gniewem posterunkowy, sprawnie przeszukując chłopakowi kieszenie. Gdy znalazł skradziony portfel, triumfalnie pomachał mu nim przed nosem. - Złapaliśmy cię na gorącym uczynku! Co masz na swoją obronę, mądralo?

- Nic! - niegrzecznie burknął ulicznik, daremnie próbując, wyrwać się posterunkowemu. - Do diabła! Jak mnie czeka odsiadka, to niech i tamtego też zapuszczują. Badger twierdził, że frajer jest nadziany, a robota dziecinnie łatwa. Od niego wiedziałem, że w południe gość wychodzi na Oxford Street. Mieliliśmy podzielić się trefną forszą pół na pół.

- Więcej szacunku dla siwych włosów, prostaku! - oburzył się posterunkowy. - Co to za Badger? - zapytał.

- O nieba! - wykrzyknął okradziony dżentelmen. - Zapewne chodzi o ucznia, którego przyjąłem do terminu. Nazywa się Dick Badgeron. Nicpoń i leń! Od pewnego czasu podejrzewałem, że drobne kradzieże w moim sklepie to jego sprawka.

- W takim razie i jego aresztujemy, skoro to współnik tego nicponia - zapewnił posterunkowy.

- A ten drugi ptaszek, łaskawy panie? Co przeskrobał?

- Panie władzo, nic zgoła! Wręcz przeciwnie! Rzucił się w pogoń za rabusiem, pochwycił go, a przy okazji sprawił, że odzyskałem mój portfel. Mowy nie ma, aby został aresztowany. Gdyby nie on, straciłbym dzisiaj dobrych kilka funtów - odparł zdecydowanie straszy pan. - Proszę go puścić. Wykazał się ogromną odwagą i przytomnością umysłu. Sam go nagrodzę. Jak się nazywasz, mój chłopcze?

- Malcolm. Malcolm... Blackfriars.

- A zatem, drogi Malcolmie, jeśli znam się na ludziach, a pochlebiam sobie, że tak jest w istocie, chociaż moje dobre serce sprawia, że często bywam nazbyt pobłażliwy i łatwo mnie omamić... Ale co to ja chciałem powiedzieć? Aha! Wyglądasz mi na młodzieńca uczciwego, bystrego i pracowitego. Rad jestem, żeśmy się poznali.

W tym momencie na Manchester Square wpadła matka Malcolma. Urodziwa twarz wyrażała niepokój i wzburzenie. Pani Blackfriars zlekła się, widząc ubranie syna w nieładzie, włosy potargane, krew ciekącą z nosa i dłoń policjanta zaciśniętą na kołnierzu.

- Dziecko drogie, co z tobą? Cóżżeś ty uczynił?  
- zawołała przerażona.

- Nie ma powodu do obaw, łaskawa pani - zapewnił uprzejmie siwowłosy dżentelmen, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. Zdjął cylinder i skłonił się nisko. - Pozwoli pani, że się przed-

stawię. Jestem Septimus Quimby, kartograf i właściciel sklepu z mapami. - Wyjął z kieszeni surduta wizytówkę i wręczył damie. - Zapewne mam zaszczyt poznać rodzicielkę młodego pana Blackfriarsa... a może raczej jego siostrę? Trudno uwierzyć, że łaskawa pani jest matką niemal dorosłego syna.

- Pan mi pochlebia, ale wdzięczna jestem za komplementy, choć są one nieco przesadne. Istotnie jestem matką Malcolma.

- Ależ skąd, łaskawa pani! - zapewnił skwapliwie pan Quimby. - Gdy pani nadbiegła, posterunkowy właśnie miał go puścić. Malcolm dogonił złodziejaską, który ukradł mi portfel.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się policjant, który pospiesznie dokończył przesłuchanie młodocianego przestępcy i oznajmił, że wszyscy muszą niezwłocznie udać się do pracowni i sklepu pana Quimby'ego w celu pojmania kutego na cztery nogi ucznia nazwiskiem Dick „Badger” Badgerton. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że niewdzięczny spryciarz umknie, kiedy dowie się o schwytaniu współnika.

Niewielka grupka, odprowadzana ciekawskimi spojrzeciami przechodniów, ruszyła Duke Street w stronę Oxford Street. Wkrótce zatrzymali się przed budynkiem numer 7B, gdzie pan Quimby miał sklep z mapami. Dick „Badger” Badgerton został przepisowo aresztowany. Malcolm, jego matka i pan Quimby obiecali złożyć zeznania.



- Ludzie słusznie mówią, że nieszczęścia chodzą parami - żalił się ten ostatni, patrząc na swego ucznia i jego kompana, ciągniętych siłą do więzienia. - Nie dość, że musiałem obejść się bez obiadu, to jeszcze na domiar złego straciłem pracownika. Jeden z czeladników właśnie odchodzi. Zamierza otworzyć własne przedsiębiorstwo. - Zwrócił się do drugiego ucznia i dodał: - Henry, bądź tak dobry, biegnij do mego mieszkania na Baker Street i zawiadom panią Merritt, co się stało. Powiedz, że nie zdołam dzisiaj przyjść na obiad. - Spojrzał na panią Blackfriars. - Łaskawa pani, jestem niezmiernie wdzięczny Malcolmowi, a zarazem szczerze ubolewam, że z mojego powodu została pani wmieszana w tę nieprzyjemną aferę. Proszę więc, aby tytułem rekompensaty zechciała szanowna pani wraz z synem przyjąć zaproszenie na skromny posiłek u Verreya. Zapewniam, że to bardzo przyzwoita kateria. Mieści się tuż za rogiem, na skrzyżowaniu Regent i Hanover Street. Mam ogromną nadzieję, że zechce pani przyjąć moje zaproszenie.

- Zgódź się, mamó - poprosił Malcolm, podejrzewając, że rodzicielka odmówi. - Pamiętasz? Byliśmy w sklepie pana Quimby'ego! Kupiliśmy plan Londynu. Pomyśl tylko, ile ciekawostek może nam opowiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie poczuje się pan dotknięty, lecz chociaż bardzo sobie cenię pańskie łaskawe zaproszenie, nie przywykłam jednak przebywać w towarzystwie mało znanych mi osób

- odparła pani Blackfriars grzecznie, ale stanowczo.

- Sądzę jednak, że w tym wypadku może pani uczynić wyjątek. Pozwolę sobie na śmiałość i wyznam, że przysłała mi do głowy pewna myśl. Chodzi o syna łaskawej pani. Ile masz lat, Malcolmie?

- Szesnaście.

- Hm... Zwykle przyjmuję do terminu czternastolatków, ale tak się składa, że nie mam wyboru, bo natychmiast muszę zatrudnić dwu pracowników, a ty, młodzieńcze, wydajesz się idealnym kandydatem. Jeśli twoja zacna mateczka zechce wyrazić zgodę, mógłbyś otrzymać jedną z wakujących posad. Co o tym sądzisz?

- Wspaniale, proszę pana - odparł zadowolony Malcolm, nim pani Blackfriars zdążyła zaprotestować.

Po chwili namysłu uznała jednak, że trzeba wziąć pod uwagę zamiłowanie syna do książek i map oraz niechęć do próżniactwa i marnotrawienia czasu na jałowym przesiadywaniu w ogrodach Hawthorn Cottage. Ujęły ją nienagane maniere pana Quimby'ego, a jego sklep z mapami zrobił na niej bardzo dobre wrażenie. Wziawszy to wszystko pod uwagę, zgodziła się, aby poszli do kafeterii Verreya i podczas obiadu rozważyli kwestię przyjęcia Malcolma do terminu. Ustalono, że Malcolm zacznie pracę od poniedziałku i zostanie u pana Quimby'ego przez siedem lat. Co tydzień miał otrzymywać wypłatę, która wyda-

ła mu się nadzwyczaj wysoka. Jednym z powodów takiej hojności pana Quimby'ego było stanowcze życzenie pani Blackfriars, żeby chłopiec, zamiast przenieść się do chlebodawcy, nadal mieszkał i stołował się w Hawthorn Cottage. Pan Quimby chętnie przystał na takie rozwiązanie, a w nagrodę za odzyskanie portfela zwolnił go również ze zwyczajowej opłaty wnoszonej mistrzowi za przyjęcie do terminu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Senne koszmary

*El sueño de la razón produce monstruos.  
(Gdy rozum śpi, budzą się upiory.)*

Francisco Jose de Goya y Lucientes  
„Los Caprichos" („Kaprysy") (1799)  
grafika 43

*Zdrowy żołądek to konserwatysta.  
Mało radykałów trawijak należy.*

Samuel Butler  
„Notebook" (1912)

*Tajemnice są jak skrzynki z ostrymi nożami,  
Nie należy ich omawiać z dziećmi i głupcami.*

John Dryden  
„Sir Martin Mar-all"

1848

*Francja, Paryż, rezydencja hrabiego i hrabiny de Levesque*

Niania znowu się zdrzemnęła. Często tak bywało. Zestarzała się i ogłuchła. Była przy rodzinie tyle lat, że nikomu w głowie nie powstało, żeby ją oddalić i posłać na emeryturę. I bardzo dobrze, pomyślała z tajemniczym uśmiechem zadowolona Ariana. Gdyby miała młodszą nianię, która nie musiałaby drzemać w ciągu dnia, byłoby nie do pomyślenia, żeby udało jej się uciec z dziecinnego pokoju. A tak bez trudu przemknęła do sąsiadującego z jej sypialnią pomieszczenia, w którym odbywały się lekcje. Było tam chłodno i ciemnowo. Przez szpary w zamkniętych drewnianych okiennicach wpadały smugi bladego, zamglonego słońca.

Przed chwilą Ariana usłyszała skrzypnięcie tylnych drzwi wiodących z kuchni do warzywnika i herbarium. Potem trzasnęły głośno. Zaciekawiona przysunęła do okna drewniany stołek, wdrapała się na niego, przesunęła rygielek okiennicy i uchyliła jedno skrzydło.

- Dokąd idziesz, Collie? - zawołała do maszerującego przez ogród chłopca.

- Na ryby. Przecież widzisz, że niosę wędki. Po co bym je brał?

- Mogę iść z tobą?

- Wydaje mi się, że powinnaś uciąć sobie drzemkę, Ano.

- Nie jestem senna, a poza tym mam pięć lat. Mam dość siedzenia w domu.

- Gdzie niania? Co ona na to?

- Nic. Jak zwykle przysnęła, biedulka.

- No dobra - odparł Collie po długim namyśle.

- Chyba nic się nie stanie, jak trochę ze mną połowisz. Pamiętaj: żadnej paplaniny ani w drodze nad jezioro, ani tym bardziej na wodzie, bo mi wszystkie ryby przepłoszysz. Obiecujesz być cicho? Jeśli tak, weź płaszczyk, kapelusz i rękawiczki. Poczekam na ciebie przy furtce.

Zadowolona Ariana natychmiast zamknęła okiennicę, zeskoczyła ze stołka i pobiegła do sypialni. Chwyciła ciepłe rzeczy, cichutko zbiegła po schodach i zaczęła się przy drzwiach kuchni. Wstrzymała oddech, czekając, aż kucharka i Tessie odwrócą się plecami. Wtedy przekradła się do tylnych drzwi i wymknęła na zewnątrz. Gdy była w ogrodzie, przecięła dziedziniec i zwirowaną aleją pomknęła do furtki. Z daleka zobaczyła Colliego.

- Nie oczekuj, że zawsze będę zabierał cię na ryby, mała - oznajmił, jak tylko do niego podeszła, tonem stanowczym, ale przyjaznym. - Nie zamierzam bawić się w twoją niańkę. Mam ciekawsze zajęcia.

- Wiem, Collie. Nie sprawię kłopotu. Będę cicho jak myszka. Przysięgam.

- Trzymaj język za zębami, smarkulo, i nie składaj pochopnych obietnic - skarcił ją, cmokając z niezadowolaniem. - Dziwna z ciebie dziewczyn-

ka... i psotna jak leśny skrzat. Wszędzie cię pełno. Tylko patrzysz, gdzie by coś zbroić.

- No tak - przyznała zawstydzona.

- Na szczęście przewidziałem, że tak się to skończy, i zostawiłem wiadomość, że idziemy łowić ryby.

- Ojej! Ja... nie pomyślałam o tym.

- Racja. Przewidziałem, że tak się zachowasz. Jesteś dociekliwa, wesoła i nadzwyczaj bystra. Przywykłaś do innego otoczenia, nic więc dziwnego, że trochę się tu nudzisz. Proszę bardzo, poniesiesz wiaderko z przynętą. Pospiesz się! Chciałbym wrócić do domu przed zmierzchem.

Ariana zrobiła, co kazał jej Collie. Ruszyła za nim ścieżką przez las, porastający zbocze pagórka. W dole leżało wielkie jezioro przesłonięte, jak to zwykle bywa w górskich regionach północnej Szkocji, srebrzystym welonem mgły. Tak nazywali ją miejscowi, choć w rzeczywistości była to raczej drobniutka mżawka. W powietrzu unosił się zapach żyznej ziemi i butwiejących liści. Tu i ówdzie mali wędrowcy spotykali na swej drodze lekkie opary, szybujące wśród drzew na podobieństwo pokutujących za grzechy dusz. Rozśpiewane ptaki nawoływały się, przysiadając na gałęziach drzew ubranych w jesienny szkarłat i złoto. Płowe sarny i górskie kozice w podskokach przebiegały gęste zagajniki. Rude wiewiórki o puszystych ogonach z piśkiem uwijały się w zaroślach, szukając orzechów i owoców jarzębiny, żeby przygotować

zapasy na zimę. Ariana wypatrzyła nawet znikającego w norze lisa. Bładą, przymgloną tarczę słońca raz po raz przesłaniały szare, skłębione chmury, a wtedy półmrok ogarniał leśne ostępy.

Ariana cieszyła się, że przemierza bór z Colliem. Bardzo lubiła swego przewodnika, ale rzadko go widywała. Dzisiejsza wyprawa na ryby wydawała się znakomitą okazją, żeby czegoś więcej się o nim dowiedzieć, ale dziewczynka pamiętała o obietnicy.

Szła w milczeniu, energicznie machając wiaderkiem. Znalazionym przy ścieżce patykiem od czasu do czasu rozrzucała kolorowe liście w najrozmaitszych odcieniach żółci i czerwieni, które grubą warstwą przykryły gliniastą ziemię.

Las zaczął rzednieć. Wyszli na porośniętą trawą kamieniste zbocze, które opadało łagodnie ku brzegowi jeziora Loch Ness. Wiło się przed nimi jak gigantyczny wąż, żłobiąc sobie drogę przez Great Glen, z pozoru bezkresną rozpadlinę powstałą między skalnymi ścianami, wzgórzami i górskimi masywami, które wznosiły się wysoko, dzieląc wyżynną okolicę na dwie części i stając się więzieniem dla wody.

Ariana wraz z Colliem ostrożnie zesła zygzakami na kamienistą plażę. Dopiero teraz pojęła, jaki to bezmiar wód. Jezioro nie było szerokie. Gdy zasłona mgły, wisząca nisko nad ciemną powierzchnią, uniosła się na moment, Ariana ujrzała drugi brzeg, lecz daremnie spoglądała na boki, szukając wzrokiem początku i końca. Wzdrygnęła się, bo



przypomniała sobie o potworze, który rzekomo krył się w ciemnej głębinie.

- Zmarzłaś, Ano? - zapytał Collie. Był nad wiek spostrzegawczy. Nie umknął mu żaden drobny szczegół. Była to cecha właściwa mieszkańcom wyżynnych okolic Szkocji.

- Nie zmarzłam, tylko się wystraszyłam. Podobno w jeziorze mieszka potwór.

- Może i tak, ale ja go nie widziałem. Jeśli obleciał cię strach, zaczekaj na brzegu. Sam wypłynę na połów.

- Nie, wolę płynąć z tobą.

- Dzielna z ciebie dziewczynka - przyznał, sprawiając jej wielką radość.

Niewielka łódź rybacka, wyciągnięta na kamienistą plażę, nazywała się „Czarodziejka”. Collie wziął Arianą na ręce i posadził bezpiecznie na ławce, a obok ułożył wędki i postawił wiaderko z przynętą. Zepchnął łódź na płytką wodę przy brzegu i wskoczył do środka. Chwycił leżące na dnie wiosła, umieścił je w dulkach i długimi, mocnymi pociągnięciami skierował „Czarodziejkę” na środek jeziora. Mniej więcej trzy czwarte mili od brzegu miał ulubione łowisko. Dotarli tam w pół godziny. Collie wciągnął wiosła, pozwalając łódce swobodnie dryfować, a potem zarzucił wędkę.

- Jak myślisz? Co złowimy? - szepnęła Ariana.

- Tu, na głębokiej wodzie, o tej porze roku jest dużo łososi, bo przypływają na tarło. Jeśli nam dopisze szczęście i ryby będą brały, powinniśmy

złowić kilka dorodnych sztuk. Trafia się i szczupak, ale rzadko. To największa ryba w Loch Ness, jeśli nie liczyć gada, o którym mówiłaś. Ja tam go nigdy nie widziałem. Już o tym rozmawialiśmy. Może to bajeczka wymyślona przez szkockie niańki, żeby straszyć niegrzeczne dzieciaki? Kilka razy udało mi się złapać węgorza. Połów zależy od tego, jakie są brania. Z rybami nigdy nie wiadomo.

- Pływałaś tu?

- Nie. Woda jest lodowata. Poza tym fale podmywają nadbrzeżne torfowiska i dlatego toń jest taka ciemna. Na parę stóp pod powierzchnią nic nie widać.

- Aha.

Ariana umilkła. Siedziała bez ruchu na ławeczce, obejmując ramionami kolana. Póki szli, nie czuła zimna, ale teraz mimo że miała na sobie długi wełniany płaszcz, kapelusz i rękawiczki, jesienny chłód dawał jej się we znaki. Wiatr, przedtem ledwie wyczuwalny, dał teraz mocniej. Rozproszył unoszącą się nad powierzchnią jeziora mgłę i przyniósł drobny deszcz. Ariana pożałowała, że zachciało jej się iść na ryby.

Wiatr ustał i jezioro zamarło. „Czarodziejka” dryfowała wolno po nieruchomej tafli jeziora. Wokół łódki gęstniały skłębione opary, wiszące nisko nad powierzchnią wody. Mgła skraplała się na burtach łodzi, a wodne strużki z cichym pluskiem ściekały do jeziora. Rozglądająca się niespokojnie Ariana spostrzegła, że opary nagle się rozstały, ukazując złowieszczy krajobraz.

Od północnego zachodu fale jeziora obmywały wyniosły, urwisty półwysep. Stał na nim ogromny zamek, przywodzący na myśl orle gniazdo. Zdawał się wyrastać z potężnych skał, jakby stanowił z nimi jedność. Wzniesiony przed wiekami z rdzawego piaskowca, przybrał barwę spłowiałej zaschniętej krwi. Wyglądał na niedostępną twierdzę, ale jego sylwetka zaskakiwała osobliwą mieszaniną potężnych baszt i lekkich wieżyczek o zębatych blankach, masywnych umocnień i lekkich przypór. Wąskie, gotyckie okna przypominały zmrużone oczy wpatrzone z uwagą w powierzchnię jeziora, a gruba żelazna kratownica w bramie wyglądała jak zębata paszcza bestii, przyczajonej na skale i gotowej skoczyć z wysoka na Arianę.

- Collie, co to za straszne zamczysko? - spytała po chwili, kuląc się instynktownie.

- Dundragon - mruknął z ponurą miną.

- Co znaczy ta nazwa?

- Twierdza smoka.

- Nazwali tak zamek, bo w jeziorze mieszka smok?

- Całkiem prawdopodobne. Ludzie mówią, że tam straszy.

Ariana spojrzała na ponure zamczysko. Nim zdążyła odpowiedzieć, na blankach jednej z ogromnych kamiennych baszt spostrzegła młodzieńca, który sprawiał wrażenie, jakby wyłonił się z widmowego obłoku mgły. Był wysoki, szczupły i ciemnowłosy. Poruszał się z osobliwą zręcznością węża. Porównanie okazało się nadzwyczaj trafne,

bo nieznajomy istotnie zaczął się zmieniać w potężnego czarnego gada rodem z morskich głębin, a po zakończeniu metamorfozy zsunął się po zamkowym murze w fale jeziora.

Skamieniała ze zgrozy Ariana daremnie próbowała wydobyć głos i ostrzec Colliego, który siedział tyłem do zamku i nie widział makabrycznej przemiany. Dziewczynka była jednak tak przerażona, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Oniemiała ze strachu siedziała nieruchomo w łódce i obserwowała ogromną falę zwieńczoną pióropuszem białej piany, która powstała nagle z gładkiej tafli jeziora i mknęła złowieszczo ku bezbronnej łupinie.

Z pędzącej fali wyłoniło się długie, węzowe cielsko wzniesione ponad wodą trzema ogromnymi łukami, które przybliżały się z każdą chwilą. Niespodziewanie obok łódki wychynęła z fal ogromna śliska głowa podobna do końskiego łba i zwisała groźnie nad maleńką „Czarodziejką”. Potwór rozwarł szeroko potężne szczęki, ukazując niezliczone zębiska podobne do spiczastych, ostrych kłów rekina oraz długi, rozwidlony na końcu język, który wił się jak obdarzony własnym życiem. Z głębi przepastnej gardzieli buchnął płomień, a straszliwa paszcza zbliżyła się do Ariany i w całości połknęła „Czarodziejkę”, która przepadła w mroku i płomieniach.

Ariana krzyknęła raz, drugi, trzeci...

Z koszmarne go snu obudził ją własny krzyk.

Drżąc na całym na całym ciele, usiadła wyprostowana. Odetchnęła z ulgą. Żyła. Była cała i zdrowa. Nie zginęła w paszczy ognistego smoka z koszmarnego snu.

Hotel de Levesque, stojący w eleganckiej dzielnicy paryski dom jej ojca, był nadzwyczaj wygodny, ale nawet tutaj mieszkańcom dokuczało styczniowe zimno. Wiatr hulał po szerokich alejach i świstał w krętych, wąskich zaułkach, fale Sekwany uderzały o brzegi.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i stłumione okrzyki, a potem rozległo się głośne pukanie do drzwi, które otworzyły się szeroko. Na progu stanęła matka Ariany oraz jej guwernantka, która ostatnio uważała się raczej za damę do towarzystwa osiemnastoletniej podopiecznej.

- *Ma pauvre petite!* - zawołała Helene Levesque, hrabina de Valcoeur. Gdy wpadła do pokoju, była mocno poruszona. Postawiła lichterz na nocnym stoliku. - Co tobie? Co się stało, *cherie*? Znowu ten senny koszmar? Och, niepotrzebnie zadrezczam cię pytaniami! To oczywiście, że śniłaś o potworze. Panno Thibault - zwróciła się do guwernantki - proszę wezwać pokojówkę. Niech rozpali w kominku i przyniesie mojej córce filiżankę gorącej czekolady.

- *Oui, madame.* Już biegnę. - Panna Thibault pospiesznie opuściła sypialnię, żeby przekazać rozkazy jaśnie pani.

Hrabina sięgnęła po szlafrok Ariany. Za jej namową córka wstała z pościeli, otuliła się nim

i usiadła w niebieskim fotelu z aksamitną tapicerką, przysuniętym blisko kominka. *Madame Valcoeur* mamrocząc coś do siebie, chwyciła pogrzebacz i energicznie trącała nim dogasające polana, żeby się lepiej paliły.

- Ach, jesteś, Berthe. Nareszcie! Bogu dzięki! Moja córka miała zły sen. Okropnie zmarzła. Rozpał ogień.

- *Oui, madame.* - Stojąca w drzwiach pokojówka dygnęła i natychmiast podbiegła do kominka. Rzuciła na dogasające polana kilka szufelek węgla z ozdobnego wiaderka. Wkrótce pojawiły się czerwone płomyki. Berthe wrzuciła kilkanaście rozżarzonych węgielków do blaszanej szkanдели i zaczęła przesuwając ją po pościeli, żeby ją ogrzać i wygładzić. Strzepnęła poduszki, naciągnęła prześcieradło i ułożyła kołdrę, przywracając szybko porządek i ład.

Po chwili wróciła panna Thibault. Przyniosła na tacy dzbanek gorącej czekolady oraz dwie filiżanki i dwa spodeczki z najcieńszej sewrskiej porcelany, a także paterę z kruchymi ciasteczkami. Ostrożnie umieściła tacę na niskim stoliku przed kominkiem.

- Pomyślałam, że jaśnie pani też chętnie napije się gorącej czekolady - oznajmiła. - Mam nalać?

- *Oui, Odette.* Bądź tak miła i wyreż mi - odparła z wdzięcznością hrabina, siadając w fotelu naprzeciwko córki.

- Wybacz, *maman* - wtrąciła półgłosem Ariana. - Przykro mi, że przeze mnie nie możesz wypocząć. Nie chciałam...

- Wiem, *ma petite*, przestań się tym przejmować. Martwi mnie tylko własna bezradność wobec tych nocnych koszmarów.

Wkrótce *madame* Valcoeur i Ariana trzymały w dłoniach filiżanki napełnione czekoladą. Guvernantka i pokojówka wyszły, zostawiając damy w półmroku sypialni. Ariana, której ręce wciąż lekko drżały, sączyła powoli wyborny napój, a jej matka wzdychała głęboko, delikatnie pocierając skronie, jakby czuła nadchodzącą migrenę.

- Moje dziecko, z pewnością wiesz, że gigantyczne węże morskie, podobne do potwora z twojego snu, nie istnieją - powiedziała hrabina stanowczo, lecz wyrozumiale. - Sen mara, *cherie*, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

- Kiedy śniłam, wszystko zdawało się całkiem realne. Jezioro Loch Ness i szkockie góry naprawdę istnieją. *Mademoiselle* Thibault opowiadała mi o nich na lekcjach geografii. Tak bym chciała, *maman*, abyś pojęła, co czuję. Podczas snu odnoszę wrażenie, że naprawdę przebywam w tamtych stronach, znam Szkocję, spoglądam na jezioro i ponure zamczysko. Mogłabym przysiąc, że mieszkałam kiedyś w wiejskim dworze i znałam chłopca o imieniu Collie. - Umilkła i roześmiała się cicho, bo uświadomiła sobie, że mówi, jakby była szalona. - Pewnie uważasz mnie za wariatkę, ale to nieprawda, *maman*. Umysł mam jasny.

- Jestem tego świadoma, *ma petite*, ale uważaj: nie rozmawiaj o tych sprawach z obcymi ludźmi, bo nie wiadomo, co sobie pomyślą. Musisz obie-

cać, *cherie*, że nikt poza mną nie dowie się, jakie miewasz sny.

- Przyrzekam zachować te sprawy w sekrecie.

- *Tres bon*. Dopijmy czekoladę, a potem możemy sobie pogawędzić o przyjemniejszych sprawach. Panna w twoim wieku powinna myśleć o przyjęciach, rautach i balach, a także rozglądać się za właściwym kandydatem na męża czy choćby stałego wielbiiciela. Kiedy byłam w twoim wieku, jedynie takie sprawy naprawdę mnie absorbowały, wierz mi.

*Madame Valcoeur* w czasach pierwszej młodości brylowała w paryskich salonach i dzięki niezwykłej piękności święciła tryumfy w wielkim świecie. Teraz była damą w średnim wieku, ale mimo upływu lat zachowała urodę i wdzięk.

- Musimy wydać przyjęcie, a najlepiej bal. Zaprosimy młodzieńców z towarzystwa - ciągnęła z udawanym ożywieniem. - Jutro porozmawiam na ten temat z twoim ojcem. Jaka szkoda, że w mieście znów się mówi o rewolucji, zamieszkach i rozruchach. Wszystko przez tych okropnych Niemców, Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Bardzo się ucieszyłam, kiedy Marks otrzymał nakaz opuszczenia Paryża. Mówiono mi, że pojechał z Engelsem do Brukseli. I bardzo dobrze! W przeciwnym razie podburzone mieszczaństwo chwyciłoby za broń, żądając ustąpienia Ludwika Filipa, który wprawdzie nie cieszy się sympatią i coraz bardziej zraża do siebie naród, ale jest naszym królem. Ci ludzie zbyt szybko zapomnieli,



że biedny Ludwik XVI został skrócony o głowę. Po co Francji kolejne takie szaleństwo? - perorowała z ożywieniem hrabina.

Pomilczała trochę, a potem zapytała córkę troskliwie:

- Jak czekolada, *ma petite*? Smakuje? *Oui*. Jej słodycz i delikatność jest zachwycająca, czyż nie? Pij, *cherie*, bo inaczej nie zmrzujesz oka tej nocy. *Oui*, wielki bal i tłumy odpowiednich młodzieńców w naszym salonie pomogą ci zapomnieć o nocnych koszmarach. - Hrabina wróciła do poprzedniego tematu. - Jaki motyw przewodni wybierzemy? Co sądzisz o maskaradzie? Bale kostiumowe są teraz bardzo modne. Potrzeba czegoś więcej, żeby rozbawić i olśnić naszych gości. Na razie nie wiem, jak tego dokonamy, ale mamy czas, żeby się zastanowić. O tak późnej porze nie jestem w stanie wymyślić nic oryginalnego, zwłaszcza że nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Jutro omówimy wszystkie szczegóły, *ma petite*.

Ariana, która jak na swoje osiemnaście lat była wyjątkowo dojrzała, zdawała sobie sprawę, że próba nakłonienia *maman* poważnej rozmowy jest z góry skazana na niepowodzenie. Hrabina, aczkolwiek dość płytką i niekiedy trzpiotowatą, miała dobre serce i bolała nad cudzym nieszczęściem, zwłaszcza gdy chodziło o ludzi, których głęboko kochała. Serwowała im wyszukane przysmaki i zachęcała do tańca, lecz należy podkreślić, że była w tym szczerą i wolną od egoizmu. Dlatego Ariana doceniła szlachetne intencje matki i chętnie

przystała na pomysł zorganizowania maskarady, która miała poprawić jej nastrój. Postanowiła także nie rozmawiać z nią więcej o nocnym koszmarze.

Gdy dzbanek z gorącą czekoladą pokazał dno, hrabina zapędziła córkę do łóżka, okryła ciepło, utuliła i wycelowowała, a potem wzięła lichtarz, żeby przyświecać nim sobie w drodze do własnej sypialni.

- Pięknych snów, *ma petite*. Żadnych koszmarów - upomniała łagodnie córkę. Długo po jej wyjściu czuło się przyjazną aurę i delikatny zapach różanego olejku.

Gdy madame Valcoeur opuściła sypialnię córki i zamknęła za sobą drzwi, opadły ją ponure myśli. Kiedy weszła do sypialni, śliczna, zwykle pogodna twarz przybrała wyraz zatroskania. Jean-Paul Levesque, hrabia Valcoeur, od razu poznał, że żonę coś trapi.

- Ariane znów dręczą koszmary - rzekł domyślnie, widząc, że żona jest bliska płaczu.

- *Qui*. Ogromnie się tym martwię, Jean-Paul. Zastanawiam się, co możemy uczynić, żeby uchronić nasze biedactwo od wszelkich przykrości.

- Ariana nie jest już dzieckiem, Helene. - Mówiąc te słowa hrabia, westchnął ciężko, jakby sprawiły mu przykrość. - To panna, młoda kobieta, a skoro tak, nie możemy dłużej trzymać jej pod kloszem. Musi poznać prawdę. A jeśli coś nam się stanie? W takim wypadku Ariana na zawsze pozostanie nieświadoma spraw, które nadal mają wpływ na jej życie.

- Sama nie wiem... Nie potrafię zdecydować.  
- Hrabina osunęła się na fotel kryty pasiastą satyną. Hrabia siedział po drugiej stronie komin-  
ka, w którym buzował ogień. - Ariana jest taka  
młoda. Włożylibyśmy na jej wątle barki ciężar  
ponad siły. Czuje się szczęśliwa, ufa ludziom.  
Moim zdaniem, na razie nie ma powodu, żeby  
niszczyć tę piękną wizję świata. Mielibyśmy do  
tego prawo jedynie w wyjątkowych okoliczno-  
ściach.

- Czasy są bardzo niespokojne - przypomniał  
hrabia. - Odkąd ścięto Ludwika XVI i nieszczęsną  
królową Marię Antoninę, we Francji nie ma spoko-  
ju. Najpierw rządy jakobinów i terror, potem  
wojny Napoleona, wreszcie Ludwik Filip I, zwany  
królem mieszczańskim. Teraz rojaliści knują, jak  
oddać tron starszej linii Bourbonów, a rewoluc-  
joniści chcą wywołać zamieszki i obalić rząd oraz  
monarchię.

- Przyszło nam żyć w burzliwych czasach.  
Całkiem prawdopodobne, że obudzimy się pew-  
nego dnia i odkryjemy, że znany i bezpieczny  
świat przeminął. Nie tylko we Francji Marks i En-  
gels bez przeszkód sączą w lud okropną truciznę.  
Wrzenie ogarnia całą Europę. W Irlandii zaraza  
ziemniaczana spowodowała klęskę głodu. Wielu  
ludzi zostało bez dachu nad głową i środków do  
życia, inni chorują, a niektórzy są i bezdomni,  
i osłabieni różnymi dolegliwościami.

- Racja, to desperaci - przyznał Jean-Paul.  
- Wspomnisz moje słowa, Helene. W Europie

szykują się wielkie zmiany, choć nie wiem, czy wyjdą nam na dobre, czy przyniosą nieszczęście.

- Przerażasz mnie, kochany, mówiąc takie rzeczy. Chyba nie wierzysz, że mieszczanie po raz kolejny spowodują rewolucję i wprowadzą terror.

- Moim zdaniem, w tych niepewnych czasach wszystko jest możliwe. Utrzymując nasze dziewczątko w słodkiej nieświadomości, oszczędzamy jej cierpienia, a zarazem wystawiamy ją na poważne niebezpieczeństwo. Zaniedbamy swoje obowiązki wobec tego dziecka, jeśli nie weźmiemy tego pod uwagę.

- *Oui*, chyba masz rację - przyznała niechętnie hrabina. - Musisz jednak przyznać, że wiedza, którą przez tyle lat umyślnie przed nią ukrywaliśmy, może stać się dla wrażliwej istoty nazbyt ciężkim brzemieniem. Czy Ariana jest dostatecznie silna i mądra, aby dźwigać taki ciężar? A może coś jej strzeli do głowy i postanowi sama zrobić porządek z zawłościami własnego życia albo dla zwrócenia na siebie uwagi zacznie o nich paplać na prawo i lewo? W takim wypadku natychmiast zainteresują się nią wrogowie. Sam wiesz, o kim mówię.

Hrabina umilkła i westchnęła ciężko. Po chwili milczenia podjęła wątek.

- Jean-Paul, nigdy bym sobie nie darowała, gdyby coś złego spotkało Ariane, bo podjęliśmy błędne decyzje. Musimy starannie rozważyć, czy należy jej teraz powiedzieć całą prawdę o wydarzeniach sprzed lat, czy na razie zachować rzecz

w tajemnicy. Nie spieszmy się z decyzją, bo sprawa jest trudna.

- Zgoda, Helene. Będzie, jak zechcesz. - Hrabia nie potrafił niczego odmówić uroczej żonie i był tego świadomy. Uśmiechnął się do niej czule.  
- Czekajmy, aż sytuacja się wyjaśni. Taka zwłoka nie przyniesie żadnej szkody.

- Żadnej szkody - powtórzyła jak echo *madame* Valcoeur, ale kiedy dopięła swego i przynajmniej na jakiś czas odwlekła moment ujawnienia rodzinnych sekretów, ogarnęły ją wątpliwości. Wzdrygnęła się, jakby zobaczyła ducha.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Opowieść pani Blackfriars

*...niech przemówi teraz lub milczy na wieki.*  
„Księga wspólnej modlitwy”  
Uroczystość zawarcia związku małżeńskiego

*Wiemy, jak głosić kłamstwa liczne, do prawdy  
podobne,  
Wiemy też, gdy zechcemy, jak rzeczy prawdziwe  
obwieszczać<sup>6</sup>.  
Hezjod  
„Teogonia”*

<sup>6</sup> *Przetłoczył Ignacy Wieniewski.*

*Wspominałem groźne  
Przypadki, przejścia na lądzie i morzu;  
Nieprzyjacielskie szturmy, w których nieraz  
Otarłem się o śmierć;*

William Shakespeare  
„Otello” (1604-1605)

1848  
*Anglia, Londyn, Oxford Street*

Pan Khalil al-Walid, stojący na Oxford Street w towarzystwie swego służącego imieniem Hosni, w zadumie przyglądał się okolicznym sklepom. Zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z Anglią Egipt jest bardzo zacofany, ale wiedział również, że nie zawsze tak było. W minionych epokach to Egipt mógł poszczycić się zaawansowaną cywilizacją i wysoką kulturą literacką. Kiedy przybysz z południa o tym myślał, wszystko się w nim burzyło, ponieważ niewierni, których w jego kraju słusznie uważano za barbarzyńców, wysforowali się do przodu i teraz górowali nad Egipcjanami. Z tego powodu Khalil al-Walid czynił wszystko, żeby w miarę swych możliwości przyczynić się do odzyskania przez Egipt dawnej wielkości.

Wraz z Hosnim odbył długą i najeżoną trudnościami podróż do Londynu. Ta wyprawa była mu nie w smak, ale otrzymał rozkazy i musiał je wykonać. Gdyby wrócił do domu z pustymi rękami, jak to się zdarzyło wielu poprzednim wyśtań-

nikom, straciłby twarz. Sama myśl o tym była dla niego nie do zniesienia.

Trzeba jak szybciej wykonać zadanie i opuścić ten ponury, zimny kraj, gdzie stale pada deszcz, pomyślał bez emocji, rozglądając się wokół i szukając wzrokiem numeru 7B, gdzie miała siedzibę renomowana firma Quimby & Company - pracownia kartograficzna i sprzedaż map.

Khalil al-Walid odnalazł właściwy szyld, poprawił biały turban i wygładził długą, fałdzistą galabiję, przeszedł na drugą stronę ulicy i wkroczył do renomowanego sklepu. Za nim szedł milczący Hosni.

Trzydzieści lat minęło od dnia, gdy Malcolm wraz z matką opuścił wypalone ruiny Whitrose Grange i udał się do Londynu, gdzie zaczął terminować u pana Quimby'ego, wybitnego kartografa i właściciela sklepu z mapami. Przez cały ten czas nikt nie zakłócił im spokoju. Malcolm był niemal pewny, że tajemniczy mężczyzna, smagły i odziany w czerń, którego ujrzał w gabinecie ojca, to postać z sennego koszmaru. Zapewne sen i jawa pomieszały się w jego umyśle tamtej pamiętnej nocy, gdy ojciec i stryj zginęli w pożarze, który zniszczył dwór. Z upływem lat Malcolm przyznał w głębi serca, że obaj stracili życie.

Kojący upływ czasu uleczył rany, a cierpienie, z początku nie do zniesienia, zmieniło się w tępy ból, który z rzadka tylko przybierał na sile, kiedy odzywało się poczucie winy albo żal wywołany



brakiem pomsty. Gdyby nadarzyła się sposobność, aby jej dokonać, z pewnością Malcolm by jej nie zmarnował. Problem w tym, że nie zdołał nakłonić matki, aby mu wyjawiała rodzinne tajemnice.

Nie tylko pożar w Whitrose Grange i jego tragiczne następstwa były dla Malcolma i pani Elizabeth źródłem cierpienia. Ta ostatnia - z początku pełna nadziei, potem bliska rozpacz - napisała wiele listów do stryjenki Katherine. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi, jakby adresatka zaginęła bez wieści. Pani Blackfriars była niemal pewna, że, podobnie jak Charles, wszyscy troje od dawna nie żyją.

Nie o tym rozmyślał Malcolm, gdy tego ranka wstał z łóżka i przystąpił do porannej toalety. Przez trzynaście lat terminowania u pana Quimby'ego ani razu nie zawiódł pryncypała. W nagrodę awansował z ucznia na młodszego czeladnika, stając się podporą pracowni i sklepu. Miał teraz stałą posadę i wyższą pensję, mógł więc sobie pozwolić na przyjęcie ochmistrzyni i podkuchennej. Tą domową innowacją zaskarbił sobie dożgonną wdzięczność pani Peppercorn, która wcześniej nie tylko gotowała, lecz także z konieczności sama wykonywała wszelkie kuchenne posługi. Jako bezdzietna wdowa przelała wszelkie macierzyńskie uczucia na panicza. Zawsze czekała na niego w domu z ciepłym posiłkiem. Był głową rodziny, miał więc prawo wymagać, żeby nakrywano dla niego w jadalni, ale przez wzgląd na panią Peppercorn wolał jadać w przytulnej kuchni.

Gdy Malcolm wyszedł z sypialni i po lśniącej posadzce korytarza ruszył ku schodom, od razu poczuł apetyczną woń jajecznicy i wysmażonego boczku, owsianki perkoczącej w rondlu i duszonych cynaderek. Zapewne czekała też na niego patera z owocami i ciepłe tosty posmarowane dżemem, który pani Peppercorn sama przygotowywała latem. A do tego dzbanek gorącej herbaty. Gdy Malcolm otworzył prowadzące do kuchni masywne dębowe drzwi, zaraz spostrzegł obfite śniadanie.

- Dzień dobry - przywitał się, siadając przy wiekowym stole z dębowego drewna, na którym pani Peppercorn zwykle podawała mu posiłki.

- Dzień dobry, jaśnie panie. A raczej byłby dobry, gdyby nie paskudna pogoda. Od Tamizy wieje chłodny wiatr, a na domiar złego ciągle pada. Obawiam się, że w drodze do pracy zmarznie pan na kość. - Kucharka kręciła się jak fryga, napełniając talerze i podsuwając je Malcolmowi. Na koniec podała mu także dzbanek gorącej herbaty.

- Trzeba włożyć ciepłe palto i wziąć parasol.

- Na to wygląda - przytaknął Malcolm.

Przez kwadratowe szybki kuchennego okna, po których spływały krople deszczu, spojrzął na pociemniały i smutny ogród.

- Tak bym chciał, żeby już była wiosna - powiedział.

- Miejmy nadzieję, że w tym roku wcześniej zrobi się ciepło. - Kucharka ustawiła na tacy

smakołyki dla pani Blackfriars, której każdego ranka podawano śniadanie do łóżka.

Kiedy Malcolm dorósł i przejął wiele domowych obowiązków, stając się głową rodziny, nalegał usilnie, żeby matka pozwoliła sobie na kilka drobnych przyjemności. Śniadanie w łóżku było jedną z nich.

Malcolm sięgnął po widelec i energicznie zabrał się do pałaszowania pożywnych i smaczných potraw. Do kuchni weszła panna Woodbridge, pełniąca w Hawthorn Cottage funkcję ochmistrzyni. Nim zabrała tacę, którą miała zanieść do sypialni pani Blackfriars, umieściła w niewielkim kryształowym wazonie kilka przyniesionych z ogrodu gałązek ostrokrzewu i postawiła ozdobę wśród naczyń.

- Jakie to urocze! Doskonały pomysł! - zachwycała się pani Peppercorn.

- Na dworze jest paskudnie. Mam nadzieję, że odrobina zieleni rozweseli jaśnie panią - wyjaśniła ochmistrzyni. - Uwielbia rośliny i kwiaty, lecz o tej porze roku mamy ich jak na lekarstwo.

- Jestem pewny, że matka to doceni - odezwał się Malcolm między jednym a drugim kęsem.

Ochmistrzyni stanowiła przeciwieństwo tęgiej, wesołej kucharki. Była starą panną, chudą i wysoką jak tyczka. Uprzejmie i cicho, ale stanowczo wydawała polecenia i pilnowała, żeby zostały wykonane. Malcolm był ogromnie rad, że tak dobrze trafił, zatrudniając nowe pracownice. Lucy, nowa podkuchenna, była wyjątkowo pogodna

i szczebiotała radośnie niczym polny skowronek, a gdy chodziło o pracowitość, śmiało mogła iść w zawody z poważną i uczciwą Norą, która pracowała w Hawthorn Cottage jako pokojówka.

Gdy zjadł śniadanie i przeczytał „Timesa”, który pani Peppercorn zawsze kładła na stole obok jego talerza, wrócił na górę, by zobaczyć się z matką. Zapukał i odczekał chwilę, aż zaprosi go do środka. Wszedł i przywitał się, życząc miłego dnia. Wziął dzbanek umieszczony na tacy przyniesionej nieco wcześniej przez pannę Woodbridge i powtórnie napełnił filiżankę gorącą herbatą. Po chwili zszedł znowu do sieni, włożył płaszcz, kapelusz i rękawiczki i opuścił dom, nie zapominając o parasolu, który rozłożył od razu, aby uchronić się przed mżawką. Pomaszerował żwawo na usytuowany w St. John's Wood przystanek omnibusu. Od trzynastu lat tak wyglądał każdy z jego powszednich dni. Wsiadł do niemrawego wehikułu, którym przebył dwie i pół mili. Wysiadł na Oxford Street, skąd do sklepu z mapami miał już zaledwie kilka kroków.

Tego dnia przypadkowo zjawił się tam równocześnie z panem Quimbym, który właśnie zajechał dorożką przed sklep.

- Okropny poranek, prawda, Malcolmie? - zagadnęła korpulentny, siwowłosy pryncypał.

- Tak, proszę pana. - Malcolm towarzyszył panu Quimby'emu, zwalniając kroku, żeby starszy pan się nie forsował. Pan Quimby westchnął

ciężko, gdy Malcolm uprzejmie otworzył drzwi sklepu i puścił go przodem.

- Na starość nabawiłem się reumatyzmu. Łupie mnie w kościach, a to oznacza, że zima nieprędko ustąpi. W młodości nie byłem taki wrażliwy na pogodę i jej kaprysy.

W pracowni zastali resztę personelu: czeladnika Harry'ego Devenisha oraz dwóch uczniów, Jema Oscrofta i Petera „Tucka” Tuckera. Nie brakowało im zajęć. Żadna z londyńskich pracowni kartograficznych nie oferowała map i planów tak dokładnych i starannie opracowanych. Popyt na nie był ogromny.

O dwunastej pryncypał udał się na obiad do domu. Pracownicy zadowalali się kanapkami oraz filiżanką herbaty. Malcolm przysunął właśnie krzesło do kominka, odwinął brązowy papier, w który pani Peppercorn zawinęła mu chleb z masłem i plastrami wołowej pieczeni, gdy dokazujący koledzy nagle zamilkli, słysząc dzwonek u drzwi. Wszyscy czterej spojrzeli w tamtą stronę.

- A cóż to za cudaki? - spytał przyciszonym głosem Tuck, najmłodszy z nich. - Może to złodzieje? Pobią nas i obrabują!

- Co ty pleciesz? - skarcił go najstarszy wiekiem Harry i pociągnął za ucho. - Jeszcze cię usłyszą i poskarżą się panu Quimby'emu. Będziesz miał się z pyszna, gdy pryncypał usłyszy, że obraziłeś klientów. Czyja kolej, żeby stanąć za kontuarem?

- Tucka - odparł Jem, tłumiąc śmiech - ale nie radzę go teraz posyłać do klientów.

- Ja pójdę, Harry - zaoferował się Malcolm, wstając z krzesła. - Witam łaskawych panów. Czym mogę służyć?

- Ciekaw jestem, czy tutaj znajdziemy to, czego nam potrzeba - odparł z namysłem Khalil al-Walid.  
- Potrzebuję kilku map.

- A zatem dobrze pan trafił. O jakie mapy chodzi?

- Interesuje mnie Szkocja, współczesna i dawniejsza.

Malcolm z trudem ukrył zdziwienie. Nie miał pojęcia, czego ci dwaj cudzoziemcy, niewątpliwie przybyli z dalekiego południa, zamierzają szukać w odległej północnej krainie. Nawet Anglicy jeździli tam głównie po to, żeby wędkować.

- Jakie obszary Szkocji pana interesują?

- Północne góry i wyżyny, zwłaszcza okolice Loch Ness. Badam życie gadów i płazów. Mówiono mi, że w tym niezwykłym jeziorze żyje gigantyczny wąż czy pradawny morski gad. Słyszał pan o nim?

- Owszem, ale obawiam się, że żadna z opowieści zasłyszanych przeze mnie w londyńskich pubach pana nie zainteresuje. A co do map, jest kilka. Zaraz je panu zaprezentuję.

Malcolm podszedł do drewnianych regałów, które miał za plecami, i wyjął kilka długich rulonów. Rozwinął pierwszą z wybranych map. Zrobił to ostrożnie, żeby jej przypadkiem nie uszkodzić. Cudzoziemcy przyglądali się z ciekawością.

- Co to za budowla? - spytał Khalil al-Walid, wskazując miniaturowy obrazek. Przedstawiał ka-

mienny gmach, stojący na wysokiej, górującej nad Loch Ness skale. - Zajazd dla podróżnych?

Malcolm wziął szkło powiększające i obejrzał piękną rycinę.

- Nie, proszę pana. To zamek... Posiadłość nazywa się Dundragon.

- Szkoda - odparł z roztargnieniem pan al-Walid. - Świetna lokalizacja. Proszę nam wskazać gospodę położoną w jego najbliższej okolicy.

- Znajduje się tutaj, w Inverness. - Malcolm wskazał punkt na mapie.

Gdy zaprezentował wszystkie mapy, miał powody do radości, bo cudzoziemiec kupił aż trzy.

- Dziękuję, że panowie byli łaskawi dokonać zakupu w sklepie pana Quimby'ego - powiedział Malcolm. - Zapraszamy ponownie. Zawsze do usług.

Cudzoziemcy bez słowa kiwnęli głowami, a ich ogorzałe twarze nie wyrażały żadnych uczuć, gdy opuszczali sklep.

Gdy Malcolm opowiedział o niezwykłych klientach swemu chlebodawcy, ten wybuchnął gromkim śmiechem i oznajmił, że opowieść jednego z nich wydaje mu się mało wiarygodna. Malcolm z kolei odniósł wrażenie, że cudzoziemiec nie bez powodu zapytał o zamek Dundragon. Po pracy wrócił do domu piechotą. Tego wieczoru nie miał ochoty na rozrywkę.

Własnym kluczem otworzył frontowe drzwi. Gdy wieszął płaszcz, do ciemnego holu zajrzała pani Blackfriars.

- Malcolm? Czy to ty?

- Oczywiście. Dlaczego jesteś wystraszona?

- Tak wczesnie wróciłeś do domu. Coś się stało? Jesteś chory? Mam nadzieję, że pan Quimby z jakiegoś powodu nie wymówił ci posady.

- Ależ skąd! Szybko uporałem się z robotą, więc za jego zgodą wyszedłem przed zamknięciem sklepu. Pozwól mi się przy kominku i ogrzać się, bo zmarzłem na kość. Zaraz opowiem, co się dziś wydarzyło.

- Chyba mi rozum odjęło, że trzymam cię w zimnej sieni. Panno Woodbridge! Panno Woodbridge... O, już biegnie - dodała, słysząc na schodach kroki gospodyni. - Mój syn wrócił dziś wcześniej do domu. Zmarzł okropnie, bo pogoda jest fatalna.

- Zaraz każę podać gorącą herbatę i małą przekąskę. - Panna Woodbridge domyśliła się od razu, jakie są życzenia jaśnie pani. Natychmiast pobiegła do kuchni, żeby wydać dyspozycje.

Malcolm przeszedł z matką do niewielkiego, lecz gustownie urządzonego salonu. Za żelazną kratownicą kominka z paryskiego marmuru wesoło trzaskał ogień. Gdy usiedli w fotelach, młodzieniec westchnął przeciągle. Mógł wreszcie ogrzać zgrabiałe dłonie.

Ochmistrzyni wróciła z pokojówką, która niosła na tacy kanapki, ciastka oraz dzbanek herbaty. Gdy Malcolm zaspokoił pierwszy głód i wypił filiżankę herbaty, opowiedział matce o dziwnych



klientach. Nie uszło jego uwagi, że jest ogromnie zaniepokojona. Herbata i przekąski, stojące obok niej na pufie, pozostały nietknięte.

- Synku, chyba się przed nimi nie zdradziłeś, że znasz to przekłete miejsce! - krzyknęła przerażona.

- Skłamałem, że nigdy nie byłem w Szkocji.

- Bogu dzięki! Nie chciałabym, żebyś skończył jak twój ojciec i stryj Charles.

- Ale... dlaczego? Skąd takie obawy?

- To długa historia, ale zapewniam, że nie bez powodu lękam się o ciebie. Całkiem prawdopodobne, że ci dwaj cudzoziemcy to nasi zaprzysięgli wrogowie w przebraniu. - Chwyciła umieszczony na tacy kryształowy dzwonek i wezwała ochmistrzynię. - Panno Woodbridge, zechce pani przynieść srebrną kasetkę z mojego pokoju?

- Oczywiście! W tej chwili!

Gdy ochmistrzyni pobiegła na górę, Malcolm zapytał:

- Dlaczego sądzisz, że owi cudzoziemcy włożyli arabskie stroje, żeby mnie zwieść?

- Nasi wrogowie są Włochami, synku. Ci południowcy zdradę i przewrotność mają we krwi. Śniada cera i ciemne oczy sprawiają, że w orientalnych strojach łatwo im uchodzić za mieszkańców Orientu. Mam przeczucie, że jednym z twoich klientów był ten przekłety Vittore, sprawca naszych nieszczęść, morderca twego ojca i stryja Charlesa. Widziałeś go tamtej feralnej nocy w gabinecie.

- Vittore? A nazwisko? Nie znam nikogo o takim imieniu.

- A ja tak! - Pani Blackfriars wzdrygnęła się mimo woli. - Chodzi o lorda Vittorego, hrabiego Foscarellego. Łudziłam się, że nigdy już nie usłyszę o tym nikczemniku. Jest teraz właścicielem zamku Dundragon!

- Co to ma wspólnego z nami? Czym ojciec naraził się hrabiemu Foscarellemu, że ten postanowił zabić jego i stryja Charlesa?

- Muszę opowiedzieć ci tę historię od samego początku, cofając się o parę wieków. Och, dziękuję, panno Woodbridge. - Pani Blackfriars wzięła kasetkę od ochmistrzyni i natychmiast ją odprawiła. Srebrną szkatułkę postawiła na kolanach, zdjęła z szyi srebrny kluczyk zawieszony na misternym łańcuszku, przekręciła go w zamku i bez pośpiechu uchyliła wieko. ~ Dzieje naszej gałęzi rodu Ramsayów, bo tak brzmi twoje prawdziwe nazwisko, wypada zacząć od wyprawy do Egiptu jednego z antenatów. Był nim lord James Ramsay, wicehrabia Strathmór, a po śmierci ojca earl Dundragon. Żył w siedemnastym wieku. W czasie swojej *grand tour* dopuścił się czynu, który wpłynął na losy wszystkich jego potomków. .

Pani Blackfriars opowiedziała szczegółowo, co się zdarzyło w Dolinie Królów niedaleko egipskich Teb. Na koniec dodała, że feralną wyprawę opisał swym potomkom sam earl James, który cudem ocalał z zalanych wodą podziemi, unosząc tylko bezcenny szmaragd. Gdy skończyła, Malcolm dłu-

go milczał, zafascynowany niezwykłymi przygodami wędrowców, choć wciąż nie miał pojęcia, jak i dlaczego miałyby one dotyczyć jego losów.

- Co się stało ze szmaragdem? - zapytał.

- Nie wiem - odparła pani Blackfriars. - Nikt nie umie powiedzieć, gdzie i kiedy zniknął. Wiadomo mi jedynie, że uchodził za legendarny egipski talizman nazywany Sercem Chepri. Nim lord Dundragon opuścił Egipt, dowiedział się o tym od ślepego mędrca, duchownego z Kairu. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że bóg Chepri własnoręcznie sporządził ów amulet, który z tego powodu obdarzony był ponoć mnóstwem magicznych właściwości. Właściciel szmaragdu świadomy, w jaki sposób je wyzwolić, mógłby wiele zdziałać, na przykład zyskać nieśmiertelność. Klejnot był podobno większy od gęsiego jaja. Słuch o nim zaginął parę tysięcy lat przed wyprawą lorda Dundragon do egipskiej Doliny Królów. Dopiero podczas owej ekspedycji wyszło na jaw, że bezcenny szmaragd przez wieki spoczywał w sarkofagu wysoko postawionego Egipcjanina. Wierzano, że ma wielką moc, ale przynosi nieszczęście wszystkim poza kapłanami boga Chepri. Odkąd lord Dundragon ukradł szmaragd pochowany z mumią arcykapłana, miał wrażenie, że ciąży na nim klątwa. Po powrocie do kraju dowiedział się o śmierci ojca. Młoda dama, z którą się wkrótce ożenił, zmarła w połogu niespełna rok po ślubie. On sam zginął tragicznie z ręki jedyne go syna i dziedzica. Nikt nie wie, co się stało z klejnotem.

Pani Blackfriars zamilkła, lecz po chwili podjęła wątek.

- Szmaragd jakby zapadł się pod ziemię, lecz związana z nim klątwa działała nadal. Niemal wiek później dotknęła innego lorda Dundragon. Podobnie jak ty, Malcolmie, był on w prostej linii potomkiem egipskiego odkrywcy. Nazywał się Iain Ramsay. Miał opinię głupca i utracjusza. Zadawał się z nikczemnikami pokroju Francisa Dashwooda, założyciela i przywódcy bluźnierczego zakonu, który miał siedzibę w Medmenham Abbey.

Pani Blackfriars z wyraźną odrazą opisała haniebne życie i śmierć Iaina Ramsaya oraz bezwzględność hrabiego Foscarellego. Wspomniała także o poszukiwaniach, które Włoch i jego potomkowie prowadzili na terenie włości wygranych w pikietę. Służba i wieśniacy szeptali, że to szalenie, ponieważ w zamku Dundragon demolował komnatę po komnacie. Kazał również przekopać dziedziniec i zamkowe ogrody.

- Szukał talizmanu?

- Owszem, na to wygląda.

- Nadal nie rozumiem, mamo, dlaczego Foscarelli sądzą, że stanowimy dla nich zagrożenie. Skoro do nich należą dawne posiadłości Ramsayów...

- Zapewne ci Włosi uważają, że wiemy, gdzie szukać szmaragdu. Dla nich najważniejszy jest klejnot - odparła cicho pani Blackfriars. - Są przekonani, że wydobędziemy go z sekretnej

kryjówki, jeśli uda nam się w jakiś sposób objąć znów w posiadanie utraconą majątność. Twój ojciec istotnie łudził się, że odzyska szmaragd. Z taką myślą osiadł jako dzierżawca w Whitrose Grange. Nocami przy sprzyjającej pogodzie łódka przepływał jezioro i zakradał się do zamku, szukając amuletu.

Ta wiadomość wprawiła Malcolma w jeszcze większe zdumienie.

- Skąd przypuszczenie, że szmaragd nadal istnieje?

- Jest pewien dowód, że ukryto go w bezpiecznym miejscu. Na łożu śmierci twój dziadek od strony ojca dał mu to. - Pani Blackfriars wydobyła zza gorsu jedwabnej sukni ozdobny krzyż ze srebra, zawieszony na misternym łańcuszku. Zdjęła go i podała synowi. - Twój dziadek powiedział swemu synowi, że pod żadnym pozorem, nawet pod groźbą śmierci nie wolno mu utracić tego krzyża. Ten klejnot jest podobno kluczem do odzyskania rodzinnego dziedzictwa. Odkąd twój ojciec zaczął się nocami zakradać do zamku Dunderdragon, powierzył mi swój skarb na wypadek, gdyby został schwytyany i ograbiony. Od tamtej pory stale go noszę.

- Nie rozumiem, jakim sposobem krucyfiks może stanowić klucz, umożliwiający rozwikłanie zagadki szmaragdu. Ciekawi mnie również, jak dziadek wszedł w posiadanie tego krzyża.

- Nie wiem. - Pani Blackfriars pokręciła głową.

- Wiadomo mi jednak, że stryj Charles, który

pochodził z francuskiej gałęzi naszego rodu i nosił nazwisko Ramezay, miał identyczny krucyfiks. Dostał go od ojca z taką samą przestrożą. Nie zdołaliśmy ustalić, kto wykonał krucyfiksy, w jakim celu i czy z ich pomocą istotnie można odnaleźć szmaragd.

Przez cały wieczór Malcolm zastanawiał się gorączkowo nad opowieścią matki. Malcolm Ramsay... Tak brzmiało jego prawdziwe imię i nazwisko.

Przed kolacją Malcolm przeczytał pamiętnik, w którym lord James Ramsay, wicehrabia Strathmór, a potem earl Dundragon opisał szczegółowo koleje swego życia. Zwierzył się także, czemu postanowił zatrzymać szmaragd, zamiast oddać go władzom Egiptu. Miał nadzieję, że spienięży klejnot i przywróci dawną świetność rodzinnym właścicielom, mocno podupadłym po rewolcie Olivera Cromwella i jego zwolenników. Nie chciał wracać do kraju z pustymi rękami, bo wówczas śmierć jego kompanów porwanych deszczową falą poszłaby na marne.

Malcolm, znużony natłokiem myśli, postanowił mimo złej pogody iść na spacer. Gdy wszedł do salonu, żeby powiedzieć matce o swoich zamiarach, grała w karty z panną Woodbridge.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Nie czekaj na mnie - dodał.

- Dobrze, synku - odparła. - Ubierz się ciepło... i uważaj na siebie. Wieczorami i nocą włóczę się po ulicach podejrzane typy. Bywa niebezpiecznie.

Malcolm chwycił w lot zawołowaną aluzję.

- Słuszna uwaga, mamó. Obiecuję zachować ostrożność. Bądź spokojna, nic mi się nie stanie.

Włożył płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Wziął parasol i wyszedł z domu. Tego wieczoru ciemności nie rozjaśniał księżyc ani gwiazdy. Tylko padający z okien blask domowych lamp oświetlał Cochrane Street i stojące przy niej domy. Malcolm śmiało ruszył w stronę parku. Wkrótce przyszło mu do głowy, że o zagadkowej rodzinnej historii warto by porozmawiać z kimś starszym i bardziej doświadczonym, skierował więc kroki w stronę domu pana Quimby'ego. Gdy dotarł na miejsce, spotkało go przykre rozczarowanie. Wszystkie okna były ciemne. Pan Quimby zapewne już spał.

Malcolm długo stał bez ruchu, zastanawiając się, czy zadzwonić. Po namyśle zrezygnował i z ociąganiem pomaszzerował do domu. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy ktoś brutalnie zaatakował go od tyłu, zarzucając mu na głowę jedwabny kaptur. Znieruchomiał, nie widząc, co się dzieje. Dopiero po chwili zreflektował się i natychmiast podjął walkę z niewidocznym przeciwnikiem. Wkrótce nabrał pewności, że atakuje go co najmniej dwóch ludzi. Krzycząc wniebogłosy, bił pięściami na oślepa. Ktoś szarpał poły jego płaszcza. Ktoś inny pchnął go od tyłu. Malcolm padł na kolana, ale walczył nadal, chociaż pod gradem ciosów tracił siły. Z oddali dobiegły okrzyki i przenikliwy dźwięk policyjnego gwizdka. Uderzenia nagle przestały sypać się na Malcolma, który zerwał

z głowy kaptur i dyszał ciężko. Z trudem podniósł się z klęczek i stanął na własnych nogach. Spozstrzegł młodego mężczyznę, który spieszył mu na pomoc, oraz policjanta, biegnącego od strony skrzyżowania Dorset i Baker Street.

- Co z panem? Bardzo pan ucierpiał? - wypytywał przechodzień, schylając się po kapelusz i parasol Malcolma, które zostały stratowane podczas gwałtownej szamotaniny i były w opłakanym stanie.

- Nic mi nie jest.

Nadbiegł posterunkowy, a po chwili z domu wypadł pan Quimby. Ledwie usłyszał krzyki, odgłosy bójki i policyjny gwizdek, natychmiast wyskoczył z łóżka i wyrzwał przez okno. Gdy zobaczył, co się dzieje, w szlafroku wybiegł przed dom, żeby ustalić, jaka jest przyczyna nocnego incydentu. Zdziwił się na widok Malcolma, a zarazem był rad, że młodzieniec wyszedł cało z opresji.

- Chodźmy do mnie - zaproponował. - Nie będziemy stali na deszczu. Trzeba opatrzyć Malcolma. Widzę, że bardzo ucierpiał.

Wszyscy chętnie skorzystali z zaproszenia. Pan Quimby zadzwonił na ochmistrzynię, panią Merritt, i wydał dyspozycje. Pokojówka wkrótce przyniosła gorącą herbatę, a panowie usiedli przy kominku. Pan Quimby rozparł się w fotelu. Miał na sobie jedwabny szlafrok i szlafmycę z grubym chwostem. Stopy oparł na podnóżku. Po drugiej stronie kominka posterunkowy, nieco onieśmielony zaproszeniem do eleganckiego salonu, przycup-



nął na krzesła. Mimo zmieszania fachowo wypytywał o szczegóły zajścia i zrobił staranne notatki. Poszkodowany oraz przystojny młodzieniec, który przybył mu na pomoc, siedzieli na sofie. Wybawca nazywał się Nicolas Ravener. Malcolmowi w pierwszej chwili wydawało się, że nie ucierpiał. W czasie bójki i tuż po niej był tak zaabsorbowany przykrym incydentem, że nie czuł bólu. Dopiero teraz dostrzegł siniaki. Na szczęście kości miał całe.

- Jakież podejrzenia co do tożsamości napastników? - spytał policjant.

- Nie. Jak wspomniałem, zarzucili mi kaptur na głowę, nie widziałem ich twarzy - tłumaczył Malcolm. - Jestem pewny, że było ich co najmniej dwóch.

- To prawda - wtrącił pan Ravener. - Nawet trzech. Widziałem z daleka, jak uciekali w stronę Oxford Street. Niestety, światło ulicznej latarni było słabe, nie zdołałem opisać tych ludzi. Moim zdaniem, mieli współników, którzy pomogli im uciec. Z pewnością czekał na nich środek lokomocji. Spostrzegłem wyjeżdżający z przecznicy furgon. Woźnica mocno popędział konie.

- Moim zdaniem, panowie, nie była to zwykła napaść w celu dokonania rabunku - oznajmił posterunkowy. - Być może mamy do czynienia z zaplanowaną akcją jednego z gangów, od pewnego czasu grasujących na ulicach Londynu. Gdyby ta hipoteza się potwierdziła, pan Blackfriars mógłby istotnie mówić o szczęściu, bo ci nikczemnicy nie zadowolają się zwykłą kradzieżą.

- Także odniosłem podobne wrażenie - przyznał z zapałem Malcolm i dodał, zwracając się do Ravenera: - Nie wiem, jak panu dziękować.

- Och, to zbyt cenne - odparł skromnie młody mężczyzna. - Żałuję tylko, że przybiegłem zbyt późno i nie pomogłem panu grzmocić tych łajdaków. Wrzeszczałem na całe gardło, żeby zaalarmować policję i spłoszyć napastników. Pan natomiast boksował tak skutecznie, że nawet bez naszej pomocy udaremniłby pan im plany, jakiegokolwiek one były.

Po zakończeniu przesłuchania policjant opuścił dom pana Quimby'ego. Wkrótce pożegnał się również pan Ravener. W salonie pozostał Malcolm sam na sam ze swoim pryncypałem.

- Na pewno nie odniosłeś poważniejszych obrażeń? - spytał ten ostatni, wyraźnie zatroskany.

- Poza kilkoma bolesnymi siniakami, które szybko znikną, nic mi nie dolega. Proszę wybaczyć, że z mojego powodu został pan gwałtownie obudzony z pierwszego snu i zamieszany w ten nieprzyjemny incydent. Chciałem pana odwiedzić dziś wieczorem, ale nie widziałem światła w oknach,ostałem więc tylko chwilę i mszyłem do domu. Wtedy zostałem, napadnięty.

- Rozumiem. Chcesz mi teraz powiedzieć, co ci leży na sercu? O czym chciałeś ze mną pomówić?

- Odłóżmy to, proszę pana. Robi się późno. Dość miał pan kłopotów z mojego powodu. Chciałem zasięgnąć pańskiej rady w sprawie pew-

nych faktów, o których usłyszałem dzisiaj z ust matki, ale to może poczekać.

- W takim razie jutro zjedzmy razem obiad. Pani Merritt na pewno zaplanowała same pyszności. Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, to ze względu na brutalną napaść stanowczo nie zgadzam się, żebyś wracał do domu piechotą, po ciemku, sam jeden. Poślę chłopaka po dwukółkę... Nie, lepsza będzie zamknięta dorożka. Jedzie wolniej, ale nie trzęsie. Będzie ci wygodniej. Proponuję, żebyś teraz poszedł do łazienki. Doprowadź się do porządku, bo inaczej pani Blackfriars na twój widok dostanie palpacji serca.

- Dobrze, proszę pana.

Gdy Malcolm wrócił odświeżony, pan Quimby trzymając wysoko parasol, odprowadził go do czekającej przed kamienicą dorożki. Niecierpliwym gestem zbył wylewne podziękowania i kazał młodzieńcowi wsiąść. Zamknął drzwi, podał adres dorożkarzowi i polecił mu jechać. Znużony i obołały Malcolm wsłuchiwał się w turkot kół i stukot końskich kopyt o kamienie bruku. Przymknął oczy, dziękując niebiosom, że w tę zimną i deszczową noc nie musi iść do domu piechotą.

## **Przepowiednia wróżki**

*Doświadczenie potwierdza, że prawda jest, co mówi Appiusz w swoim dziele: każdy jest kowalem swego losu.*

Salustiusz  
„Mowa do Cezara o państwie” (I w. p.n.e.)

*W ludzkim życiu  
Trafia się morski prąd, który żeglarza  
Niesie ku wielkim zyskom: prąd przegapić —  
To utkwic dziobem na resztę żywota  
W mieliznach nędzy.*

William Shakespeare  
Juliusz Cezar” (1598-1600)

*Szczęście sprzyja odważnym*<sup>7</sup>.

Wergiliusz  
„Eneida”

1848

*Francja, Paryż, Rezydencja hrabiego i hrabiny  
de Levesque*

Mimo upływu lat stolica Francji wciąż nie doszła do siebie po szoku, jakim było zgilotynowanie króla Ludwika XVI i królowej Marii *Antoniny* pod koniec osiemnastego wieku. Od tamtej pory miasto pozostało areną nieustannych walk rozmaitych frakcji politycznych. Sytuacja nie zmieniła się nawet wówczas, *gdy przewrócono monarchię, a na tronie zasiadł Ludwik Filip I, zwany mieszczańskim królem*, coraz bardziej znienawidzony przez poddanych. Szczególnie aktywni jego przeciwnicy zamierzali 14 stycznia zorganizować demonstrację, lecz na mocy prawa o zgromadzeniach władze im tego zakazały. Rebelianci nie dali się zastraszyć i zamiast odwołać demonstrację, lekceważąc królewski zakaz, przełożyli ją na 22 lutego. Traf chciał, że tego dnia w pałacu państwa Levesque miała się odbyć maskarada. Hrabia, bardziej świadomy tego, co się dzieje na paryskich ulicach, roztropnie zaproponował, aby wydać bal innego dnia, ale jego żona nie dała się przekonać i nie chciała słyszeć o zmianie terminu.

- *Non*, Jean-Paul. Zaproszenia rozesłane! Wy-

<sup>7</sup> Przełożył Jan Nepomucen Kamiński.

biera się do nas cała śmietanka towarzyska. Nie mogę zrobić zawodu naszym gościom tylko dlatego, że banda radykałów planuje na ten dzień jakąś demonstrację. Zresztą całkiem prawdopodobne, że do niej nie dojdzie.

*Nadszedł wieczór, podczas którego miał się odbyć wielki bal.* Ariana stała w sypialni przed ogromnym lustrem w ozdobnej ramie. Po chwili podeszła do okna i przez prowadzące na balkon oszklone drzwi obserwowała grupy demonstrantów, które wychodziły z labiryntu wąskich, krętych przecznic na Rue St. Honore. Byli wśród nich paryscy artyści, rzemieślnicy i kupcy. Wszyscy zmierzali ku Champs Elysees, Place de la Madeleine i Place de la Concorde. Z niepokojem przyglądała się ich zaciętym, gniewnym twarzom. Tu i ówdzie pod obszernymi płaszczami dostrzegła pistolety, szpady i sztylety.

Spojrzała w lustro. Tego wieczoru miała na sobie kostium egipskiej królowej Kleopatry. Własnym uszom nie wierzyła, gdy usłyszała od matki, że ten strój nikomu nie wyda się krępujący, ponieważ do złudzenia przypomina suknie modne za Napoleona Bonapartego i cesarzowej Marii Ludwiki. Kreacja Ariany nie była wyzywająca, ale przybrany złotą lamówką karczek z białego muslinu podkreślał kształt pełnych piersi, a fałdzista spódnica uwydatniała obłą linię bioder. Całości dopełniała kruczoczarna peruka. Sięgające karku włosy ułożone były jak u kobiet wyobrażonych na egipskich freskach. Ariana włożyła na nie złoty

diadem. Pośrodku znajdowała się figurka kobry z rozłożonym kapturem. Zamiast pantofelków na kształtnych stopach miała sandały plecione z liści papirusu. Egipskie przebranie wymagało mocnego makijażu. Ametystowe oczy panny Levesque, obrysowane czarną kredką, nabrały tajemniczego wyrazu.

- Cudnie panienka wygląda! - zachwycała się głośno pokojówka Sophie, niepoprawna romantyczka. Klasnęła w dłonie i dodała z westchnieniem: - Wszyscy kawalerowie będą ubiegać się o względy panienki i rezerwować kolejne tańce. A damy pękną z zazdrości!

- Zapewne - przytaknęła Ariana. - Co nie zmienia faktu, że obecna sytuacja bardzo mnie niepokoi. Są jakieś nowiny, Sophie? Doszło do zamieszek?

- *Non*. Przynajmniej mnie nic o nich nie wiadomo, *mademoiselle*. Pani hrabina dobrze mówiła, że plany tych panów z opozycji spełzną na niczym. Wielki Boże, jak późno! Pora zejść na dół! - zawołała Sophie.

- Owszem - przyznała Ariana i uśmiechnęła się, choć nadal była pełna obaw.

Nie rozproszyły ich ani zachwyty matki, ani komplementy zgromadzonych w sali balowej młodych mężczyzn. Wielu gości dyskutowało z ożywieniem o demonstracji i rozruchach, których można się było spodziewać w razie próby rozproszenia nielegalnych zgromadzeń. Ariana pilnie przysłuchiwała się tym poważnym rozmo-

wora, ale nie wszystkie damy podzielały jej zainteresowanie.

- Och, śmiertelnie nudzą mnie te wasze dyskusje o rewolucji i radykałach! - *Mademoiselle* Gabrielle Fournier spiorunowała wzrokiem kilku młodzieńców zebranych przy długim stole z przekąskami. - Sądziłam, że jesteśmy tutaj, żeby się bawić, a nie dyskutować o przyszłości Francji. Co nas obchodzą ministrowie, nawet ci najbardziej zniechęceni? Król ich zwolni, lecz nie abdykuje. Oto moje zdanie. Ariano, czy już sobie wróżyłaś?

- *Non*. Tańczyłam przez cały wieczór i nagle poczułam się taka znużona, że musiałam się pokrzepić. Pan St. Quentin zarezerwował wprawdzie następny taniec, ale wyjaśniłam mu, że wolę coś zjeść na kolację, niż biec na parkiet.

- Skoro zaspokoiliś głód, musisz natychmiast iść do namiotu *madame* Polgar. Niech ci przepowie przyszłość - nalegała *mademoiselle Josephine* de Hautmesny. - Nie masz pojęcia, Ariano, co od niej usłyszałyśmy! Same zagadki! Nie wiemy, co o tym myśleć.

- *Oui*, to prawda - przyznała *mademoiselle* Veronique Richeville. - *Madame Polgar* jest tajemnicza, a zarazem fascynująca. Początkowo sądziłam, że twoja matka wynajęła aktorkę i kazała jej grać rolę wróżki, żeby goście mieli rozrywkę. Po wysłuchaniu przepowiedni zmieniłam zdanie. Jestem pewna, że *madame* Polgar naprawdę ma dar jasnowidzenia. Zastanawiam się, gdzie pani hrabina ją poznała.



- Nie mam pojęcia - odparła z roztargnieniem Ariana, zaciekawiona uwagami przyjaciółek.

W rogu sali balowej na życzenie pani domu zbudowano podium, które zostało przykryte perskimi dywanami w najróżniejszych odcieniach złota i kości słoniowej. Stał na nim ogromny namiot z połyskliwego jedwabiu, ozdobiony grubymi złotymi sznurami i długimi frędzlami. W tym namiocie *madame* Polgar miała dziś swoje królestwo. Ariana, otoczona roześmianymi przyjaciółkami, ostrożnie uchyliła jedwabną połą.

Miała wrażenie, że gdy stanęła na progu królestwa *madame* Polgar, znalazła się nagle w innym świecie. Natychmiast zapomniała o gościach, muzyce, wybuchach śmiechu i gwarze sali balowej. W mrocznym namiocie brzmiała dziwna i piękna melodia, a dźwięki przywodziły na myśl poranny śpiew budzącego się ptactwa. Ariana od razu poddała się jej urokowi.

W rogu leżała duża poduszka ze złocistej satyny, ozdobiona złotym sznurem i frędzlami. Siedział na niej karzeł o śniadej skórze i zniekształconej postaci. Ledwie widoczny w półmroku wprawnie dotykał palcami strun harfy. Pośrodku namiotu zgromadzono wszelkie akcesoria niezbędne *madame* Polgar do uprawiania sztuki tajemnej: duży, ciężki fotel podobny do tronu, zdobiony kunsztownie rzeźbionymi głowami kóz i baranów, węży i smoków, a także wizerunkami kruków i skarabeuszy. Tapicerkę wykonano z mięsistego aksamitu rubinowej barwy. Po obu stronach umiesz-

czono dwunastoramienne złote kandelabry, arcydzieła sztuki zdobniczej. Płonęły w nich grube woskowe świece, jedyne źródło światła w namiocie. Z ramion kandelabrow na łańcuchach o zawitym splocie zwisały piękne złote kadzielnice, z których wydobywały się smugi wonnego dymu. Przed fotelem umieszczono złożony stolik rzeźbiony w drewnie, z dekoracją przedstawiającą kwiaty i liście akantu. Zwieszał się z niego czarny, wzorzysty szal z wyobrażeniami migotliwych słońc, księżyców i gwiazd. Stała na nim bogato zdobiona lśniąca szkatułka i duża szklana kula umieszczona na postumencie ze szlachetnego kruszcu. Naprzeciwko ogromnego fotela umieszczono taboret.

*Madame* Polgar siedziała na tronie niczym wszechwładna monarchini. Równie dobrze mogła mieć czterdzieści, jak i sto lat. Na śniadej twarzy o wyraźnie zaznaczonym orlim nosie nie było ani jednej zmarszczki. Tylko dłonie pokryte ciemnymi plamami, białe i szponiaste, o wychudłych palcach i krwistoczerwonych paznokciach zdradzały, że wróżka nie jest młodką, tylko kobietą w podeszłym wieku. Głęboko osadzone, bystre oczy obwiedzione były czarną kreską. Żółtawe tęczyki oraz przenikliwe spojrzenie upodabniały je do ślepi jastrzębia. Wydatne usta *madame* pomalowała szkarłatem. Włosy okryła pasowym turbanem ozdobionym barwnymi piórami oraz imitacji rubinu otoczonego sztucznymi brylantami. Miała na sobie obszerną, luźną szatę z kilku warstw

pąsowego i złocistego jedwabiu, w uszach złote kółka, a na przegubach rąk połyskliwe bransolety. Palce zdobiły liczne pierścienie wysadzone imitacjami szlachetnych kamieni. Gdy przemówiła, głos jej zabrzmiał jak niskie, chrapliwe krakanie. Mówiła po francusku z wyraźnym akcentem, zdradzającym jej pochodzenie.

- Zbliź się, córo Izydy - powiedziała. - Długo na ciebie czekałam.

- Przebrana jestem za Kleopatę - poprawiła Ariana, powoli wchodząc do namiotu.

- Wiem. Ta wielka królowa w czasie swego ziemskiego żywota była uosobieniem bogini Izydy. Gdy postanowiła umrzeć, dała się ukąsić nie żmii, jak powszechnie uważano, lecz świętej kobrze bogini Meretseger, która była jedną z emanacji Izydy. Wszystkie boginie są w istocie różnymi postaciami tej jedynej, a w każdej z nich objawia się nam święta Gaja, Matka-Ziemia, boska Macierz wszelkiego stworzenia. A więc powtarzam: zbliź się, córko Izydy. Podejź i usiądź. Odkryję przed tobą przyszłość, dobrą lub złą.

Ariana przycupnęła niepewnie na brzegu taboretu.

- Wierzysz w los i przeznaczenie, córko Izydy?

- *Out.* Tak sędę. Jak wszyscy.

- *Non.* Niektórzy są przekonani, że przeznaczenie nie istnieje, i twierdzą, że sami kształtujemy własne życie, ponieważ zostaliśmy obdarzeni wolną wolą. Prawda jest taka, że nie należy popadać w żadną z owych skrajności, bo wówczas jakiz

sens miałyby modlitwy zanoszone do bogów i bogiń, którzy w rzeczywistości są emanacjami Jedyne Boga i Jednej Bogini?

- Zapewne... Sama nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- A powinnaś! Najpierw pokaż mi ręce - poleciła *madame* Polgar.

Ariana skwapliwie posłuchała.

- Prawa ręka... Na niej uwidoczniony jest los - wyjaśniła jasnowidząca, uważnie przyglądając się dziewczęcej dłoni. - Linie, które tutaj widzisz, zostały także zapisane w gwiazdach, kiedy przyszedłaś na świat. Gdybyś w ogóle nie mogła o sobie decydować, byłyby to w istocie dokładny plan twojej przyszłości. Lewa ręka wiąże się z pojęciem wolnej woli. Jak widzisz, linie na obu dłoniach wyglądają inaczej. Na lewej są zapisane wszystkie wybory, których już dokonałaś i których możesz dokonać w przyszłości, zmieniając na lepsze lub na gorsze przypisany ci w tym życiu los.

- W tym życiu? - powtórzyła jak echo Ariana, marszcząc brwi.

- *Oui*. Wiadomo przecież, że dusza jest nieśmiertelna i nie umiera z ciałem, tylko samotnie podejmuje wędrówkę ku Jedyne Boga i Jednej Bogini, albowiem droga do Ojca i Matki nie jest prosta. Przypomina labirynt, w którym nasza prawda i mądrość poddawana jest licznym próbom. Jednego życia nie wystarczy na taką podróż. Dusza odbywa ją, wcielając się wielokrotnie, aż pojmie, że musi dostąpić jedności z Jedyne Boginią i Jedy-

nym Bogiem. - *Madame* Polgar złączyła dłonie Ariany. - W życiu człowieka przeznaczenie i wolna wola splatają się ze sobą tak jak twoje złączone dłonie, składając się na indywidualny los.

- Co mnie czeka?

- Jesteś pewna, córko Izydy, że chcesz usłyszeć odpowiedź na to pytanie?

- *Oui, madame.*

- A więc popatrzmy.

Puściła dłonie Ariany, sięgnęła po kryształową kulę i przesunęła na środek stolika. Narzuciła na nią koniec szala i polerowała starannie. Długie, koliste ruchy szponiastych rąk i dźwięki harfy z wolna wprawiły Ariane w hipnotyczny trans. Nie była w stanie zebrać myśli. Wydało jej się, że wonności, płonące w kadzielnicach, pachną coraz mocniej. Miała wrażenie, że unosi się wysoko i ogląda wnętrze namiotu z wielkiego oddalenia. Dużo czasu minęło, nim *madame* Polgar zsunęła czarny szal z kryształowej kuli, której powierzchnia rozbłysła błękitnymi iskrami. W półmroku zdawały się wychodzić z kościstych palców i trzaskały jak łamane gałązki.

- Długo i uważnie wpatrz się teraz w kulę i powiedz mi, co widzisz.

Ariana pochyliła się i utkwiała wzrok w błękitnawej głębi, ale niczego nie zobaczyła. Kryształ był nadal przezroczysty. Nagle ku jej ogromnemu zaskoczeniu pobiełał, jakby wypełnił się mgłą.

- Widzę... opary, *madame*- powiedziała niepewnie.

- Nic więcej?

W chwili, gdy jasnowidząca zadała pytanie, szarobłękitne pasma zawirowały i rozstały się niczym półprzezroczysta zasłona, ukazując bezmiar wód.

- *Mon Dieu*, jezioro! - krzyknęła zduszonym głosem Ariana. Czyżby śniła na jawie senny koszmar, który powracał, odkąd sięgała pamięcią?

Tak była porażona widokiem, który ukazał się jej oczom, że nie usłyszała spazmatycznego westchnienia jasnowidzącej, która natychmiast pochyliła się do przodu.

- Jezioro? - zapytała skwapliwie.

- *Oni*. Nazywa się Loch Ness i leży w górach Szkocji. *Mademoiselle* Thibault opowiadała mi o nim podczas lekcji geografii.

- Rozumiem. Jest duże?

- Raczej długie. Wydaje się nie mieć początku ani końca. Jest wąskie. Gdy mgła się rozproszy, widać przeciwny brzeg.

Obraz zmienił się nagle. Ujrzała stare zamczysko zbudowane z kamienia barwy spłowiełej krwi. Gdy powiedziała o tym *madame*, ta wydawała się bardzo poruszona. Ariana przypomniała sobie prośby i ostrzeżenia matki, która zabroniła jej wspominać o nocnych koszmarach, i zamilkła. Marzyła jedynie o tym, żeby wyjść z namiotu, ale tak osłabła, że nie była w stanie podnieść się z taboretu.

Złote koła w uszach wróżki zakołysały się, gdy odsunęła kryształową kulę i otworzyła złotą szkatułkę. Wyjęła z niej talię kart do tarota. *Madame*

Polgar obchodziła się z nimi nadzwyczaj ostrożnie.

- Potasuj trzy razy, córko Izydy - poleciła wróżka.

Gdy karty zostały rozłożone, *madame* wpatrzyła się w nie z ogromnym zaciekawieniem.

- Ci trzej królowie oznaczają trzech mężczyzn, których spotkasz na drodze życia. Strzeż się tego.

- Szkarłatnym paznokciem energicznie postukała w obrazek przedstawiający Króla Pentagramów.

- Karta jest odwrócona, co oznacza, że mamy do czynienia z wrogiem i nikczemnikiem. Zła wróżba dla ciebie, córko Izydy. Król Mieczy uprawia tę samą profesję, co jego poprzednik. Być może jest prawnikiem? W każdym razie jego zajęcie wymaga namysłu i zdolności do starannej analizy faktów. Nie umiem powiedzieć, czy stanie się dla ciebie przyjacielem, czy wrogiem. A oto Król Magicznej Różdżki. Ten będzie ci oddany. Wybierz go, jeśli okaże się, że trzeba komuś zaufać. Będzie cię strzegł choćby za cenę życia. Przed tobą wiele niebezpieczeństw, córko Izydy. Wkrótce wyruszysz w ryzykowną podróż. Przepłyniesz morze i trafisz do kryjówki, w której przed wiekami ukrył się smok. Od dawna czeka na twój powrót, a z nim braci, którzy przybrali miano synów. Już teraz ciągną z oddali i gromadzą się niczym stado kruków padlinożerców, kołujących nad polem bitwy. Z odległego brzegu przybywa obcy, żeby upomnieć się o skarb przedwiecznego. Zrządzeniem losu tak samo jak on będziesz zmuszona

włączyć się do niebezpiecznych poszukiwań, ale znajdziesz nie to, czego zaczniesz szukać, albowiem z dwu serc tylko jedno urzeczywistni swoje pragnienia. Trwaj wiernie przy tym, które jest ci oddane, bo tamto drugie oszuka cię na koniec. Trzymasz w rękach klucz do swego przeznaczenia. Zawsze go miałaś. Zrób z niego mądry i dobry użytek.

Gdy *madame Polgar* zamilkła, Ariana podniosła głowę znad rozłożonych na stoliku tajemniczych kart. Wróżka zniknęła. Ucichła również hipnotyczna muzyka. Na poduszce nie było karła. Można by pomyśleć, że on i jego pani rozpułynęli się w obłoku wonnego dymu, od którego Arianie brakowało tchu. Wolno odsunęła taboret i wstała. Nie śmiała uczynić kroku, bo kolana się pod nią ugiwały. W końcu ostrożnie, powoli ruszyła do wyjścia. Kiedy opuściła namiot, zamrugała powiekami, oślepią jasnością sali balowej. Natychmiast otoczyły ją ciekawskie przyjaciółki. Na pytania, co usłyszała od wróżki, odpowiedziała ogólnikami i dodała nonszalancko:

- Szczerze mówiąc, uwierzę w te przepowiednie dopiero wtedy, gdy będę zmuszona opuścić Francję, a na to się nie zanosi.

Następnego dnia nadeszły wieści, które przeraziły Ariane. Rebelianci zamiast przycichnąć, wzniecili nowe zamieszki. We wszystkich dzielnicach Paryża wyrosły barykady, a dowódcy gwardii narodowej podali do wiadomości, że lud żąda od króla Ludwika Filipa natychmiastowej dymisji



powszechnie znienawidzonego pierwszego ministra, Francois Guizota. Kiedy z pałacu królewskiego przyszedł rozkaz, aby strzelać do manifestujących tłumów, gwardziści odmówili jego wykonania. Pilnie strzeżony Guizot zamknął się w swoim domu. Przeciwko demonstrantom wysłane zostały regularne oddziały wojskowe. Padły strzały. Zginęła ponad setka Paryżan.

Następnego dnia około południa Ariana z niedowierzaniem słuchała nowin, które przyniósł ojciec. Król Ludwik Filip abdykował, a Francja pogrążyła się w chaosie. W tej sytuacji hrabia i jego żona postanowili natychmiast wyjechać do Anglii i tam bezpiecznie przeczekać rewoltę.

Przepowiednia *madame* Polgar zaczynała się spełniać.

## KSIĘGA DRUGA

### **Zapomniana przeszłość**

*Trzymam to w szkatułce  
Pamięci, której klucz bierzesz ze sobą.*

William Shakespeare  
„Hamlet” (1600-1601)

*Przeszłość jest najpewniejszym zwiastunem  
przyszłości.*

George Byron  
„Dziennik” (28 stycznia 1821)

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### Opowieści

*Czem życie? Złudzenia chwilką.  
Czem życie? Marzeniem, tylko,  
Cieniem, majakiem, rojeniem,  
Największe szczęście - pół niczem:  
Sennem jest życie marzeniem,  
Sen zaś snem tylko zwodniczym\*.*

Pedro Calderon de la Barca  
„Życie snem” (1195)

*I wciągnij w płuca jeszcze parę razy  
Ostre powietrze okrutnego świata -  
Pozostań żywym świadkiem mej historii.*

William Shakespeare  
„Hamlet” (1600-1601)

<sup>8</sup> Przekład Józefa Szujskiego.

*Na mury zamku łuna chwały pada,  
Na śnieżne szczyty sławne w baśni<sup>9</sup>.*

Alfred Tennyson  
„Królewna” (1847)\*

1848

*Anglia, Londyn, Oxford Street, Baker Street,  
Hatton Green*

Następnego ranka po brutalnym pobiciu przez nieznaną sprawców Malcolm stwierdził po przebudzeniu, że jest sztywny i obolały na całym ciele. Świadomy, że nie może wylegiwać się w nieskończoność, wstał z trudem. Gdy podczas codziennych porannych ablucji spojrzął w owalne lustro zawieszone nad toaletką, ucieszył się, bo na smagłej twarzy nie spostrzegł ani jednego siniaka. W przeciwnym razie musiałyby gęsto tłumaczyć się przed domownikami, a nie chciał, żeby matka wiedziała o wczorajszej napaści.

Sam przyznał w duchu, że nie była to zwyczajna próba obrabowania zapóźnionego przechodnia. Zgadzał się z posterunkowym, że obwiesie działali w sposób zorganizowany, co jednak nie oznaczało, że ród Foscarellich maczał w tym palce. Zakładał również, że odwiedziny dwu śniadych klientów w sklepie pana Quimby'ego i wieczorna bójka to jedynie zbieg okoliczności. Na wszelki

<sup>9</sup> Przekład Zygmunta Kubiaka.

wypadek postanowił jednak zdwoić uwagę i zachowywać szczególną ostrożność.

Ubrał się, zjadł śniadanie i opuścił Hawthorn Cottage. Żwawym krokiem maszerował w stronę przystanku omnibusa. Pan Quimby namawiał wczoraj Malcolma, żeby wziął wolny dzień i odpoczął, ale młodzieńcowi bardzo zależało, by jak najszybciej wykonać zaplanowane na dzisiaj zadania. Miał nadzieję zyskać dzięki temu więcej czasu na popołudniową rozmowę z pryncypałem. Zdawał sobie sprawę, że gdyby matka o niej wiedziała, ogarnąłby ją paniczny strach. Nie była w stanie udzielić mu pomocy ani znaleźć wpływowych stronników. Z pewnością nie życzyłaby sobie, aby zaczął szukać szmaragdu albo planował zemstę za śmierć ojca i stryja Charlesa. Malcolm przysiągł sobie jednak, że mimo wszelkich trudności morderca i jego wspólnicy prędzej czy później zapłacą mu za wszystko.

Gdy dotarł na Oxford Street, natychmiast podwinął rękawy i siadł do rysowania mapy. Kiedy uporał się ze wszystkimi poprawkami, uznał, że chlebodawca będzie z niego zadowolony, choć w jednym miejscu po licznych korektach papier był cienki jak bibułka.

- Znakomicie, mój drogi. Świetnie sobie radzisz - pochwalił pan Quimby, gdy Malcolm pokazał mu swoje dzieło. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Zostaw rysunek na stole. Kiedy Harry skończy się posilać, naniesie go na płytę. Idziemy do mnie. Muszę przyznać, że po zdarzeniach

wczorajszego wieczoru bardzo jestem ciekaw twojej relacji. Mam nadzieję, że czujesz się dziś lepiej, a twoja czcigodna matka nie wie o wczorajszych kłopotach. Niewątpliwie byłaby przerażona.

- Na szczęście, proszę pana, nie ma o niczym pojęcia. Niezbędna mi jest pańska rada i pomoc. Jest pan jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, drogi Malcolmie. Obym tylko stanął na wysokości zadania. Ubierzmy się ciepło i ruszajmy. Zapewniam cię, drogi chłopcze, że moja ciekawość rośnie z każdą minutą.

Pan Quimby zdecydował, że wezmą dorożkę. Wkrótce byli na miejscu. Pani Merritt powitała ich serdecznie, wstawiła do pojemnika mokre parasole, powiesiła płaszcze i odłożyła na półkę rękawiczki.

- Wielcem rada, że zjesz dziś obiad z panem Quimbym, młodzieńcze - oznajmiła cała w uśmiechach. - Naszemu chlebodawcy potrzeba odpowiedniego towarzystwa. Nie samą pracą człowiek żyje. Kazałam Polly nakryć w jadalni - zwróciła się do pana Quimby'ego. - Uznałam, że tak będzie najlepiej, skoro ma pan gościa.

- Bardzo dobrze, moja droga - pochwalił, z zadowoleniem kiwając głową. - Doskonale to pani urządziła. Czy podano do stołu?

- Wazy i półmiski czekają w kredensowym. Wszystko gotowe.

- Znakomicie! Chodź, Malcolmie.

Pod czujnym okiem pani Merritt lokaj napełnił talerze. Potem skłonił się, a ochmistrzyni dygnęła i oboje dyskretnie się oddalili. Dopiero wówczas pan Quimby spojrzał znacząco na Malcolma.

- Teraz, mój chłopcze, nikt nam nie przeszkodzi. Jedz i opowiadaj. Po wysłuchaniu twojej historii zastanowię się, jak ci pomóc.

Malcolm pożywiał się, między jednym a drugim kęsem relacjonując wszystko, czego dowiedział się od matki. Pan Quimby słuchał uważnie. Od czasu do czasu kiwał głową lub pozwalał sobie na wyrażający zdumienie okrzyk. Zadał też kilka pytań. Opowieść dobiegła końca, gdy pili kawę i delektowali się pyszną szarlotką.

- Nie muszę ci mówić, że ta historia wielce mnie poruszyła, Malcolmie - zapewnił pan Quimby. - Czy mogę obejrzeć krucyfiks, o którym wspomniałeś?

- Naturalnie! - Malcolm zdjął z szyi zawieszony na łańcuszku krzyżyk i podał pryncypałowi.

- Hm - mruknął pan Quimby po starannych oględzinach. - Robi wrażenie. Niestety, moja wiedza o tego rodzaju przedmiotach jest znikoma. Mam za to serdecznego przyjaciela. To znakomity jubiler. Jego pracownia i sklep znajdują się w okolicy Hatton Garden. Znam go od lat. Nazywa się Jakob Rosenkranz i jest Żydem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, mógłbym pokazać mu twój krucyfiks i zapytać o opinię. To człowiek wyjątkowo uczciwy i prawy.

- Rzecz jasna, polegam na pańskim zdaniu, ale

jedna sprawa mnie intryguje. Z całym należnym szacunkiem chciałbym o jedno zapytać. Cóż pański żydowski przyjaciel może wiedzieć o krucyfik-sach?

- Więcej niż sądzisz! Krzyż to odwieczny symbol związany nie tylko z chrześcijaństwem. Jakob zdobył ogromną wiedzę. Bardzo możliwe, że i o twojej pamiętce będzie miał coś do powiedzenia. Kto wie, może zdoła nam pomóc?

- W takim razie zwrócimy się do pana Rosenkranza. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że ten krucyfiks jest całkiem zwyczajny. Wątpię, aby jego oględziny coś nam dały, a już całkiem nieprawdopodobne wydaje mi się, by mógł być kluczem do tajemnicy mego rodowego dziedzictwa.

- Tak czy inaczej, jesteśmy zgodni, że warto zasięgnąć opinii doświadczonego jubilera - odparł z zadowoleniem pan Quimby. - Niestety, dziś nie ma czasu na odwiedzin u Jakoba, bo gdybyśmy się teraz do niego wybrali na rozmowę, nie zdołamy wrócić do firmy przed zamknięciem. Poza tym trzeba dopilnować rytowania płyt do mapy, którą właśnie wyrysowałeś. To pilna robota. Proponuję, żebyśmy spotkali się Jakobem jutro w porze obiadu. Co ty na to?

- Świetna myśl, proszę pana. Zapewniam, że ogromnie sobie cenię wszelkie pańskie rady oraz gotowość do pomocy w tej sprawie - zapewnił Malcolm.

- Och, drobiazg, mój chłopcze. - Pan Quimby nonszalanckim gestem zbył podziękowania i uś-



miechnął się promiennie. - Wiesz, że uwielbiam zagadki. Jestem podekscytowany jak chłopak! Martwię się tylko, czy wczorajszy atak nie jest związany z tą sprawą. Moim zdaniem, roztropniej będzie, jeśli uczynimy takie założenie. Należy przedsięwziąć środki zaradcze. Mam na myśli trening pięściarski, lekcje fechtunku, ćwiczenia na strzelnicy. Słynny John Jackson zmarł trzy lata temu, nad czym bardzo ubolewam, a założony przez niego klub bokserski nie istnieje. Pojawili się jednak inni trenerzy. - Pan Quimby wymienił nazwiska kilku wybitnych nauczycieli pięściarstwa. - Nauka strzelania...

- Dzięki ojcu jestem bardzo dobrym strzelcem - wpadł mu w słowo Malcolm. - Zabierał mnie na polowania. Od dawna nie ćwiczylem...

- Powinieneś natychmiast do tego wrócić - oznajmił stanowczo pan Quimby. - Jeśli chcesz znać moją opinię, ci Włosi, hrabiowie Foscarelli oraz ich zausznicy, to banda szubrawców. Musisz na siebie uważać, drogi chłopcze.

Wstali od stołu i przeszli do przytulnej biblioteki, gdzie na kominku płonał ogień. Wypalili cygara i wypili po szklaneczce porto.

Kiedy wrócili do firmy, pan Quimby zaraz napisał krótki list do Jakoba Rosenkranza, zapowiadając, że odwiedzi go nazajutrz w porze obiadu. Młody Tuck zaniósł wiadomość i wrócił z odpowiedzią. Pan Rosenkranz nie miał innych zobowiązań i cieszył się ogromnie na spotkanie z przyjacielem.

Następnego dnia około dwunastej pan Quimby i Malcolm stanęli przed drzwiami niewielkiego sklepu opatrzonego szyldem „Rosenkranz - wytworna biżuteria”. Gdy weszli, powitał ich starszy pan o pomarszczonej twarzy, wysoki i bardzo szczupły. Włosy miał rzadkie i zwichrzone, długą brodę, a na nosie owalne okulary w srebrnych oprawkach. Patrzył zza nich bystro ciemnymi oczami. Nosił ubranie z czarnego sukna.

- Jak się masz, Jakobie? - przywitał go pan Quimby.

- Bez zmian. Jestem przepracowany, nie śmierdę groszem i ustawicznie marznę. W tym mieście panuje wieczna zima i ciągle pada.

- Moja rada: weź sobie wolne, każ więcej płacić klientom i podrzuć węgla do kominka.

- Dobre sobie! Zostawić warsztat bez nadzoru? Bzdury gadasz! A co do cen... Ciekawe, jak zmusisz połowę mojej wysoko urodzonej klienteli, żeby wreszcie zapłaciła za wykonane klejnoty. Na zimno też nic nie poradzisz. Jeśli mocniej napalę, stary komin nie wytrzyma i eksploduje, a wtedy marny mój los.

- Trafisz do więzienia za spowodowanie wybuchu i pożaru. Władze najpewniej uznają to za sabotaż, stary draniu. Mniejsza z tym. Pozwól, że ci przedstawię mego czeladnika. Oto pan Malcolm Blackfriars. Malcolmie, to jest mój serdeczny przyjaciel Jakob Rosenkranz. Udaje ponuraka, ale nie warto się tym przejmować. Taką ma naturę. Moim zdaniem, wynika to z jego profesji. Jeśli kartograf

popęłni omyłkę, wyciera ślad ołówka i poprawia rysunek. Błąd jubilera jest o wiele poważniejszy w skutkach, bo oznacza zniszczenie szlachetnego kamienia.

- Trafiłeś w sedno - przyznał Jakob Rosenkranz. - Zapraszam do gabinetu. Aaronie, Ezechielu, podajcie gościom herbatę.

Usiedli w fotelach otoczeni szklanymi gablotami, w których wystawiono biżuterię. Wolno sączyli gorącą herbatę przyniesioną przez chłopców, terminujących u jubilera.

Na prośbę pana Quimby'ego Malcolm streścił opowieść, którą usłyszał od matki. Im dłużej mówił, tym uważniej słuchał go pan Rosenkranz.

- Chcielibyśmy, żebyś obejrzał ten krucyfiks, Jakobie - oznajmił pan Quimby, kiedy Malcolm umilkł.

- Chętnie to uczynię, lecz najpierw muszę wam coś pokazać - odparł jubiler. Ciemne oczy błyszczały mu z podniecenia. Ledwie nad sobą panował, tak był podekscytowany. - Nie ma przypadków, moi drodzy, nie ma przypadków!

Mamrocąc jakieś mądre maksymy na temat przeznaczenia, chwycił pęk kluczy zawieszony na łańcuszku przypiętym do kamizelki, otworzył masywną komodę i wyjął z szuflady dużą posrebrzaną kasetkę. Postawił ją na blacie biurka i podjął opowieść.

- Dawno, dawno temu, pewnej letniej nocy, a właściwie nad ranem Ezechiela Rosenkranza, mego przodka, który wówczas był właścicielem

sklepu i warsztatu, obudziło walenie do drzwi. Mieszkał na górze. Z początku lękał się, że policja chce go aresztować pod pretekstem jakiegoś wykroczenia. Mógł się też spodziewać pogromu. Zdarzało się wszak, że bandy szubrawców ni stąd, ni zowąd atakowały moich ziomków. Mieszkając na cudzej ziemi, nie możemy nigdy czuć się bezpieczni. Mój antenat siedział cicho i ani myślał otwierać nocnym gościom. Walenie do drzwi stawało się jednak coraz głośniejsze. Ktoś zaczął wrzeszczeć. Z obawy przed rozeźlonymi sąsiadami Ezechiel odważył się wyskoczyć z łóżka i wystawić głowę przez okno. Na chodniku przed kamienicą ujrzał samotnego mężczyznę, który zawołał, że musi się z nim widzieć, ponieważ to sprawa życia lub śmierci.

Podeksycytowany Jakob zamilkł dla nabrania tchu, lecz po chwili podjął wątek.

- Ezechiel bał się okropnie. Rozejrzał się ponownie, lecz nie dostrzegł na ulicy nikogo prócz swego rozmówcy. Zbiegł na dół, żeby go wpuścić. Nocny gość przeprosił za najście, a potem oznajmił, że nazywa Westerfield i jest lokajem earla Dundragon zamieszkałego w zajeździe „Pod Wrednym Sępem” przy St. Michael's Alley.

- Co ja słyszę! - krzyknęli zgodnie pan Quimby i Malcolm, nie kryjąc zdumienia.

- Zaskoczyłem was, panowie? To samo czułem, słuchając pańskiej opowieści, drogi panie Blackfriars. Wróćmy do Westerfielda. Opowiedział krótko o katastrofalnej przegranej swego pana, a także

o nikczemności hrabiego Foscarellego, który cynicznie wyzwał go na pojedynek. Wspomniał, że earl chce się wymigać od konfrontacji i uciec do Bretanii. Biedak potrzebował pieniędzy, kazał więc lokajowi zastawić złoty zegarek, rodowy sygnet i srebrny krucyfiks.

Malcolm i pan Quimby znów krzyknęli, zaskoczeni tym nagłym zwrotem akcji. Pytania cisnęły się na usta, ale Jacob Rosenkranz gestem nakazał gościom milczenie.

- Cierpliwości. Zaraz wszystkiego się dowiecie.  
- Upił łyk herbaty i odetchnął głęboko. - Kiedy dobijali targu, mój przodek Ezechiel zorientował się, że Westerfield nie ma ochoty rozstać się ze srebrnym krzyżem z obawy, że pan nie będzie w stanie później go wykupić. Lokaj poprosił w końcu o pióro i papier. Napisał do brata swego chlebodawcy, gdzie zostawia krucyfiks. Człęk ten zwał się Neill, wicehrabia Strathmór. Westerfield tłumaczył Ezechielowi, że srebrny krzyż to rodzinna pamiątka, lecz zważywszy na jego ogromne poruszenie, mój przodek zaczął podejrzewać, że nie chodzi tutaj wyłącznie o domowe sentymenty i wielkopańskie fanaberie. Przeczucia te wkrótce się potwierdziły. Gdy Westerfield opuścił warsztat Ezechiela, ten obserwował go ukradkiem, wyglądając przez okno od frontu. W pewnym momencie jego oczom ukazał się okropny widok: lokaj został brutalnie zaatakowany przez kilku smagłych cudzoziemców, którzy czekali ukryci w bramie kamienicy. Pociągnęli biedaka ku prze-

cznicy. Już stamtąd nie wyszedł. Zapewne byli sługusami Foscarellego.

Rosenkranz westchnął i po chwili milczenia opowiadał dalej.

- Trudno się dziwić, że Ezechiela zdjął strach, iż stanie się kolejną ofiarą tamtych nikczemników. Był przekonany, że Westerfield świadomie lub nieświadomie jest zamieszany w niebezpieczną intrygę. Przede wszystkim uznał za stosowne usunąć z domu wszelkie dowody, że i sam ma w niej udział. Schował do kieszeni list Westerfielda do wicehrabiego Strathmóra oraz srebrny krucyfiks, chyłkiem wymknął się ze sklepu tylnymi drzwiami i popędził na Petticoat Lane w dzielnicy żydowskiej, gdzie mieszkało kilku jego krewnych. Zaszedł po kryjomu do siostrzeńca. Tam wykonał dokładny rysunek krzyża. Przedmiot i obrazek umieścił w skrytce pod podłogą. Kiedy się z tym uporał, przyszło mu do głowy, że powinien napisać do wicehrabiego o sprawach, których był świadkiem. Dodał również wskazówki, dotyczące możliwości odzyskania krucyfiks. Z tym listem wysłał też wiadomość od lokaja. Na wszelki wypadek przez wiele dni trzymał się z dala od mieszkania i sklepu, ale kazał małoletniemu siostrzeńcowi obserwować swoje lokum. Przechytność godna pochwały i bardzo mądre posunięcie, bo pod jego nieobecność zausznicy Foscarellego włamali się do środka i wyrócili wszystko do góry nogami. Kilka dni później w bocznej uliczce znaleziono zmasakrowane zwłoki Westerfielda.

Po pewnym czasie przyszła odpowiedź od wicehrabiego Strathmóra. Ustalono czas i miejsce spotkania. Arystokrata wykupił krzyż, oferując za niego znacznie więcej, niż był wart. Cały Londyn wiedział już wtedy, że lord Dundragon został śmiertelnie ranny w czasie pojedynku w Green Parku i zaraz potem umarł. Rozeszła się wieść, że Włoch przejął wszelkie dobra nieboszczyka, które ten haniebnie i lekkomyślnie przegrał w karty. Wicehrabia Strathmór jako młodszy syn nie miał i przedtem żadnych widoków na odziedziczenie posiadłości, ponieważ lord Dundragon zapewne szybko by się ożenił i spłodził dziedzica. Roztropny ten człowiek machnął więc ręką na rodzinną schedę i wstąpił do wojska, gdzie odznaczył się i wzbogacił. Uzbierany kapitałik mądrze zainwestował. Stał się człowiekiem zamożnym, choć nie stać go było na luksusy. Dzięki swojej roztropności mógł hojnie wynagrodzić mego przodka za pomoc i uczciwość.

Jakob Rosenkranz rozejrzył się po gabinecie, pieszcząc wzrokiem klejnoty zamknięte w szklanych gablotach.

- Dzięki tym pieniądzom Ezechiel założył pracownię i sklep jubilerski z prawdziwego zdarzenia. Jak to się dziwnie plecie, drogi panie Blackfriars! Sam pan widzi, że losy pańskiej i mojej rodziny są ze sobą powiązane. - Jubiler zamilkł, a potem drugim kluczem nanizanym na metalowe kółko otworzył kasetkę, ustawioną wcześniej na blacie biurka. Przejrzył umieszczone w środku

papiery, a potem bez pośpiechu wyjął rysunek, zmięty i pożółkły ze starości. Podał go Malcolmowi i dodał: - Tak wyglądał tamten krzyżyk. Czy pański jest do niego podobny? - spytał z powagą.

- O tak! Bez wątplenia! - przytaknął z ożywieniem Malcolm. Pospiesznie zdjął z szyi klejnot i wraz ze szkicem podał jubilerowi, żeby ten je porównał.

- Moim zdaniem, mimo łudzącego podobieństwa to nie jest krzyż przechowywany u Ezechiela. Kto by myślał, że będę kiedyś trzymał w ręku niezwykle klejnot, przypominający tamten szkicowany przez mego przodka niespełna dwa wieki temu. - Zdziwiony Rosenkranz w zadumie pokiwiał głową. - To cenny przedmiot. Lite srebro, a nie posrebrzana cyna. Świetna robota. Znać mistrza. Mimo wszystko nie dostrzegam w tym przedmiocie żadnych cech, które nadawałyby mu szczególną wartość. Proszę się jednak nie zniechęcać moją opinią, drogi panie Blackfriars. Wygląd bywa zwodniczy. Wszyscy trzej jesteśmy świadomi, że ten krucyfiks musi być wart znacznie więcej, niż można by przypuszczać. Kryje w sobie jakąś tajemnicę. Biedny Westerfield najpewniej z jego powodu stracił życie. Ezechielowi zdemolowano warsztat. Wicehrabia Strathmór nie posiadał się z radości, kiedy go odzyskał. Motywy dekoracyjne są wyjątkowo bogate. Może w tym rzecz? Czyżby kryły jakiś sekret?

Jubiler otworzył szufladę, wyjął szkło powiększające i uważnie przyjrzał się krucyfiksowi.



- Otóż to! - Na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiezek. - Tak przypuszczałem. Niech panowie tu spojrzą. - Podał Malcolmowi lupę. - Proszę przyjrzeć się temu ornamentowi. Stylizowane pędy derenia. To popularny krzew ozdobny. Są tu kwiaty i kolce. Na rysunku tego nie widać, bo jest dwuwymiarowy, ale wśród splecionych gałązek i kwiatowych girland mamy odnogę, która po bliższych oględzinach okazuje się rzymską jedynką.

- Ma pan rację - przyznał Malcolm, wręczając lupę panu Quimby'emu.

- Wspomniał pan o drugim krucyfiksie, należą-cym do pańskiego stryja Charlesa, prawda?

- Owszem, matka twierdzi, że to kopia nasze-go-

- 2 całym szacunkiem należnym czcigodnej damie nie mogę zgodzić się z takim ujęciem owej kwestii. Z pewnością to nie był duplikat, drogi panie Blackfriars - sprzeciwił się pan Rosenkranz, energicznie kręcąc głową. - Gdyby krucyfiksy rzeczywiście były identyczne, po co by je numerowano?

- Słuszna uwaga! - zawołał pan Quimby, wyraźnie poruszony tym odkryciem.

- Czyniono tak, żeby odróżnić, który należy do mego ojca, a który do stryja Charlesa. Tak mi się wydaje - oznajmił rzeczowo Malcolm.

- I to prawda - przyznał nieco rozczarowany pan Quimby, któremu mina zrzędała.

- Chyba nie dość jasno się wyraziłem. Chodziło

o to, dlaczego twórcom krucyfiksów zależało na ich rozróżnieniu - wyjaśnił jubiler, marszcząc brwi. - Z pozoru są identyczne. Może jednak mają jakieś szczególne cechy? Po co w ogóle je numerowano? Gdy członkowie rodziny mają klucze do drzwi wejściowych, są one identyczne i nikt ich nie oznacza, bo otwierają ten sam zamek.

- Chyba zaczynam rozumieć, do czego pan zmierza - odparł z namysłem Malcolm. - Te numery mają określoną funkcję. Co więcej, choć ja nie jestem świadomy owej koincydencji, Foscarelli najwyraźniej dostrzegają związek między zaginionym szmaragdem a moim krucyfiksem. W przeciwnym razie po co ich siepacze atakowaliby nieszczęsnego Westerfielda i przeszukiwali sklep Ezechiela?

- Otóż to. - Śniadą twarz Jacoba Rosenkranza rozjaśniła radość. - Nam krucyfiks wydaje się zwyczajny, ale nie można wykluczyć, że istotnie jest kluczem do odnalezienia Serca Chepri.

- Nie pojmuję, czemu tak się radujecie - sarknął pan Quimby. - Jeśli doszłście do słusznych wniosków, a nie mam żadnego powodu, by je kwestionować, prawda jest taka, że dla odnalezienia tego przekłętogo szmaragdu potrzebujemy obu krucyfiksów. Wiesz, Malcolmie, gdzie szukać krzyża twego stryja?

- Nie mam pojęcia. Odkąd rozstaliśmy się ze stryjenką Katherine i jej dziećmi przed zajazdem w Newcastle-upon-Tyne, nie dali znaku życia. Moja matka od lat zamartwia się o nich i na każdą wzmiankę o kuzynach popada w przygnębienie.

- Mam propozycję, drogi panie Blackfriars. Oby tylko nie wydała się panu nazbyt śmiała. Jeśli pan i Septimus zechcecie włączyć mnie do swego grona, spróbuję przeprowadzić dyskretne śledztwo odnośnie drugiego krzyżyka. My, Żydzi, trzymamy się razem. Nie brak wśród nas jubilerów. Może dzięki moim ziomkom zdołam się czegoś dowiedzieć o tym zagadkowym przedmiocie.

- Doskonały pomysł, Jakobie - ucieszył się pan Quimby. - Jestem pewny, że mówię też w imieniu Malcolma.

- Ależ tak - potwierdził młodzieniec.

- W takim razie mam kolejną sugestię. Chciałbym, żebyśmy wszyscy trzej wybrali się w odwiedzin. Byłoby z korzyścią dla sprawy, gdyby dołączył do nas księgarz Boniface Cavendish. Ma sklep na Old Bond Street. Przeczytał tysiące książek i zna się na wiedzy tajemnej. Idę o zakład, że sporo wie o egipskim szmaragdzie, skradzionym przez pańskiego antenata i przynoszącym nieszczęście całemu rodowi.

- Doskonały pomysł! - zawołał pan Quimby. - Trzeba się z nim jak najszybciej umówić na spotkanie, drogi Malcolmie. On również wart jest zaufania. Boniface to szperacz, co się zowie. Co gorsza, niczego nie wyrzuca. Tonie w papierach!

Ustalili, że pan Quimby zaraz napisze liścik do księgarza i umówi się z nim na jutro. Wiadomość została zaniesiona przez młodego ucznia imieniem Ezechiasz. Malcolm i jego chlebodawca pożegnali się i opuścili sklep jubilera.

W doskonałych humorach wysiedli z dorożki na Oxford Street przed sklepem z mapami i pracownią kartograficzną. Wkrótce okazało się, że na pana Quimby'ego czeka już odpowiedź, którą w imieniu Cavendisha przesłał jego czeladnik. Z listu wynikało, że księgarz z powodu londyńskich chłódów nabawił się niedawno poważnej grypy, a po wyzdrowieniu dla podreperowania zdrowia za radą lekarza pojechał na wakacje i wygrzewał się teraz w południowym słońcu gdzieś nad Morzem Śródziemnym.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Cudem uratowana

*Nie daj się omamić sugestywnemu wyobrażeniu, ale powiedz mu tak: Wizjo, poczekaj chwilę. Niech ci się przyjrzę, niech się dowiem., czym jesteś i co oznaczasz. Poddaj się memu oglądowi.*

Epiktet  
„Diatryby”

*Miłości, bądźmy więc uczciwi  
Dla siebie wzajem! Bo świat, co pozornie  
Przed nami leży, jest krainą ze snu,  
Tak zmienny, taki piękny i wciąż nowy,  
Lecz brak tutaj wesela, światła i miłości,  
Pewności i pokoju, i współczucia w bólu.  
Musimy więc przemierzyć tę ciemną równinę*

*Pomimo obaw, bo dokoła trwają walki,  
Niepomnych armii oręż dźwięczy przez noc całą.*

Matthew Arnold

„Dover Beach” (1867)

1848

*Anglia, Londyn, The Pantheon Bazaar*

Ariana wraz z rodzicami z Paryża dotarła do Calais. Stamtąd wyruszyli statkiem w kierunku Dover. Celem podróży był Londyn, gdzie najpierw przez kilka tygodni mieszkali w eleganckim hotelu, a następnie przenieśli się do miejskiej rezydencji przy uroczym Portman Square w modnej dzielnicy Marylebone.

Kiedy hrabiostwo zadomowili się w Londynie, zaczęli bywać w najlepszych domach. Rodzice dyskretnie dawali do zrozumienia osiemnastoletniej Arianie, że powinna rozglądać się za odpowiednim kandydatem. Była wprawdzie zabezpieczona finansowo, bo ojciec hojnie ją wyposażył na wypadek swojej śmierci, ustanawiając fundusz powierniczy. Gdyby pozostała w panińskim stanie, mogłaby jednak korzystać wyłącznie z procentów, musiałyby więc żyć skromniej niż teraz, rezygnując z wielu przyjemności, a jej pozycja w wielkim świecie uległaby obniżeniu.

Pewnego wiosennego poranka Ariana zwierzyła się pokojówce Sophie.

- Czuję dziś wielkie ożywienie. Nie wiem, czemu to przypisać. Londyńska mżawka wreszcie

ustała. Mamy piękny słoneczny dzień. Pójdziemy przez park albo ruszymy Oxford Street aż do Pantheon Bazaar. Tyle o nim słyszałyśmy.

- *Oui!* Doskonały pomysł, *mademoiselle!* Panny służące innych dam mówiły, że można tam za rozsądną cenę kupić urocze świecidełka oraz inne drobiazgi. Mają tam galerię sztuki, oranżerię i pta-szarnię. Może to panienkę rozweseli? Widzę, że panienka tęskni za Francją.

- *Out,* to prawda. W Anglii żyje się inaczej, ale przynajmniej nie ma politycznego zamętu, który panuje u nas. Ale i tutaj bywało niespokojnie. Chodzą słuchy, że sześć lat temu doszło nawet do próby zamachu na królową Wiktorię. Byłam zaskoczona, bo zdawało mi się, że poddani uwielbiają Jej Królewską Mość oraz księcia Alberta. Wygląda na to, że różnie to bywa.

- I słusznie panienka to sobie tłumaczy. Królowa Wiktoria ma wielu wrogów, którzy chętnie przymusiliby ją do abdykacji. Z tego co słyszałam, całkiem nieźle dogaduje się z rządem i parlamentem, nie ma więc obawy, żeby tamtym udało się strącić ją z tronu - politykowała Sophie.

Ariana odbyła w towarzystwie Sophie bardzo przyjemny spacer. Kilka popołudniowych godzin spędziły, krążąc wśród straganów, tropikalnych roślin i klatek z ptakami. W końcu ogarnęło je znużenie, postanowiły więc wrócić do domu. Miały sporo paczek i paczuszek, a do tego klatkę z prześlicznymi papużkami nierozłączkami oraz dorodną rośliną doniczkową kupioną w oranżerii.

- Trzeba posłać umyślnego. Niech sprowadzi z domu nasz powóz - oznajmiła Ariana, mierząc spojrzeniem niezliczone pakunki. Uznała pieszą wędrowną na Portman Square z takim obciążeniem ponad jej siły.

- Lepiej zawołać dorożkę albo dwukótkę. Będzie szybciej - doradziła Sophie. - Nie będziemy musiały szukać posłańca i czekać, aż pan hrabia przyśle powóz. Lecę sprowadzić dorożki- Obawiam się, że w dwukółce wszystkiego nie pomieścimy.

- Doskonały pomysł! Biegnij, a ja przypilnuję naszych rzeczy.

- Nie boi się panienka zostać tu przez kilka chwil sama?

- Ależ skąd. Wokół jest mnóstwo ludzi. Mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek odważył się zrobić mi krzywdę. Na rogu stoi policjant, którego mogę wezwać, gdyby zaszła taka potrzeba - tłumaczyła cierpliwie Ariana, ujęta troskliwością oddanej panny służącej. - Nic mi nie będzie, Sophie. Zaraz się zobaczymy.

- Dobrze, panienko, ale proszę się nie oddalać. Chyba bym od zmysłów odeszła, gdybym po powrocie nie zastała tu panienki. Już pędzę. To mi zajmie dosłownie kilka minut - rzuciła na odchodnym pokojówka i zniknęła w ludzkiej ciżbie na Oxford Street.

Po chwili Ariana uświadomiła sobie, że w rozmowie z Sophie nadrabiała miną. Kiedy została sama na chodniku, poczuła się w tłumie samotna i bezbronna. W Londynie, tak samo jak w Paryżu,



nie brakowało rzezimieszków oraz wszelkiej maści łotrzyków, dybiących na cudzą własność. Gdyby któremuś przyszło do głowy ukraść część pakunków, a nawet zabrać je wszystkie, cóż mogłaby na to poradzić?

Przysunęła bliżej paczki, klatkę i doniczkę, żeby utrudnić zadanie ewentualnym rabusiom. Kiedy skupiła się na tym zadaniu, nagle wydało się jej, że ktoś ją obserwuje. Słońce mocno przygrzewało, ale zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Dyskretnie rozejrzała się wokół. Nie zauważyła żadnych niepokojących symptomów. Jednak nie po raz pierwszy miała wrażenie, że jest obserwowana. To przekonanie towarzyszyło jej, odkąd przybyła do Anglii. Żałowała teraz, że zamiast wysłać do domu posłańca, zgodziła się na propozycję Sophie.

Ponownie zaczęła porządkować stojące wokół dzisiejsze nabytki. Była tą czynnością tak zaabsorbowana, że w pierwszej chwili nie zauważyła osobliwego zamieszania na Oxford Street. W końcu dotarło do niej, że coś się dzieje w głębi ulicy, podniosła więc głowę i przeraziła się na widok rozpędzonej dorożki, sunącej zakosami po ulicznym bruku. Dorożkarz zwisał bezwładnie z kozła. Zapewne doznał ataku serca i stracił przytomność. Koń poniósł; rozszałały pędził na oślep prosto przed siebie. Przerażona Ariana obserwowała go, niezdolna się poruszyć. W głowie miała pustkę.

Niespodziewanie ktoś uderzył ją w plecy. Cios był tak mocny, że poleciała do przodu, na jezdnię. Znalazła się na drodze pędzącej dorożki. Straciła

równowagę, zachwiała się i upadła na bruk. Dłonie miała otarte do krwi. Była oszołomiona, przerażona i obolała. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć, lecz gorset uciskający klatkę piersiową nie pozwalał swobodnie oddychać, a nogi zaplątały się w krynolinę i niezliczone halki. Ariana daremnie próbowała wstać, żeby umknąć przed rozpędzonymi końmi i rzucanym na wszystkie strony pudłem dorożki, jadącej prosto na nią. Wiedziała, że nie uniknie śmierci.

Malcolm nie mógł sobie darować, że Boniface Cavendish wyjechał z Londynu i nie może udzielić mu światłej rady. Trzej uczestnicy niedawnej narady, przypuszczeni do rodzinnych tajemnic Ramsayów, palili się do działania. Malcolm z całego serca pragnął znaleźć ukryty związek między zaginionym szmaragdem a dwoma krucyfiksami. Pan Quimby i pan Rosenkranz zastanawiali się nawet, czy nie poprosić najstarszego z księgarzy pana Cavendisha o wyszukanie informacji dotyczących Serca Chepri. Po namyśle zrezygnowali z tego projektu, wychodząc z założenia, że im mniej osób wie o sprawie, tym lepiej. Kiedy wspominali niedawną napaść, pan Quimby wymógł na Malcolmie, żeby ten ćwiczył nie tylko walkę na pięści, lecz także doskonalił swe umiejętności, trenując fechtunek i strzelanie.

- Nie mamy pewności, kto przedsięwziął nocny atak. Założyliśmy wstępnie, że zaplanowali go

Foscarelli. Nawet gdyby okazało się, że to nie oni nasłali na ciebie zbirów, musisz liczyć się z tym, że działania podjęte w celu odnalezienia szmaragdu prędzej czy później zwrócą ich uwagę, a wówczas możesz być pewny, że twoi wrogowie uczynią wszystko, żeby usunąć ze swojej drogi niewygodnego świadka i współzawodnika - tłumaczył rzeczowo pan Quimby.

Ustalono, że w poniedziałki i środy podczas przerwy obiadowej Malcolm będzie chodził do szkółki bokserskiej. We wtorki i czwartki miał się fechtować pod okiem mistrza. Soboty i niedziele przeznaczył na samodzielne doskonalenie umiejętności strzeleckich. Ku swej ogromnej radości na strzelnicy spotkał pana Ravenera, który podczas nocnej bójki przyszedł mu z pomocą. Wkrótce obaj młodzieńcy zaprzyjaźnili się i odtąd spędzali razem wiele czasu. Wspólnie uprawiali rozmaite dyscypliny sportu, spotykając się prawie codziennie.

Pewnego dnia Malcolm późnym południem, nie spiesząc się, zmierzał w kierunku sklepu pana Quimby'ego. Był z siebie nadzwyczaj zadowolony, bo fechtował się coraz sprawniej, a mistrz często go chwalił. Po lekcji nie od razu ruszył do sklepu, bo na polecenie chlebodawcy musiał załatwić rozmaite sprawy.

Był ogromnie zdziwiony, gdy uświadomił sobie, że zwleka i kluczy, bo nie ma ochoty wracać do pracy. Szedł wolno Park Lane, biegnącą wschodnim skrajem Hyde Parku. Zamiast wrócić skwapliwie do swego pryncypała, jak przystało statecz-

nemu czeladnikowi, ociągał się niczym młody uczeń, niedawno przyjęty do terminu. Gdy skręcił w Oxford Street i wbrew swym obyczajom, włókł się noga za nogą, z zaciekawieniem oglądając sklepowe wystawy, doszły go stłumione okrzyki. Zaniepokojony myślał, że jego wrogom przyszło do głowy dokonać napadu na sklep pana Quimby'ego, puścił się biegiem. Nagle spostrzegł rozpędzoną dorożkę, która mknęła prosto ku młodej damie, leżącej na bruku. Uświadomił sobie, że tej biedaczce grozi straszliwa śmierć!

Rzucił się na pomoc. Nie zastanawiał się nad tym, że ratując ją, naraża się na ogromne niebezpieczeństwo. Pod wpływem impulsu skoczył na przód, porwał damę na ręce i w ostatniej chwili umknął na chodnik. Katem oka widział, że obok niego z tętentem kopyt i głośnym turkotem przemknęła rozpędzona dorożka, ale nie zważał na to, zajęty ratowaniem zemdlonej damy. Nie wiedząc, jak jej pomóc, skinął na przejeżdżającą dorożkę. Powożący trzymał się blisko chodnika, żeby uniknąć zderzenia z rozpędzonym pojazdem ciągniętym przez oszalałego ze strachu konia. Malcolm podał adres pracowni kartograficznej: Oxford Street 7B i kazał jechać.

Młoda dama leżała bez ruchu na poduszkach siedzenia. W ogólnym zamieszaniu dorożkarz zręcznie lawirował wśród pojazdów i przechodniów, zmierzając ku wskazanemu celowi. Zaniepokojony Malcolm przyglądał się zemdlonej dziewczynie. Przeżyła szok, nie można wykluczyć, że doznała

ataku serca, a utrata przytomności nie została spowodowana wyłącznie omdleniem. Zdjął go strach. A jeśli dziewczyna umrze? Fachowo sprawdził puls, który był wyczuwalny, choć lekki i przyspieszony. Nie dostrzegł poważniejszych obrażeń, ran czy rozległych siniaków. Żałował, że nie ma przy sobie soli trzeźwiących. Ich mocna woń pomagała wrócić do przytomności. Z braku skuteczniejszych środków Malcolm rozluźnił tylko karczek sukni zemdlonej panny, żeby mogła swobodniej oddychać, a potem ułożył ją wygodniej. Nic więcej nie mógł dla niej uczynić.

Zza ścian pudła dorożki dobiegły stłumione okrzyki i świst policyjnego gwizdka. Malcolm słyszał również tętent koni, turkot sunących po bruku pojazdów oraz głośne okrzyki przechodniów, komentujących uliczne zamieszanie. Policjanci starali się przywrócić porządek.

W dorożce panowała względna cisza. Do środka wpadały ukośne smugi słonecznego blasku. W ich świetle Malcolm przyglądał się pobladłej twarzyczce dziewczyny. Porcelanowa cera była niemal przezroczysta jak u aniołów na obrazach i freskach. Kosztowny, modny kapelusz wiązany pod brodą barwnymi wstążkami zsunął się, odsłaniając długie czarne włosy. Brwi i rzęsy były ciemne. Malcolm zadawał sobie pytanie, jaki kolor mają zakryte powiekami oczy nieznanym. Policzki o lekko wystających kościach zabarwił delikatny rumieniec. Pięknie wykrojone usta przypominały stulony pączek róży. Łabędzia szyja wyginała

się wdzięcznie, a pełne piersi falowały pod wpływem płytkiego oddechu. Ozdobiony frędzlami wytworny jedwabny szal zsunął się z ramienia, można więc było podziwiać dekolt panny. Malcolm wyobraził ją sobie w mocno wyciętej balowej sukni z odsłoniętymi ramionami. Przemknęło mu przez myśl, że nie widział dotąd równie pięknej istoty.

Wydawała się tak delikatna i krucha, że natychmiast obudziły się w nim instynkty opiekuńcze. Z całego serca zapragnął chronić ją przed wszelkimi zagrożeniami. Widok uroczej twarzyczki i smukłej postaci obudziły w nim na moment wspomnienia sprzed lat, nieokreślone i od dawna ukryte w tajnych zakamarkach duszy. Wrażenie to zniknęło tak prędko, że nie potrafił się w nim rozeznaczyć. Z braku lepszego wyjaśnienia uznał, że nieznajoma przypomina mu postać z obrazu. Może piękną damę przedstawioną na tle zamglonego krajobrazu? Urodziwe oblicze z kroplami deszczu spływającymi po policzku? A jeśli to były łyzy? •

Dorożka stanęła wreszcie przed drzwiami pracowni kartograficznej. Malcolm wyskoczył, zapłacił fiakrowi, wziął na ręce nieprzytomną dziewczynę i wniósł ją do środka. Nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia współpracowników, którzy natychmiast go obstarpi, zawołał głośno pana Quimby'ego. Gdy pryncypał nadbiegł, od razu pojął, że trzeba działać. Pannę zaniecono do jego gabinetu i usadowiono wygodnie w fotelu.

- Tuck, przynieś apteczkę - rzucił pan Quimby,

a Malcolm przysiadł na brzegu kanapy i rozcierał dłonie nieprzytomnej damy. Krótco wyjaśnił, co się stało.

- W apteczce są chyba sole trzeźwiące. Mów dalej, młodzieńcze. Wybacz, że ci przerwałem. Rozumiem, nie znasz tej panny i nie wiesz, czemu stała na ulicy całkiem sama?

- Nie mam pojęcia.

- Mniejsza z tym. Nieważne, jak się nazywa i kim jest. Postąpiłeś słusznie, przywożąc ją do nas. Gdy tylko zdołamy ocucić tę piękną nieznajomą, dowiemy się, kto sprawuje nad nią opiekę. Wtedy pošlemy po opiekuna, a dziewczę bezpiecznie wróci do domu. O! Jest Tuck. Dzięki, chłopcze. - Pan Quimby postawił apteczkę na stoliku obok fotela. - Harry, zabierz stąd Jema i Tucka. Wracajcie do pracy. Nic tu po was! Panienska okropnie by się wystraszyła, gdyby otworzywszy oczy, ujrzała przed sobą grupkę zapatrzonych w nią młodzików. Na pewno znów popadłaby w omdlenie - perorował pan Quimby, szukając soli trzeźwiących. Znalazł flakonik i podał go Malcolmowi. - Odkorkuj i podsuń dziewczynie pod nos - polecił. - To ją powinno otrzeźwić.

- Dobrze, proszę pana.

Malcolm postąpił według instrukcji pryncypała. Wkrótce nieznajoma drgnęła i poruszyła głową. Z różanych ust wydobył się cichy jęk, a powieki uniosły się, odsłaniając oczy w kolorze ametystów. Przez chwilę spoglądała na obu panów niewidzącym wzrokiem. Nagle uświadomiła sobie, że jest wśród obcych. Z szeroko otwartych oczu wyziera-

ły niepewność i strach. Panna krzyknęła i chciała zerwać się z fotela, lecz Malcolm przytrzymał ją łagodnym ruchem.

- Proszę nie wstawać - nalegał głosem, któremu nadał uspokajające brzmienie. - Jest tu pani najzupełniej bezpieczna. *Słowo dżentelmena*. Pozwoli pani, że się przedstawię. Malcolm Blackfriars, do usług. Jesteśmy w gabinecie mego pryncypała, pana Septimusa Quimby'ego, właściciela pracowni kartograficznej i sklepu z mapami. Może pani słyszała o naszej firmie? Jej siedziba znajduje się na Oxford Street pod numerem siódmym, budynek B. Tu właśnie panią przywiozłem. Omal nie została pani stratowana przez rozhukanego konia, ciągnącego dorożkę. W ostatniej chwili uratowałem panią od niechybnej śmierci. Nie znałem pani nazwiska i adresu, złapałem więc pierwszy lepszy pojazd i przywiozłem panią tutaj. Czy pamięta pani, co się zdarzyło na Oxford Street?

Dziewczyna nieco ochłonęła i nie wydawała się już taka wystraszona. Po chwili namysłu kiwnęła głową.

- *Out... oui*. Rzeczywiście omal nie zginęłam pod kołami pędzącej dorożki. Pan przybiegł mi na ratunek. Cóż za odwaga, *monsieur!* Pamiętam tamtą chwilę... ale nic więcej nie umiem powiedzieć. Potem ogarnęła mnie ciemność.

- Zemdlała pani. To zrozumiałe. Raz jeszcze powtarzam.- proszę się nie obawiać. Nie doznała pani żadnych obrażeń. Skończyło się na strachu. - Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się, wdzięczny



losowi, że rodzice od najwcześniejszych lat uczyli go francuskiego. Po chwili zapytał z nienagannym akcentem: - Jest pani Francuską, *mademoiselle*? Wolno spytać o imię i nazwisko? Jak długo przebywa pani w Anglii? A rodzina? Krewni? Do kogo wysłać wiadomość?

Nim panna zdążyła odpowiedzieć, rozdzwonił się dzwonek u drzwi. Z głównej sali dobiegły pojedyncze okrzyki. Zdenerwowana kobieta mówiła podniesionym głosem, jakby się czegoś domagała.

- Gdzie jest *ma pauvre petite*! Cóżście uczynili z moją córką? Jeśli choć włos spadł jej z głowy, pożałujecie! Ja wam to mówię! Wiem, że została porwana i przywieziona tutaj. Nie mogła się bronić, bo padła zemdlona. Nie dam się zwieść, oszczędźcie sobie wykrętów. *Alors!* Żądam, aby mnie natychmiast do niej zaprowadzono. W przeciwnym razie posterunkowy natychmiast zakuje was w kajdany i odprowadzi do więzienia!

Zza drzwi gabinetu dobiegł głos Harry'ego, który jękając się, próbował wyjaśnić, w czym rzecz. Po chwili wszedł do gabinetu pana Quimby'ego, a za nim wbiegła urodziwa, wysoka dama w średnim wieku. Towarzyszyło jej dwu policjantów, przystojny siwowłosy dżentelmen oraz dwie służące.

- To on, *madame!* ~ zawołała młodsza z nich na widok Malcolma, który powoli wstał z kanapy, nie zważając na krzyki, złorzeczenia, obelgi i wyrazy jawnego oburzenia. Uznał za stosowne przeczekać ową kakofonię dźwięków.

- Ten mężczyzna uprowadził panienkę Arianę!  
- darła się pokojówka. - Widziałam, jak padła bez czucia, a on chwycił ją na ręce, wskoczył do przejeżdżającej dorożki i kazał jechać tutaj! Słyszałam na własne uszy! Podał ten adres.

- *Quel monstre!* - krzyknęła hrabina Valcoeur z przerażeniem i odrazą. - Co zrobiłeś mojej córce, potworze? *Gendarmes*, aresztujcie go natychmiast!

- *Non... non, maman!*-zawołała Ariana, której nagle przybyło energii i o własnych siłach zdołała usiąść prosto w fotelu odsuniętym tyłem do przybyszów. Przedtem półężała w nim, była więc niewidoczna. - Sophie miała dobre intencje, lecz obawiam się, że popełniła błąd. Niewłaściwie wszystko tłumaczy. Wierz mi, *maman*, zaszło nieporozumienie. Nic mi nie jest. Doznałam jedynie szoku. Pan Blackfriars mnie nie porwał. Wręcz przeciwnie. Uratował mnie z opresji. Dzięki niemu uniknęłam niechybnej śmierci. Gdyby nie jego pomoc, zostałabym stratowana kopytami rozpedzonego konia i zginęłabym pod kołami dorożki.

- Naprawdę? Och, *ma pauvre petite!* - Hrabina pomknęła ku córce i chwyciła ją w objęcia. - Jakże jestem wdzięczna, że *le bon Dieu* cię ocalił.

- Hm... - pan Quimby chrząknął przeciągle i znacząco, aby zwrócić na siebie uwagę. - Powinniśmy chyba usiąść i spokojnie porozmawiać. Harry, bądź tak dobry i podaj herbatę. - Czeladnik oddalił się z wyraźną ulgą, a jego pryncypał dodał: - Pozwólcie państwo, że się przedstawię. Septimus Quimby. Jestem właścicielem renomowane-

go składu map, a to mój czeladnik, pan Malcolm Blackfriars. Młodzieniec, który zaraz przyniesie herbatę, nazywa się Harry Devenish. Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

- *Certainement, monsieur*- odparł hrabia Valcoeur, dyskretnie przywołując do porządku swą połowicę, której wzburzenie było zresztą całkiem zrozumiałe. - Nazywam się Jean-Paul Levesque, hrabia Valcoeur. To moja żona Helene, a to córka, Ariana. Są z nami także pani Adelaide Gauthier i *mademoiselle* Sophie Neuville, należące do naszej służby domowej. Posterunkowi, którzy zgodzili się nam towarzyszyć, sami się przedstawią.

Policjanci uczynili to skwapliwie. Po chwili Harry na srebrnej tacy przyniósł dzbanek herbaty i wszelkie niezbędne akcesoria. Ariana opowiedziała, jak została popchnięta i niefortunnie upadła prosto pod koła pędzącej dorożki. Z kolei Sophie wyjaśniła, że jadąc dorożką złapaną pod Pantheon Bazaar, nagle zobaczyła, że obcy młodzieniec porywa bezwładną Arianę na ręce i unosi do innego pojazdu. Sądziła, że jej pani została uprowadzona. Była tak blisko, że słyszała głośną rozmowę nieznanego z dorożkarzem. Stąd wiedziała, dokąd jada. Sama czuła się bezsilna, więc pomknęła wynajętą dorożką na Portman Square, do domu swoich państwa. Wraz z nimi ruszyła na ratunek panience.

- Bardzo wszystkim przepraszam. - Załamała ręce i zarumieniła się ze wstydu. - Nie chciałam sprawić kłopotu. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Jesteśmy tego świadomi, więc dość o tym,

Sophie - ucięła stanowczo hrabina Valcoeur. - Zważywszy na okoliczności, miałaś prawo do niepokoju. Każdy rozsądny człowiek na twoim miejscu zareagowałby podobnie. Teraz ja muszę się usprawiedliwić, panie Blackfriars. Bardzo przepraszam za niedawne inwektywy. Nieświadoma istoty rzeczy, byłam wobec pana wyjątkowo grubiańska i niesprawiedliwa, a powinnam głosić peany na pańską cześć i dziękować z głębi serca.

- Pani obawy były ze wszech miar uzasadnione. Nie ciągnijmy tego tematu. Mam nadzieję, że teraz, gdy wszystkie nieporozumienia zostały wyjaśnione, przebaczymy sobie, a złe słowa zostaną zapomniane.

- Dzielnym i szlachetnym z pana człowiekiem, *monsieur*. - Hrabina z jawną aprobatą i uwagą popatrzyła na Malcolma. - Mamy wobec pana dług wdzięczności za uratowanie córki. Jakże się panu odplacimy? Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę natychmiast i bez wahania zwrócić się z tym do nas. A jeśli obaj panowie nie mają innych zobowiązań, zapraszamy do nas na wczesną kolację w przyszły czwartek. Najpierw zjemy posiłek w niewielkim gronie. Na wieczór zaplanowałam spotkanie w salonie. Będziemy dyskutować i opowiadać ciekawe historie.

Malcolm i jego chlebodawca z wdzięcznością przyjęli serdeczne zaproszenie. Gdy omówiono szczegóły, hrabia i hrabina pożegnali się i odjechali do domu, zabierając Arianę oraz dwie służące.

## ROZDZIAŁ ÓSMY .

### Salon hrabiny Valcoeur

*Czas mija, lecz jesteście nieświadomi,  
Czy już fortuna splata  
Sieć dni zawiłą, która tworzy pajęczynę  
Losów twych, Faustyno.*

Algernon Charles Swinburne  
„Faustyna” (1866)

*Błękitna krew i splendor urodzenia,  
Wszystko uludą pozbawioną jest znaczenia.  
Daremnie puklerz wkładać chcesz przeciw  
losowi;  
Dłoń zimna śmierci życie przetnie i królowi.*

James Shirley  
„Contention of Ajax and Ulysses” (1659)

*Gdy zmieniasz zdanie, postępując za tym, kto cię wyprowadził z błędu, nie przestajesz wcale być panem samego siebie.*

Marek Aureliusz  
„Rozmyślania”

1848

*Anglia, Londyn*

- Sophie, przyznaj, że nie spotkałaś dotąd młodzieńca równie przystojnego, jak pan Blackfriars. - Ariana chwyciła jasek i tuląc go do piersi, tańczyła po sypialni w szlafroku i nocnej koszuli. Przy każdym obrocie cienka tkanina wirowała wokół jej kostek. - Gdybym miała namalować idealnego mężczyznę, byłby to portret mojego wybawcy. Nie wierzyłam własnym oczom, gdy ujrzałam go przy sobie na moment przed omdleniem. Sądziłam nawet, że już zostałam przejechana i wyzionęłam ducha, a pan Blackfriars jest aniołem posłanym na ziemię, aby mi służył za przewodnika w drodze do nieba.

- Moim zdaniem, trudno wziąć panienki ideał za anioła. To zdrowy, dorodny mężczyzna w sile wieku. *Oui*, dość przystojny, nie przeczę. Cieszy się względami panienki, a pan hrabia i pani hrabina są dla niego bardzo łaskawi, ale wątpię, żeby w ich opinii nadawał się na starającego. Hrabiovska córka nie wyjdzie za kartografa. Ten człowiek jest czeladnikiem i subiektem z marną pensyjką. Gdyby prowadził własną firmę i dobrze

prosperował, może byłby cień szansy na wasz mariaż. Dla panienki to byłby mezalians, natomiast pan Blackfriars skakałby z radości, bo wżeniłby się w arystokrację.

- Wiem, wiem. Problem w tym, że odkąd go poznałam, jestem przekonana, że cokolwiek się wydarzy, z nikim innym nie będę szczęśliwa.

- Niech panienka nie dramatyzuje! - skarciła ją pokojówka. - Szczerze mówiąc, mało wiemy o tym człowieku. Przyznaję, że odwagi mu nie brakuje. Bez wahania pospieszył panience z pomocą. Zastanawiam się tylko, czy naprawdę taki z niego rycerz. Może trafiła panienka na sprytnego łowcę posagów? Wypatrzył z daleka dobrze ubraną pannę, która znalazła się w potrzebie, postanowił więc wykorzystać sytuację i zapewnić sobie dobrobyt na całe życie. To dla niego wyjątkowa gratka.

- Milcz, Sophie! Nie masz racji. Poznałam to po oczach pana Blackfriarsa. Spoglądał na mnie z wyjątkową troskliwością. Ma wspaniałe maniery i jest dobrze wychowany. Trudno uwierzyć, że to zwykły czeladnik z pracowni kartograficznej, bo zachowuje się jak wysoko urodzony dżentelmen. Przyznaj uczciwie, że podzielasz moje zdanie.

Sophie z westchnieniem kiwnęła głową, bo istotnie można się było pomylić.

- To nie zmienia faktu, *mademoiselle*, że pan Blackfriars jest na posadzie i zajmuje się kreśleniem map. Wiem, że panienkę oczarował, ale zgrzeszyłabym niedbalstwem i opieszałością, gdybym nie próbowała wybić panience z głowy tego

zauroczenia. Proszę się nad tym zastanowić. Niech sobie panienska nie robi wielkich nadziei, bo skończy się bolesnym rozczarowaniem. Pan hrabia i pani hrabina zaprosili wprawdzie pana Blackfriarsa na kolację, bo chcą mu okazać wdzięczność za uratowanie życia panienski. Nie trzeba się łudzić, *mademoiselle*, że ten młodzieniec będzie odtąd w naszym domu stałym gościem.

- Masz rację, Sophie, lecz na razie nie chcę o tym myśleć. Pozwól mi trochę pomarzyć. To przecież nic złego.

- Do pewnego stopnia ma panienska rację, ale jeśli spojrzeć na to inaczej, takie rojenia mogą się okazać nadzwyczaj szkodliwe. Głowę nabije sobie panienska głupstwami i nieszczęście gotowe. Jest Fanny! Przyniosła gorącą czekoladę. Czy panienska czegoś jeszcze potrzebuje, nim uda się na spoczynek?

- *Non*. - Ariana pokręciła głową.

Została sama. Postawiła filiżankę gorącej czekolady na nocnym stoliku i położyła się do łóżka. Kiedy okryła się starannie, uświadomiła sobie, że jest zbyt podekscytowana, aby zasnąć. Długo leżała z otwartymi oczyma, w końcu jednak ogarnęło ją znużenie i zasnęła. W nocy powrócił senny koszmar, ale tym razem mimo lęku przed monstrualnym wężem nie krzyczała, bo gdy we śnie potwór sunął w jej stronę, Collie rozpułynał się we mgle, a zamiast niego wśród spienionych fal pojawił się pan Blackfriars, który wyciągnął ramiona i wyrwał ją z rozwartej wężowej paszczy.



Po raz pierwszy w życiu Malcolm odnosił wrażenie, że czas stoi w miejscu. Nie mógł się doczekać czwartku i prośzonej kolacji oraz wieczoru dyskusyjnego w rezydencji przy Portman Square. Daremnie próbował skoncentrować się na pracy, a także na rozważaniach dotyczących miejsca ukrycia egipskiego szmaragdu. Jego myśli biegły stale ku Arianie. Z goryczą uświadomił sobie, że gdyby nie lekkomyślność i głupota przodka sprzed niespełna dwustu lat, jako młody earl byłby teraz idealnym kandydatem do ręki ślicznej panny. Jeśli znajdzie i sprzeda Serce Chepri, zyska dość pieniędzy, żeby otoczyć Arianę zbytkiem, do którego przywykła od dzieciństwa. Niecierpliwiał się, bo pan Cavendish bawił wciąż na południu, a bez jego świątłej rady poszukiwacze nie mogli posunąć się naprzód.

Pan Quimby, wielce życzliwy Malcolmowi znawca ludzkich charakterów, poznał się na jego rozterkach i odbył z nim przyjazną pogawędkę, po której młody człowiek nabrał otuchy i śmieiej spojrział w przyszłość. Chlebodawca zachęcał Malcolma, żeby pamiętał o wysokim urodzeniu i nadziejach na rychłe wzbogacenie. Kazał mu być dobrej myśli.

Ku wielkiemu zdziwieniu młodzieńca szczerą rozmowa wiele zmieniła. Czas zdawał się płynąć szybciej, praca przychodziła z większą łatwością i sprawiała przyjemność, a wspomnienie ślicznej Ariany zamiast dekoncentrować, zachęcało do usilnego wysiłku.

Nadszedł w końcu czwartkowy wieczór. Malcolm wcześniej wrócił z pracy, żeby w zaciszu sypialni przygotować się do wieczornego spotkania. Odświeżony i wytwornie ubrany zszedł na dół i pokazał się matce.

- Syneczku, jakiś ty przystojny! - zawołała, kiedy stanął w drzwiach. - Możesz polegać na zdaniu matki. Wyglądasz zniewalająco! Pięknie zawiązałeś pod szyją nowy fular. Wiem, że na Portman Square bywają arystokraci z najlepszych domów, ale według mnie prezencją żaden ci nie dorówna.

Malcolm wybuchnął śmiechem.

- Pochlebiasz mi, mamó - odparł, uśmiechając się z czułością. - Szkoda, że nie możesz iść ze mną na tę kolację.

- Trudno, synku. Hrabina Valcoeur zaprosiła tylko ciebie i pana Quimby'ego. Nie było wzmianki o osobach towarzyszących. Zresztą, gdyby nawet zechciała mnie przyjąć, czułabym się niezręcznie. Od dawna nie bywam w salonach, a i wówczas, gdy prowadziłam bardziej urozmaicone życie towarzyskie, najlepiej czułam się wśród bliskich. Miło spędzałam czas ze stryjem Charlesem, stryjenką Katherine oraz ich dziećmi. Wizyta na Portman Square przypomniałaby mi dawne dobre czasy. Zamiast radości zapewne czułabym nostalgię. Od lat zastanawiam się, dlaczego Katherine przestała się do nas odzywać. W głębi serca podejrzewam, że biedactwo od dawna nie żyje. Gdyby było inaczej, z pewnością odpowiedziałyby na listy.

Miała łzy w oczach, odwróciła głowę, udając, że coś przyciągnęło jej uwagę, ale Malcolm nie dał się zwieść.

- Mam nadzieję, że z czasem uda mi się dyskretnie wywiedzieć, jaki los spotkał naszych krewnych - powiedział, a gdy matka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, dodał pospiesznie: - Pamiętam o ryzyku, będę uważać.

- Pomówimy o tym kiedy indziej. Mam nadzieję, że czeka cię udany wieczór. Hrabia i hrabina są dla ciebie bardzo łaskawi. Nic dziwnego, ocaliłeś ich córkę. Strach pomyśleć, co by z nią było, gdyby nie ty. Piękne imię nosi ta młoda dama. Ariana... Córeczka Katherine nazywała się podobnie. Wołaliśmy ją Ana. To rzecz jasna zdrobienie, lecz w rodzinie tak się przyjęło, że zapomniałam, jakie imię wpisano małej do metryki.

- Pamiętam ją: dzielna, urocza dziewczuszka. Stale się napraszała, żebym zabierał ją na ryby.

- Tak było, ale nie wracajmy do przeszłości. Ciesz się dniem dzisiejszym. - Pani Blackfriars przerwała stanowczo tę rzewną rozmowę. Podeszła do syna, wygładziła surdut i poprawiła fular. - Idź już, mój chłopcze, bo panna Woodbridge uzna, że zapomniałam o naszej wieczornej partyjce. Umówiliśmy się, że zagramy w karty.

- W takim razie wracaj do bawialni.

Pochylił się i z czułością pocałował matkę w czoło. Włożył płaszcz, kapelusz oraz rękawiczki. Na wszelki wypadek wziął także parasol, bo zanosiło się na deszcz. Wolnym krokiem ruszył

przez St. John's Wood w stronę dzielnicy Marylebone. W czasie długiego spaceru oglądał się kilkakrotnie. Od pamiętnego wieczoru, gdy został napadnięty, ustawicznie miał wrażenie, że jest śledzony. Nie spostrzegł dotąd żadnego osobnika deptającego mu po piętach, ale szósty zmysł podpowiadał, że ktoś czai się w półmroku.

Gdy stanął przed ozdobnymi drzwiami rezydencji na Portman Square, lokaj powitał go uprzejmie, pomógł zdjąć płaszcz, zaprowadził do małego salonu i uroczyście zaanonsował. Wszyscy goście spojrzeli z ciekawością na przybysza, który odzekał, zastanawiając się, co dalej. Po chwili namysłu zwrócił się ku hrabinie i przywitał się, przestrzegając wszelkich zasad salonowej etykiety. Z szacunkiem ucałował podaną dłoń i został nagrodzony promiennym uśmiechem.

- Witamy, drogi panie - powiedziała *madame* Valcoeur. - Wielka to radość, że zechciał pan odwiedzić nas dziś wieczorem. Pan Quimby zjawił się przed chwilą. Rozmawia z *madame* Polgar. To jedyna osoba z naszego grona, której pan jeszcze nie zna. Jest wróżką. Ma dar jasnowidzenia. Podobnie jak nasza rodzina, opuściła zrewoltowany Paryż i przeniosła się do Londynu. Odwiedziła mnie dziś po południu i poprosiłam, aby została na kolacji.

Hrabina łagodnym ruchem zachęciła Malcolma, aby podszedł z nią do *madame* Polgar. Dokonała prezentacji, z emfazą wspominając niedawne ocalenie Ariany.

- Witam pana. Miło poznać tak odważnego i przystojnego młodzieńca - powiedziała *madame* Polgar. Wyciągnęła rękę, a Malcolm złożył na jej dłoni pełen uszanowania pocałunek.

- Bardzo pani łaskawa, ale proszę nie przeceniać moich zasług. Uczyniłem jedynie to, co każdy przyzwoity i myślący człowiek zrobiłby w podobnych okolicznościach. *Mademoiselle* Ariana potrzebowała pomocy, więc jej udzieliłem.

- Ujmijmy to inaczej: przeznaczenie sprawia, że w stosownym czasie właściwy człowiek pojawia się tam, gdzie powinien - odparła zagadkowo wróżka. - Ciekawa jestem, młodzieńcze, czy miał pan w ręku broń? Potrafi się pan nią posługiwać? Jest pan fechmistrzem?

- Niestety, choć po amatorsku uprawiam szermierkę - odparł uprzejmie Malcolm, zdumiony pytaniami. - Z zawodu jestem kartografem. Pracuję w sklepie pana Quimby'ego.

- Domyślam się, że dla swego pryncypała jest pan prawdziwym skarbem.

- W istocie, łaskawa pani - wtrącił pan Quimby, który siedział w fotelu przed marmurowym kominkiem, opierając stopy na podnóżku.

- Proszę usiąść, drogi panie - zachęciła hrabina Valcoeur, wskazując kanapę obitą brokatem. - Czego się pan napije? Ma pan ochotę na przekąski? A co dla państwa?

Na skinienie pani domu pokojówki i lokaje zaczęli *krążyć* po salonie, *napełniając* kieliszki i roznosząc smakołyki. Malcolm usiadł na kanapie

obok Ariany. W ręku trzymał kieliszek wina, a na kolanie umieścił talerzyk z przystawkami. Oboje czuli się początkowo nieco skrępowani, lecz wkrótce przełamali opory i rozmawiali z ożywieniem niczym starzy znajomi. Ariana zwierzyła się, że uwielbia spacerować po londyńskich parkach. Malcolm podzielał to upodobanie.

- Sklep pana Quimby'ego znajduje się w pobliżu Hyde Parku. W czasie przerwy na obiad często tam zachodzę i posilam się pod gołym niebem.

- Naprawdę? Może się tam spotkamy - odparła z uśmiechem Ariana.

- Byłbym zachwycony - oznajmił, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, aby hrabianka Valcoeur podtrzymywała znajomość z kartografem. Mówiąc o przyszłych spotkaniach, miała zapewne na myśli sytuacje, w których przypadek zetknie ich ze sobą. Wątpił, żeby go kokietowała, mając obietnicą szczególnych względów. Słabo ją znał, ale intuicja podpowiadała mu, że to dziewczyna prawa i uczciwa.

Musieli przerwać rozmowę, bo lokaj oznajmił, że podano do stołu. Kolację przygotowano dla sześciu osób, lecz mimo niewielkiego grona biesiadników nakrycie i menu okazało się nadzwyczaj wytworne. Po raz pierwszy w życiu Malcolm był głęboko wdzięczny rodzicom, że mimo utraty majątku i tytułów wychowali go jak młodego arystokratę, od dziecka ucząc dobrych manier. Po minach *madame Polgar* i hrabiny Valcoeur poznał, że są przyjemnie zaskoczone jego nienagannym

zachowaniem. Prawdopodobnie przygotowały się na *niejedno faux pas* młodego parweniusza i z czystej sympatii zamierzały przymknąć oko na owe potknięcia. Zaintrygowana pani domu zaczęła wypytywać Malcolma o rodzinę. Gdy usłyszała, że młody człowiek mieszka z matką w St. John's Wood, wyraziła ubolewanie, że czcigodna dama nie została zaproszona wraz z synem. Chętnie poznałaby tę kobietę znacznie niższego urodzenia i stanu, która tak wychowała syna, że mógł czuć się swobodnie w najświetniejszych domach.

Pilnie słuchała, gdy pan Quimby opowiadał, w jakich okolicznościach poznał Malcolma i jego matkę.

- Niezwykły z pana człowiek - oznajmił hrabia Valcoeur, zwracając się do młodego gościa.  
- Cóż za odwaga! Jaka śmiałość i zdecydowanie! Moja córka urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą, skoro los postawił na jej drodze takiego wybawcę.

- Owszem - przytaknęła *madame* Polgar. - Ma pan zadatki na wspianiałego przyjaciela... lub zaprzysięgłego wroga. - Pozwoli pan, że powrózę panu kiedyś, używając kart tarota? Jestem pewna, że pańska przyszłość jest fascynująca.

- Z przyjemnością wysłucham przepowiedni, aczkolwiek jestem zdania, że cokolwiek zostało zapisane w gwiazdach, człowiek może zmienić, o ile jest konsekwentny w działaniu.

- Ma pan rację, młody człowieku. Tak jest w istocie, bo każdy z nas posiada wolną wolę,

która splata się z przeznaczeniem. Porównam te dwa aspekty ludzkiej egzystencji do rzymskiego Janusa, boga o dwóch twarzach.

Uradowana hrabina, przysłuchująca się z ciekawością ich rozmowie, klasnęła w ręce jak mała dziewczynka.

- Pasjonujące zagadnienie! Już wiem, o czym będziemy rozprawić wieczorem, gdy zaczniemy dyskusję. A teraz zmieńmy temat, aby zachować świeżość sądu!

Podczas kolacji gwarzono zatem o błahostkach. Gdy towarzystwo wstało od stołu, panie przeszły do salonu, a panowie raczyli się porto i palili cygara z gabinecie hrabiego. Wkrótce zaczęli się zjeżdżać goście zaproszeni na wieczorną dyskusję. Malcolm puszczał mimo uszu nazwiska anonso- wanych przez lokaja arystokratów. Zainteresował się dopiero, gdy usłyszał, że przybyła lady Christine Fraser, a wraz z nią pan Khalil al-Walid. Zaciekawiony obcym mianem podniósł głowę i, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, ujrzał rozmowniejszego z dwu cudzoziemców, którzy przed kilkoma tygodniami odwiedzili sklep pana Quimby'ego, szukając map szkockich wyżyn i gór. Nie zdziwił się, gdy za smagłym herpetologiem do salonu wślizgnął się jego milczący towarzysz i przez nikogo niezauważony stanął w cieniu pod ścianą.

- Proszę pana - szepnął do chlebobdawcy. - To oni. Południowcy zainteresowani Szkocją.

- Przedziwny zbieg okoliczności - zdumiał się



pan Quimby. Ciekawym, czy to pani domu ich zaprosiła. Osobliwa znajomość.

Wkrótce rzecz się wyjaśniła. Lady Christine spotkała pana al-Walida w Szkocji, a gdy oboje wrócili do Londynu, zaprosiła go na uczoną dysputę do salonu hrabiny Valcoeur, aby opowiedział zebranym o herpetologii i dalekim Egipcie.

- Pan al-Walid poszukiwał gigantycznego węża morskiego, który żyje podobno w jeziorze Loch Ness - wyjaśniła.

Na te słowa hrabina oraz jej córka wzdrygnęły się i pobladyły.

- Czy pani zmarzła, *mademoiselle*? - spytał troskliwie Malcolm, który kątem oka nieustannie obserwował śliczną Arianę. - Oto moje ramię. Podejźmy do kominka. Znajdę dla pani wygodny fotel. Może posłać służącą po szal?

- Doskonały pomysł. Dziękuję panu za troskę. Moja córka nie doszła jeszcze do siebie po fatalnym omdleniu na Oxford Street - odparła pośpiesznie hrabina i zadzwoniła na służbę.

Wkrótce Sophie przyniosła jedwabny szal, a Malcolm pomógł Arianie usiąść w ciepłe kominka. Młoda dama szybko doszła do siebie i zachęcona przez Malcolma poprosiła tajemniczego herpetologa, żeby opowiedział o swoich badaniach.

- Otóż to! - wpadł jej w słowo pan Quimby. - Przede wszystkim chciałbym zapytać, czy w czasie owych poszukiwań przydały się panu stare mapy kupione w moim sklepie.

Malcolm nie dał się zwieść. Doskonale wiedział,

że jego chlebodawca pod pozorem błahej salonowej konwersacji stara się wydobyć od Egipcjanina jak najwięcej cennych informacji.

- Owszem, proszę pana - zapewnił z kamienną twarzą al-Walid. Ciemne oczy śledziły bystro oblicza rozmówców.

- Widział pan potwora z Loch Ness? - zapytała *madame Polgar*.

- Z żalem przyznaję, że tajemniczy stwór ani razu się nie pokazał, lecz nie dam za wygraną. Zamierzam wrócić do Szkocji, by nadal go szukać.

- Przecież ten eksperyment może zakończyć się pańską śmiercią.

- Moje badania zawierają w sobie element ryzyka, *madame*. Jestem tego świadomy i nie zamierzam rezygnować.

*Madame Polgar* rozpoczęła długą dyskusję o symbolice węża oraz boskich inkarnacjach w kulturze starożytnego Egiptu. Khalil al-Walid beznamytnie uzupełniał jej wywody, a na koniec wyraził podziw dla ogromnej erudycji swej rozmówczyni.

- *Madame Polgar* interesuje się wiedzą tajemną i ma dar jasnowidzenia. Przepowiada przyszłość - wyjaśniła hrabina. - Wiedza tajemna wymaga znajomości religijnych symboli starożytnego Egiptu.

- Słuszna uwaga - potwierdziła wróżka. - Egipcjanie rozumieli nie tylko zależności między życiem a śmiercią, lecz także integralną więź przeznaczenia z wolną wolą. Rozmawialiśmy o tym

wcześniej, droga hrabino. Pamiętam, że było pani życzeniem, abyśmy powrócili do tego tematu. Zechce nam pan naświetlić to zagadnienie ze swego punktu widzenia?

*Madame* Polgar z ciekawością spojrzała na al-Walida. Tak zręcznie pokierowała rozmową, że cudzoziemiec zaczął rozprawiać o zagadkowym Sercu Chepri, szmaragdowym talizmanie, kierującym ludzkimi losami. Gdy Egipcjanin wspomniał o nieśmiertelności, którą ów skarabeusz mógł obdarzyć adeptów tajemnych sztuk i nauk, sceptycznie nastawiony hrabia Valcoeur żywo zaprotestował.

- Nie wierzę! - zawołał, słowem i energicznym gestem przekreślając taką możliwość.

- Jak zwykle gra pan rolę wojującego racjonalisty - skarciła go *madame* Polgar. - Proszę jednak pamiętać, że są na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom, oraz tajemnice niepojęte dla ścisłego umysłu. Z pozoru wszyscy jesteśmy śmiertelnikami, niektórzy jednak odkrywają w sobie niezwykle moce i talenty. Jestem dumna, że należę do ich grona. Na razie nie mamy pojęcia, skąd biorą się te osobliwe zdolności. Trzeba się zdobyć na cierpliwość, bo z czasem sprawa ta zostanie wyjaśniona naukowo. Pamiętajmy, że ludzkość do wszystkiego dochodziła powoli. Na przykład w średniowieczu uważano, że ziemia jest płaska, nie kulista! Ale powróćmy do Serca Chepri, o którym tak ciekawie opowiadał przed chwilą pan al-Walid. Czy znane są panu dalsze losy talizmanu?

Egipcjanin nie dał się długo prosić i ze swadą opowiedział o ponownym odkryciu szmaragdowego amuletu i jego dziejach po przywiezieniu do Europy. Lady Christine zaciekała się, słysząc nazwiska szkockich arystokratów, ponieważ dobra niektórych sąsiadowały z jej włościami. Gdy al-Walid skończył opowieść wzmianką o ponownym zaginięciu Serca Chepri, *madame* Polgar spojrzała na niego z ukosa.

- Muszę przyznać, że jak na herpetologa, który zajmuje się przyrodą, głównie zaś węzami, zdumiewa pan wiedzę na temat historii i religii swego kraju. Słuchając pana, można by pomyśleć, że mamy do czynienia z archeologiem lub poszukiwaczem skarbów - powiedziała, obrzucając cudzoziemca badawczym spojrzeniem.

- Podobnie jak panią, ciekawi mnie starożytność oraz historia życia duchowego. To pasjonujące dziedziny, a ponadto na różne sposoby powiązane z nauką o węzach. Zawsze byłem zdania, że naturę tych stworzeń poznajemy w pełni dopiero wówczas, gdy pojmiemy, co znaczą dla człowieka.

Rozmowa toczyła się żywo, coraz bardziej koncentrując się na zagadnieniach przeznaczenia i wolnej woli. Malcolm nie brał w niej udziału i przysłuchiwał się niezbyt uważnie, bo jego umysł pracował gorączkowo. Nim wyszedł z domu, matka wspomniała, że wizyta w rezydencji hrabstwa Valcoeur to dla niego rzadka sposobność poznania ludzi w wielkiego świata. Malcolm był tego świadomy, lecz w głowie mu nie powstało, że

dziwnym zrządzeniem losu pozna również ze szczegółami dzieje tajemniczego szmaragdu. Kto by przypuszczał, że zagadkowy herpetolog z Egiptu okaże się w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Jakob Rosenkranz miał rację, gdy za Fryderykiem Schillerem powtarzał, że nie ma przypadków.

Malcolm czuł się coraz bardziej uwikłany w skomplikowaną sieć losu, lecz nadal wierzył, że wolna wola pomoże mu się z niej wyplątać i samodzielnie pokierować własnym życiem. Gorąco pragnął omówić z panem Quimbym zdarzenia dzisiejszego wieczoru, ale gdy zapanował w końcu nad roztargnieniem, ożywiona dysputa lak go wciągnęła, że stracił poczucie czasu. Rozdyskutowani goście hrabiny dopiero po północy zaczęli się zbierać do odejścia, więc na poważną rozmowę z panem Quimbym było za późno. Razem opuścili gościnny dom hrabiostwa Valcoeur.

- Tak, tak mój drogi. Ja również jestem zdania, że musimy wspólnie zastanowić się nad tym, co (utaj usłyszeliśmy - przyznał pan Quimby - ale dzisiaj to niemożliwe. Oczy mi się kleją, bo zwykle dużo wcześniej udaję się na spoczynek. Z powodu zmęczenia wygadawałbym same bzdury. Zobaczmy się jutro. Zapraszam do siebie na obiad.

- Będę liczyć godziny, proszę pana!

Malcolm poczekał, aż starszy pan bezpiecznie wsiądzie do dorożki. Postanowił wrócić do domu piechotą. Srebrzysty księżyc lśnił na niebie, a ulicę

oświetlały gazowe latarnie. Malcolm był tak zmęczony, podekscytowany i zaabsorbowany wspomnieniem minionego wieczoru, że zapomniał o niezbędnej ostrożności. Dał się zaskoczyć. Gdy otrzymał pierwszy cios, nie miał pojęcia, co się dzieje. Ktoś stracił mu z głowy kapelusz i jak poprzednim razem usiłował zarzucić kaptur. Po kilku tygodniach treningu Malcolm zareagował instynktownie. Zrobił unik, wyrwał się z rąk napastnika, odskoczył w tył i wykonał zwrot, stając twarzą w twarz z przestępcami. Było ich dwu. Nosili maski i domina, jakby wracali z balu przebierańców. Przy blasku latarni Malcolm spostrzegł, że stroje są brudne, zniszczone i połatane. Wątpliwe, żeby miał do czynienia z lwami salonowymi. Ci dwaj przypominali raczej strachy na wróble, które widywał przed laty na polach. Żaden nie był podobny z oczu i sylwetki do al-Walida i jego sługi, których poprzednim razem podejrzewał o napaść.

Atakowali z furją. Najpierw walczyli na pięści, ale Malcolm bronił się skutecznie, odpierając ciosy parasolem i kułakiem, po chwili więc jeden z łotrów wyciągnął nóż. Malcolm niewiele myśląc, chwycił go za ramię, wykręcił je i z całej siły pchnął ku drugiemu napastnikowi. Nożownik padł na niego całym ciężarem ciała, a mordercze ostrze wbiło się w pierś kompana. Krew chlusnęła na wszystkie strony.

- Dostałem! Dostałem! - jęczał chrapliwie ranny bandyta, chwiejnym krokiem uciekając w głąb ulicy.

- Zapłacisz mi za to, mapiarzu! - odgrażał się drugi łotr. - Bruździsz nam od dawna, ale kara cię nie minie. Dostaniesz, na coś zasłużył!

Splunął Malcolmowi pod nogi. Na znak planowanej zemsty udał, że przeciąga zakrwawionym ostrzem po swojej szyi, a potem ruszył za rannym towarzyszem. Zdyszany Malcolm stał nieruchomo pośrodku ulicy. Wkrótce z oddali dobiegł stukot uderzających o bruk podków. Zapewne i tym razem na łotrów czekała podwoda.

Podniósł kapelusz i parasol. Były zniszczone. Czekał go kolejny wydatek. Kulejąc, szedł wolno w stronę domu. Gdy dowlókł na miejsce, znalazł właściwy klucz i po cichu otworzył drzwi. Ostatkiem sił wszedł po schodach. Zdjął ubranie, umył twarz i zwinął się w kłębek pod kołdrą. Gdy zapadł w sen, dręczyły go koszmary. Budził się i przypominał sobie wyraz „mapiarz”. Napastnik rzucił mu go w twarz jak obraźliwy epitet. Określenie to było dowodem, że hultaje wiedzieli, z kim mają do czynienia. Zbolały Malcolm daremnie próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, kim są napastnicy, i dlaczego chcieli go zabić.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Pan Cavendish i jego księgarnia

*Stulecia duszo!*

*Chwało, blasku, cudzie, teatry ciebie wielbić  
muszą!*

*Tyś mistrz, Szekspirze; chcę, aby ci miejsca  
ustąpili*

*Chaucer i Spencer, i Beaumont w tej jednej  
chwili*

*Niech się posunie, bo dla ciebie podium całe.*

*Twórczość pomnikiem, odrzuć grobu próżną  
chwałę*

*Dzieło twe wieczne, w księgach wciąż pulsuje  
życie.*

*A mądry czyta i nagradza się sownicie.*

Ben Jonson

„To the Memory of My Beloved,  
the Author, Mr. William Shakespeare” (1623)



*Oto chwałę Pana w bibliotekach mądrości  
i dziękuję mu za wszystkich księgarzy tego świata.*

Christopher Smart  
„Jubilate Agno”

*Z woli bogów*

*Ojcowskie winy synom także dźwigać trzeba.*

Eurypides  
„Friksos”

1848

*Anglia, Londyn, Old Bond Street*

Następnego dnia po przebudzeniu Malcolm doznał wrażenia, jakby przez całą noc jakiś wyjątkowy okrutnik ze znacznej wysokości zasypywał go kamieniami. Bolały go mięśnie i kości. Gdy próbował zwlec się z łóżka, nie zdołał powstrzymać jęku. Powłócząc nogami, podszedł do toaletki i spojrział w lustro. Był zaspany, na policzkach miał ciemny zarost. Na widok podbitego oka i rozciętej dolnej wargi ogarnęła go czarna rozpacz. To pewne, że nie zdoła ukryć tych obrażeń przed matką. Zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób się przed nią wytłumaczyć, nie zdradzając, że ostatniej nocy zmuszony był walczyć na śmierć i życie.

Nim zszedł na dół, wymyślił historyjkę, która wydała mu się wiarygodna. Zamierzał uraczyć tymi zmyśleniami panią Peppercorn i sprawdzić, jakie zrobią na niej wrażenie.

- Przebóg! Co się panu stało? - zawołała, gdy wszedł do przytulnej kuchni i usiadł przy stole. - Sądziłam, że wybiera się pan na przyzwoitą kolację oraz miłą pogawędkę do rezydencji tych francuskich hrabiów. Czyżby zmienił pan zdanie i wylądował w podejrzanej speluncie?

- Ależ skąd, droga pani Peppercorn. Miałem tylko drobny wypadek. Przyjęcie było udane, ale zakończyło się późno, więc zamiast iść piechotą, wziąłem dorożkę. Niestety, wsiadając, poślizgnąłem się i upadłem na schodki tak nieszczęśliwie, że zmasakrowałem sobie twarz.

- Boże wielki! Ten upadek mógł się skończyć o wiele gorzej. To prawdziwy cud, że niczego pan sobie nie złamał. - Zatrokana pani Peppercorn pokręciła głową, zdumiona fatalnym zbiegiem okoliczności. Odwróciła się do podkuchennej, która zmywała naczynia. - Lucy, zostaw tę robotę. Może poczekać. Biegnij zaraz do rzeźnika i kup świeżutki, duży stek dla naszego pana. To najlepszy okład na podbite oko. Zaraz pozbędziemy się opuchlizny, a siniaki nie będą takie widoczne.

Mimo protestów Malcolma, któremu nie podobała się owa terapia, Lucy została posłana do rzeźnika. Młody człowiek machnął ręką i wziął się do jedzenia, jednocześnie czytając poranną gazetę. Wkrótce zjawiła się Lucy z dużym kawałkiem mięsa owiniętym w brązowy papier i przewiązanym sznurkiem. Kucharka natychmiast rozwinęła pakunek i podała Malcolmowi surowy befsztyk,

nalegając, aby przyłożył go do podbitego oka. Zgodził się bez przekonania. Doceniał starania poczciwej kobiety i nie chciał jej zrobić przykrości. Po chwili doszedł do wniosku, że miała rację. Osobliwy kompres sprawił, że ból stał się mniej dokuczliwy. Nim Malcolm zakończył lekturę porannej gazety i wypił drugą filiżankę herbaty, odniósł wrażenie, że paskudna opuchlizna znacznie się zmniejszyła.

- Miałam rację - puszyła się kucharka. - Wygląda pan znacznie lepiej. - Przyjrzała mu się uważnie i kiwnęła głową. - Poza tym może pan oznajmić jaśnie pani, że zastosował pan skuteczny środek zaradczy, więc nie ma niebezpieczeństwa utraty oka. To ważne, bo szanowna mamusia trzęsie się nad panem jak mało kto.

- Słuszna uwaga. Dziękuję za pomoc.

Wstał od stołu i poszedł na górę, żeby przywitać się z matką. Zgodnie z przewidywaniami, w pierwszej chwili na widok posiniaczonej twarzy syna wpadła w panikę. Na szczęście zdołał ją przekonać, że poślizgnął się na stopniach dorożki. Nie mógł pozwolić, by dowiedziała się o tajemniczych napastnikach, bo taka wiadomość kompletnie wytrąciłaby ją z równowagi. Zapewnił, że obrażenia są powierzchowne i za kilka dni będzie zdrów jak ryba.

- Szczęście w nieszczęściu, że jesteś tylko posiniaczony. Mogło być gorzej. Wypada się również cieszyć, że fatalny wypadek przydarzył ci się po

przyjęciu. Gdybyś zjawił się u hrabiostwa Valcoeur z podbitym okiem i rozciętą wargą, musiałbyś się przed nimi gęsto tłumaczyć.

- Obawiam się, że w takim wypadku nie byliby zachwyceni moją wizytą - przyznał z ironicznym uśmiechem.

- Zrobiłeś na nich dobre wrażenie, synu? Oboje z ojcem dokładaliśmy starań, aby wychować cię na dżentelmena. Zawsze żyliśmy skromnie, ale trzeba pamiętać, że gdyby nie haniebne postęпки Iaina Ramsaya, earla Dundragon, byłbyś teraz wielkim panem.

- Nie sądzę, żeby hrabiostwo Valcoeur dopatryli się w moim zachowaniu jakiejś gafy. Zachowywałem się jak należy. Jestem tego pewny. Wybacz, lecz na mnie pora. Jeśli zacznę teraz opowiadać o przyjęciu, spóźnię się do pracy. Obiecuję, że po powrocie zdam ci dokładną relację z wczorajszego wieczoru.

- Chętnie posłucham. Bardzo jestem ciekawa przebiegu tej wizyty.

- Tak myślałem.

Malcolm o zwykłej porze złapał omnibus i punktualnie dotarł do sklepu pana Quimby'ego, gdzie był już Tuck, najmłodszy z uczniów oddanych do terminu.

- Boże miłosierny! Kto panu tak zdefasonował facjatę? - zapytał, otwierając szeroko oczy.

- Nie mów slangiem, Tuck. Pan Quimby ciągle ci powtarza, że nic tak nie zdradza pochodzenia, jak dobór słów i wymowa. Skąd moje siniaki?

Potknąłem się i upadłem, wsiadając do dorożki. Pan Quimby już przyszedł?

- Tak. Jest w gabinecie.

Malcolm pobiegł do pryncypała, żeby mu opowiedzieć o zdarzeniach wczorajszego wieczoru. Owa relacja wielce zaniepokoiła starszego pana, który uznał, że trzeba przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. Na szczęście były też dobre nowiny.

- Ledwie wszedłem do sklepu, przyniesiono mi wiadomość. Boniface Cavendish wrócił do Anglii i chce się z nami spotkać dziś po południu. Jakob także się do niego wybiera. Boniface był szczerze uradowany, że się do niego odezwałem. Zaprosił nas wszystkich na obiad, co oznacza, że dostaniemy tylko kanapki od ulicznego handlarza, ale zaproszenie było tak serdeczne, że nie miałem serca się wymówić.

- Rozumiem, proszę pana. Kanapki bywają smaczne i pożywne. Bardzo się cieszę na spotkaniu z pańskim przyjacielem - zapewnił Malcolm.

Ariana źle spała po wieczorku dyskusyjnym w salonie matki. Budziła się raz po raz i przewracała z boku na bok. Opowieści pana al-Walida zbiły ją z tropu. Egipski herpetolog zainteresowany wężem z Loch Ness, który podróżował po Szkocji i z prawdziwym znanstwem dyskutował o kwestiach ezoterycznych, zaniepokoił ją w najwyższym stopniu. Kiedy zastanawiała się nad tymi sprawami, rozległo się pukanie i do sypialni wesz-

ła matka. Niosła tacę, na której stał dzbanek oraz patera z kruchymi ciasteczkami i świeżymi owocami. Hrabina przysiadła na brzegu posłania i napełniła dwie filiżanki. Po chwili obie damy sączyły gorącą czekoladę, gawędząc o wczorajszym przyjęciu. Rozmowa zesłała na ulubiony temat hrabiny, zaloty i zamążpójście.

- Doskonale wiesz, *ma petite*, że zarówno we Francji, jak i w Anglii masz sporo wielbicieli gotowych starać się o twoją rękę, ale przyznaj sama, że u ciebie żaden nie ma szans... z wyjątkiem przystojnego pana Blackfriarsa. Nie uszło mojej uwagi, że jesteś nim zainteresowana.

- Niewątpliwie powiesz to samo, co nasza Sophie: że pan Blackfriars nie ma tytułu ani majątku, więc nie nadaje się na męża dla posażnej panny.

- *Oui*, drogie dziecko. W przeciwnym wypadku twój ojciec i ja nie sprzeciwialibyśmy się kontynuowaniu znajomości z tym młodzieńcem, ponieważ oboje uważamy, że jest nadzwyczaj przystojny, wyjątkowo dobrze wychowany i nad podziw wykształcony. Niestety, na tym padole nie wszystko układa się po naszej myśli. Ubóstwo pana Blackfriarsa, którego majątkiem są jedynie zaloty osobiste oraz dobre imię, niweczy jego szanse. Jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś poślubiła zatrudnionego w sklepie z mapami kartografa?

- 2 pewnością byłabym szczęśliwa. A co do stanu posiadania... Nie zapominaj, że mam własny majątek.

- Mówisz o posagu? Owszem, zapewni ci w przyszłości spory dochód, ale to kolejna trudność. Wierz mi, znam się na ludziach i wiem, że pan Blackfriars nie należy do mężczyzn gotowych żyć na koszt żony. Nie jest bogaty, ale ma swój honor i godność. To nie łowca posagów. W niczym nie przypomina współczesnych utracjuszy, goniących za posażnymi dziedziczkami. Nie wzięłyby nawet pensa z twoich zasobów. Przeciwnie! Nalegałyby, żebyście utrzymywali się wyłącznie z jego skromnej pensyjki.

- I cóż w tym złego, *maman*?

- Zapewne nic, *cherie* - odparła hrabina Valcoeur. - Gdybyś go kochała i była kochana, skromne warunki życia nie byłyby dla ciebie żadną przeszkodą w dążeniu do osobistego szczęścia. Obawiam się jednak, że panu Blackfriarsowi, który doskonale wie, że przywykłaś do życia w luksusie, sumienie nie pozwoli skazać cię na skromną egzystencję. Być może uprzesz się i spróbujesz go w sobie rozkochać, obawiam się jednak, że nie dopniesz swego i zostaniesz sama ze złamanym sercem. Według mnie ten młodzieniec nie oświadczy się, nawet gdyby cię kochał nad życie.

- Obyś była fałszywym prorokiem! - zawołała porywczo Ariana, a potem nagle posmutniała. - Chyba masz rację. Serce mi się kraje, gdy to mówię. To dziwne, ale pan Blackfriars wydaje mi się podobny do chłopca ze snu... zupełnie jakby on i Collie byli tą samą osobą. Może dlatego, że obaj wydają się równie serdeczni i opiekuńczy?

Zrobiło mi się lżej na sercu, gdy z tobą o tym porozmawiałam. Sądzę, że z czasem przestanę myśleć o moim wybawcy, a Collie zniknie ze snów. Wtedy odzyskam spokój.

- *Oui, ma petite*. Tak byłoby najlepiej - przytaknęła machinalnie hrabina. Podniosła się, ucałowała córkę i poszła ku drzwiom.

Pan Cavendish miał księgarnię w doskonałym punkcie, na skrzyżowaniu New Bond, Old Bond i Grafton Street. Niewielkie pomieszczenie zastawione było regałami sięgającymi od podłogi do sufitu, a wszystkie półki wypełniały książki. Gdy Malcolm wraz z panem Quimbym i Jakobem Rosenkranzem wszedł do środka, osłupiał na widok niezliczonych tomów. Gdy Boniface Cavendish wyszedł im na przeciw, okazało się, że nie jest podobny ani do niskiego i korpulentnego pana Quimby'ego, ani do wysokiego chudzielca Rosenkranza. Malcolm uznał, że ma do czynienia z wyjątkowym oryginałem, wręcz dziwakiem. Siwe włosy sterczały we wszystkich kierunkach, jakby od wielu dni nie widziały szczotki ani grzebienia. Workowate ubranie było okropnie wygniecione. Można by pomyśleć, że pan Cavendish sypia w nim od kilku tygodni. Zsunięte na czoło okulary w metalowej oprawce pilnie wymagały czyszczenia, a zmięty gors koszuli przysypany był popiołem z fajki.

- Co tak późno? Gdzie się podziewaliście? Spodziewałem się was pół godziny temu! - grzmiał pan Cavendish.



- Bonny, nie mów bzdur! - zirytował się pan Rosenkranz. - Napisałeś, żebyśmy przyszli o wpół do pierwszej. - Znaczącym gestem wyciągnął zegarek i sprawdził, która godzina. Obrzucił przyjaciela karcącym spojrzeniem.

- Naprawdę? - stropił się pan Cavendish. - Głowę bym dał, że mieliśmy się spotkać punktualnie o dwunastej. Mniejsza z tym! Dobrze, że jesteście. Nic się nie zmieniłeś, Jakobie. Nadal jesteś okropnie drażliwy. Domyślam się, że przyszedłeś bez obiadu. Jak człowiek głodny to zły, prawda?

- Nic nie jadłem, bo obiecałeś, że nas dobrze nakarmisz. Jestem realistą i domyślam się, że zamówiłeś kanapki. Byle nie z szynką. Wiesz, że nie mogę jeść wieprzowiny.

- Tak, tak, naturalnie... A niech to wszyscy diabli! Zapomniałem o posiłku. Danny! Tim! Do mnie, chłopaki! A, jesteście. Poszukać mi czystego dzbanka i migiem do straganu po gorącą kawę i najlepsze przekąski.

Gdy pan Cavendish wydał młodemu subiektem dyspozycje, przedstawiono mu Malcolma, którego powitał z otwartymi ramionami.

- Przyjaciele Septimusa i Jakoba są moimi przyjaciółmi. Mów mi Bonny, młodzieńcze. Zapraszam wszystkich do kantorka. Tam spokojnie porozmawiamy.

Gabinet ekscentrycznego księgarza przypominał muzeum osobliwości. Prócz spiętrzonych wysoko stosów książek i notatek był tu również wielki słój z formaliną, w której pływał ludzki

mózg, wypchana sowa sporych rozmiarów z pie-  
rzem zżartym przez mole, spatynowane ze starości  
figurki, zabytkowe naczynia oraz wiele innych  
niezwykłych przedmiotów.

Pan Cavendish pospiesznie usunął sterty książ-  
zek z kanapy i foteli, omiótł poduszki chusteczką  
wyjętą z wewnętrznej kieszeni surduta i, nie  
zważając na wznieconą podczas tych porządków  
chmurę kurzu, poprosił gości, aby raczyli spocząć.  
Przysunął bliżej krzesło wyciągnięte z za biurka  
i rozparł się na nim wygodnie. Zapalił fajkę,  
wypuszczając kłęby dymu, od których powietrze  
w gabinecie zrobiło się szare. Po chwili zaczął  
wypytywać o powód dzisiejszej wizyty.

- Zgaduję, że kiedy dochodziłem do zdrowia,  
wygrzewając się w południowym słońcu, przeży-  
waliście osobliwe przygody.

- Trafiłeś w sedno, Bonny - przyznał pan  
Quimby. - Nim zdradzimy ci nasz sekret, musisz  
przysiąc, że nie wyjawisz go nikomu, chyba że  
Malcolm ci na to pozwoli.

- Aha, tajemnica! Coraz lepiej. Daję słowo, że  
będę milczał jak grób. Mów wreszcie, Septimucie.  
Niech mi będzie wolno zacytować poetę nad  
poetami i powiedzieć, że rwę się „jak charty ze  
smyczy”, by wysłuchać twojej opowieści. Co tam  
było dalej? Aha! „Łowy zaczęte!” Jakiż to sekret  
wytropiliście, moi panowie? Domyślam się, że  
sprawa dotyczy tego młodzieńca. Czyżby znalazł  
u ciebie, drogi Septimucie, starą mapę, na której  
zaznaczono miejsce, gdzie spoczywa wielki skarb?

- Ciepło, ciepło, przyjacielu, chociaż brak nam mapy. Są za to inne wskazówki. Proponuję, żeby Malcolm wszystko ci opowiedział, a my od czasu do czasu dorzucimy swoje trzy grosze.

W tej samej chwili subiekci pana Cavendisha przynieśli kawę i kanapki zakupione w ulicznym straganie. Wśród książek i papierów znalazło się miejsce dla dzbanka oraz talerzy pełnych kromek chleba z szynką, bułek obficie posmarowanych masłem, pęczków rzeżuchy, dwóch tuzinów jaj na twardo oraz świeżutkiego ciasta z rodzynekami. Czterej panowie z apetytem zabrali się do jedzenia. Gdy zaspokoiли pierwszy głód, Malcolm przedstawił skomplikowane dzieje swojej rodziny.

- Fascynująca historia - podsumował pan Cavendish. - Kiedy w rozmowie żartowałem sobie, że najpewniej chodzi o ukryty skarb, w głowie mi nie powstało, że jestem blisko prawdy. Co więcej, moi panowie, ośmielę się twierdzić, że trafiliście pod właściwy adres. Chyba będę w stanie wam pomóc i przyczynić się do odnalezienia szmaragdowego Serca Chepri. - Umilkł i w zadumie bębnił palcami po blacie biurka. - Niech się zastanowię... Gdzie położyłem ten wolumin? Dałem go do książek historycznych? Chyba nie... Który to dział? - Pan Cavendish zerwał się z krzesła i opuścił gabinet.

- Zgodzisz się chyba, Septimusię, że Bonny potrzebuje dobrego archiwisty - powiedział zirytowany Jakob Rosenkranz. - Pora zrobić porządek z jego książkami, bo pewnego dnia ktoś sfiksuje

w tym chaosie. Ba, może być o wiele gorzej, jeśli przeciążone regały i szafy runą na klientów. Ciekawe, ile dni trzeba będzie przebierać książki, aby dotrzeć do przywalonych nimi zwłok.

- Wstydz się, Jakobie! - skarcił go pan Quimby.  
- Dobrze wiesz, że Bonny nie wadzi nikomu i ma złote serce, choć to dziwak. Nie jest głupcem, więc nikomu włos tu z głowy nie spadnie. To dusza człowiek, gotowy oddać ci ostatnią koszulę, gdy będziesz w potrzebie.

- Dziękować Bogu, na razie nie ma takiej konieczności, bo te jego łachy trzeba by najpierw porządnie wyprać i starannie wyprasować - rzekł cierpko Jakob i dodał pogodniej: - Wiem, wiem, Septimucie, że dobry z niego chłop, lecz zarazem... istny odmieniec, nieprawdaż?

- Wszystko słyszałem, Jakobie - wtrącił księgarz, z triumfalną miną wkraczając do gabinetu.  
- Nie dbam o twoje przytyki i ani myślę się za nie obrażać. Człowiek rozumny nie powinien mieć pretensji do bliźnich, gdy mówią prawdę, zwłaszcza jeśli czynią tak najbliżsi przyjaciele. Jestem bałaganiarzem i zapewne nim pozostanę, ale czymże jest chaos w mojej księgarni wobec wieczności? Poza tym doskonale wiem, gdzie czego szukać, a także o czym traktują poszczególne książki. Tutaj nie dam się zapędzić w kozzi róg. Przestań marudzić, Jakobie, bo obaj z Septimusem znamy cię jak zły szeląg i jesteśmy świadomi, że tylko udajesz malkontenta. Spójrz! Mam księgę, której szukałem. Zaraz poznamy wszelkie konsekw-

wencje łupieżczej ekspedycji earla Dundragon do egipskich grobowców.

Z miną zwycięzcy potrząsnął trzymanym w rękach trofeum, usiadł przy biurku i położył na nim opasłe tomisko.

- Co to jest, Bonny? - Pan Quimby wychylił się do przodu, aby zerknąć na tytuł. - Dzieje klanu Ramsayów?

- Nie! Historia tajnych stowarzyszeń. - Pan Cavendish otworzył księgę i zaczął ją kartkować. Po chwili krzyknął radośnie: - Mam! Mam! Tu jest wszystko! A nie mówiłem? Gdy raz coś przeczytam, zapamiętuję na całe życie.

- I dlatego zapominasz o najprostszych sprawach, stary abnegacie - ironizował Rosenkranz. - Dobrze, dobrze, nie będę ci więcej dokuczać. Mów, co znalazłeś. Cóż to za rewelacje?

- Mamy tu zagadkową opowieść. Jej bohaterem jest lord Rob Roy Ramsay, dziewiąty earl Dundragon. Gdy pan Blackfriars wspomniał, że lord James Ramsay, ósmy earl Dundragon, został zabity na polowaniu przez syna, uświadomiłem sobie, że gdzieś o tym czytałem. Pozostało mi jedynie przypomnieć sobie, w której książce znalazłem te informacje. Proszę bardzo, oto ona: „Wtajemniczeni, czyli historia tajnych stowarzyszeń”. Autorem jest sir Walter Hutcheson. Posłuchajcie, czego się dowiedziałem.

Pan Cavendish przełożył kilka stron, których uroda cieszyła oko. Przesunął palcem po wersach, znalazł właściwy akapit i opowiadał dalej.

- Sir Walter pisze, że po tragicznej śmierci ósmego earla Dundragon jego syn, dziedzic i mimowolny zabójca był tak przygnębiony, że z upływem czasu coraz chętniej zwracał się ku sprawom ducha oraz ku wiedzy tajemnej. Zapewne pamiętacie, że na przestrzeni dziejów wielu sławnych ludzi wybrało tę drogę. Nie brak wśród nich arystokratów. Wymienię kilka spośród wielu nazwisk: John Dee, Paracelsus, Nostradamus, Leonardo da Vinci, sir Isaac Newton i tak dalej. Co więcej, trzeba pamiętać, że earl Dundragon to Szkot, a wiadomo, że Szkocja była ważnym obszarem działalności zakonu templariuszy. Z kolei u nas w Anglii jak grzyby po deszczu wyrastały pseudozakony, na przykład kawalerowie świętego Franciszka, tajne stowarzyszenie założone przez sir Francisca Dashwooda, powszechnie znane jako Klub Piekielników. A teraz najważniejsza informacja. Dziewiąty earl Dundragon, podobnie jak sir Francis, założył tajną organizację, którą nazwał Zakonem Synów Izydy. Przypomnę, że Izyda to egipska bogini, żona Ozyrysa i matka Horusa. Do wspomnianego przed chwilą stowarzyszenia należało trzynastu braci, zwanych także mnichami, którzy oddawali podobno cześć talizmanowi uważanemu za antyczną wersję kamienia filozoficznego. Był to szmaragd mający kształt skarabeusza, poświęcony bogu Chepri. Kto poznał wszystkie jego właściwości i prawidłowo się nim posługiwał, mógł stać się nieśmiertelny.

- Nasz słynny klejnot, Serce Chepri! - Zawołał Malcolm.

- Na to wygląda. - Księgarz pokiwał głową, a jego piwne oczy lśniły z radości.

- Czy twoja księga, Bonny, opowiada o dalszych losach amuletu? - zapytał pan Quimby.

- Niestety, brak informacji na ten temat. Sir Walter pisze tylko, że gdy czterech z tak zwanych braci zginęło gwałtowną śmiercią w podejrzanych i wielce tragicznych okolicznościach, zakon rozwiązano, a bracia się rozpierchli.

- I wtedy Serce Chepri zaginęło - dodał pan Rosenkranz z ciężkim westchnieniem.

- Jestem zdania, że pozostali przy życiu bracia wraz ze stojącym na ich czele dziewiątym earlem Dundragon doszli do wniosku, że talizman jest przeklęty i przynosi nieszczęście - myślał głośno Malcolm. - Jego poprzednik, lord James, był tego samego zdania. Według mnie samozwańczy mnisi postanowili ukryć Serce Chepri w bezpiecznym miejscu. Domyślam się, że chcieli lepiej poznać właściwości amuletu i zaklętą w nim moc. Wtedy zamówili dwa krucyfiksy, czyli swego rodzaju klucze do kryjówki, w której schowali Serce Chepri.

- Wielkie nieba! - zawołał nagle pan Quimby, uderzając się w czoło. - Jakie to proste! Wraz z earlem Dundragon pozostało przy życiu dziewięciu braci... a więc i krzyży pewnie było dziewięć.

*Nad wzgórzem i nad doliną,  
Przez zarośla, przez ogrody,  
Nad zagrodą, rozpadliną,  
Przez płomienie i przez wody  
Wszędzie pędzę, wszędzie dążę,  
A szybciej niż księżyc krążę.  
Królowej Duszków, mej pani,  
Służę, rosą skrapiam dla niej  
Kęgi na pięknej zieleni,  
Która się od dworzan mieni:  
Pierwiosnków złote kaftany  
Lśnią, a każdy cętkowany  
Rubinami, duszków darem,  
Z których woń dobyto czarem.  
Kropielek rosy tu poszukać spieszę,  
Pierwiosnkom perły te w uszach zawieszę.*

William Shakespeare  
„Sen nocy letniej” (1595-1596)



# **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Spotkanie w parku

1848

*Anglia, Londyn, Hyde Park i Kensington Garden*

Przez całą sobotę i niedzielę Ariana zmagą się ze swym sercem i rozumem, przekonując samą siebie, że zjawisko nazwane miłością od pierwszego wejrzenia nie istnieje, a zatem mało prawdopodobne, by zakochała się w Malcolmie Blackfriarsie. Owszem, fascynował ją, co należy przypisać osobliwemu podobieństwu do Colliego, chłopca z nocnego koszmaru. Na początku owej wizji czuła się zawsze niewyobrażalnie szczęśliwa, idąc za nim przez mokry, jesienny las, wsłuchana w dźwięczny głos młodego przewodnika i opiekuna. Po przebudzeniu ze smutkiem uświadamiała sobie, że tamten wyjątkowy chłopak jest tylko wytworem jej wyobraźni. Zdawała sobie sprawę, że na postać wymarzonego towarzysza dziecięcych zabaw i odkrywczych ekspedycji nałożył się wizerunek Malcolma Blackfriarsa, przystojnego bruneta o uroczym obejściu.

Tłumaczyła sobie, że nie powinna o nim myśleć, wkrótce jednak z rosnącą irytacją zdała sobie sprawę, że łatwiej postanowić, niż urzeczywistnić decyzję. Wytrzymała do poniedziałku i wtedy doszła do wniosku, że nie powinna dłużej się katować.

- Sophie, dzień jest słoneczny i ciepły. Idziemy na spacer - powiedziała do pokojówki, odwracając się od okna, przez które długo patrzyła na

Portman Square. - Biegnij do kuchni. Niech *monsieur* Montsegur przygotuje kosz piknikowy. Pójdziemy do Hyde Parku i zjemy obiad na świeżym powietrzu.

Sophie, siedząca na ławeczce ustawionej w nogach łożka Ariany, podniosła wzrok znad sukni, której obrębek przyszywała. Spojrzała na panienkę z miną niewiniątka.

- *Mademoiselle*, czy ten uroczy pomysł ma coś wspólnego z faktem, że pan Blackfriars często zjada tam przyniesiony z domu posiłek?

- Park jest duży, mało więc prawdopodobne, żebyśmy się natknęły na tego pana. A gdyby nawet, cóż z tego? Wiesz doskonale, że rozmówiłam się z *maman*, która nie zabroniła mi go widywać.

- *Oui*, to prawda - odparła pokojówka, kończąc szyć. - Pani hrabina jest mądra i zna się na sprawach serca. Zdaje sobie sprawę, że gdyby zakazała panience spotykać się z panem Blackfriarsem, panienska usiłowałaby za wszelką cenę postawić na swoim. Zapewne widywalibyście się potajemnie, wykorzystując każdą dogodną sposobność. A tak nie musi panienska uciekać się do wybiegów. Co więcej, wiadomo, że pani hrabina na pewno nie posunie się do szpiegowania własnej córki.

- Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy, Sophie - oskarżyła ją Ariana.

- Nie miałam takiego zamiaru, *mademoiselle* - zastrzegła się pokojówka. - Po prostu nie rozumiem, dlaczego interesuje się panienska tym

młodzieńcem, skoro wasza znajomość jest bez przyszłości. Gdybym miała tylu starających się, co panienka, skakałabym z radości, zamiast uganiać się za parweniuszem bez tytułu i majątku.

- Pan Blackfriars ma inne atuty. Pieniądze i wysokie urodzenie to nie wszystko.

- Gdyby panienka przez kilka dni żyła jak te biedaczki ze slumsów, inaczej byśmy teraz rozmawiały. Nie twierdzę, że wysokie urodzenie oraz majątek to gwarancja pomyślności i szczęścia. Jednak tytuły i pieniądze otwierają wiele drzwi, które dla zwykłych śmiertelników na zawsze pozostają zamknięte. Bogacz ma pewność, że nie zostanie bez środków do życia i nie skończy w przytułku.

- Na miłość boską! Sophie, agitujesz niczym paryscy rewolucjoniści!

- Nie podobają mi się ich metody działania, ale mają rację, twierdząc, że ubogiemu zawsze wiatr w oczy wieje. Każdy chce żyć jak człowiek. Gdyby panowie przestrzegali tej zasady, nie byłoby zamieszek ani rewolucji.

- Idealistka z ciebie, Sophie. Nie mówmy o tym więcej. Zresztą pan Blackfriars nie jest biedakiem ani parweniuszem. Wręcz przeciwnie, to dżentelmen. Musisz przyznać, że kiedy nas odwiedził, nie popełnił ani jednej gafy.

- *Oui*. Niech panienka marzy do woli o uroczym młodzieńcu. Mam nadzieję, że panienka wie, co robi, bo inaczej czeka nas sercowa katastrofa, jakiej dotąd nie widziano.

Wkrótce Ariana szła z Sophie londyńskimi ulicami. Towarzyszył im lokaj, niosący kosz. W parku Ariana wypatrzyła zaciszne miejsce nad rzeką Serpentina. Poleciała służącym rozłożyć koc i wypakować zabrane z domu wiktuały.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy z daleka spostrzegła idącego alejką Malcolma. Upozowała się wdzięcznie na kocu, ułożyła malowniczo fałdy spódnicy, a jasną twarzyczkę osłoniła parasolką. Młodzieniec wkrótce dostrzegł śliczną pannę i natychmiast mszył w jej stronę.

- Niech panienka nie mdleje - syknęła kpiąco Sophie.

- Ani myślę! - skłamała Ariana, której z wrażenia zrobiło się ciemno przed oczami.

- Śmiałem wątpić.

- Milcz, wariatko! Jeszcze usłyszysz!

Ariana z zachwytem wpatrywała się w uśmiechniętego Malcolma, który zdjął kapelusz i skłonił się przed nią. Promienie słońca lśniły na ciemnych włosach.

- *Monsieur* Blackfriars. Jaka miła niespodzianka. - Podniosła głowę, przywitała go promiennym uśmiechem i nagle spostrzegła siniaki na jego twarzy. - Dobry Boże! Cóż to? Włóczy się pan po zakazanych spelunkach? Wdał się pan w bójkę?

- Ależ skąd, *mademoiselle!* Zapewniam, że noga moja nie powstała w takim miejscu. Siniaki to skutek feralnego upadku. Kiedy opuściłem gościny dom państwa, złapałem dorożkę, ale wsiadając, pośliznąłem się i oto efekt.

- Zamierza pan jeść sam? Może zechce pan dotrzymać towarzystwa mnie i *mademoiselle Neuville*? Kucharz przygotował dla nas mnóstwo smakołyków. Same nie damy im rady.

- Nie chciałbym się narzucać...

- Ależ drogi panie, proszę tak nie mówić. Zapewniam, że pańskie towarzystwo sprawi nam ogromną przyjemność, zwłaszcza że jestem ciekawa, co pan sądzi o pewnej kwestii poruszonej w czasie wieczorku dyskusyjnego.

- W takim razie z radością przyłączę się do pań.

Usiedli we troje na kocu i z apetytem jedli zimną pieczeń, kurczęta i plastry szynki, dwa rodzaje sałatek oraz kromki świeżego chleba obficie posmarowanego masłem. Malcolm odkorkował wino, napełnił kryształowe kieliszki, podał je paniom, a potem sięgnął po swój. Kiedy się posilili, Sophie taktownie oznajmiła, że idzie na spacer nad rzekę, żeby przyjrzeć się łabędom, wdzięcznie unoszącym się na falach, oraz amazonkom i dżentelmenom, którzy odbywali tam przejażdżki.

- Nie mamy wierzchowców. Pod tym względem papa *nie stanął na wysokości zadania, choć* spędziliśmy już w Anglii sporo czasu - poskarżyła się Ariana, obserwując Sophie. Karmiła chlebem kaczkę, które dreptały wzdłuż brzegu. - Mam nadzieję, że wkrótce się tym zajmie. Jeździ pan konno?

- Owszem, choć odkąd mieszkam w Londynie, rzadko mam po temu sposobność.

- Gdy papa wreszcie kupi nam piękne konie,

być może zechce pan towarzyszyć mi w czasie konnych przejażdżek. Papa z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby użyczyć panu swego wierzchowca.

- Zapewne, powtarzam jednak, że nie chcę się państwu narzucać ani nadużywać waszej uprzejmości, *mademoiselle*. Jestem w pełni świadomy, jak wiele nas dzieli, i doskonale wiem, czemu zawdzięczam zaproszenie do rezydencji państwa. Powiem wprost: nie łudzę się, że będę na Portman Square stałym gościem.

- Skąd ta pewność? Uświadomiłam sobie ostatnio, że ludzkie życie obfituje w niespodzianki. Dam przykład. Śmiałam się w głos, kiedy *madame* Polgar przepowiedziała mi, że opuszczę Paryż. I proszę! Minęło zaledwie kilka dni i znaleźliśmy się w Londynie.

- Co pani sądzi o tej kobiecie? Ma dar jasnowidzenia czy jest zwykłą oszustką? - zapytał Malcolm.

- Sama nie wiem, jak odpowiedzieć na pańskie pytanie. Jej wróżby są zagadkowe. Stawiała mi karty tarota. Wspomniała o trzech mężczyznach, którzy mają pojawić się w moim życiu. Symbolizują ich trzy karty: Król Pentagramów, Król Magicznej Różdżki i Król Mieczy. Pana niewątpliwie uznała za tego ostatniego, bo spytała, czy umie pan posługiwać się mieczem i czy jest pan fehmistrzem. Pamięta pan tamtą rozmowę?

- Owszem. Prawdą jest, że zacząłem intensywnie

nie trenować szermierkę, chociaż wciąż daleko mi do mistrzostwa.

- Nazwa karty jest myląca. Nie chodzi o sprawność w posługiwaniu się białą bronią. Wiem od *madame* Polgar, że Króla Mieczy cechuje przede wszystkim umiejętność logicznego myślenia oraz twórcze zdolności. Pan, będąc z zawodu kartografem, niewątpliwie ma oba te przymioty.

- Słuszna uwaga. Mówiła coś więcej o Królu Mieczy?

- *Non* - odparła z powagą Ariana. - Wspomniała tylko, że nie wie, czy stanie się on dla mnie przyjacielem, czy wrogiem.

- W tej kwestii śmiało mogę rozwiać pani wątpliwości. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę darzyć panią serdeczną przyjaźnią. O wrogości z mojej strony mowy być nie może - zapewnił skwapliwie Malcolm.

- Tak przypuszczałam, *monsieur*, i jestem z tego powodu bardzo rada. Mam w Londynie wielu znajomych, ale przyjaciół jak na lekarstwo. Jedyna bratnia dusza to lady Christine Fraser, którą niedawno poznał pan u nas. Czuję się... spokojniejsza, odkąd wiem, że w potrzebie mogę na pana liczyć.

- Tego powinna być pani absolutnie pewna, *mademoiselle*. Sądzę zresztą, że nie ma pani żadnych powodów do niepokoju - odparł, zdumiony powagą i niepewnością malującą się na jej twarzy.

- Kto wie? Odkąd pana poznałam, zastanawiam się, kim jest wspomniany przez *madame* Polgar Król Pentagaramów. Ostrzegła mnie, że to



człowiek zepsuty i niebezpieczny, który może wyrządzić mi krzywdę.

- Zna pani kogoś takiego? - spytał Malcolm, zaniepokojony jej wyznaniem.

- Dziękować Bogu nie! Dotychczas nikt taki nie pojawił się w moim życiu. Mam nadzieję, że ta część przepowiedni nigdy się nie spełni.

- Gdyby było inaczej, proszę natychmiast mnie o tym zawiadomić, a wtedy uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby panią chronić.

- Dzięki, *monsieur*. Kamień spadł mi z serca. A teraz proszę mi powiedzieć, jakie wrażenie zrobił na panu *monsieur* al-Walid. Wydaje się bardzo tajemniczy. Co pan myśli o jego profesji i badaniach dotyczących ogromnego węża z jeziora Loch Ness? Może to jedynie zasłona dymna?

- Zdaniem pana Quimby'ego, ten jegomość wydaje się podejrzany, a jeśli naprawdę chce odnaleźć gigantycznego węża, szuka wiatru w polu. - Malcolm roześmiał się głośno. - Mój pryncypał uznał za absurdalne wyjaśnienia al-Walida na temat jego rzekomych badań.

- Naprawdę? - Ariana nagle poweselała i także wybuchnęła śmiechem. - Lubię pana Quimby'ego. Jest nadzwyczaj rozsądny i rzeczowy.

- To prawda. Cieszyłby się, gdyby wiedział, że jego uwagi na temat pana al-Walida wzbudziły pani wesołość. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przed chwilą po raz pierwszy usłyszałem pani śmiech. Brzmi uroczo. Powinna pani częściej śmiać się na cały głos.

Malcolm wypowiedział te słowa, wpatrując się w nią jak w obraz. Ariana spłonęła rumieńcem, poczuła miłe dreszcze. Była zbita z tropu, bo po raz pierwszy w życiu doznawała tych niepokojących odczuć. Mąciło jej się w głowie, a ciało płonęło.

- Robi się... późno - oznajmiła urywanym głosem i zaczęła wkładać naczynia do kosza piknikowego.

- Istotnie. Na mnie także już pora. Muszę wracać do pracy.

Malcolm ukląkł na kocu, żeby pomóc w pakowaniu. Był tak blisko, że Ariana poczuła świeżą woń męskiego ciała, pachnącego mydłem do golenia z aromatem sandałowego drzewa oraz wodą kolońską. Poczowała również nikłą woń cygar i lekkiego wina, które pili do obiadu, wzmocnioną ciepłem słonecznych promieni i wiosennego wiatru. Niespodziewanie zapragnęła rzucić się Malcolmowi na szyję, przylgnąć do niego całym ciałem i złożyć głowę na mocnym ramieniu.

Słabo go znała i mimo oszołomienia zdawała sobie z tego sprawę. Odniosła jednak wrażenie, że znają się od dawna. Podczas posiłku rozmawiała z nim bez przymusu i skrępowania, jakby od lat byli przyjaciółmi... albo kochankami?

Malcolm pozbierał naczynia i schował je do kosza piknikowego. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Arianie wstać. Dopiero po dłuższej chwili podała mu dłoń. Kiedy to uczyniła, mocny uścisk ciepłych palców znowu przyprawił ją o drżenie.

- Dzięki za posiłek, *mademoiselle*. Potrawy

były znakomite, wino przednie. Jeśli zechce pani przed końcem tygodnia wybrać się znowu na spacer, w ramach rewanżu przyniosę z domu trochę smakołyków.

- Zamierzam przyjść tutaj we czwartek, *monsieur* - odparła cicho.

Najchętniej codziennie przybiegałaby do Hyde Parku, żeby go widywać. Umówiła się pod koniec tygodnia, aby nie pomyślał, że go zachęca lub jest nazbyt śmiała.

- Zjawię się niezawodnie. *Au revoir, mademoiselle* - obiecał Malcolm, skłonił się i ucałował jej dłoń.

- *Au revoir, monsieur*- pożegnała się przyjaźnie.

Gdy odwrócił się i odszedł, patrzyła za nim, aż zniknął jej z oczu. Przyciskała do ust wierzch dłoni, którą tak czule pocałował.

Dni dzielące Arianę od kolejnego spotkania z Malcolmem wlokły się w nieskończoność. Stale był obecny w snach. Rośla sobie, że ukochany jakimś cudem staje się arystokratą, zyskuje tytuł i majątek. Nie zwierzała się nikomu z owych marzeń. Ani matka, ani Sophie, drwiąca ustawicznie ze skromnego kartografa, nie wiedziały, co się dzieje z Arianą. Paradoksalnie niepokoiło ją uporczywe milczenie matki, chociaż brak uwag i pouczeń z jej strony powitała z ulgą.

We czwartek wystrojona w najpiękniejszą spacerową kreację wybrała się do Hyde Parku. Idąca obok Sophie gadała jak najęta.

- Moim zdaniem, traci panienka czas. Biedny *monsieur Blackfriars koniec* końców zostanie sam ze złamanym sercem, bo wasza znajomość do niczego nie prowadzi. Wypadałoby raczej zainteresować się earlem Netherfield. Co panienka ma przeciwko niemu?

- *Bon Dieu!* Co ty gadasz? - oburzyła się Ariana.

- Ten człowiek jest ode mnie starszy o pięćdziesiąt lat z okładem. Poza tym budzi obrzydzenie.

- Ale ma tytuł i ogromny majątek, byłaby panienka zabezpieczona na przyszłość, bo starowina długo nie pociągnie.

- Twój poczciwy starowina pochował już dwie żony. Zapewne przeżyłyby i mnie.

- Ja tylko głośno myślę, panienko - zachnęła się Sophie.

- Mowy nie ma, żebym poślubiła człowieka pokroju earla Netherfield, choćby nawet aspirował do tronu. Przyjmij to do wiadomości i przestań gadać bzdury. Upatrzyłam sobie pana Blackfriarsa i zrobię wszystko, żeby go zdobyć.

- Ostrzegam, że jeśli postawi panienka na swoim, do końca życia pozostanie biedna jak mysz kościelna.

- Nie przesadzaj, Sophie. Pan Blackfriars nie jest żebrakiem.

- Tak, ale jego roczny dochód ledwie wystarcza na utrzymanie skromnego domu z nieliczną służbą. A teraz niech sobie panienka wyobrazi, że jest hrabiną Netherfield. Opływałaby panienka w luksusy!

- Niestety, oprócz tych wszystkich zbytków miałabym także paskudę earla.

- Można go schować za parawanem.

- Oj! Sophie, Sophie. - Ariana wbrew sobie wybuchnęła śmiechem, a pokojówka jej zawtórowała. Ubawione minęły Cumberland Gate i weszły do Hyde Parku.

Malcolm czekał na nie tam, gdzie spotkali się poprzednio. Rozłożył pled, umieścił na nim kosz piknikowy i wyglądał swych gości. Na widok młodej damy i jej pokojówki zerwał się, powitał je ukłonem i ucałował dłoń Ariany. Delikatne musnięcie ciepłych ust przyprawiło ją o rozkoszny dreszcz.

Gdy usiedli do posiłku, wyjął z kosza delikatne porcelanowe filiżanki i kryształowe kieliszki. Ariana spojrzała znacząco na Sophie. Oto dowód, że jej wybranek nie tylko potrafi znaleźć się w najlepszym towarzystwie, lecz także ma wyczucie stylu, a ponadto stać go na luksusowe drobiazgi. Sophie nieznacznie pokręciła głową na znak, że ładna zastawa to nie wszystko. Wkrótce na piknikowym obrusie pojawiły się smakołyki przygotowane przez kucharkę, panią Peppercorn. Biesiadnicy zgodnie uznali, że jej kunszt dorównuje mistrzostwu samego monsieur Montsegura. Kiedy się posilili, Sophie zaproponowała, że posprząta i spakuje naczynia do kosza, więc Malcolm zaprosił Arianą na spacer. Poszli nad rzeczkę Serpentine. Pływały po niej dorosłe łabędzie, a za nimi sunęły rzędem liczne pisklęta. Zachwycona Ariana zrobiła kilka

kroków do przodu i stanęła nad wodą. W tym momencie jeden z ptaków niespodziewanie wyprężył się, rozłożył szeroko białe skrzydła, wyciągnął szyję do przodu i zasyczał jak rozwścieczony wąż. Szybko płynął w stronę intruzów, szykując się do ataku.

- Ariano! - zawołał Malcolm. Chwycił ją za rękę, odciągnął w tył i zachęcił do ucieczki.

- Szybciej! Szybciej! - przynaglał do biegu swą towarzyszkę.

- *Mon Dieu!*— zawołała, nie mogąc złapać tchu. - Ale się przestraszyłam! Kto by pomyślał, że te cudowne ptaki bywają tak groźne i wojownicze?. Co się stało? Czym je spłoszyłam? Zachowałam się niewłaściwie?

- Owszem. - Malcolm kiwnął głową, a potem wyjaśnił, w czym rzecz. - Znadto zbliżyła się pani do brzegu, a dorosłe łabędzie uznały, że to zagraża ich pisklątom.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zawsze uważałam, że łabędzie są łagodne i spokojne.

- Owszem, rzadko się płoszą, ale w obronie piskląt gotowe są na wszystko. Co gorsza, bywają wówczas niebezpieczne. Mocnym uderzeniem skrzydła mogą zabić dziecko lub powalić na ziemię dorosłego człowieka. Gdyby oba ruszyły do ataku, pani życie zawisłoby na włosku.

- Wygląda na to, że ocalił mnie pan po raz wtóry.

- Nie ma o czym mówić. Każdy na moim miejscu zachowałby się tak samo.

- Być może, lecz mimo wszystko jestem panu niewymownie wdzięczna.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proponuję spacer do Kensington Gardens. Nie ma tam łąbędzy ani ich piskląt.

- Doskonały pomysł. O tej porze roku kwitnie wiele drzew, krzewów i bylin. Alejki Kensington Gardens przypominają mi paryskie ogrody Tuileries.

- Tęskni pani za Paryżem?

- Teraz o wiele mniej niż na początku naszego pobytu w Londynie.

Ariana nie powiedziała wprost, że zapomniała o nostalgii, kiedy poznała Malcolma, jednak między wierszami dała mu to do zrozumienia. Kiedy uśmiechnął się do niej czule, uznała, że pojął, w czym rzecz.

Zamilkli i ramię przy ramieniu szli przez wiosenny park. Malcolm po raz kolejny z goryczą uświadomił sobie, że przez haniebne wybryki swego przodka nie ma co marzyć o małżeństwie z Arianą. Cóż za ironia losu! Gdyby nie utrata majątku i tytułu, byłby idealnym kandydatem do jej ręki. Jako zwykły kartograf i subiekt ze sklepu z mapami, mógł aspirować jedynie do miana serdecznego przyjaciela i powiernika młodej damy z wyższych sfer. Byłoby dla niego lepiej, gdyby jej wcale nie poznał. Gdy zerkał w bok, kątem oka widział burzę ciemnych loków, delikatną twarzyczkę, ametystowe oczy ocienione długimi rzęsami i różane usta, które pragnął całować do utraty tchu.

Serce mu się do niej wrywało, ale nie dał tego po sobie poznać. Mijali właśnie Round Pond, okrągłą sadzawkę, nad którą pod opieką niań bawiły się dzieci, puszczające na wodę łódeczki. Malcolm zagadnął uprzejmie:

- Jeśli zechce pani po raz kolejny wybrać się ze mną na spacer, przyniosę swoją łódkę i razem puścimy ją na wodę... chyba że pani zdaniem to dziecinada, a podobne zabawy przystoją jedynie maluchom.

- Wręcz przeciwnie, *monsieur* - odparła z uśmiechem. - Wyobrażam sobie, ile radości sprawi nam ta uroczą rozrywka. Kolekcjonuje pan modele łodzi?

- Nie, ale zachowałem kilka wykonanych własnoręcznie po naszej przeprowadzce do Londynu. Kiedyś miałem ich mnóstwo. Pływały po górskich strumieniach i oczkach wodnych. Niestety, wszystkie spłonęły, gdy pożar zniszczył dwór, który dzierżawiliśmy. Straciłem wtedy rodzinny dom i ojca, który zginął w płomieniach.

- Prawdziwa tragedia! Bardzo panu współczuję. - Wzruszona Ariana dodała cicho: - W takim razie zrezygnujmy z puszczania łódeczki, skoro ta zabawa budzi smutne wspomnienia.

- Źle mnie pani zrozumiała, *mademoiselle*-odparł skwapliwie Malcolm. - To były cudowne chwile, chętnie wracam do nich pamięcią. Gdy podrosłem, ojciec sprezentował mi prawdziwą łódź. Trzymałem ją nad jeziorem i często wypływałem na ryby. Nazywała się „Czarodziejka”.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Maskarada

*Wieczna jest gra pozorów i wieczne udanie,  
A mleko chude z daleka podobne śmietanie.*

Sir William Schwenck Gilbert

„H.M.S. Pinafore” (1878)

*Bo czym jest kłamstwo? To jedynie prawda  
W kostium przebrana jak na maskaradę.*

George Byron

„Don Juan” (1823)

*Cały świat to scena,  
A ludzie na nim to tylko aktorzy.  
Każdy z nich wchodzi na scenę i znika,  
A kiedy na niej jest, gra różne role.*

William Shakespeare

„Jak wam się podoba” (1598-1600)

1848

*Anglia, Londyn, Portman, Hanover i Grosvenor Square*

Następnego ranka Ariana zasiadła z matką do śniadania w jadalni domu przy Portman Square. Od razu przeszła do rzeczy i zadała ważne pytanie.

- *Maman*, powiedz mi prawdę. Czy kiedykolwiek byłam w szkockich górach, nad jeziorem Loch Ness?

- Ależ... Non, *cherie*. Dlaczego... dlaczego pytasz?

- Rozmawiałam wczoraj z panem Blackfriarsem. Spotkaliśmy się, gdy poszłam na spacer. Wyznanie, które wczoraj usłyszałam od niego w Kensington Gardens, bardzo mnie zaniepokoiło.

- Nie wiedziałam, że znowu się z nim widziałas, Ariano. - Hrabina znieruchomiała, a po chwili odłożyła na spodek łyżeczkę, którą mieszała gorącą czekoladę.

- Owszem, *maman*, ale nie zabroniłaś mi przecież kontynuowania tej znajomości.

- Masz rację, przyznaj jednak, że nie zachęcałam cię również, abyś ją podtrzymywała. Jeśli towarzystwo owego młodzieńca sprawia ci przyjemność, papa i ja nie będziemy przeciwni waszej przyjaźni. Pan Blackfriars jest niewątpliwie bardzo przystojny i nadzwyczaj rozumny. Jedyna wada, której możemy się w nim dopatrzeć, to brak majątku i koneksji. Jeśli mam być szczerą, a wiesz,

że to leży w mojej naturze, muszę przyznać, że ten młody człowiek od początku mnie intryguje. Co takiego powiedział, że zaczęłaś mnie wypytywać o swoje ewentualne związki ze Szkocją?

- Zwierzył mi się, że jest synem dzierżawcy, ojca stracił w pożarze dworu i miał kiedyś łódkę, którą wypływał na jezioro, żeby łowić ryby... zupełnie jak Collie z mego snu, *maman!* Łódka nazywała się „Czarodziejka”. To kolejna zbieżność.

Hrabina, która z uwagą słuchała wyjaśnień córki, nagle zakrztusiła się gorącą czekoladą. Gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek i, ku wielkiemu przerażeniu Ariany zaczęła okropnie kaszleć.

- *Maman!* - Córka zerwała się z krzesła. - *Maman*, co tobie? Potrzebujesz pomocy? Wezwać służbę?

- Non... Non... Piłam czekoladę nazbyt łąpczywie i oto skutki. Ledwie mogę zaczerpnąć tchu, lecz zaraz dojdę do siebie. Już oddycham swobodnie. Widzisz, nic mi nie dolega. Powtórz dokładnie słowa pana Blackfriarsa, żebym mogła się nad nimi zastanowić.

Ariana spełniła prośbę matki.

- Sama widzisz, że ta opowieść mogła wprawić mnie w zakłopotanie - dodała na koniec. - Dwie łódki tak samo nazwane... Poza tym odnoszę wrażenie, jakby Collie i pan Blackfriars byli jedną i tą samą osobą. Sceneria mego snu to Loch Ness i okolice. Czy naprawdę nigdy tam nie byłam?

A może jak *madame* Polgar mam dar jasnowidzenia, lecz zamiast przepowiadać przyszłość, we śnie wracam do przeszłości?

- Zwróć uwagę, Ariano, że pan Blackfriars wcale nie twierdził, jakoby dzieciństwo spędził nad Loch Ness. Mówił ogólnie o jeziorze i wędkowaniu. „Czarodziejka” to popularna nazwa łódki rybackich. Wygląda na to, że mamy do czynienia z osobliwym zbiegiem okoliczności.

- Wątpię, *maman*. Nie umiem powiedzieć, skąd ta pewność, ale wiem, że przypadkowo dotknęłam tajemnicy. Jakże bym chciała ją wyjaśnić! Gdyby pan Blackfriars był Colliem z mego snu, gdybym przed laty znała go naprawdę, to jednak powinnam zachować choćby ulotne wspomnienia i móc je przywołać na jawie, nie tylko we śnie. To jest powodem moich rozterek.

- Czy do takich wniosków doszłaś na podstawie opowieści pana Blackfriarsa, *ma petite*? - spytała z namysłem hrabina, wolno smarując masłem świeżą bułeczkę.

- Raczej nie. - Ariana pokręciła głową. - Pan Blackfriars skąpił mi szczegółów. Mówił ogólnie o szczęśliwym dzieciństwie i tragicznych wydarzeniach poprzedzających wyjazd do Londynu.

- Rozumiem - odparła w zadumie hrabina.

Nie przypominam sobie, *cherie*, żeby kiedykolwiek śnił ci się płonący dwór. W sennym koszmarze nie występuje też ojciec Collego. Sama widzisz, że twoje sny różnią się od wspomnień pana Blackfriarsa. On zresztą nie wspomniał ani

o Szkocji i tamtejszych górach, ani o jeziorze Loch Ness.

- Wiem, *maman*, ale intuicja podpowiada mi, że w tym wypadku sen i jawa są ściśle powiązane, a Malcolm i Collie mają ze sobą wiele wspólnego.

- No cóż... - Hrabina wzruszyła ramionami, jakby znużyła ją ta rozmowa. - Tak czy inaczej nie potrafię się w tym rozeznaczyć. Nadal uważam, że przypisujesz słowom Malcolma zbyt duże znaczenie. Liczę na to, że nie będziesz z nikim rozmawiać na ten temat. Osoby z towarzystwa uznałyby cię za pomyloną. Niepokoi mnie twoja uwaga o darze jasnowidzenia. Gdybyś naprawdę go miała, byłabym w najwyższym stopniu zaniepokojona. Żywię ogromny szacunek i wiele sympatii dla *madame* Polgar, ale muszę przyznać, że w jej obecności czuję się nieswojo.

- W takim razie czemu ją do nas zapraszasz?  
- zapytała Ariana, mocno zdziwiona uwagami matki. - Zawsze mnie ciekawiło, jak się poznałyście.

- Pewnego dnia przejeżdżała powozem obok naszego pałacu. Na koźle siedział karzeł Dukker, który zawsze jej towarzyszy. Przed naszą bramą ściągnął lejce i zatrzymał się, aby spytać o drogę, bo się zgubili. Przypadkiem ja i papa zajechaliśmy właśnie przed bramę, wracając do domu. Wygląd *madame* Polgar, jej powóz i konie świadczyły, że należy do naszej sfery, więc zaprosiliśmy ją do środka. Dzień był upalny, a ona przejechała tego dnia wiele mil, była nie tylko znużona długą

podróżą, lecz także zmęczona i głodna. Powiedziała, że Dukker skręcił nie tam, gdzie należało i nie mogli trafić do zajazdu, w którym chciała odpocząć i zjeść obiad. Usiedliśmy razem do stołu. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie, nie tylko jako wróżka obdarzona zdolnością jasnowidzenia, lecz także jako niezwykle wykształcona kobieta. Zaprzyjaźniłyśmy się, a nasza znajomość przetrwała próbę czasu, choć jej dociekliwe pytania oraz zagadkowe przepowiednie bardzo mnie czasami niepokoją.

- *Maman*, jak mogłaś być tak łatwowierna? Od razu zaprosiłaś ją do domu, choć nic o niej nie wiedziałaś! A jeśli masz do czynienia z oszustką, bez żadnych skrupułów nadużywającą twojej gościnności?

- Mało prawdopodobne. Papa dyskretnie wybadał co i jak. *Madame* Polgar istotnie jest osobą, za którą się podaje. Ma wszelkie prawo, żeby się tak przedstawiać. Jej mąż był rumuńskim hrabią czy baronem. Szczerze mówiąc, zapomniałam, jaki przysługiwał mu tytuł. Zginął tragicznie w wypadku lub pojedynku. Z powodów politycznych musiał wraz z żoną opuścić ojczyznę. Mieszkał za granicą - jak my. Po jego śmierci *madame* Polgar nie miała nic szczególnego do roboty, zaczęła więc podróżować. Wśród jej antenatów, mających zresztą liczne kontakty z zakonem templariuszy i masonerią, było wiele osób obdarzonych zdolnością jasnowidzenia. Spokrewniona jest z najlepszymi

rodami Francji i Szkocji. Zapewne dlatego po zamieszkach w Paryżu wyjechała do Londynu. Moim zdaniem, długo tutaj nie zabawi i ruszy na północ.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak ją zainteresowała szkocka wyprawa pana al-Walida i jego poszukiwanie słynnego potwora z Loch Ness.

- Kto wie? Muszę przyznać, że ten Egipcjanin jest dla mnie zagadkową postacią. Co więcej, zainteresowanie *madame* Polgar jego osobą zdumiało mnie. Błagam, Ariano! Tylko nie zaczynajmy kolejnej dyskusji o potworze z Loch Ness! Sama wiesz, że to zagadnienie kojarzy mi się z twoimi koszmarami. Jeśli pociągniemy ten wątek, będę kompletnie wytracona z równowagi.

- Dobrze, *maman*. Nie mówmy o tym więcej.  
- Ariana westchnęła z rezygnacją. - Powiem ci tylko, co Septimus Quimby sądzi o herpetologicznych badaniach al-Walida. Pan Blackfriars wspominał mi o tym. Zdaniem pana Quimby'ego, nasz Egipcjanin szuka wiatru w polu.

- A widzisz! - podchwyciła skwapliwie hrabina. - Miło mi to słyszeć. Skoro człowiek tak uczony i rozsądny, jak pan Quimby kwestionuje istnienie węża-potwora i uważa doniesienia na jego temat za bezsensowne wymysły, w moim przekonaniu to najlepszy dowód, że można je między bajki włożyć.

Mijały kolejne tygodnie, a lato z wolna przechodziło w jesień. Ariana starała się jak najwięcej

czasu spędzać z Malcolmem. Poświęcała mu każdą wolną chwilę.

Hrabia wybrał się w końcu na poniedziałkową aukcję koni pełnej krwi. Dokonał tam zakupu trzech pięknych wierzchowców. Ariana była początkowo rozbawiona jego hojnością, bo w ich rodzinie zapalonymi jeźdźcami byli tylko ojciec i córka, natomiast matka sporadycznie dawała się namówić na konne przejażdżki. Co dziwniejsze, hrabia zdecydował się kupić pełnego temperamentu czarnego ogiera, którego hrabina z pewnością nie odważyłaby się dosiąść. Dla siebie przeznaczył gniadego wałacha, natomiast Ariana dostała śliczną białą klacz. Nazwała ją Mgiełka. Nasuwało się przypuszczenie, że czarny ogier przeznaczony jest dla Malcolma na wypadek, gdyby on i Ariana zapragnęli razem pojeździć konno w Hyde Parku.

Malcolm znakomicie prezentował się na czarnym wierzchowcu. Patrząc na niego, Ariana utwierdziła się w przekonaniu, że ojciec istotnie wybrał konia z myślą o Malcolmie, choć nie miała pojęcia, jakie zamysły skłoniły go do takiego zakupu. Po zastanowieniu uznała, że zwodzi samą siebie. Ogier spodobał się ojcu, został kupiony, i na tym koniec. Malcolm miał w kwestii przejażdżek mieszane uczucia. Początkowo wielce się sumitował, nie chcąc nadużywać uprzejmości hrabiego, lecz gdy przełamał opory, zawsze się rozpromieniał, ilekroć galopowali z Ariana wzdłuż Rotten Row.

W takich chwilach ujawniała się w pełni jego



swobodna, nieokiełznana natura. Potężniał w oczach i tryskał radością. Ariana zorientowała się wkrótce, że nie ona jedna z zachwytem patrzy na przystojnego jeźdźca i jest pod jego urokiem. Inne panie rzucały mu zalotne spojrzenia. W takich chwilach Ariana czuła dumę... oraz piekącą zazdrość, której potem się wstydziła. Uspokajała się, widząc, że Malcolm nie zwraca uwagi na kokieteryjnych dam i świata poza nią nie widzi. Martwiła się jedynie tym, że pochodzili z różnych sfer, nie mógł więc bywać w salonach, do których ją zapraszano.

Tego wieczoru wraz z rodzicami wybierała się na maskaradę do markizy Mayfield. Od kilku dni namawiała Malcolma, żeby poszedł z nimi, lecz nie chciał o tym słyszeć.

- Proszę mnie zrozumieć, *mademoiselle* Ariano. To byłoby nie na miejscu - tłumaczył cierpliwie. - Wielką przyjemność sprawiają mi nasze pikniki w Hyde Parku, spacery w Kensington Gardens i galopady wzdłuż Rotten Row, ale *gdybym*, bez zaproszenia wtargnął do pałacu markizy, podając się za jednego z was, zachowałbym się nikkzemnie. Muszę odmówić, choć bardzo mi przyjemnie, że zapragnęła pani mojego towarzysztwa.

Rozczarowana Ariana ze ściśniętym gardłem kiwnęła głową i próbowała się uśmiechnąć.

- Oczywiście rozumiem, drogi panie, ale muszę przyznać, że byłabym ogromnie rada, gdyby ludzi oceniano na podstawie ich duchowych przy-

miotów, a nie majątku i wysokiego urodzenia oraz innych tego rodzaju błahostek. Prawda jest taka, że miara stosowana przez wyższe sfery rzadko oddaje rzeczywistą wartość człowieka. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tak właśnie jest.

- Wypadałoby chyba przyznać pani rację - odparł pobłażliwie Malcolm. - Niestety, świat, w którym żyjemy, jest urządzony tak, a nie inaczej. Obawiam się, że nawet gdybyśmy urzeczywistnili szlachetną utopię, wprowadzając szczytne zasady sprawiedliwości społecznej, zawsze ktoś byłby niezadowolony. Są ludzie o nieposkromionej ambicji, którzy nie zadowolą się nigdy tym, co posiadają.

- *Oui*. To samo powiedziałam niedawno Sophie - przyznała Ariana i zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Skoro nie ma pan ochoty iść ze mną na maskaradę, proszę ścigać się ze mną do końca tej alejki.

- Bardzo chętnie! Ruszajmy!

Roześmiana popędziła klacz i szybko wysforowała się do przodu. Ogier zwany Mrokiem szybko ją doścignął. Wkrótce amazonka i jeździec pędzili ramię w ramię. Gdy Mrok nieznacznie wysunął się do przodu, Ariana zatrzymała Mgiełkę. Roześmiana nie mogła złapać tchu po szalonej galopadzie. Ametystowe oczy błyszczały z radości, gdy popatrzyła na Malcolma. Próbowała odetchnąć głęboko, ale znowu dech jej zaparło, bo przez chwilę miała wrażenie, że ukochany wreszcie ją pocałuje. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu szybko zapanował nad

sobą i zaczął uspokajać prychnącego ogiera. Przypomniał, że powinni wracać i odprowadzić konie do stajni.

- Panienska jeszcze nieubrana? Proszę się pośpieszyć i włożyć kostium. - Głos oburzonej Sophie wyrwał Ariane z zamyślenia. - Przed chwilą posłaniec przyniósł wiadomość od hrabiny i hrabiego d'Eaton. Jaśnie państwo musieli, nie zwlekając, opuścić Londyn z powodu choroby krewnego. Proszę, żebyśmy zabrali ze sobą panienskę Christine i zaopiekowali się nią w czasie maskarady. Potem ma z nami wrócić i zostać tutaj przez kilka dni, aż jej wujostwo powróci do domu.

- Och, cudownie! Poza Christine nie mam w Londynie prawdziwej przyjaciółki. Kiedy u nas zamieszka, pocujemy się jak siostry. Zawsze pragnęłam mieć rodzeństwo.

- *Oui, mademoiselle*, ale teraz trzeba się pośpieszyć-gderała pokojówka. -Owszem, wypada spóźnić się nieco, ale nie uchodzi przyjeżdżać w połowie balu. Niech panienska nie zapomina, że musimy zjechać na Hanover Square, żeby zabrać lady Christine oraz jej kufer.

Cała rodzina, gotowa do wyjazdu, zebrała się w sieni. Hrabina Valcoeur uznała nagle, że skoro ma do nich dołączyć Christine z pokojówką Innes, nie zmieszczą się w jednym powozie, a gdyby jakimś cudem dla wszystkich wystarczyło miejsca, po takiej podróży kreacje dam niezawodnie będą pomięte. Stanowczo zapowiedziała, że woli zostać

w domu, niż pokazać się u markizy w pogniecionym stroju. Zażądała dla siebie i męża osobnej karety.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja droga.

- Hrabia przemawiał z powagą i uszanowaniem, ale oczy mu się śmiały, jakby pokpiwał z obaw małżonki. Ariana była pewna, że nie traktuje ich serio.

- Proszę nie rezonować, tylko wsiadać do powozu, *monsieur*- poleciła hrabina, która również podejrzewała o to małżonka. Obrzuciła go karcącym spojrzeniem, ale nie potrafiła długo chować urazy i po chwili obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Uważaj, mój panie, żeby po tej jeździe we dwoje moja suknia nie była pomięta.

Ariana wraz z Sophie wsiadła do drugiego powozu. Mała kawalkada ruszyła w stronę Hanover Square, gdzie mieszkała lady Christine. Wkrótce przyjaciółki siedziały obok siebie na aksamitnej kanapie powozu. Rozmawiały o maskaradzie, planowały też rozliczne atrakcje na czas pobytu Christine w domu przy Portman Square.

Gdy kareta zatrzymała się przed domem markizy Mayfield, deszcz ustał i tylko lekka mżawka padała z ołowianego nieba. Dziewczęta błyskawicznie przemknęły do holu, osłonięte parasolami trzymanymi przez Sophie i Innes. Na maskaradę przybyły tłumy wysoko urodzonych gości; roześmiane panny z trudem torowały sobie drogę. Wkrótce otoczył je rój wielbicieli, a karnety wypeł-

nity się nazwiskami zachwyconych dżentelme-  
nów. Obie długo nie schodziły z parkietu. Ariana  
w końcu opadła z sił i uznała, że czas odpocząć.  
Wymówiła się od kolejnego tańca i podeszła do  
obficie zaopatrzonego bufetu. Zastała tam Chris-  
tine, która piła poncz.

- Kim jest tamten mężczyzna w szkarłatnej  
masce i czerwonym płaszczu? - zapytała po chwili  
Ariana. - Odnoszę wrażenie, że uważnie nas  
obserwuje.

- Gdzie stoi? Pokaż mi go. Tylko dyskretnie.

- Tam, obok palmy w ogromnej donicy.

- Boże miłosierny! - krzyknęła zduszonym gło-  
sem Christine i wzdrygnęła się na widok mężczyz-  
ny w czerwieni. - Gdybym wiedziała, że tu będzie,  
zostałabym w domu.

- Dlaczego? Co z tobą? Kim jest ten człowiek?

- To wicehrabia Ugo. Ostrzegam cię przed nim.  
Mówię poważnie, Ariano. Postąpisz roztropnie,  
jeśli będziesz trzymać się od niego z daleka. To  
nikczemnik, rozpustnik i łotr zdolny do wszelkiej  
podłości.

- Znasz go osobiście? Został ci przedstawiony?

- Niestety! Widujemy się od czasu do czasu  
u wspólnych znajomych, bo ród Foscarellich,  
z którego pochodzi, ma dobra w Szkocji, podobnie  
jak rodzina mego ojca.

- Foscarelli? To przecież włoskie nazwisko. Czy  
wicehrabia Ugo opuścił Włochy i osiadł w Szkocji?

- Jego antenaci przenieśli się tam ponad sto lat  
temu. To bardzo przykra, wręcz kryminalna sprawa.

wa. Czego innego można spodziewać się po tych nikczemnikach?!

Christine opowiedziała Arianie o feralnej rozgrywce oraz pojedynku zakończonym śmiercią Iaina Ramsaya, którego rodzinne dobra przypadły hrabiemu Brunowi Foscarellemu.

- Zgroza! - szepnęła Ariana.

- Ci Włosi to ludzie owładnięci obsesją. Podobno od dawna szukają cennego talizmanu, ogromnego szmaragdu w kształcie skarabeusza. Wieść niesie, że dla jego zdobycia gotowi posunąć się nawet do morderstwa.

- Co ty mówisz?

- Słyszałaś o tym klejnocie podczas wieczoru u twojej *maman*. *Madame* Polgar dyskutowała na ten temat z panem al-Walidem, podającym się za egipskiego herpetologa. Foscarelli wierzą, że dzięki szmaragdowi zwanemu Sercem Chepri staną się nieśmiertelni.

- Moim zdaniem, to pogańskie zabobony! - obruszyła się Ariana. - Poza tym wątpię, żeby z tak błahaego powodu ludzie mordowali się nawzajem.

- Jesteś w błędzie, Ariano - odparła Christine i nagle sposepniała, a jej twarz pobladła. - Wielu jest nikczemników gotowych po trupach zmierzać do celu. Zmieńmy temat, bo widzę, że ten łotr idzie w naszą stronę. Udawaj, że go nie widzisz. Może zostawi nas w spokoju.

- Skoro nim gardzisz, czemu nie powiesz mu tego wprost?

- Postąpiłabym niemądrze. Mówiłam ci, że to

łotr pozbawiony wszelkich skrupułów. Gdybym go obraziła albo rozgniewała, zemściłby się okrutnie. Nie wiedziałam, że jest w Londynie. Zapewne przyjechał, aby podczas jesiennego sezonu odnowić znajomości. Szkoda, że tu przyszedł. Żałuję, że nie zostałam w domu. Oszczędziłabym sobie widoku tego padalca.

Gdy wicehrabia zbliżył się do bufetu, Christine jednak przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Włoch stuknął obcasami, skłonił się i ucałował rękę, którą podała mu z ociąganiem.

- *Signorina* Christine! Jak miło znów panią spotkać - przywitał się wylewnie, udając, że nie widzi, jak się wzdrygnęła, gdy ujął jej dłoń. - Przedstawi mnie pani swojej przyjaciółce?

Christine z powagą dokonała prezentacji. Ariana przez moment odniosła wrażenie, że Foscarelli marszczy brwi i pilnie ją obserwuje, jakby kogoś mu przypominała. Kiedy powtórnie na niego zerknęła, twarz miał nieprzeniknioną, a spojrzenie znudzone i obojętne. Doszła do wniosku, że pod wpływem opowieści Christine stała się nadmiernie podejrzliwa albo zwiódło ją migotanie płomyków niezliczonych świec, które rzucały osobliwe cienie.

- Jak pańskie zdrowie i samopoczucie, wicehrabio? - spytała uprzejmie.

- Och, wspaniale. Jestem w euforii, odkąd panią poznałem, *signorina* - odparł z uśmiechem, który Arianie wydał się lubieżny. Śnieżna biel zębów kontrastowała ze śniadą karnacją, a szkar-

łatna maska podkreślała ciemną barwę oczu, których spojrzenie z ledwie skrywanym zainteresowaniem taksowało figurę i twarz nowej znajomej.

- Lady Christine wspomniała, że przybyła pani z Paryża. Jak znajduje pani Londyn?

- Po przyjeździe bardzo tęskniłam za Francją, ale z czasem bardzo polubiłam to miasto.

- Wolno spytać, skąd ta zmiana? Zgaduję, że na horyzoncie pojawił się odpowiedni kandydat na męża.

- Nawet gdyby tak było, zachowałabym tę informację dla siebie.

- Ach, tak! - Diaboliczny śmiech wicehrabiego przyprowadził Arianą o zimny dreszcz. - Młoda dama taktownie dała mi do zrozumienia, abym zachował stosowny dystans i nie wtykał nosa w cudze sprawy.

- Myli się pan, wicehrabio. Przypomniałam tylko o dyskrecji koniecznej w tego rodzaju sprawach. Proszę wybaczyć, ale muszę się oddalić. Widzę z daleka, że *maman* chce, abym do niej podeszła.

- Rozumiem. Miło mi było panią poznać.

Ariana nie potrafiła odwzajemnić komplementu, skinęła głową i zwróciła się do towarzyszki.

- Idziesz ze mną, Christine?

- Pani daruje, ale chciałbym zamienić z tą młodą damą kilka słów - pospiesznie wpadł jej w słowo Foscarelli. - To sprawa osobista.

- Proszę bardzo, chętnie pana wysłucham... milordzie - odparła z ociąganiem Christine.



W tej sytuacji Ariana nie miała wyboru, choć teoretycznie mogła pociągnąć za sobą przyjaciółkę i tym samym obrazić Włocha. Rozsądek nakazywał odejść, bo przed chwilą oznajmiła, że matka ją wzywa. Postanowiła ukryć się wśród bujnych palm i stamtąd czujnie obserwować Foscarellego. Gdy meandrowała wśród spacerujących gości, niespodziewanie wpadła na mężczyznę w czarnej masce i prostym ciemnym dominie.

- *Pardon, monsieur* - usprawiedliwiła się porzytowana własnym roztargnieniem. - Ogromnie mi przykro. Niech pan się na mnie nie gniewa. - Podniosła wzrok i popatrzyła na wysokiego, przystojnego mężczyznę o regularnych rysach. Wydał się jej znajomy, spytała więc niepewnie: - Pan Blackfriars? *Non*, proszę wybaczyć, *monsieur*. Pomyliłam się, wzięłam pana za kogoś innego.

Kiedy spojrzała w oczy zamaskowanemu mężczyźnie, spostrzegła, że jego tęczówki są szafirowe. Malcolm miał szare oczy, a ich odcień zmieniał się jak barwy porannych mgieł.

- Dobrze słyszałem? Blackfriars? Takie nazwisko pani wymieniła? Czy to znajomy? - wypytywał zdumioną Ariane tajemniczy gość markizy.

- *Mais oui, monsieur* - odparła zaintrygowana. - Pan też go zna?

- Owszem, *mademoiselle*. Jesteśmy przyjaciółmi. Skoro mamy wspólnego znajomego, pozwoli pani, że się przedstawię. Nicolas Ravener, do usług. - Mężczyzna skłonił się nisko.

- Ariana Levesque - odparła, podając nazwisko rodowe.

Pan Ravener nagle zbladł, a potem zaklął przyciszonym głosem. Ariana oniemiała. Natychmiast spostrzegł, że jest wstrząśnięta, i zaczął się usprawiedliwiać.

- Tysiącrotnie przepraszam, *mademoiselle*. Przed chwilą dostrzegłem w tłumie człowieka, z którym muszę się rozmówić. To sprawa życia lub śmierci. Bardzo jestem rad, że panią poznałem.

Zdumiona niecodziennym zachowaniem pana Ravenera patrzyła bez słowa, jak odwraca się i toruje sobie drogę wśród licznych gości. Śledził wicehrabiego Uga, który po rozmowie z Christine szedł do ogrodu, znajdującego się na tyłach londyńskiego pałacu markizy. Coraz bardziej zdumiona Ariana postanowiła iść za nimi. Ciekawość nie dawała jej spokoju. Tak jak oni wymknęła się ukradkiem przez oszklone drzwi. Goście byli zajęci tańcem, paleniem cygar, grą w karty i bilard; na tarasie nie zastała nikogo. Ukryta wśród pnączy obserwowała pana Ravenera, który schował się za ogrodową rzeźbą, jakby czatował na Foscarellego. Gdy ten spacerując, zbliżył się do posągu, Ravener zaatakował go od tyłu, wykręcił ręce, obrócił brutalnie Włocha, gwałtownym ruchem rozerwał mu czerwone domino oraz białą koszulę i zaczął go dusić. Przez chwilę mocowali się zawzięcie, a potem Ravener odepchnął wicehrabiego, wrzucił do sadzawki i umknął. Głośny plusk towarzyszący upadkowi Foscarellego zagłuszył stłumiony

krzyk Ariany, która była świadkiem tej okropnej sceny.

Wystraszona, ale przytomna zerknęła na wicehrabiego, który niezdarnie próbował wydostać się z sadzawki, a następnie przez uchylone drzwi wślizgnęła się do jasno oświetlonej sali.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### *Zbójcy w ciemności*

*Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza je niszczy i skąd złodzieje wykradają je. Gromadźcie sobie skarby w niebie<sup>10</sup>.*

Biblia, Ewangelia św. Mateusza

*Pewien człowiek szedł z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między zbójców<sup>11</sup>.*

Biblia, Ewangelia św. Łukasza

*Noc dla złodziei jest, a dzień dla prawdy<sup>12</sup>.*

Eurypides

„Ifigenia w kraju Taurów” (413-409 p.n.e.)

<sup>10</sup> Przełożył Kazimierz Romaniuk.

<sup>11</sup> Przełożył Kazimierz Romaniuk.

<sup>12</sup> Przełożył Jerzy Łanowski.

1848

*Anglia, Londyn, Strand oraz Adelphi Wharves*

Dzień po obfitującej w niezwykle wydarzenia maskaradzie u markizy Mayfield przy Grosvenor Square Malcolm, który rzecz jasna o niczym nie miał pojęcia, wybrał się wczesnym popołudniem na Battersea Fields, do „Czerwonej Oberży”, ulubionego lokalu młodych Londyńczyków. Była tam dobrze wyposażona strzelnica, gdzie chciał potrenować z Nicolasem Ravenem.

Następnie punkt szósta zjawili się w restauracji „Caledonian Hotel”, przy Robert Street, niedaleko Tamizy. Zamówili po pół kwarty piwa oraz pożywne danie, zwane szumnie specjalnością szefa kuchni. Zapłacili po dwa szylingi i sześć pensów. Sącząc piwo, Malcolm wyrzucał sobie, że z powodu zauroczenia Arianą nie tylko przestał przykładać się do treningów bokserskich, szermierczych i strzeleckich, lecz także zaniedbał jedyne przyjaciela. Minęło dobrych kilka dni, odkąd się widzieli. Ostatnio pretekstem do takich spotkań były wizyty w sali treningowej, gdzie obaj wpadali, żeby trochę poboksować. Dla Malcolma była to doskonała sposobność, by wyrzucić z siebie nagromadzone w sercu oburzenie i złość na głupotę tego świata. Wyładowywał się, z całej siły waląc pięściami w bokserski worek. Aż dziw, że mocno sfatygowane płótno nie pękło od jego ciosów.

- Mocno bijesz, Malcolmie - zauważył Nicolas

Ravener, kiedy spotkali się poprzednim razem.  
- Coś ci leży na sercu?

- A żebyś wiedział, przyjacielu. Niech diabli porwą moje niezłomne zasady. - Przestał bok-sować. - Poznałem uroczą pannę i bardzo się z nią zaprzyjaźniłem. Uprzedzając twoje pytanie, dodam, że nie staram się o jej rękę, choć ogromnie bym tego pragnął. Niestety, to młoda dama z wyższych sfer, o wiele zamożniejsza ode mnie. Musiałby stać się cud, żebym mógł zostać kandydatem do jej ręki. Moja znajoma wybiera się w piątek na maskaradę do pałacu markizy Mayfield. Teraz rozumiesz, w jakich kręgach się obraca. Chciała, żebym jej towarzyszył, lecz odmówiłem. Nie zostałem przecież zaproszony przez markizę, która, rzecz jasna, nie ma pojęcia o moim istnieniu. Dla niej jestem nikim! Muszę ci wyznać, Nicolasie, że przez moment kusiło mnie, aby w masce i dominie wślizgnąć się niepostrzeżenie do pałacu i spędzić kilka godzin wśród arystokratów. Jestem pewny, że zbierze się tam śmietanka towarzyska Londynu. Po namyśle zrezygnowałem jednak z takiej eskapady.

- Dlaczego? - zdziwił się Nicolas. - Czemu nie chcesz tam iść? Maskarady to nietypowe bale. Któż cię rozpozna? Nie musisz pchać się do głównego wejścia, gdzie trzeba wręczyć lokajowi eleganckie zaproszenia na czerpanym papierze o złożonych brzegach, aby zostać wpuszczonym do środka. Zajdź pałac od tyłu, przeskocz ogrodowy mur i wślizgnij się do sali balowej tylnymi drzwiami,

Malcolmie. Goście będą w maskach. Poczekaj, aż zjadą tłumie, a wtedy bez trudu dostaniesz się do środka. Maski i domino sprawią, że staniesz się jednym z nich.

- Nicolasiu, można by pomyśleć, że sam to praktykowałeś!

- Owszem, kilkakrotnie, gdy takie wyprawy służyły moim celom. Muszę przyznać, że nie żałuję. Szczęście sprzyja odważnym, Malcolmie, Odkąd jako dwunastolatek zostałem sierotą, walczyłem z życiowymi przeciwnościami losu i sam zarabiam na życie. Czasami imam się niezwykłych sposobów, żeby dopiąć swego.

- Rozumiem. Nie wiedziałem, że los obszedł się z tobą dość brutalnie.

- Skąd miałeś wiedzieć? Rzadko opowiadałem o swojej przeszłości.

- Teraźniejszość również jest dla mnie zagadką, drogi przyjacielu - odparł rezolutnie Malcolm.

- Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że odkąd się znamy, ani razu nie wspomniałeś o rodzinie i przyjaciółach. Nie mam pojęcia, z czego się utrzymujesz. Nic praktycznie nie wiem o twoim życiu. Tylko nie zrozum mnie źle. Ani myślę ciągnąć cię za język czy wtykać nosa w twoje prywatne sprawy.

Nicolas zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami. Długo milczał.

- Nie usłyszysz ode mnie żadnych rewelacji. Jak wspominałem, rodzice wcześniej mnie osierocili. Zawsze byłem samotnikiem, poza tobą nie

mam przyjaciół. Żyję z hazardu. Dzięki temu zarabiam, kiedy mam na to ochotę, i jestem panem samego siebie. Z drugiej strony jednak to niebezpieczna profesja, dlatego na wszelki wypadek trenuję boks, szermierkę i strzelanie. Mieszkam w zajeździe „Pod Wrednym Sępem”. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Nic, ale dziękuję, że byłeś łaskaw zaspokoić moją ciekawość.

- Drobiazg...

Gdy po kilku dniach Malcolm wspominał tę rozmowę, uświadomił sobie, że hazard to wyjątkowo niebezpieczne zajęcie. Nicolas z pewnością należał do graczy, podejmujących śmiałe wyzwania. Co więcej, obracał się wśród ludzi o rozmaitych losach i pochodzeniu. Kto wie? Może ktoś z jego znajomych słyszał o zaginionym szmaragdzie lub ma informacje, które ułatwią jego odnalezienie? Malcolm gotów był teraz chwycić się każdego sposobu. Nie dość, że różnica stanów nie pozwalała mu nawet marzyć o poślubieniu Ariany, to na domiar złego poszukiwania posuwały się w żółtym tempie. Pan Quimby zgromadził sporą kolekcję map, przedstawiających okolice zamczyska, lecz ich analiza niewiele dała. Jakob Rosenkranz daremnie szukał informacji na temat krucyfiksu, należącego do stryja Charlesa. Bonifacje Cavendish także stał w miejscu. Nie udało mu się wydobyć na światło dzienne żadnych nowych faktów, dotyczących tajemniczego Zakonu Synów Izydy oraz jego założyciela, którym był lord Rob



Roy Ramsay, dziewiąty earl Dundragon. Zdesperowany *Malcolm chciał nawet jechać do Szkocji*, w rejon jeziora Loch Ness, żeby na miejscu ustalić tożsamość dwunastu członków stowarzyszenia, ale pan Quimby stanowczo zaprotestował. Nawet jego bezprzykładna wielkoduszność miała swoje granice. Oznajmił, że w sklepie i pracowni nie poradzi sobie bez Malcolma. Zaproponował, aby kwerendę prowadził nadal Boniface Cavendish, który bardziej się do tego nadawał, ponieważ był nadzwyczaj biegły w odczytywaniu starych dokumentów.

- To praca dla niego - perorował pan Quimby.  
- Zamiast szukać na chybił trafił w szkockich archiwach, niech przejrzy najpierw zasoby londyńskich bibliotek i przeprowadzi w nich systematyczne badania.

Takie refleksje i wspomnienia nachodziły Malcolma podczas wczesnej kolacji z przyjacielem. Kiedy zaspokoili głód, poszli na premierę do Theatre Royal, stojącego o rzut kamieniem od restauracji. Dawano uroczą komedię w trzech aktach, natomiast w drugiej części wieczoru ucieśzną farsę. Po przedstawieniu dwaj przyjaciele byli w doskonałych nastrojach, postanowili znowu coś zjeść i wychylić po kufelku zacnego piwa na dobry sen. Zbliżała się północ, gdy Malcolm odsunął krzesło.

- Późno już, Nicolasie. Muszę wracać do domu. W niedzielę zawsze wstaję dość wcześnie, żeby pójść z matką do kościoła na poranną mszę.

Zaproponowałbym wspólne wynajęcie dorożki, ale skoro mieszkasz „Pod Wrednym Sępem”, to nam nie po drodze. Do zobaczenia, przyjacielu.

- Zbieraj się, przed tobą daleka droga. To był udany wieczór. Świetnie się bawiłem. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu podczas treningów. Dobranoc.

W zadymionej sali panował nastrojowy półmrok. Malcolm wyciągnął rękę i wymacał płaszcz. Obaj z Nicolasem rzucili okrycia na wolne krzesło. Wkrótce opuścił lokal i ruszył ku brzegowi Tamizy, bo o tak późnej porze tam najłatwiej było złapać dorożkę. Kiedy wyszedł na Strand, zorientował się, że ma na sobie płaszcz Nicolasa. Byli podobnego wzrostu i budowy. Malcolm odkrył pomyłkę dopiero wtedy, gdy wiatr znad Tamizy uniósł pelerynkę dodatkowo ocieplającą plecy. Łopotąła za nim jak krucze skrzydła. Malcolm zaklął cicho, zawrócił i ruszył z powrotem, mając nadzieję, że zastanie Nicolasa w pubie.

Uliczne latarnie rozświetlały nocną ciemność łagodnym blaskiem. Mgła, sunąca znad Tamizy i niezbyt odległego morza, otulała miasto delikatnym woalem, łagodząc wszelkie kontury, a w powietrzu czuło się jesienny chłód. Trochę mżyło. W marę jak Malcolm zbliżał się do Adelphi Street, mgła stopniowo gęstniała, ograniczając widoczność. Nagle usłyszał niepokojące odgłosy: mocne uderzenia, bolesne jęki oraz sapanie. Natychmiast zdwoił czujność. W pobliżu trwała bójka. Tknięty nagłym przeczuciem, przyspieszył kroku, a na-

stępnie puścił się biegiem. Mgła nagle się rozstała. Ujrzał Nicolasa, walczącego zawzięcie z dwoma zamaskowanymi mężczyznami w dominach. Jeden z nich ścisnął w rękę sztylet. Wiatr rozgonił chmury, a księżycowa poświata ślizgała się po srebrzystym ostrzu. Nicolas bronił się laską ozdobioną połyskliwymi inkrustacjami w kształcie skrzydlatych smoków, która zamiast rączki miała srebrną gałkę. Ku zdumieniu Malcolma, jego przyjaciel mocno pociągnął za gałkę i z laski wyłoniła się krótka szpada o wąskim brzeszczocie, którą właściciel posługiwał się po mistrzowsku. Zręcznie parował ciosy, nie pozwalając napastnikom zbliżyć się nadmiernie. Mimo *to* pędzący na ratunek Malcolm obserwował tę scenę z przerażeniem, bo bandyci spychali Nicolasa w stronę nabrzeża. Malcolm był już na wysokości doków. Uniósł wysoko parasol, którego pomimo mżawki nie chciało mu się rozłożyć i gwałtownie zaatakował jednego z łotrów. Miał nadzieję, że teraz Nicolas łatwo pokona nożownika.

- Toby! Do diabła! Jednak mamy tego mapia-rza! - zawołał napastnik, walczący gołymi rękami, cofając się pod naporem rozwścieczonego przeciwnika.

- Zabij drania, Badger! - wrzasnął Toby. - Nie pozwól mu uciec!

Malcolm osłupiał na moment, słysząc imiona rzezimieszków. Powróciły wspomnienia sprzed wielu lat. Mężczyzna, z którym walczył zawzięcie, był kieszonkowcem i nicponiem. Dawno temu

namówił kumpla kieszonkowca, żeby ten w biały dzień okradł pana Quimby'ego. Po raz kolejny przyszło mu zmierzyć się z tymi hultajami. Malcolm domyślił się, że śledzili go od pewnego czasu, aby zemścić się za lata spędzone w więzieniu. Gdy poprzednio został napadnięty, również nie widział twarzy zamaskowanych złoczyńców.

Omyłkowo zaatakowali Nicholasa, bo miał na sobie płaszcz Malcolma, który walcząc teraz z Badgerem, zastanawiał się mimo woli, jak długo ci dwaj nikczemnicy przebywali w więzieniu i kiedy je opuścili. Ile w nich zawziętości, skoro po tylu latach zamiast na nowo ułożyć sobie życie, zapragnęli zemścić się na człowieku, który dawno temu udaremnił ich złodziejskie knowania.

Chudy i żylasty Badger mimo trudnego życia odznaczał się wyjątkową zwinnością i siłą. Malcolm był od niego wyższy, mocniej zbudowany i równie skoczny, lecz wobec zajadłości przeciwnika ledwie potrafił obronić się przed nim, zwłaszcza że parasol rozpekł się na dwoje, gdy uderzył o twardy czerep napastnika. Malcolm walczył teraz gołymi pięściami.

- Ręka do kieszeni, Malcolmie! - krzyknął niespodziewanie zdyszany Nicolas, parując szpadą ciosy Toby'ego, który wyjątkowo sprawnie posługiwał się nożem.

Przez dłuższą chwilę Malcolm nie rozumiał, o co chodzi. Nagle doznał olśnienia. Nicolas wiedział, że płaszcze zostały pomyłone, próbował dać mu do zrozumienia, że w kieszeni spoczywa narzę-

dzie, które im obu ułatwi obronę. Boksując jedną ręką, Malcolm sięgnął do wypchanej kieszeni i wymacał zimny metalowy przedmiot. Zaciśnął na nim dłoń. Pistolet! Wyszarpnął mordercze narzędzie i na oślepe strzelił do przeciwnika. Zaskoczony Badger znieruchomiał i Malcolm był przekonany, że chybił. Zmienił zdanie, gdy ujrzał, że przeciwnik blednie i chwyta się za pierś. Spomiędzy palców wypłynęły strużki krwi. Malcolm wzdrygnął się, bo ten widok przypomniawszy mu ostatnie chwile stryja Charlesa. Cóż za ironia losu! Teraz Malcolm był zabójcą; podobnie jak morderca stryja miał na sobie długie płaszczy.

Nie było czasu na takie rozmyślenia. Badger zatoczył się na skraj nabrzeża, a potem całym ciężarem ciała runął na zaabsorbowanego walką Nicolasa, spychając go w ciemną toń Tamizy. Mocno szepieni z głośnym pluskiem wpadli do rzeki i zniknęli pod wodą. Malcolm stał jak skamieniały, zaciskając palce na jednostrzałowym pistolecie, który był teraz bezużyteczny.

- Zabiłeś Badgera, mapiarzu! Zapłacisz mi za to! - ryknął Toby.

Malcolm w ułamku sekundy podjął decyzję, która mogła uratować życie jemu i Nicolasowi. Bez zastanowienia cisnął pistoletem w głowę napastnika, a gdy ten uchylił się odruchowo, runął na niego, spychając z nabrzeża. Obaj spadli do zimnej, ciemnej wody. Malcolm przez moment obawiał się, że pójdzie na dno, lecz po chwili spazmatycznie chwytając powietrze, wypłynął i zaczął

desperacko szukać przyjaciela, który nagle wychnął z fal, krztusząc się i młóćąc zawzięcie ramionami, żeby utrzymać się na powierzchni. Malcolm podpłynął, chwycił go w pół, pociągnął za sobą i podsadził, wyciągając na brzeg. Od schodów, wiodących znad wody ku nadbrzeżnemu bulwarowi, dzieliło niedoszłych topielców zaledwie kilka jardów, lecz Malcolmowi zdawało się, że wieki minęły, nim dociągnął do nich przyjaciela i po stopniach wgramolił się z nim na górę. Kiedy lam wreszcie dotarli, przełożył go przez kolano. Z całej siły uciskał plecy, żeby wypompować wodę z płuc, aż Nicholas zaczął kaszleć i pluć.

- Jak się czujesz? Zdołasz utrzymać się na nogach? - wypytywał zdyszany Malcolm.

- Tak... jeśli zechcesz łaskawie... trochę mi pomóc.

Gdy wstali, Malcolm spostrzegł dużą czerwoną plamę na kamizelce przyjaciela.

- Jesteś ranny!

Nicolas z wysiłkiem pokiwał głową.

- Ten cholerny... nożownik... dorwał mnie.

- Dasz radę iść? Trzeba poszukać lekarza. Najlepiej w szpitalu. Musimy trzymać się razem. Bałbym się ciebie tu zostawić w takim stanie. Nie wiadomo, co z Tobym. Czy umie pływać? Mam nadzieję, że nie. Ten łobuz zasłużył sobie, żeby pójść na dno. Gdyby jednak wylazł z wody i powtórnie zaatakował, byłbyś bez szans.

- Mogę chodzić... Nie jedźmy do szpitala. Zawieź mnie „Pod Wrednego Sępa”.

- Nie gadaj głupstw, Nicolasie. Straciłeś dużo krwi. Potrzebujesz lekarza.

- Dam sobie radę. Jedźmy do zajazdu.

- Nie zamierzam stać tutaj i kłócić się z tobą.

Wsunął się pod ramię Nicholasa, chwycił go w pasie i pociągnął na trotuar. Wkrótce udało mu się zatrzymać przejeżdżającą dorożkę. Kazał jechać do St. John's Wood. Obiecał dorożkarzowi napiwek, jeśli się pospieszy. Nicolas protestował słabo, ale Malcolm uciszył przyjaciela i wyjaśnił mu, kto miał być celem ataku.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny. Nie trać siły na kłótnie. Sam nie dasz sobie rady. Skoro nie chcesz jechać do szpitala, zabieram cię do Hawthorn Cottage. Zostaniesz tam, aż wyzdrowiejesz.

Nie tracąc czasu, rozpiął przyjacielowi mokry płaszcz, surdut i koszulę, żeby obejrzeć ranę. Wyglądała paskudnie. Malcolm był poważnie zaniepokojony.

- Muszę zatamować krwotok. W przeciwnym razie wykrwawisz się na śmierć, nim dojedziemy do mojego domu.

Porwał na pasy wilgotną koszulę i zrobił prowizoryczny opatrunek. Żałował teraz, że zamiast pędzić do najbliższego szpitala, posłuchał Nicolasa i zmienił decyzję. Jednak obawiał się, że gdyby uparcie obstawał przy swoim, ranny wpadłby w gniew, co mogło mu poważnie zaszkodzić.

Coraz bardziej niepokoił się raną Nicolasa, który siedział bez ruchu wciśnięty w róg pojazdu. Oczy miał zamknięte, twarz błądą, oddech płytki. W mo-

krym ubraniu dygotał na całym ciele i dzwonił zębami. Malcolm widział, że stan chorego pogarsza się z minuty na minutę, uderzył więc pięścią w przednią ścianę wehikułu i krzyknął na dorożkarza, każąc mu jechać na Portman Square. Po kilku minutach byli na miejscu. Dźwignął Nicolasa i wyniósł go na chodnik, każąc dorożkarzowi zaczekać przed wejściem do pałacu. Nie bacząc na późną porę - a było po drugiej - raz po raz dzwonił do frontowych drzwi i walił w nie pięściami. W końcu uchyliły się, a na progu stanął kamerdyner Butterworth.

- Pan Blackfriars?! - zawołał, nie kryjąc zdumienia.

Z głębi holu dobiegł głos wystraszonej hrabiny Valcoeur. Mąż starał się ją uspokoić, a potem wysunął się naprzód, żeby wypytać kamerdynera.

- Kto przyszedł, Butterworth? Dlaczego budzi cały dom o tak późnej porze?

- To pan Blackfriars, milordzie. - wyjaśnił kamerdyner. - Jest z nim...

- Błagam państwa - wpadł mu w słowo Malcolm, widząc z daleka hrabiego z małżonką, a także Arianę, która usłyszawszy nazwisko Malcolma, zatrzymała się w połowie paradnych schodów. Za nią stała lady Christine, którą Malcolm poznał w czasie wizyty na Portman Square. - Wspomnieli państwo, że gdybym był w potrzebie, śmiało mogę zwrócić się do was z prośbą o pomoc. Dlatego tu jestem. Mój przyjaciel, pan Ravener, został dziś wieczorem napadnięty. Jest ciężko ranny...



- *Mon Dieu!* - zawołała wstrząśnięta hrabina.
- Trzeba natychmiast opatrzeć tego biedaka!

Ledwie pani domu wydała dyspozycję, zaczęła się gorączkowa krzątanina. Lokaje zanieśli rannego do zbyt kownie urządzonej sypialni na piętrze. Po zdjęciu mokrego ubrania został przebrany w ogrzaną nocną koszulę i położony do łóżka. Pokojówki biegały w tę i z powrotem z gorącą herbatą, ogrzaną brandy, myjkami, ręcznikami, mydłem, dzbanami gorącej wody oraz flakonami leczniczych mikstur, aby chory miał wszystko, co mogło ulżyć mu w cierpieniu. Jednego z lokajów posłano po medyka, a drugiego pchnięto z wiadomością do pani Blackfriars, aby wiedziała się, że syn nie wróci na noc do domu, bo czuwa przy łóżku chorego przyjaciela. Dorożkarz otrzymał zapłatę oraz hojny napiwek. Malcolmowi służba wskazała pokój obok sypialni Nicolasa. Znalazło się dla niego suche ubranie. Gdy się umył i przebrał, lokaj zaprowadził go do biblioteki, gdzie czekał hrabia Valcoeur wraz z paniami. W kryształowych kieliszkach złościła się wyborna brandy.

- Lekarz zjawił się przed chwilą i od razu poszedł do pańskiego przyjaciela. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że stan chorego jest poważny. Stracił dużo krwi. Zechce pan opowiedzieć nam, co się stało? O ile dobrze pamiętam, pan Ravener został napadnięty.

- Owszem - przytaknął Malcolm i opowiedział, co się stało, zaczynając od dnia, w którym po-

krzyżował szyki Toby'emu Snitchowi, a kończąc na wydarzeniach ostatniej nocy.

- Domyślam się, że jest pan wstrząśnięty - powiedziała współczująco Ariana, gdy zakończył opowieść. - Aż strach pomyśleć, że biedny pan Ravener został ciężko ranny, bo miał na sobie pański płaszcz. Napastnicy się pomylili. Szczęście w nieszczęściu, że wbrew moim wcześniejszym obawom za dzisiejszym incydem nie stoi ten okropny Lucrezio Foscarelli, wicehrabia Ugo!

Zdziwiła się ogromnie, gdy towarzystwo zebrane w bibliotece wstrzymało oddech i znieruchomiało, jakby w oczekiwaniu na wybuch kuli armatniej, która niezawodnie rozerwie wszystkich na strzępy. Milczenie przerwała Christine.

- Na miłość boską! Ariano, skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego wicehrabia Ugo miałby nasyłać zbirów na biednego pana Ravenera?

Ariana opowiedziała krótko zdarzenia, których była świadkiem w ogrodzie markizy.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznał zbity z tropu Malcolm. - Nicolas to dżentelmen. Wierzyć mi się nie chce, że byłby w stanie zaatakować od tyłu.

- Niestety, tak właśnie było. Widziałam tamto zdarzenie na własne oczy. Pan Ravener mocował się zawzięcie z wicehrabią, a potem wepchnął go do ogrodowej sadzawki. Byłam przerażona tym, co zobaczyłam, i umknęłam do pałacu, gdy tylko nabrałam pewności, że Foscarelli może o własnych siłach wydostać się z wody. Istniało przecież

niebezpieczeństwo, że uderzył głową w kamienne obramowanie i z powodu utraty przytomności sam sobie nie poradzi. W takim przypadku sprowadziłabym pomoc.

- Pani mnie zdumiewa, *mademoiselle!* W głowie się nie mieści, że mój przyjaciel zachował się jak tchórz i człowiek bez honoru! - gorączkował się oszołomiony Malcolm. Mimo woli nabrał podejrzeń co do istotnych celów i motywów działania Nicolasa Ravenera. - Do dzisiaj nie wiedziałem, kim jest ten Foscarelli. Nie miałem także pojęcia o wrogości między nim a Nicolasem. Podejrzewam, że mój przyjaciel miał powód, żeby postąpić tak, a nie inaczej. Zapewniam państwa, że dowiem się, w czym rzecz.

- Nie wątpię, ale mam jedno życzenie: kiedy pan będzie szukał wyjaśnienia, proszę pod żadnym pozorem nie wspominać imienia mojej córki - wtrąciła *madame* Valcoeur. Jej urodziwa twarz pobladła. - Lepiej, żeby nie była zamieszana w tę sprawę. - Popatrzyła na córkę. - Ariano, nie wiem, co Christine mówiła ci o młodym Foscarellim, ale prawda jest taka, że to podejrzany typ. Nalegam, żebyś na przyszłość go unikała. Rozumiesz?

- *Oui, maman.* - Ariana kiwnęła głową. Była trochę wystraszona, bo matka nigdy przedtem nie mówiła do niej tak stanowczym tonem.

- *Tres bon.* Aha, jest doktor Whittaker. - Dowiem się, jak ocenia stan pana Ravenera. Bardzo się martwię. Oby tylko nasz ranny przetrwał noc.

*Lars Porsenna z miasta Clusium  
przysiągł na bóstw dziewięcioro  
Tarkwiniuszy ród przestawny  
Od klęsk chronić ową porą.  
Dziwięciorgu bóstw ślubował,  
Jeźdźców wysłał z nowinami,  
by wschód, zachód hufce zbrojne  
słał mu wspólnie z krainami  
północy oraz południa.*

Thomas Babington, lord Macaulay  
„Lays of Ancient Rome” (1842)

*Lecz są i ludzie, którzy krok po kroku  
Dążą, by godne ręce swe położyć  
Na kluczu złotym, którym otwierają  
Pałac Wieczności.*

John Milton  
„Comus” (1634)

# KSIEGA TRZECIA

Dziewięć kluczy

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Wizyta starszej pani

*Ten dzwonek to sygnał  
Dla mnie- dla ciebie podzwonne, Duncanie:  
Czeka cię niebo- lub piekła otchłanie.*

William Shakespeare  
„Makbet” (1605-1606)

*Jakaż to zjawa, co mi towarzyszy, w świetle  
księżycyca  
Kierunek wskazuje i na odległą polanę  
zaprasza?*

Alexander Pope  
„Elegy to the Memory of an Unfortunate Lady”  
(1717)

*Chociaż oblicze częściej przybiera wyraz  
serdeczności*

*Niż rozkazuje, na jej widok każdy zaraz  
odrzuca  
Pokusę swawoli. Z miłości do niej umysł  
doskonali.*

Sir Richard Steel  
„Tatler” (1709-1711)

1848  
*Anglia, Londyn, Portman Square*

Nicolas Ravener nie umarł, ale przez kilka następnych dni poważnie chorował z powodu fatalnej rany zadanej nożem przez Toby'ego Snitcha. Stracił wiele krwi, jego życie wisiało na włosku. Doktor Whittaker tłumaczył, że wywiązała się infekcja, gdyż do rany dostała się woda z Tamizy, zanieczyszczona miejskimi ściekami. Nicolas dostał wysokiej gorączki i bredził w malignie.

Hrabina rozumiejąc obawy Malcolma, szczerze zatroskanego o zdrowie i życie przyjaciela, sama zaproponowała, aby pozostał przy nim i zamieszkał na Portman Square do czasu, aż pacjent wyzdrowieje i wróci do sił. Malcolm miał także inne zmartwienia. Był niemal pewny, że zabił Dicka „Badgera” Badgertona. Uczynił to w obronie własnej, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Zastanawiał się też, jaki los spotkał Toby'ego Snitcha.

Do rana Malcolm czuwał przy łóżku przyjaciela. Gdy zastąpiła go Ariana, poszedł do wskazanego

mu pokoju, żeby dokonać porannych ablucji. Obok sypialni znajdowała się bogato wyposażona łazienka z mnóstwem najnowszych udogodnień i zbytkownych przedmiotów. Używając ich, Malcolm po raz kolejny z goryczą i złością uświadomił sobie, jak bardzo jego skromnemu życiu daleko do luksusu, którym na co dzień otoczona jest ukochana. Przeklinał w duchu lekkomyślnego antenata, lorda Iaina Ramsaya, earla Dundragon z ubiegłego stulecia. Z każdą chwilą był coraz bardziej zdeterminowany. Musi odnaleźć Serce Chepri! Jeśli spieniży klejnot, stanie się przynajmniej człowiekiem bogatym, choć tytuł był dla niego stracony na zawsze.

Gdy po kąpieli wyszedł z łazienki, znalazł w sypialni swoje ubranie - uprane i wyprasowane z niezwykłą starannością. Włożył je i podszedł do drzwi, łączących pokój z separatką rannego. Nie czekając na zaproszenie, wszedł i ujrzał stojącą przy łóżku przyjaciela Arianę. Trzymała w ręku mokry ręcznik i wyciskała nadmiar wody do porcelanowej miski umieszczonej na jednym z dwu nocnych stolików. Widząc Malcolma, uśmiechnęła się lekko i położyła palec na ustach.

- Zasnął - szepnęła. - Poimy obficie pana Ravenera, żeby nie nastąpiło odwodnienie. Staramy się go również ochłodzić, ponieważ gorączka niebezpiecznie rośnie. Współczuję pańskiemu przyjacielowi, chociaż niektóre jego postęпки budzą mieszane uczucia. Nie mogę zapomnieć, jak zaatakował wicehrabiego Uga. Trafiło mi jednak



do przekonania pańskie wyjaśnienie, że musiał mieć ważny powód, aby tak postąpić. Aha, jeszcze jedno. Niech pan sobie wyobrazi, że pan Ravener w malignie kilkakrotnie nazwał mnie swoją *maman*. Chwytał także moją rękę. Kiedy przy nim czuwam, wyraźnie się uspokaja. Przypuszczam, że jego matka była Francuzką albo przywykł mówić do niej w tym języku. Z pewnością bardzo ją kochał. Mężczyzna tak serdeczny wobec rodzicielki nie może być z gruntu złym człowiekiem. Moja najdroższa *maman* powtarza, że miarą człowieka jest sposób, w jaki odnosi się do swej matki i że taki mężczyzna na pewno będzie dobrym mężem.

Malcolm wpatrzony w uroczą twarz, na której malowała się czułość i nadzieja, nie powiedział ani słowa. Gdyby otworzył usta, zapewne błagałby ją, aby została jego żoną, obiecując, że będzie kochana i szanowana na równi z jego matką. Świadomy dzielących ich różnic, nie odważył się jednak na oświadczenia.

- Nicolas Ravener jest sierotą. Stracił rodziców, kiedy miał dwanaście lat - wyjaśnił po długim milczeniu.

- Jakie to smutne! Czy ma kuzynów, których należałoby zawiadomić o jego chorobie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Malcolm w zdumieniu pokręcił głową. - Z tego, co o sobie opowiadał, wynika, że jest na świecie sam jak palec.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - włączyła się do rozmowy Christine, która weszła do pokoju,

gdy Malcolm opowiadał Arianie o sytuacji rodzinnej Nicolasa. - Muszę powiedzieć, że nie zgadzam się z wami i nie dbam o to, w jaki sposób pan Ravener powalił tego łotra Foscarellego. Mało kto śmie podnieść na niego rękę. Kto się na to odważył, jest i będzie moim przyjacielem. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała przepraszająco: - Pukałam, ale chyba zbyt cicho, bo nie słyszeliście. Sophie nalegała, Ariano, żebym cię stąd zabrała. Wiem od niej, że od wczorajszej nocy czuwasz przy łóżku chorego. Idź na śniadanie. Teraz moja kolej. Pan Blackfriars dotrzyma ci towarzystwa.

- Szczerze mówiąc, umieram z głodu. Pan Blackfriars zapewne też chętnie coś przekąsi. Zgadzam się, żebyś posiedziała przy rannym, ale gdyby znów wołał swoją *maman*, natychmiast po mnie poślij, moja droga. Z powodu gorączki umysł ma zmacony, bierze mnie więc za swoją mateczkę. Kiedy wychodzę, staje się niespokojny.

- Obiecuję, że gdyby tak było, natychmiast każę cię powiadomić. Zmykaj, nim przyjdzie Sophie. Ma wygląd niewiniątka, ale to domowy tyran. Co za szczęście, że moja panna służąca to uosobienie łagodności i spokoju. Nikomu nie wchodzi w drogę, nigdy się nie odgraża.

Ariana zaprowadziła Malcolma do pokoju śniadaniowego. Gdy zasiedli do stołu, pomyślała, że gdyby za niego wyszła, tak wyglądałyby ich poranki. Nie zdawała sobie sprawy, że podobna myśl także jemu przemknęła przez głowę, choć wyob-

rażał sobie ukochaną w kuchni Hawthorn Cottage. Gdy porównywał stary, drewniany stół oraz przepiękne, bogato zdobione meble z honduraskiego mahoni, stojące w małej jadalni, zrobiło mu się ciężko na sercu. Spochmurniał, bo po raz kolejny uświadomił sobie, że nie jest w stanie otoczyć Ariany podobnym luksusem. Czy miał prawo żądać, aby dla kogoś takiego jak on zrezygnowała z życia w dostatku?

Po śniadaniu Ariana odeszła do swego pokoju, żeby odpocząć, a Malcolm odwiedził matkę, bo musiał jej opowiedzieć, co się wydarzyło. Odetchnęła z ulgą, gdy upewniła się, że jest zdrow i cały. Razem poszli do kościoła. Po powrocie Malcolm spakował najpotrzebniejsze rzeczy i wrócił na Portman Square.

W poniedziałek z samego rana znowu wpadł do matki, a następnie w wielkim pośpiechu wyruszył do pracy. Niestety, spóźnił się, a Harry, najstarszy z czeladników pana Quimby'ego, wyraźnie rozczłony szydził, że pupilek chlebodawcy i przyszły pryncypał może lekceważyć wyznaczone godziny pracy. Malcolm zrobił wielkie oczy, a po chwili uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Posłuchaj, Harry - zaczął, rozumiejąc, że kolega podejrzewa go o chęć wkupienia się w ła-ski pryncypała i przejęcia sklepu wraz z pracownią. - Pan Quimby pomaga mi wyjaśnić rodzinne tajemnice. Nie mam ambicji, żeby przejąć firmę, nie stanowią dla ciebie zagrożenia.

Harry nadal był nieufny, żeby go więc udob-

ruchać, Malcolm opowiedział o wczorajszej napaści hultajskiej dwójki, którą obaj znali sprzed lat. Czeladnik był wstrząśnięty.

- Natychmiast idź z tym do pryncypała - oznajmił. - Jemu też grozi niebezpieczeństwo, bo za jego sprawą tamci dwaj trafili za kratki. Wybacz, że podejrzywałem cię o chęć przejęcia firmy.

Pan Quimby nie wierzył własnym uszom, gdy Malcolm opowiedział mu o wydarzeniach ubiegłej nocy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął. - Tylko nie próbuj mi wmawiać, że al-Walid albo Foscarelli nie mają nic wspólnego z tą podłą napaścią. Wątpię, żeby Dick Badgerton i Toby Snitch sami wszystko zaplanowali. Badger zapewne nie żyje. Można się było spodziewać, że umrze gwałtowną śmiercią. Od początku wiedziałem, że ten leń i obibok źle skończy. Szczerze mówiąc, trochę mi go żal. Żył byle jak i zginął marnie. W tej chwili bardziej mnie interesuje twój przyjaciel Nicholas Ravener. Powinieneś wypytać go dyskretnie, dlaczego zaatakował Foscarellego. Ma powody, żeby uważać tego Włocha za wroga?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Malcolm szczegółowo zrelacjonował pryncypałowi, co widziała Ariana. Nie krył także, z czego utrzymuje się Nicolas. - Jako zawodowy hazardzista, niewątpliwie ma sporo nieprzyjaciół. Im dłużej zastanawiam się nad tamtym incydem, tym bardziej jestem przekonany, że gdyby Ravener chciał zabić Foscarellego, uczyniłby to bez większego trudu.

Wystarczyło podkraść się na wyciągnięcie ręki i przebić ofiarę szpadą ukrytą w lasce, którą zawsze ma przy sobie. A co zrobił Nicolas? Wepchnął hrabiego Uga do sadzawki i odszedł. Moim zdaniem, chciał jedynie poniżyć tamtego szubrawca i pokazać, że nad nim góruje.

- Twoje wyjaśnienie brzmi sensownie - przyznał pan Quimby. - Pomyślna to okoliczność, że w sobotnią noc bliżej ci było na Portman Square niż na Baker Street, prawda, Malcolmie? Dzięki temu możesz się cieszyć towarzystwem hrabiny i hrabiego... oraz ich ślicznej córki Ariany. Zapewne jesteś uradowany pomimo serdecznej troski o zdrowie rannego przyjaciela - zagadnął jowialnie pan Quimby.

- Szczerze mówiąc, mam w tej kwestii mieszane uczucia - wyznał Malcolm. - Jeśli nie odnajdę Serca Chepri i nie stanę się człowiekiem zamożnym, choć pozbawionym tytułu, co mogę zaoferować pannie Arianie? Nic! Nie mogę jej dać nawet swego rodzowego nazwiska! Jestem w rozpacz, bo poszukiwania utknęły w martwym punkcie. Dlatego cierpię, kiedy spotykam się z Arianą, a zarazem pragnę jej obecności. Dziś rano jedliśmy razem śniadanie... - Malcolm wyraźnie się rozmarzył.

- Młody człowieku, ja ze swej strony zachęcam cię, abyś spędzał z tą uroczą panią jak najwięcej czasu - odparł mentorskim tonem pan Quimby. - Podobnie jak *madame* Polgar odnoszę wrażenie, że w tej sprawie działają tajemne moce, a wasze losy splotły się na dobre. To samo

odczucie towarzyszy mi, kiedy zastanawiam się nad sekretem zaginionego szmaragdu. Mamy do czynienia z potężnymi siłami. Problem w tym, że ich nie rozumiemy. A nasze śledztwo wolno, lecz systematycznie posuwa się do przodu. Jakob zapewnia mnie, że wkrótce ustali, kto zaprojektował i wykonał twój krucyfiks, a także krzyż należący do stryja Charlesa. Boniface przesiaduje w londyńskich bibliotekach, poszukując informacji na temat Synów Izydy. Twierdzi, że jest na tropie i wkrótce pozna nazwiska dwunastu mężczyzn, którym przewodził twój antenat, lord Rob Roy Ramsay, dziewiąty earl Dundragon.

- Wspaniałe nowiny! - ucieszył się Malcolm i dodał hardo: -A co do przeznaczenia... Mam w tej kwestii inne zdanie. Wie pan, że według mnie każdy jest kowalem swego losu i kształtuje go dzięki wolnej woli.

- To rozumiem, Malcolmie! Znowu jesteś sobą! Pan Quimby klasnął w dłoń. - Porzuć melancholię. Bierzmy się do roboty. Co z płytami do druku mapy pana Pettigrew?

- Mam nadzieję, że Harry wzięł się do nich z samego rana. Żegnam pana. Biegnę do pracowni, żeby mu pomóc, bo inaczej do wieczora ich nie skończymy.

- Milcz! Milcz! - rozkazała stanowczo *madame* Polgar. Przymknęła oczy i królewskim gestem uniosła dłoń, czekając, aż paplający karzeł posłucha rozkazu. - Błogosławiona cisza... -- mruk-

nęła, unosząc powieki i opuszczając rękę. - Mów do mnie wolno i wyraźnie, Dukker, bo nic nie zrozumieję z tej twojej gadaniny.

- *Oui... oui, madame.* Postaram się mówić powoli. Kiedyśmy w ubiegły piątek przyjechali z państwem Alvaston na maskaradę do markizy Mayfield, *madame* kazała mi zejść pałac od tyłu, zacząć się w ogrodzie, mieć oko na gości i czekać na dalsze rozkazy.

- Nie zapominam własnych słów. Co więcej, pamiętam, żeś nie posłuchał, a gdy opuszczałam pałac z państwem Alvaston, nie raczyłeś się pojawić. Od tamtej pory musiałam obywać się bez twojej asysty.

- Proszę nie uważać mnie za wałkonía. *Non, madame!* Przez cały ten czas obserwowałem Foscarellego. I nie tylko jego! Podczas maskarady śledził go zamaskowany mężczyzna. W pierwszej chwili pomyślałem, że to nasz pan Blackfriars, ale szybko rozpoznałem jego przyjaciela Nicolasa Ravenera.

Dukker opowiedział chlebodawczyni o szarpaninie młodych ludzi i osobliwej reakcji panny Ariany ukrytej na tarasie w cieniu pnączy.

- Ani myślała ratować wicehrabiego Uga. Odczekała chwilę, a następnie przez uchylone drzwi wślizgnęła się do pałacu.

- Muszę cię pochwalić, Dukker. Postąpiłeś właściwie, śledząc młodych.

- Sprawa jest tym dziwniejsza, że dotychczas nic nie wskazywało na to, jakoby coś łączyło pana Ravenera z Foscarellim i panną Ariana.

- Brawo, Dukker! Spryciarz z ciebie! Wyjdiesz na ludzi. Mam nadzieję, że tym razem zamiast kierować się swoim widzimisię, będziesz słucał rozkazów, bo poprzednim razem twoje poczynania miały opłakane skutki.

- *Oui, madame*. Jakom rzekł, poszedłem za panem Ravenerem i od tamtej chwili śledziłem jego i Włocha, dlatego nie było mnie przez kilka dni.

- Czego się dowiedziałeś? Czy Ravener to oszust?

- A bo ja wiem, *madame*? Kiedy wymknął się z ogrodu markizy poszedł do „Cockerel Club”. To istna jaskinia hazardu. Grał tam w karty o wysokie stawki. Potem wrócił do swojej kwatery „Pod Wrednym Sępem”. Sobotnie popołudnie spędził z panem Blackfriarsem. Strzelali do celu, zjedli razem kolację, poszli do teatru. - Karzeł przerwał dla nabrania oddechu, a potem opowiedział o nocnym ataku i zamianie płaszczy, która spowodowała, że napadnięty został nie ten młodzieniec, który miał stać się celem opryszków. Ponownie zawiesił głos, kiedy zdał relację, jak napastnicy i napadnięci wpadli do Tamizy.

- Bój się Boga, Dukker! Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że Blackfriars i Ravener utonęli!

- *Non, madamel* - zaprzeczył karzeł, energicznie kręcąc głową. Pospiesznie dokończył opowieść, nie chcąc trzymać pani w niepewności. Uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy spojrzała na niego z uznaniem.



- Zostali na Portman Square, powiadasz? Doskonale się spisałeś, Dukker. Widzę, że kapryśna bogini fortuna wzięła sprawy w swoje ręce. Cóż za ironia losu! Ciekawe, czy tamci już wiedzą... - marmotała w zadumie *madame* Polgar. - Nie sądzę, ale to jedynie kwestia czasu. - Zreflektowała się, wróciła do rzeczywistości i wydała instrukcje wierzniemu słudze.

- Skoro pan Ravener jest ciężko ranny, na nim skupia się uwaga przyjaciół. Szczerze wątpię, żeby na Portman Square działo się teraz coś interesującego. W takim razie znajdź sobie kryjówkę na Berkley Square i obserwuj rezydencję *monsieur* Uga. Jestem przekonana, że wynajął dwu zamaskowanych napastników i polecił im unieszkodliwić naszych znajomych. Mamy w nim śmiertelnego wroga. Reszta towarzystwa to pionki w grze. Musimy wy badać, ile Włoch naprawdę wie o sprawie i co zamierza!

Jesień zaczęła się na dobre. Liście opadały z drzew, deszcz siąpił nieustannie. Christine i Arianna na przemian czuwały przy Nicolasiu Ravenerze. Gorączka w końcu spadła, ale wciąż był zbyt osłabiony, żeby opuścić łóżko. Malcolm nadal pomieszkiwał na Portman Square. Hrabiosstwo Valcoeur w żaden sposób nie dawali mu do zrozumienia, że nadużywa ich gościnności, mimo to uznał, że najwyższy czas uwolnić gospodarzy od swojej obecności. Gdy wspomniał o tym w rozmowie, okazało się, że ani pan Levesque, ani jego

urocza małżonka nie chcą o tym słyszeć. Z wielką stanowczością oznajmili zgodnie, że ma u nich pozostać do zupełnego wyzdrowienia pacjenta.

- Pańska obecność jest dla niego wielką pociechą i przynosi ulgę w cierpieniu - tłumaczyła hrabina. - Poczuję się lepiej i niewątpliwie będzie nalegał, żeby jak najszybciej pozwolono mu wstać, opuścić nasz dom i wrócić do poprzedniego trybu życia. Gdyby uczynił to przed ukończeniem rekonwalescencji, skutki byłyby opłakane. Z tego powodu musi pan dotrzymywać mu towarzystwa i mitygować, jeśli będzie chciał stąd odejść. To nie wszystko. Mam również własne powody, żeby jak najdłużej gościć was obu pod swoim dachem. Jak pan wie, Ariana to nasze jedyne dziecko. Zawsze marzyłam o licznym potomstwie, lecz niebiosa odmówiły mi tej łaski. Jestem wielce rada, że przynajmniej na krótko mam wokół siebie pana, Nicolasa i naszą kochaną Christine. Odczuwam wielką przyjemność, gdy mogę przysłuchiwać się waszym rozmowom, obserwować was podczas głośnej lektury albo zasiąść wraz z wami do kart. Patrząc na was wszystkich i serce wypełnia mi radość. Dlatego proszę nas zbyt szybko nie opuszczać. Pan Ravener będzie wkrótce na tyle silny, by wstać z łóżka i zejść do jadalni na kolację. Z tej okazji chciałabym zaprosić do nas także pańską matkę, aby jej podziękować, że pozwoliła nam tak długo cieszyć się pańskim towarzystwem. Moim zdaniem, to z jej strony wielka uprzejmość i prawdziwe poświęcenie.

- Mogę odpowiedzieć w jej imieniu, pani hrabino, że będzie zachwycona, zawierając z państwem znajomość - odparł przytomnie Malcolm, choć był poruszony i zbity z tropu zwierzeniami wielkiej damy.

Gdy późnym południem wracał z pracowni kartograficznej do pałacu na Portman Square, już na ganku Zaczynał nasłuchiwać lekkich, szybkich kroków Ariany. Nie miał pojęcia, że i ona pilnie nadstawia ucha w oczekiwaniu na dźwięk otwieranych drzwi. Ilekroć ukazywała się na schodach, wstrzymywał oddech, zachwycony jej urodą i niezwykłym powabem. W takich chwilach aż do bólu pragnął, by do niego należała, i z goryczą pomstował w duchu na swego antenata, lorda Iaina, earla Dundragon sprzed dwóch stuleci, który przez głupotę i niedbałość skazał na poniewierkę kolejne pokolenia Ramsayów, wyzutyh z prawa do tytułu, nazwiska i majątku.

- Mama powiedziała mi przed chwilą, że zostanie pan u nas jeszcze przez jakiś czas. - Głos Ariany, która weszła do saloniku, wyrwał go z zadumy. - Bardzo się z tego cieszę, ponieważ bez pana pomocy wszelkie starania, by zatrzymać w łóżku pana Ravenera, spełzłyby na niczym. Pan Ravener idzie z panem w zawody, plotąc bzdury o rzekomym nadużywaniu gościnności, choć raz po raz zapewniam go, że jest tutaj mile widzianym gościem. Lęka się również o swoje rzeczy pozostawione w zajeździe „Pod Wrednym Sępem”. Niepotrzebnie, bo kilkakrotnie tłumaczyłam mu,

że papa następnego dnia po przybyciu obu panów do naszego domu osobiście udał się do zajazdu w sprawie jego ruchomości i kazał je do nas przywieźć. Przy okazji wstąpił również na posterunek policji i opisał brutalną napaść Dicka Badgertona oraz Tobiasa Snitcha.

- Wiem o tym - odparł uprzejmie Malcolm.

Po rozmowie z policją hrabia przyniósł wiadomość, która sprawiła, że młody Blackfriars odetchnął z ulgą. Przypadkowy przechodzień, z zawodu latarnik, wyłowił z Tamizy zwłoki Badgera. Po ich autopsji ustalono, że bezpośrednią przyczyną śmierci nie była rana postrzałowa, tylko utonięcie. Gdyby Badger nie rzucił się na Ravenera, chcąc go zepchnąć do wody, miałby szanse przeżyć. Malcolmowi kamień spadł z serca, bo nie został uznany za mordercę. No cóż, jednego wroga mniej. Zadawał sobie pytanie, co się stało z Tobym. Nie bez przykrości zastanawiał się również, ile hrabia zapłacił urzędnikom za wyjątkowo szybkie umorzenie śledztwa. Kiedy wprost o to zapytał, pan Levesque zbył go wzruszeniem ramion i krótką uwagą, że to sprawa bez znaczenia.

- Proszę pamiętać, *mademoiselle* - tłumaczył teraz Arianie - że obaj z Nicolasem mamy swoją dumę. Przywykliśmy żyć na własny koszt. Nie wyciągamy ręki po jałmużnę.

- Co też pan mówi? - obruszyła się natychmiast.

Przecież w tym wypadku o jałmużnie mowy być nie może! Przyjęliśmy pana Ravenera pod swój dach z potrzeby serca i z chęci czynienia dobra.

Nadal chcemy się nim opiekować. Doktor Whitaker twierdzi, że niebezpieczeństwo minęło, ale chory jest nadal bardzo osłabiony. Żaden z was nie powinien uważać się za intruza. Doskonale wiemy, że nie próbujecie wykorzystać naszej szczodrości. Znamy was jako ludzi samodzielnych i mamy świadomość, że tylko z powodu feralnego napadu korzystacie teraz z naszej gościnności. Niezależnie od przyczyn owego pobytu w naszym domu zapewniam pana, że zarówno moi rodzice, jak i ja sama jesteśmy szczęśliwi, mogąc tu gościć was obu. Mamy przecież wobec pana dług wdzięczności. Zapomniał pan, komu zawdzięczam życie? Kto mnie uratował na Oxford Street? To nie pan jest naszym dłużnikiem. Raczej my wciąż się panu nie wypłaciliśmy.

- To mocny argument, *mademoiselle!* - zawołał Malcolm, wybuchając śmiechem. Uniósł ręce, jakby się poddawał. - Pani i jej matka wmówiłyście mi, że pomieszkując tutaj, czynię wam uprzejmość, nietaktem więc byłoby odrzucić tak serdeczne zaproszenie.

- O! Teraz dobrze pan mówi! - ucieszyła się Ariana, klaszcząc w dłonie. Lśniące ametystowe oczy patrzy figlarnie i kpiąco. - Wygląda na to, że dał się pan przekonać do mojej tezy. Sprytnie pana podeszłam, prawda?

- Owszem, ale natychmiast wybaczam pani ten podstęp, bo wiem, że chcąc nas tutaj zatrzymać na dłużej, myślała pani jedynie o zdrowiu Nicolasa i jego trudnej rekonwalescencji.

- *Oui*, naturalnie - odparła powoli Ariana i spłonęła rumieńcem, bo w gruncie rzeczy zależało jej na tym, aby jak najdłużej przebywali pod jednym dachem. - Jeśli mam być szczerą, namawiając pana do pozostania, myślałam także o sobie, ponieważ... pańskie towarzystwo sprawia mi wielką przyjemność - wyznała, rumieniąc się jeszcze bardziej.

- Ja także rad jestem, gdy przebywam blisko pani - odparł cicho Malcolm, który w tym momencie pragnął wziąć ją w ramiona, pocałować namiętnie i błagać, aby została jego żoną. - Szkoda, że... tyle nas dzieli.

- Wspomniał pan, że wszystko może się zmienić, *monsieur*- odparła półgłosem.

- Miejmy nadzieję, *mademoiselle*, lecz na wypadek, gdyby los nie był dla nas łaskawy, pragnę zapewnić, że wiem, jak bardzo różnią się światy, w których żyjemy. Widzę to i jestem świadomy konsekwencji.

- Rozumiem... pański punkt widzenia i dziękuję za uczciwe postawienie sprawy, *monsieur*.

- Zamrugała powiekami, żeby nie wybuchnąć płaczem, i uśmiechnęła się, choć usta jej drżały.

- Christine i ja chcemy zagrać w karty z panem Ravenerem. Czy pan się do nas przyłączy? - spytała, niespodziewanie zmieniając temat.

- Chętnie, lecz musimy liczyć się z przegraną. Nicolas jest zawodowym hazardzistą. Wątpię, żebyśmy zdołali go pokonać - uprzedził Malcolm.

Po kilku dniach stan chorego na tyle się poprawił, że można było pomyśleć o wstaniu z łóżka i wspólnej kolacji w jadalni państwa Levesque. Zgodnie z obietnicą, pani Blackfriars została zaproszona do rezydencji na Portman Square. Kiedy hrabina zapowiedziała, że chce gościć u siebie matkę Malcolma, nie zdawała sobie sprawy, że na skutek owego zaproszenia w obu rodzinach zapana je kompletny zamęt. Można by pomyśleć, że w dwu odległych domach mieszkańcy szykują się na spotkanie z osobami królewskiej krwi. W domu państwa Levesque wszystkie służące zagoniono do mycia okien, czyszczenia kominków, polerowania mebli, woskowania podłóg. Kucharz, *mon-sieur* Montsegur, dwoił się i troił, przygotowując wymyślne dania. W Hawthorn Cottage również trwała nerwowa krzątanina. Ochmistrzyni, panna Woodbridge, oraz pokojówka Nora czyściły najlepszą suknię pani Blackfriars. Dały nową lamówkę, podszyły obrębek i odprasowały kreację tak, że nie było najmniejszej fałdki. Postawiły sobie za punkt honoru, aby ich pani wyglądała prześlicznie oraz godnie się prezentowała.

- Jaśnie pani bardzo się przejmuję tą wizytą, prawda? - zagadnęła Nora, odświeżając suknię.

- Owszem. - Jej chlebodawczyni z uśmiechem kiwnęła głową. - Czuję się jak debiutantka przed pierwszym bale.

Mogłaby śmiało dodać, że powrót do eleganckiego towarzystwa nie stanowi jedyne go powodu owej ekscytacji. Ciekawa była państwa Levesque,

a szczególnie ich córki Ariany. Przez te wszystkie lata spędzone w Londynie Malcolm od czasu do czasu przedstawiał jej młode panny. Niektóre bywały nawet w Hawthorn Cottage, ale, ku zmartwieniu matki, żadna z tych znajomości nie przerozdziła się szczerze i gorące uczucie. Pani Blackfriars doszła do wniosku, że praca nadmiernie absorbuje syna i brak mu czasu, żeby pomyśleć o ożenku. Kiedy na horyzoncie pojawiła się Ariana, pani Blackfriars od razu wyczuła, że Malcolm jest w niej do szaleństwa zakochany, ale nie miała pojęcia, jak syn zamierza zdobyć rękę ukochanej, skoro tyle ich dzieli. Intuicja podpowiadała, że hrabiostwo Valcoeur nie są Malcolmowi przeciwni. Inaczej nie zapraszaliby na kolację jego matki. A zatem planowane spotkanie było dowodem, że biorą Malcolma pod uwagę jako kandydata do ręki Ariany.

Gdy pani Blackfriars włożyła swą najlepszą suknię, nagle ogarnęły ją wątpliwości. Sprawiała ją sobie zaledwie przed kilkoma miesiącami, lecz teraz wydała jej się zbyt skromna. Wątpliwości te jeszcze się nasiliły, gdy usłyszała, że hrabia i hrabina postanowili wysłać powóz po nią i po Malcolma, który tego dnia przyjechał wcześniej do Hawthorn Cottage. Kiedy wyszła z domu i ujrzała elegancki wehikuł oraz czwórkę zaprzężonych do niego koni, na moment oniemiała z podziwu.

- Mamo? - zagadnął syn.

Słyszac jego głos, wróciła do rzeczywistości. Lokaj zeskoczył pospiesznie ze swego miejsca i opuścił schodki, żeby mogła wygodnie wsiąść do



powozu. Zarumieniła się ze wstydu, bo od kilku chwil stała nieruchomo, niczym pensjonarka wpatrzona w zbytkowny powóz. Wsiadła natychmiast i opadła na poduszki z czerwonego aksamitu. Po chwili dołączył do niej Malcolm. Lokaj zajął swoje miejsce, a stangret cmoknął na konie. Powóz ruszył i bez pośpiechu jechał ulicami St. John's Wood ku dzielnicy Marylebone. Syn i matka niewiele mówili, wpatrzeni w rzęście oświetlone kamienice i sklepy Londynu. Pani Blackfriars była szczególnie zainteresowana, ponieważ rzadko opuszczała St. John's Wood. Jako kobieta roztropna, zdawała sobie sprawę, że czas nie stoi w miejscu, a Londyn ustawicznie się zmienia, jednak tempo owej modernizacji było dla niej sporym zaskoczeniem. Przynęła sobie w duchu, że od tej pory będzie częściej zapuszczać się do innych dzielnic.

Im bardziej zbliżali się do Portman Square, tym piękniejsze stawały się domy i pałace. Na widok samego placu oraz umieszczonego pośrodku owalnego skweru pani Blackfriars wydała okrzyk szczerego zachwytu. Wprawdzie nadeszła jesień i sylwetki bezlistnych drzew rysowały się wyraźnie w świetle gazowych latarni, ale i tak łatwo się było domyślić, że przy odpowiedniej pogodzie spaceru po niewielkim parku to prawdziwa przyjemność.

Powóz okrążył skwer i zatrzymał się przed największym budynkiem przy Portman Square. Pani Blackfriars domyśliła się, że to pałac hrabioswa Valcoeur.

- Jak tu pięknie! - zawołała, wysiadając z powozu.

- Owszem - przytaknął Malcolm, kuląc się wraz z matką pod parasolem, który trzymał nad nimi lokaj. Znowu się rozpadało.

Ledwie zadzwonili do drzwi, kamerdyner Butterworth otworzył i zaprosił ich do zbytwnie urządzonego holu. Gdy stanęli na progu wytworzonego saloniku, natychmiast zaanonsował gości. Spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku przybyszom. Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, pani Blackfriars poblądła na widok znajomej twarzy.

- Katherine! - zawołała z radością i niedowierzaniem.

Zakreśliło jej się w głowie, a potem ogarnęła ją ciemność i podłoga usunęła się jej spod nóg.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Rodzina

*Obyśmy pracę swoją ukochali,  
Pana i jego bliskich szanowali,  
Na małym poprzestając skromnie żyli  
I ponad stan swój się nie wynosili.*

Charles Dickens  
„The Chimes” (1844)

*Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne,  
każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa  
na swój sposób<sup>15</sup>.*

Lew Tołstoj  
„Anna Karenina”

Przełożyła Kazimiera Iłakowiczówna.

*Nagle zamarłem, jak widokiem  
Niespodziewanej planety olśniony astronom;  
Albo jak śmiałek Cortez na wzgórzu Wysokiem  
Panamskiego przesmyku, gdy jego legionom  
Podziw mowę odebrał - a on orlim okiem  
Mknął nad Pacyfik ku nieznanym stronom<sup>14</sup>.*

John Keats

„Na pierwsze zapoznanie się z Homerem  
w przekładzie Chapmana” (1816)

1848

*Anglia, Londyn, Portman Square*

Gdy pani Blackfriars zemdląca, stojący tuż obok Malcolm chwycił ją w objęcia i nie pozwolił upaść. Po chwili leżała wygodnie na kanapie. Ariana natychmiast spostrzegła wzburzenie matki, niezdolnej do pełnienia obowiązków gospodyni, i w jej zastępstwie wydała stosowne dyspozycje. Pokojówki i lokaje pobiegli po sole trzeźwiące, ręczniki, miskę i dzban wody. Kucharz, *monsieur* Montsegur, został powiadomiony, że kolacja opóźni się o pół godziny. Kiedy polecenia zostały wydane i spełnione, Ariana zwróciła się ku matce. Zaraz spostrzegła, że ojciec już się nią zajmuje. Na widok zemdlonej pani Blackfriars hrabina krzyknęła cicho, opadła bezwładnie na fotel i zbladła. Siedziała bez ruchu, mamrocąc coś niezrozumiale. Była oszołomiona i zarazem podekscytowana.

" Przełożył Stanisław Barańczak.

Hrabia przez moment wahał się, kogo ratować: gościa czy żonę. Widząc, że córka wydała dyspozycje, przypadł do swojej Helene. Rozcierał jej dłonie, uspokajając czułymi słowami. Ariana z oddaniem pomagała Malcolmowi, a jej przyjaciółka z uwagą śledząca osobliwe wydarzenia, półgłosem nakazała lokajowi nalać do kieliszków brandy, ratafii oraz sherry i podać zebrany. Siedzący przy kominku Nicolas Ravener bez słowa, w zadumie obserwował wszystkich ze swego fotela, ukradkiem spoglądając na śliczną pannę Christine, która z wyjątkowym oddaniem pielęgnowała go w chorobie.

Po zaaplikowaniu soli trzeźwiących pani Blackfriars wróciła do przytomności i otworzyła oczy. Przez chwilę spoglądała niepewnie, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

- Lepiej ci, mamó? - zapytał Malcolm. Pomógł jej usiąść na kanapie.

- Tak... tak - jęknęła cicho, unosząc rękę, żeby poprawić zsuwający się z czoła kompres.

- Zaraz dojdę do siebie. Gdy ujrzałam tutaj Katherine, przeżyłam wstrząs... Nie, to nie może być ona - poprawiła się, wpatrzona w Ariane.

- Katherine jest moją rówieśnicą, a ty, panienko, zapewne nie masz nawet dwudziestu lat. Ale taka jesteś do niej podobna, że własnym oczom nie wierzę. Jak to możliwe? W głowie się nie mieści...

Ku ogólnemu zdumieniu odpowiedział jej pan Ravener. Nim zaczął, bezceremonialnie odesłał

służbę, a wszystkim obecnym kazał przysiąc, że dochowają tajemnicy.

- Droga pani Blackfriars, proszę mi wybaczyć osobliwą i niezwykłą śmiałość, ale chciałbym najpierw zadać pytanie. Czy miała pani na myśli Katherine de Ramezay? - Gdy dostrzegł na jej twarzy wyraz niepewności, dodał pospiesznie: - Proszę bez obaw wyznać mi prawdę, bo jeżeli istotnie o niej pani mówiła, chodziło o moją matkę. Co więcej, odkąd wróciłem do przytomności, podejrzewam, że młoda dama znana Malcolmowi i mnie jako *mademoiselle* Ariana Levesque, jest moją zaginioną przed laty siostrą Ariana de Ramezay. Pozostaje więc tylko ustalić, czy rzeczywiście jest pani moją ciotką, Elizabeth Ramsay, a syn pani moim kuzynem. Domyślam się, że pani to potwierdzi.

- Och, *mon Dieu!* - zawołała nagle hrabina, potrząsając głową i podnosząc dłoń do ust. Zdułbiała wszystkich, nie dopuszczając Elizabeth do głosu. - Tak jest w istocie. Wiedziałam! Intuicja mnie nie zawiodła! *Ma chere* Elizabeth... Mogę cię lak nazywać, prawda? Nie lękaj się. Zapewniam, że jesteś wśród przyjaciół. Mój mąż Jean-Paul to kuzyn Charlesa de Ramezaya. Dlatego wychowywaliśmy Arianą. Jak się zapewne domyślasz, to nasza przybrana córka.

- *Maman...* Nic z tego nie rozumiem! O czym wy mówicie? - Ciemnowłosa dziewczyna o szczerym wejrzeniu spoglądała na matkę oraz Nicolasa z jawną obawą i niedowierzaniem.

- Długo by opowiadać, *cherie*. - Hrabina Valcoeur westchnęła. - Dawno powinniśmy wyznać ci prawdę, lecz stale odkładałam tę *decyzję* z obawy o twoje bezpieczeństwo. Nadeszła pora, żeby się szczerze rozmówić. Przed trzynastoma laty w dramatycznych okolicznościach trafiłaś do naszego domu. Wszystko ci opowiem, najpierw jednak... - Urwała i odwróciła się do męża. - Jean-Paul, bądź tak dobry i przekaż Fanny, żeby pobiegła zaraz do kuchni. Niech powie *monsieur* Montsegur, że do kolacji siądziemy o dziewiątej. W pół godziny nie zdążymy sobie wszystkiego wyjaśnić.

Hrabia podszedł do drzwi salonu, przywołał służącą i kazał jej zmienić dyspozycje. Pani domu milczała przez chwilę, a gdy mąż zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce, spojrzała na córkę.

- To prawda, że nazywasz się Ariana de Ramezay, *ma petite*. Twoimi rodzicami byli Charles i Katherine de Ramezay, hrabia i hrabina de Jourdain. Ojciec Charlesa i matka Jean-Paula byli rodzeństwem. Teraz opowiem, jak do nas trafiłaś. Kiedy twój brat Nicolas miał dwanaście lat, a ty niespełna pięć, wasi rodzice pojechali do Szkocji, żeby odwiedzić krewnych, Alexandra i Elizabeth Ramsayów, którzy dzierżawili majątek zwany Whiterose Grange nad jeziorem Loch Ness.

Ariana wstrzymała oddech.

- A zatem mój senny koszmar... nie jest zwykłym wymysłem, tylko wspomnieniem z dzieciństwa, choć zawsze twierdziłaś, że to niemożliwe.

- *Oui*. Zapewne, lecz o tym powinnaś *raczej* porozmawiać z Elizabeth i Malcolmem. - Hrabina zwróciła się do nich. - Opowiedzcie, co się z wami działo przez te wszystkie lata.

Spełnili prośbę, a potem zaczęli wypytywać, jak się potoczyły koleje losu Katherine oraz jej dzieci.

- Wielokrotnie do niej pisałam, ale nie dostałam odpowiedzi, doszłam więc do wniosku, że biedaczka nie żyje.

- I słusznie. Zmarła przed trzynastoma laty, ciociu Elizabeth - wyjaśnił Nicolas przyciszonym głosem. - Mama i ja zachorowaliśmy w drodze powrotnej do Francji. Zaraza szerzyła się na statku. Gdy dopłynęliśmy do Calais, chorzy pokodem leżeli na pokładzie. *Maman* lękała się, że oboje pomrzemy i Ariana zostanie bez opieki. Na szczęście małą zaraza ominęła. *Maman* napisała do hrabiny i zapłaciła ludziom zmierzającym w okolice Valcoeur, żeby zawieźli do waszego majątku Arianą i oddali list. Kiedy zeszedliśmy na ląd, wynajęła pokój w tanim zajeździe niedaleko portu. Nie było to wytworne miejsce, ale gdzie indziej nie chcieli nas przyjąć z obawy przed zarazą. Wyglądaliśmy na poważnie chorych. Byłem w nieco lepszym stanie niż *maman*, poszedłem szukać medyka, co nie było łatwe. Jeden zgodził się przyjść, ale jego wysiłki spełzły na niczym i po kilku dniach mama umarła.

- Biedny Nicolas! Bardzo ci współczuję - powiedziała pani Blackfriars ze łzami w oczach.

- Ja również - dodała drżącym głosem hrabina.:



Oczy miała pełne łez. - Gdy Ariana przyjechała do Valcoeur, Jean-Paul natychmiast wyruszył do Calais, lecz daremnie szukał tam ciebie i Katherine. Przepadliście jak kamień w wodę. Z listu wiedzieliśmy o waszej chorobie, uznaliśmy więc, że oboje pomarliście. Tamtej nocy, gdy Malcolm przywiózł cię do nas, drogi Nicolasie, ledwie cię ujrzałam, stało się dla mnie jasne, że trzynastcie lat temu popełniliśmy błąd. Od razu cię poznałam. Jesteś bardzo podobny do ojca. Już wcześniej po rozmowach z Arianą zaczęłam podejrzewać, że Malcolm jest synem Alexandra. Modliłam się, żeby podobieństwo nie było przypadkowe... żebyś istotnie okazał się naszym kuzynem Nicolasem. *Le bon Dieu* mnie wysłuchał! Bardzo proszę, opowiedz nam teraz o swoim życiu. Jak wróciłeś do Anglii i odszukałeś Malcolma?

- Moje życie? Doprawdy nic ciekawego. Byłem zwykłym ulicznikiem - odparł nonszalancko, bo nie chciał zasmucić rodziny. - Wiecie zapewne to i owo o codzienności portowych miast. Gdy *maman* wydała ostatnie tchnienie, sąsiedzi z zajazdu pomogli mi ją pogrzebać. Gotówki zostało niewiele, spoczęła w najbiedniejszej części cmentarza. Miałem dwanaście lat i nie mogłem podjąć pieniędzy z ojcowskiego konta. Cóż za ironia losu! Latami klepałem biedę i walczyłem o przetrwanie, choć czekało na mnie rodzinne dziedzictwo. Przez te wszystkie lata lękałem się was szukać i ujawnić, że ocalałem i mam się dobrze. Po tym, co spotkało

papę i wuja Alexandra, a także na skutek ostrzeżeń *maman*, których nie szczędziła mi przed śmiercią, wolałem żyć w ukryciu pod fałszywym nazwiskiem i szykować się do rozprawy z wrogiem. Miałem talent do gry w karty i nieźle żyłem z hazardu. Spędziłem we Francji kilkanaście lat. W końcu uznałem, że pora wrócić do Szkocji. Nie zapomniałem nigdy maminej opowieści o rodowych tajemnicach i szmaragdzie, zwanym Sercem Chepri. Dorosłem, okrzepłem, miałem spore oszczędności. Postanowiłem na początek odwiedzić Londyn, ale ostatecznym celem podróży były dla mnie szkockie wyżyny. Przypadkowo zaszedłem do sklepu pana Quimby'ego na Oxford Street, żeby kupić mapy. Odruchowo zajrzałem do środka przez okno wystawowe. Jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłem stojącego za kon-tuarem Malcolma! Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, miał szesnaście lat i od tamtej pory niewiele się zmienił. Byłem wtedy dwunastoletnim chłopcem i od tamtego czasu bardzo zmężniałem. Na wszelki wypadek nie zdradziłem mu, kim jestem, Zmienił nazwisko, więc żeby się upewnić, czy jest moim kuzynem, śledziłem go dyskretnie aż do Hawthorn Cottage. Na widok cioci Elizabeth zniknęły wszelkie wątpliwości. Postanowiłem na razie nie ujawniać, kim jestem, ponieważ wiedziałem, że grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Tamtej nocy, gdy Malcolm po raz pierwszy został napadnięty przez zamaskowanych osobników...

- Synu! - zawołała karcącym tonem zdumiona

i wystraszona pani Blackfriars. - Nie wspomniałeś mi o tym!

- Wybacz, mamó. Nie chciałem cię martwić. Obiecuję, że teraz dowiesz się wszystkiego. Mów dalej, Nicolasiu.

- Niewiele zostało do powiedzenia. Uznałem, że pora ujawnić swoją tożsamość, chociaż w naszej sytuacji ostrożności nigdy za wiele.

- Masz rację. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Teraz rozumiem, dlaczego w ogrodzie markizy zaatakowałeś wicehrabiego Uga. Znasz tajemnicę bezcennego szmaragdu i chciałeś sprawdzić, czy ma pod koszulą swój krucyfiks- Potwierdziło się, że istnieją co najmniej dwa krzyże. Pan Quimby miał rację.

- Pan Quimby? Malcolmie, zdradziłeś mu nasz sekret? - wtrąciła oburzona pani Blackfriars. - Obiecałeś zachować milczenie.

- Przyrzekłem tylko, że będę ostrożny. Bogu dzięki, że nie zobowiązałem się do milczenia, bo w pojedynkę nie miałbym żadnych szans na odzyskanie rodzowego dziedzictwa.

Opisał krucyfiks i opowiedział o dociekaniach trzech wiekowych przyjaciół, którzy wspierali go w poszukiwaniach.

- Mamy pierwszy krucyfiks, należący przed laty do Iaina Ramsaya. Drugi był zapewne własnością stryja Charlesa. Masz go, kuzynie? - Malcolm popatrzył na Nicolasa, który pokręcił głową.

- Nie. *Maman* zawiesiła krucyfiks na szyi Arianny, kiedy wysłała ją do Valcoeur.

- Ale ja nie mam takiego krzyżyka - wtrąciła Ariana.

- *Mais, oui, chérie!* Masz - wpadła jej w słowo hrabina. - Jean-Paul przechowuje go tajemnej szufladce swego biurka. Z listu Katherine wiemy, że to cenny przedmiot, którego należy bronić choćby z narażeniem życia.

- Zaraz go przyniosę - oznajmił hrabia. Po chwili wrócił ze szkatułką i ozdobną lupą. - Obejrzyj krucyfiks, Malcolmie. Ze wzrokiem u mnie nie najlepiej.

- Bardzo chętnie pana wyręcę. Tu jest rzymska dwójka wpleciona w roślinny ornament. - Malcolm pokazał cyfrę zaciekawionej Arianie. - Odwróćmy krzyż. - Spojrzał przez szkło powiększające. - Tutaj jest napisane: Księga Mądrości 19, 2. Ma pani Biblię, hrabino?

- *Certainement* \ Bardzo proszę, żebyście obaj z Nicolasem nazywali mnie ciocią. Jestem z wami tylko spowinowacana, lecz jeśli się zgodzicie, łatwiej nam będzie rozmawiać.

- Naturalnie. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, *madame...* ciociu Helene - odparł Malcolm z promiennym uśmiechem.

- Dla mnie również, kochana ciociu - dodał Nicolas słabym głosem. Z wolna odzyskiwał zdrowie, lecz nie był jeszcze w pełni sił.

- Znakomicie! - ucieszyła się hrabina. Wzięła Biblię ze stolika, odnalazła właściwy rozdział oraz wersy i przeczytała głośno: - „A nad bezbożnymi trwał aż do końca gniew bez miłosierdzia, bo

przewidział Bóg ich rzeczy przyszłe. Chociaż bowiem pozwolili im odejść i wyprawili ich nawet z pośpiechem, to przecież zmieniawszy zdanie, w pogoń się rzucili".<sup>15</sup>

- Nie sądzę, żeby ten cytat, choć ważny i znaczący, pomógł nam w poszukiwaniach. Inskrypcja na moim krzyżyku odsyła do Apokalipsy, lecz i te wersy są niejasne - oznajmił z westchnieniem Malcolm. - Możemy się domyślać, że trzeci krucyfiks należy do wicehrabiego Uga.

- Daremnie łudziłem się, że ten łotr ma go przy sobie. Wcześniej jednak szczęście mi dopisało. Kilka lat temu wybrałem się do Paryża w nadziei, że odnajdę Arianę i was, jej opiekunów. Nie zapominajcie, że widzieliśmy się tylko raz, na chrzcinach. Miałem wtedy siedem lat. Znałem was jako wujka Jean-Paula i ciocię Helene. Nie pamiętałem nazwiska rodzowego, tytułu ani nazwy majątku. Bawiąc w Paryżu, przypadkiem siadłem do pikiety. Graliśmy o wysokie stawki. Wśród fantów, które zagarnąłem po zwycięstwie był krucyfiks. Uznałem go za kopię krzyżyka mojego ojca.

- Przedziwny zbieg okoliczności! - Twarz Malcolm'a wyrażała radość i niedowierzenie. - Gdzie go masz, Nicolasie?

- W skrytce pod podłogą mojego pokoju w zajeździe „Pod Wrednym Sępem”. Dlatego nalegałem, żebyś mnie tam odwiózł, zamiast wlec do szpitala. Bałem się, że pod moją nieobecność właściciel umieści w tym lokum innego gościa.

<sup>15</sup> Przełożył Kazimierz Romaniuk.

- *Sacrebleu!* - zawołał hrabia. - Malcolm i ja musimy jak najszybciej pojechać tam i opróżnić skrytkę.

- Słuszna uwaga - przytaknął z powagą Nicolas. - Sam jestem zbyt osłabiony, żeby to zrobić. Wicehrabia Ugo zapewne nie domyślił się jeszcze, kto zaatakował go w ogrodzie margrabiny, lecz doskonale wie, czego szukałem. Dojdzie po nitce do kłębka i zacznie podejrzewać, że tajemniczy napastnik ma jeden z krzyży. Prędzej czy później trafi „Pod Wrednego Sępa”. Jedno mnie zastanawia: ile jest tych krucyfiksów?

- Pamiętajcie, co mówiłem o bractwie Synów Izdy, czcicielach Serca Chepri? Pan Quimby uważa, że wykonano po jednym krucyfiksie dla każdego z ocalałych braci, a więc powinno ich być dziewięć!

- Aż tyle? - zdumiała się Ariana.

- Wszystkie razem stanowią klucz do tajemnicy zamkniętej... na dziewięć spustów. Oprócz pana Quimby'ego hipotezę o dziewięciu kluczach za sensowną uważa pan Rosenkranz, doskonały jubiler i znawca cennych precjozów, a także ich wspólny przyjaciel Boniface Cavendish, księgarz z Old Bond Street.

- Co ja słyszę? - wtrąciła drwiąco pani Blackfriars. - Czyżby cały Londyn znał nasze rodzinne tajemnice? Synu, czy ty masz dobrze w głowie? Uprowadzałam cię, że Foscarelli to ludzie niebezpieczni. Kiedy trafią na twój ślad, dla zdobycia szmaragdu nie cofną się przed żadną nikczemnością! Wierz mi, Malcolmie!

- Masz rację, mamó, ale zapewniam, że moi trzej przyjaciele to ludzie godni zaufania, którym można powierzyć każdy sekret. Są mi bardzo pomocni. Bez nich daleko bym nie zaszedł, bo poszukiwania wymagają ogromnej wiedzy, której nie mam. Na przykład bractwo Synów Izydy...

- Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że *madame Polgar* wspomniała o nich, kiedy mi wróżyła podczas balu - wpadła mu w słowo Ariana.

- Naprawdę? Co mówiła? - Malcolm pochylił się w jej stronę. - Pan Quimby jest ciekawy wszystkiego, co dotyczy owej tajemniczej damy, a ja podzielałam jego zainteresowanie. Pamiętacie, jak podczas wieczoru dyskusyjnego wypytywała al-Walida o rozmaite szczegóły dotyczące Serca Chepri?

- Na krótko przed opuszczeniem Paryża *madam...* - Ariana spojrzała niepewnie na hrabinę i zapytała półgłosem: - Czy nadal mogę cię tak nazywać?

- *Ma petite*, będę dumna i szczęśliwa, jeśli zechcesz uważać mnie za swoją matkę - zapewniła Helene ze łzami w oczach. - Nie ja cię urodziłam, ale czuwałam nad tobą przez te wszystkie lata. Innej matki nie pamiętasz.

- To prawda... - odparła z wahaniem Ariana. - Kiedy próbuję przypomnieć sobie twarz i postać rodziców, widzę tylko cienie. Nie pamiętam także pana Ravenera... to znaczy mojego brata, ale jestem szczęśliwa, że się odnaleźliśmy - dodała z uśmiechem.

- Ja również, siostrzyczko - zapewnił rozpromieniony Nicolas.

- *Madame* Polgar wspomniała o dalekiej podróży. Mam trafić do kryjówki, w której przed wiekami ukrył się smok. Zapewne chodzi o zamek Dundragon. Malcolm nam o nim opowiadał. Pamiętaj, Collie, jak wypłynęliśmy na jezioro „Czarodziejka”? Pokazywałeś mi wtedy stare zamczysko. Wspomniałeś, że Dundragon znaczy twierdza smoka.

- Tak, Ano. - Malcolm uśmiechnął się lekko. - Od dzieciństwa nikt mnie nie nazywał zdrobniałym imieniem. Aż trudno uwierzyć, że spotkałem znowu odważną, ciekawską dziewczynkę, która dawno temu popłynęła ze mną na ryby.

Ariana zarumieniła się mocno, kiedy uświadomiła sobie, jak go nazwała.

- Wybacz... Malcolmie.

- Proszę, mów mi Collie.

- A ty nazywaj mnie Aną.

- Postanowione. A wracając do Synów Izydy...

Ariana przytoczyła ze szczegółami przepowiednię *madame* Polgar.

- Moim zdaniem, członkowie bractwa zamierzali z czasem odnowić stowarzyszenie i wydobyć szmaragd z ukrycia - zauważył roztropnie Nicolas, gdy jej opowieść dobiegła końca. - Skomplikowali całą sprawę, żeby uniemożliwić komuś ze swego grona samodzielne odszukanie klejnotu. - Zamilkł na chwilę i rozejrzał się po salonie. - Zapewne dziwicie się, dlaczego przed rozmową z cicią



Elizabeth nie poprosiłem Christine, żeby zostawiła nas samych. Ujawniamy przecież rodzinne tajemnice. Przez te dwa tygodnie wiele rozmawialiśmy. Chciałem wiedzieć, skąd się bierze jej pogarda dla wicehrabiego Uga. Wyznała mi w końcu, że obaj Foscarelli, ojciec i syn, są zapewne odpowiedzialni za śmierć jej rodziców.

- Tak sadzę - przytaknęła Christine. - Zostali zamordowani dziesięć lat temu. Byłam wtedy małą dziewczynką. Uważnie przysłuchuję się waszej dyskusji i coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że hrabia Foscarelli i wicehrabia Ugo własnoręcznie dokonali tej zbrodni - powiedziała cicho Christine. - Gdy spotkało mnie to nieszczęście, mieszkaliśmy w Szkocji. Dopiero po śmierci rodziców przeniosłam się do Londynu, do wujostwa. Tamtego feralnego dnia wracaliśmy do domu po wizycie u londyńskich krewnych. Na pustkowiu otoczyła nas gromada jeźdźców. Sądziliśmy, że to grasujący na gościńcach zbójce. Nasz stangret zaciął konie w nadziei, że im umknie, lecz po chwili padł od strzału. Zginęli także lokaje. Powóz zjechał z drogi i przewrócił się tak nieszczęśliwie, że rodzice zginęli na miejscu. Gdy ktoś otworzył drzwi od zewnątrz, wiedziona intuicją udałam martwą. Jakiś mężczyzna wskoczył do środka. Nie śmiałam podnieść głowy znad kolan matki, która w ostatniej chwili życia próbowała mnie osłonić. Słyszałam głosy mężczyzn, rozmawiających w obcym języku. Dziś sadzę, że mówili po włosku. Mężczyzna, będący w powozie, zwr-

cał się do czekającego na drodze jeźdźca. Pierwszy szarpnął za poły ojcowskiego płaszcza i brutalnie zerwał z jego szyi krucyfiks identyczny z tymi, które tu dzisiaj widziałam. Rodzice tłumaczyli mi wcześniej, że to klucz, dzięki któremu odkryję rodzinne tajemnice. Miałam go kiedyś dostać. Przypuszczam, że jeden z moich antenatów należał do bractwa Synów Izydy. Papa odziedziczył krucyfiks i dlatego zginął za sprawą Foscarellich. Ci ludzie byli gotowi na wszystko, byle mu go odebrać.

- Z tego wniosek, że mają co najmniej jeden krzyż, podczas gdy w naszych rękach są trzy - podsumował Malcolm.

- O ile mój nadal spoczywa w skrytce pod podłogą - wtrącił Nicolas.

- Wkrótce po niego pojedziemy - zapewnił hrabia.

- Moim zdaniem, *madame* Polgar także ma krucyfiks, ale trzeba to sprawdzić - dodał Malcolm.

W ten sposób doliczyliśmy się pięciu. Mam nadzieję, że pan Quimby oraz jego przyjaciele, Rosenkranz i Cavendish, pomogą nam trafić na ślad pozostałych. Jak sądzicie, czy al-Walid ma krucyfiks?

- Mówisz o Egipcjaninie? - upewnił się Nicolas.

- Nie można tego wykluczyć, choć jest mało prawdopodobne, by odziedziczył krzyżyk po jednym z członków stowarzyszenia. Christine poznała tego cudzoziemca w czasie pobytu w Szkocji, gdy bawiła u krewnych. Pewnego dnia zaszła

do kościoła Świętego Andrzeja, żeby odwiedzić znajomego księdza imieniem Joseph. Pan al-Walid siedział w kancelarii i przeglądał stare księgi parafialne. Nasuwa się pytanie, czego herpetolog zainteresowany głównie węzami szukał w parafialnych rejestrach.

- Będziemy obserwować al-Walida. *Madame* Polgar także. Nie wykluczam, że i ona ma krucyfiks. Bez wątpienia oboje sporo wiedzą o całej sprawie.

Do salonu wszedł kamerdyner i oznajmił, że podano do stołu. Podczas kolacji ustalili, że pani Blackfriars i Malcolm na pewien czas zamieszkają w domu państwa Levesque. Posłano zaraz lokaja z wiadomością do Hawthorn Cottage. Gdy towarzystwo wstało od stołu, panie przeszły do salonu, a panowie udali się do biblioteki, żeby wypić porto i wypalić cygaro.

Ariana miała zamęt w głowie. Cały jej świat stanął na głowie. Papa i *maman* okazali się przybranymi rodzicami, ale odnalazła brata.

- *Ma pauvre petite* - szepnęła Helene, spoglądając na przybraną córkę. - Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś znienawidziła papę i mnie, bo nie powiedzieliśmy ci prawdy.

- Mowy nie ma! Co ty mówisz, *maman*? Jestem tylko zaskoczona i zbita z tropu. Szczerze mówiąc, mam też poczucie winy, bo nie potrafię smucić się z powodu utraty rodzonej matki i ojca. Przykro mi, że tak wcześnie mnie osierocili, ale, niestety, ich nie pamiętam.

- Katherine cię uwielbiała, moje dziecko - odparła pani Blackfriars. - Nie czyń sobie wyrzutów. Byłaś wtedy małą dziewczynką. Trudno się dziwić, że nie zachowałaś żadnych wspomnień. Ciesz się, iż dzięki opatrności trafiłaś do Helene i Jean-Paula, którzy zastąpili ci rodziców i pokochali jak własne dziecko.

- Malcolm opowiadał, że jesteś mądra i dobra, ciociu Elizabeth. Teraz przekonałam się, że to prawda. - Ariana zamilkła na chwilę, po czym spytała: - O czym nasi panowie tak długo radzą w bibliotece? Wiele bym dała, żeby poznać treść ich rozmowy. Podejrzewam, że zastanawiają się, jak przechytrzyć Foscarellich i odzyskać Serce Chepri, a to przecież wyjątkowo niebezpieczne przedsięwzięcie.

- Masz rację i z tego powodu lękam się o Nicolas... o pana Ravenera - wyznała Christine.

- Stał ci się bardzo bliski, prawda, *cherie*? zagadnęła domyślnie hrabina Valcoeur, a zawstydzona panna spłonęła rumieńcem. - Moim zdaniem, on cię uwielbia. Zwróć uwagę, że bez wahania przypuścił cię do wszystkich rodzinnych sekretów. Wkrótce przejmie od Jean-Paula posiadłość Jourdain oraz tytuł hrabiego. Mąż i ja nie będziemy przeciwstawiać się waszemu małżeństwu, a i twoi wujostwo zapewne wyrażą na nie zgodę. Sama się o *to* postaram.

- Dzięki, *madame* - powiedziała z uśmiechem Christine. - Mam nadzieję, że po ich powrocie Nicolas oświadczy się o moją rękę.

- Oby tak było. - Ariana uściśnęła przyjaciółkę  
- Zyskam nie tylko brata, lecz i siostrę. Zawsze marzyłam o rodzeństwie.

- A o mężu nie myślałaś, *ma petite?* - spytał; figlarnie hrabina. Teraz z kolei Ariana spłonęła rumieńcem, a jej przybrana matka dodała, poważniejąc: - Musimy pogodzić się z faktem, że Malcolm nie zyska w wielkim świecie pozycji równej Nicolasowi. Nawet gdyby jakimś cudem udało się dowieść, że dwieście lat temu hrabia Bruno Foscarelli szachrował, grając w karty, i podstępem ograbił Iaina Ramsaya z rodowych majątkości, wątpliwe, by twój ukochany odzyskał należne mu dziedzictwo. Zbyt wiele czasu minęło. Nikt nie zechce wrócić do tej sprawy.

- Istotnie, z drugiej strony jednak... - Christine umilkła, jakby szukała właściwych słów. - Nie chciałabym robić wam fałszywych nadziei, ale podczas rozmowy z księdzem Josephem dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Pan al-Walid rozmawiał podobno z wieśniakami zamieszkałymi niedaleko zamku Dundragon. Opowiadał księdzu, że wielu z nich twierdzi, jakoby Foscarelli bezprawnie zawładnęli majątkościami Ramsayów. Chodziło o testament, który sporządził Somerled Ramsay ojciec pechowego gracza Iaina. Dokument ten zawierał podobno zapis, ograniczający prawa dziedzica do swobodnego dysponowania spadkiem.

- Co to dla nas oznacza? - zapytała Ariana.  
- I dlaczego pan al-Walid interesował się tymi sprawami?

- Na drugie pytanie nie potrafię odpowiedzieć, a co do pierwszego muszę przyznać, że plotki i domysły wieśniaków to słaby dowód przeciwko Intruzom, za których w Szkocji uważa się Foscarellich. Wszelkie pogłoski zawierają jednak ziarnko prawdy, może warto pójść tym tropem.

- Gdyby okazało się...

- Zgadzam się z Christine - przerwała Elizabeth. - Nie róbcmy sobie złudnych nadziei. Bez mocnych argumentów nie uda się Malcolmowi odzyskać majątku i tytułu.

- Owszem - przyznała niechętnie Ariana. - Intryguje mnie ten al-Walid. Czego szuka? 2 jakiego powodu ciągnie za język wieśniaków? Co mu z tego przyjdzie? - myślała głośno. Inne panie w milczeniu wzruszyły ramionami.

Tej nocy senny koszmar powrócił, lecz tym razem Ariana zdawała sobie sprawę, że dziwne obrazy to odmienione przez jej wyobraźnię wspomnienia z dzieciństwa. Bała się, ale nie był to strach przed nieznanym. Przeraziła się natomiast, gdy spostrzegła, że chłopak zmieniający się w węża nosi szkarłatną maskę i pelerynę jak wicehrabia Ugo na balu u markizy Mayfield. Otworzyła usta do krzyku, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

*Wariat, poeta, człowiek zakochany  
Są utworzeni wszyscy z wyobraźni.  
Jeden z nich widzi więcej diabłów, niżli  
Zdoła pomieścić cały obszar piekła.  
To obłąkany. Podobnie szalony  
Jest i kochanek. Dostrzega urodę  
Pięknej Heleny w obliczu Cyganki.  
Poeta okiem w natchnieniu zatacza  
Z ziemi ku niebu i z nieba ku ziemi.  
Gdy wyobraźnia nasuwa marzeniu  
Kształty nieznane, poeta swym piórem  
Je ucieleśnia, przydając nicości  
Miejsce na ziemi i nadając imię.  
Tak umie igrać wielka wyobraźnia,  
Że gdy wymyśli sobie jakąś radość,*

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szpital dla obłąkanych i wywoływanie  
duchów



*Dodaje do niej twórcę tej radości.  
Podobnie nocą, gdy ktoś w trwogę wpadnie,  
Krzak może wydać się niedźwiedziem  
    snadnie<sup>16</sup>.*

William Shakespeare  
„Sen nocy letniej” (1595-1596)

*Tu płacz, wzdychania z głośnymi jękami  
Płyną w przestrzeni bez gwiazd, pełnej cienia,  
Tak że je słysząc, zalałem się łzami.  
Różne języki, mowy, złorzeczenia,  
Słowa bóleści, gniewu krzyk szalony,  
Zmieszane głosy, rąk klaszczących brzmienia,  
Sprawiały wrzawę co na wszystkie strony  
. Wciąż się w powietrza tym zmartwiałym kręci  
Jak piasek wirem wichru uniesiony<sup>17</sup>*

Dante Alighieri  
„Boska Komedia” (1310-1320)  
„Piekło”

1848

*Anglia, Londyn, Cavendish i Portman Square  
oraz Southwark*

Od brzemiennej w skutki wizyty minęło kilka dni. Rodzina wspólnie planowała kolejne posunięcia. Spore było zdziwienie pana Quimby'ego oraz jego serdecznych przyjaciół, Rosenkranza i Cavendisha, gdy posłańcy dostarczyli im zaproszenia na

Przełożył Maciej Słomczyński.  
Przełożył Adam Asnyk.

kolację i wieczorek dyskusyjny u hrabiny Valcoeur. Taki sam bilecik z serdeczną prośbą o przybycie otrzymała jasnowidząca, *madame* Polgar, która także nie kryła zdziwienia. Przyjaźniła się wprawdzie z Helene, lecz od niefortunnego wypadku Ariany rzadko bywała w pałacu przy Portman Square.

- Co o tym sądzisz, Dukker? - Zamyślona wpatrywała się w buzujący na kominku ogień. Złociste oczy patrzyły bystro niczym ślepiec polującego jastrzębia. - Hrabiosstwo życzą sobie, abyśmy ich odwiedzili. Drugie zaproszenie w ciągu dwóch tygodni. Treść listu nie budzi podejrzeń, ale zastanawiam się...

- *Madame* sądzi, że nas przejrzeni? - spytał karzeł, marszcząc krzaczaste brwi. - Czyżby odkryli, że jaśnie pani nie jest zwyczajną wróżką?

- Kto wie? - odparła w zadumie. - Być może staliśmy się nadmiernie podejrzliwi - odparła z namysłem i wzruszyła ramionami. - Trzeba tam pójść. Nie widzę innego sposobu, żeby sprawdzić, co knują.

- Czy to rozsądne, *madame*? Jeśli państwo Levesque oraz ich przyjaciele wiedzą, do czego zmierzamy, mogą zastawić na nas pułapkę.

- Wątpliwe. To nie w ich stylu. Z nich wszystkich tylko Ravener i Blackfriars wydają się niebezpieczni. Pierwszy jest hazardzistą, drugi bez namysłu zastrzelił człowieka. Obaj mają tupet. Cóż robić, Dukker? Gra idzie o wysoką stawkę, trzeba zaryzykować. Mimo wszystko są to ludzie cywili-

zowani. Nie zapominajmy, że prawdziwe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony Foscarellich, którzy stali się naszymi śmiertelnymi wrogami. Trzeba mieć na nich oko, Dukker.

- Racja, ale wicehrabia Ugo też nas szpieguje, *madame*.

- *Oni*, jestem tego świadoma. Obawiam się nawet, że wie już o nas stanowczo zbyt wiele. Nic na to nie poradzimy. Trzeba po prostu mieć się na baczności, prawda, Dukker?

- *Oui, madame*. Przysięgam, że nie dostaną tego, czego pragną.

- Doskonale! Pamiętaj, jak masz się zachować, gdyby spotkało nas coś złego. W takim wypadku nie mędrkuj, tylko rób, jak mówiłam.

- Wypełnię co do joty instrukcje jaśnie pani.

- Wkrótce jedziemy do teatru, najpierw jednak chciałabym pomedytować. Przynieś harfę i zagraj odpowiednią melodię.

Usiadła w czerwonym fotelu przy kominku. Tego wieczoru w niewielkim domu u zbiegu Henrietta Street i Cavendish Square panował zimowy chłód. Kapryśna londyńska aura dawała się we znaki emigrantce z Rumunii. Dbała o siebie i cieszyła się dobrym zdrowiem, ale była wiekowa. Lat miała znacznie więcej, niż jej dawano. Od pewnego czasu dokuczał jej reumatyzm. Przez dwadzieścia pięć lat tułała się po obcych krajach, Z ojczyzny musiała uchodzić z powodów politycznych. Gdy jej mąż zmarł, wiele podróżowała. Przy tej sposobności usiłowała dociec, ile prawdy jest

w zagadkowych opowieściach, zasłyszanych w dzieciństwie od babki, z pochodzenia Szkotki, która w czasie podróży po Europie poznała młodego rumuńskiego arystokratę, zakochała się w nim do szaleństwa i wkrótce została jego żoną. Nazywała się lady Sibyl Macbeth. Była szczęśliwa w małżeństwie, ale do śmierci tęskniła za ojczyzną i chętnie opowiadała wnuczce o górzystej Szkocji, gdzie się wychowała. Miała dar jasnowidzenia, który nazywała szóstym zmysłem albo trzecim okiem. *Madame Polgar* odziedziczyła po niej te niezwykle zdolności.

Wspominała babcię, wpatrując się w lśniącą powierzchnię szklanej kuli. Daremnie. Nie pomogły słodkie dźwięki harfy. Wnętrze kuli wypełniała jasna, wirująca mgła. *Madame Polgar* wzdrygnęła się, ponieważ przemknęło jej przez myśl, że nie widzi przyszłości, bo jej nie ma. Czy powinna szykować się na śmierć?

Dukker pędził co sił w nogach, choć brakło mu tchu. Był śmiertelnie przerażony. *Madame Polgar*, jego pani i opiekunka, zniknęła. Porwali ją zaciekli wrogowie, mimo że zdwoił czujność i pilnował *madame* od rana do wieczora. Nie zdołał jednak udaremnić ich planów. Łzy spływały mu po policzkach. Najchętniej rzuciłby się na ziemię i wył z rozpacz, ale w ten sposób nie pomógłby swej pani. Musiał działać.

Kluczył, by zmylić ewentualną pogoń. Raz po raz oglądał się za siebie, zmierzając na Portman

Square. Gdy stanął przed drzwiami pałacu hrabios-twa Valcoeur, raz jeszcze rozejrzał się uważnie, a potem wielokrotnie pociągnął za taśmę dzwon-ka.

Kamerdyner Butterworth wyszedł na ganek i obrzucił karła pogardliwym spojrzeniem.

- Wystarczyło raz zadzwonić. Powinien czekać przed wejściem dla służby, aż zostanie wpusz-czony. Niech tam idzie i na przyszłość pamięta, gdzie jego miejsce - poradził wyniośle kamerdyner i już miał zatrasnąć Dukkerowi drzwi przed nosem, gdy ten krzyknął rozpaczliwie:

- *Non!* Poczekaj! Muszę się natychmiast wi-dzieć z hrabiną. *Madame* Polgar została porwana!

bełkotał na granicy hysterii, jakby obawiał się, że lada chwila zepchną go ze schodów i odmówią posłuchania.

Butterworth niechętnie wpuścił go do sieni.

- Czekaj tu i niczego nie dotykaj - rzucił szorstko i udał się do salonu, by przekazać nowinę hrabinie, która po jej usłyszeniu natychmiast po-biegła do drzwi. Była okropnie blada, ręce jej się trzęsły.

- Co się stało, Dukker? Butterworth powiedział, że wprowadzono *madame* Polgar. Jak mam to rozumieć? Naprawdę ktoś ją porwał?

- *Oui, madame!* Nie ma czasu do stracenia! Boję się nie tylko o jej zdrowie, lecz i o życie! karzeł trajkotał jak nawiedzony. Hrabina uciszyła go stanowczym gestem.

- *Bon Dieu!* To bardzo zła nowina! - zawołała.

- Nie do wiary. Uspokój się, bo niewiele rozumiem z twojej paplaniny. Chodź ze mną. Skoro szukasz pomocy, to dobrze trafiłeś, bo są tutaj nasi przyjaciele, pan Blackfriars i pan Ravener. Opowiesz nam o wszystkim, co się wydarzyło.

Zaprowadziła przybysza do saloniku, wskazała krzesło, a następnie poleciła krótko i zwięźle przedstawić smutne zdarzenia. Karzeł odetchnął z ulgą, bo jaśnie pani potraktowała go poważnie i zamiast wyrzucić na ulicę, zgodziła się wysłuchać. Tuląc do piersi ozdobne złotone puzderko, niepewnie przycupnął na brzegu krzesła i zaczął opowieść.

- Wczoraj wieczorem *madame* pojechała na spektakl operowy do Covent Garden. Nie trzyma powozu; gdy wyszliśmy z teatru, kazała mi przywołać dorożkę. Wsiadliśmy i zdawało się, że wszystko jest w porządku, aż tu nagle dorożkarz zamiast skrócić w ulicę, przy której mieszkamy, ruszył z kopyta w przeciwnym kierunku. Muszę wyjaśnić, że *madame* prowadziła ważne poszukiwania i miała wielu wrogów, było zatem jasne, czyja to sprawa. Zamaskowani jeźdźcy otoczyli pojazd. *Madame* zorientowała się, że została napadnięta. Krzyczała, żebym ją ratował. Jechałem na zewnątrz i pewnie zdołałbym unieszkodliwić dorożkarza, bo wbrew pozorom jestem bardzo silny, lecz jeden z konnych chwycił mnie za kark i rzucił przed sobą na siodło w poprzek końskiego grzbietu. Jakimś cudem udało mi się zsunąć i umknąć. Tamci myśleli, że uciekłem ze strachu, i szybko

zaprzestali pogoni, ale ja mszyłem ich śladem. Zawieźli *madame* do domu swych mocodawców. Coś mi mówiło, że nie powinienem stamtąd odchodzić. Od dawna miałem upatrzoną dobrą kryjówkę i teraz z niej skorzystałem. Warto było czekać. Po kilku godzinach wywlekli z domu moją panią, wpakowali do powozu i zawieźli do Bedlam, do szpitala dla obłąkanych!

- Trzeba ją stamtąd wydostać, i to zaraz! - oburzyła się hrabina, spoglądając rozkazująco na męża i młodych kuzynów.

- *Oui, ma chere*. Zaraz ruszamy! - rzucił ochocho hrabia. - *Nicolasie*, czy wystarczy ci sił, żeby pojechać ze mną i z *Malcolmem*?

- Oczywiście.

- *A* zatem w drogę, moi panowie! *Ariano*, pod naszą nieobecność wraz z lady *Christine* opiekuj się matką i panią *Blackfriars*. Dopilnuj, żeby *Dukker* nie odchodził stąd na krok.

- Jadę z wami, *monsieur* - zachnął się karzeł i zeskoczył z krzesła.

- *Mowy* nie ma! - sprzeciwił się hrabia. - Trzeba ci wiedzieć, że jesteśmy świadomi, czego szuka twoja pani i kim są jej wrogowie. To *Foscarelli*, prawda? Gdybyś z nami pojechał, twoja obecność będzie dla nich dowodem, że wszyscy jesteśmy zamieszani w tę sprawę. Nie można wykluczyć, że śledzili cię aż do naszych drzwi.

- *Non, monsieur*. Kluczyłem...

- Ostrożności nigdy za wiele, choć mam na-

dzieję, że byłeś dość sprytny, aby zatrzeć ślady i zniknąć im z oczu. Siedź spokojnie i czekaj na nasz powrót.

Hrabia kazał lokajowi sprowadzić powóz i opuścić salon. Za nim poszli obaj młodzieńcy. Cztery strwożone damy zostały z karłem w salonie. Ariana i Christine kazały przygotować orzeźwiające napoje. Zadysponowały także kolację oraz gorącą herbatę dla głodnego i spragnionego Dukкера.

Panowie ruszyli do Bedlam, gdzie mieścił się szpital dla umysłowo chorych. Wzięli pistolety. Służący, którzy im towarzyszyli, również byli uzbrojeni. Hrabia popędzał stangreta, raz po raz stukając złotą główką laski w ścianę powozu.

- Szybciej! Szybciej! - pokrzykiwał. - Nie ma czasu do stracenia.

Wkrótce dotarli na miejsce, ale strażnik nie chciał ich wpuścić. Hrabia daremnie nalegał.

- Wcale się nie dziwię, że wuj nic nie zdziałał. Foscarelli zapewne dali w łapę temu nikczemnikowi - szepnął Nicolas do Malcolma. Stali na uboczu, oglądając ustawione w holu posągi, wyobrażające personifikacje Melancholii i Obłądu. - Od nas może dostać kulkę w łeb. Dajmy mu to do zrozumienia - zaproponował Nicolas, wyciągając z kieszeni pistolet. Malcolm natychmiast poszedł w jego ślady.

Z obu stron zbliżyli się strażnika, biorąc go w dwa ognie. Poczuli lufy pistoletów.

- Prowadź do starszej pani, którą Włosi tu dzisiaj przywieźli, bo inaczej marnie skończysz



- burknął Malcolm i dźgnął strażnika lufą pistoletu, żeby dodać groźbom wiarygodności. - Nie krzycz, bo zastrzelę. Przestań nam mydlić oczy i rób, co każe pan hrabia. Zapamiętaj sobie, że zabiłem człowieka. Jeśli będzie trzeba, znowu pociągnę za cyngiel.

- T... tak, panie. Tak. Niech się jaśnie pan nie... nie denerwuje. Przysięgam zrobić wszystko, co... co pan każe - jękał się zdenerwowany strażnik, wodząc spojrzeniem po twarzach młodzieńców.

Zaprowadził nocnych gości do separatki, w której trzymano *madame* Polgar. Otworzył drzwi żelaznym kluczem przyczepionym do wielkiego żelaznego koła, które miał przy pasku. Światło lampy zawieszanej w korytarzu wpadło do niewielkiego pomieszczenia. Podłoga wyłożona była korkiem oraz gumą, żeby zamortyzować niebezpieczne upadki pacjentów. *Madame* Polgar siedziała w kącie. Nie zwracała uwagi na przybyszów. Głowa chwiała jej się na boki.

- *Sacrebleul* - zaklął oburzony hrabia. - Została pobita i oszołomiona narkotykami! Pomóżcie mi!

Malcolm podejrzewał, że Nicolas nadrabia miłą, udając silniejszego, niż jest w istocie, podbiegł więc do wiekowej damy, wziął ją na ręce i wyniósł z separatki. Szli z powrotem przez labirynt schodów i korytarzy. Wkrótce znaleźli się w powozie, a strażnik odetchnął z ulgą, bo wbrew swym obawom uszedł z życiem. Hrabia uderzył laską w ścianę i powóz ruszył. Gnali co koń wyskoczy

spowitymi mgłą ulicami zakazanej dzielnicy biedoty, gdzie panował występki i nędza. Malcolm podziwiał umiejętności stangreta, który mimo niesprzyjających warunków bardzo szybko przebył dystans dzielący Bedlam od Portman Square.

W drodze *madame Polgar* nie odzyskała przytomności. Oczy miała zamknięte. Kilka razy jęknęła boleśnie, jakby cierpiała. Gdy dotarli na miejsce, Malcolm zaniósł ją do saloniku i ułożył na sofie. Hrabina oznajmiła, że pokój dla chorej został już przygotowany. Z pomocą służby panie ułożyły ją w pościeli, a hrabia kazał posłać po doktora Whittakera. Dukker ucieszył się, widząc, że jego pani żyje, ale gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest z maltretowana, zaczął się denerwować.

- *Madame* wyzdrowieje? - spytał hrabiego.

- Trudno powiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że sporo wycierpiała, a porywacze obeszlą się z nią nader brutalnie, choć muszę przyznać, że mogło być gorzej. Podawano jej narkotyki, dlatego jest nieprzytomna. Więcej będzie można powiedzieć, kiedy przyjedzie doktor Whittaker. Na razie trzeba zapewnić jej spokój i niezbędne wygody.

Wkrótce zjawił się lekarz i zbadał chorą. Oznajmił, że obrażenia nie są groźne dla życia, ale *madame* bardzo cierpi, ponieważ oprawcy umyślnie złamali jej trzy palce.

- *C'est monstrueux!*- Hrabina była wstrząśnięta.

- Owszem, *madame*- przyznał medyk. -Chora wiele przeszła, ale rokowania są pomyślne.

Niepokoi mnie tylko jej podeszły wiek. Trudno powiedzieć, jak wiekowe serce zareagowało na okropne przeżycia. Nie przepisałem środków uspokajających, bo pacjentkę nafaszerowano jakimś narkotykami. Moim zdaniem, dali jej opium, ale pewności nie mam, a lękam się przedawkować, bo owe substancje w nadmiarze stają się zabójcze. Za kilka godzin, gdy zostaną usunięte z organizmu, można podać dwie łyżeczki laudanum, żeby uśmierzyć ból. Flakonik z lekiem zostawiłem na nocnym stoliku.

Po wyjściu lekarza Sophie oraz Innes, pokojówki Ariany i Christine, podjęły się jako pierwsze czuwać przy łóżku madame Polgar. Dukker napierał się, żeby mu pozwolono zostać przy chorej, ale jej widok tak bardzo go rozstrajał, że lekarz wyraził zgodę jedynie na krótkie wizyty. Dlatego karzeł zamiast czuwać nad swoją panią, siedział z innymi w salonie, przycupnąwszy na tym samym krześle, które przed kilkoma godzinami wskazała mu hrabina. Twarz miał ponurą. Nadal tulił do piersi małą złoconą szkatułkę, z którą przybiegł do pałacu hrabiostwa Valcoeur. Ariana bardzo mu współczuła, choć dziwiła się, że *madame* Polgar uczyniła słabego karła swoim totumfackim. Zasługiwał jednak na szacunek, bo okazywał chlebowdawczyni wyjątkowe przywiązanie.

Kiedy wróżka znalazła się nareszcie pod dobrą opieką, hrabia Valcoeur, Malcolm i Nicolas mogli opowiedzieć najbliższym, jak ją uratowali.

- Collie - powiedziała Ariana po wysłuchaniu

szczegółowej relacji. Wyprawa skończyła się dobrze, lecz mimo to wydała jej się przerażająca. - Gdybyście w Southwark albo w Bedlam zostali napadnięci... a nawet zabici? Co wtedy? Ja bym tego nie przeżyła! - Ledwie wypowiedziała te słowa, spłonęła rumieńcem. Spuściła oczy i zawstydzona się, ponieważ w obecności całego towarzystwa ujawniła tajemnicę swojego serca.

- Proszę się o mnie nie lękać, *mademoiselle*. Wypadałoby raczej zadbać o bezpieczeństwo pani i lady Christine - oznajmił jej wybranek, marszcząc brwi. Kierowała nim miłość do Ariany i serdeczna troska o jej przyszłość. - Skoro Foscarelli tak haniebnie postąpili z *madame* Polgar, niewątpliwie są też zdolni do napaści na młode damy. Wiedzą, że lady Christine jest zamieszana w tę dziwną sprawę. Skradli krucyfiks jej ojca. Ale jeśli uznają, że córka w pewien sposób im zagraża? Podobnie może być z tobą, Ano, jeśli wyjdzie na jaw, że sporo wiesz o sprawie.

- Mamy oko na Foscarellich, Malcolmie. Z ich strony nic nam nie grozi - zapewnił Nicolas.

- My też ich obserwowaliśmy - wtrącił posępny Dukker, siedzący bez ruchu na krześle z dala od reszty towarzystwa. -I co nam z tego przyszło? Nie ustrzegłem *madame*.

Malcolm ścisnął mocno szczupłą dłoń Ariany. Palce miała zimne jak lód. Wraz z całym towarzystwem zebrany w lustrzanej sali balowej pałacu

hrabiostwa Valceour siedzieli przy stole, który pani domu przed zmierzchem poleciła umieścić wraz z krzesłami pośrodku ogromnego pomieszczenia. Przykryty był obrusem ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionym frędzlami i bogato drapowanym. Na środku ustawiono dwa kunsztownie rzeźbione lichtarze: jeden złoty z grubą, białą świecą, drugi srebrny z równie okazałą, ale czarną. W kominku z paryskiego marmuru płonął ogień, a przez oszklone, wiodące na taras drzwi sączyła się poświata bladego zimowego księżyca. W sali panował półmrok. Majające niewyraźnie sprzęty i postacie odbijały się wielokrotnie w lustrzanych taflach, przez co nastrój był tajemniczy, a obrazy widmowe.

U szczytu stołu zasiadła *madame* Polgar ubrana w obszerną jedwabną szatę tej samej barwy, co obrus. Na głowie miała wspaniałą turban ozdobioną piórami i klejnotami. Dowiedziała się, że hrabina zaprosiła ją na kolację i wieczorek dyskusyjny, chcąc przy tej sposobności zorganizować seans spirytystyczny. Kiedy owa intencja przypadkiem wyszła na jaw, wróżka od razu zaoferowała się przeprowadzić taki eksperyment. Stwierdziła, że czuje się dostatecznie silna, by podjąć próbę wywołania duchów. Nie słuchała protestów Helene, szczerze zatroskanej o jej zdrowie i samopoczucie. Powtarzała, że siniaki bledną, a połamane kości palców ładnie się zrastają, choć musiała przyznać, że minie sporo czasu, nim znów będą sprawne.

- Palce są mi potrzebne, gdy kładę tarota.

Podczas seansu wystarczy trzymać się za ręce i mocno skoncentrować, a duchy przyjdą same. Już pani mówiłam, hrabino, że mam nieczyste sumienie wobec panny Ariany, której chciałam odebrać krucyfiks odziedziczony po przodkach - tłumaczyła *madame* Polgar. - Muszę przyznać, że od dawna domyślałam się, kim naprawdę jest Ariana. Mąż pani jest wszak kuzynem Charlesa, hrabiego de Jourdain, a od starej niani z Valcoeur wiem się, że nie mogła pani wydać na świat własnych dzieci. - *Madame* Polgar wyznała niedawno przyjaciółom, którzy uratowali ją z opresji, jak z pomocą Dukкера planowała zdobyć krucyfiks Ariany. Teraz zamyśliła się na moment i dodała: - Niezbadane są wyroki opatrności. Gdyby nie moje knowania, pan Blackfriars nie poznałby waszej córki. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nie ma przypadków. Nalegam, żeby seans się odbył, ponieważ chcę zadośćuczynić za swoje winy. Pragnęłam zawładnąć Sercem Chepri, aby zyskać nieśmiertelność, lecz teraz dochodzę do wniosku, że kres istnienia wydaje się równie ważny, jak początek. Moje życie zapewne dobiega końca, bo w szklanej kuli nie widzę już własnej przyszłości. Żadna istota śmiertelna nie może przeniknąć tajemnic Izydy.

*Madame* Polgar wyjaśniła hrabinie, co jest niezbędne, aby seans spirytystyczny był udany. Tego wieczoru wokół okrągłego stołu oprócz *madame*, Ariany i Malcolma zasiedli także: hrabia i hrabina Valcoeur, pani Blackfriars, Nicolas, Christine, pan

Quimby oraz jego przyjaciele Rosenkranz i Caven-  
dish. Dukker przycupnął na poduszce w rogu sali  
balowej. Ciemne kędziory opadały mu na czoło,  
kiedy grał na harfie. Spod zręcznych palców  
płynęły słodkie, hipnotyczne dźwięki.

- Czy wszyscy są gotowi i skoncentrowani?  
Trzymacie się za ręce? - zapytała *madame* Polgar.

Postaramy się sprawić, aby przybył tutaj lord  
Robert Roy Ramsay, dziewiąty earl Dundragon,  
założyciel bractwa Synów Izidy, a raczej jego  
duch. Jeżeli się pojawi, każdy z nas ma prawo  
zadać mu jedno pytanie. Przemówi moimi ustami,  
ale głos będzie zmieniony. A więc zaczynamy...

Ariana słyszała te słowa jak przez mgłę. Oszołomiła ją bliskość Malcolma i mocny uścisk jego ręki. Cieszyła się też z sąsiedztwa odnalezionego przed kilkoma dniami brata. Obecność ukochanego, rodziny i przyjaciół wystarczyła jej do szczęścia. Czowała się bezpieczna i zadowolona z życia.

Za oknami zerwał się wiatr i szarpał gałęzie drzew. Znad Tamizy napłynęła gęsta mgła. Brunatne liście szumiały jak halki tańczącej Cyganki. Uczestnicy seansu milczeli. Tylko *madame* Polgar mamrotała coś niezrozumiale w obcym języku, jakby powtarzała tajemnicze zaklęcia. Płomienie świec migotały, a stół drżał lekko. *Madame* przy-  
mknęła oczy i zapytała:

- Czy jest tu lord Robert Roy Ramsay, dziewiąty earl Dundragon?

Nagle odparła zmienionym głosem:

- Tak. Jam jest. Kto mnie wezwał i po co?

- Poszukiwacze prawdy, tropiący zaginiony skarb. Prosimy, czcigodny duchu, żebyś nam pomógł. Mamy kilka pytań. Czy zechcesz na nie odpowiedzieć?

- Spróbuję.

- Doskonale. A teraz przysięgnij na honor, że będziesz mówić prawdę.

- Daję słowo.

- Lordzie Dundragon, jeśliś nim jest w istocie. Powiedz, czy założyłeś zakon Synów Izydy? - zapytał jako pierwszy hrabia Valcoeur, spoglądając podejrzliwie na *madame Polgar*. Zgodził się uczestniczyć w seansie, lecz był zdania, że to jedynie kuglarskie sztuczki.

- Owszem. Byliśmy synami wdów jak Horus jest synem Izydy, owdowiałej po śmierci jego ojca Ozyrysa.

- Ilu was było? - rzuciła zduszonym głosem hrabina Valcoeur, wpatrzona w jasnowidzącą jak w obraz. Medium fascynowało ją, ale głuchy, niski, bezosobowy głos wychodzący z kobiecego gardła budził lęk.

- Trzynastu.

- Jaki mieliście cel? - Bystre spojrzenie błękitnych oczu pana Quimby'ego uważnie śledziło wszelkie szczegóły niezwykłego wydarzenia.

- Chcieliśmy zyskać dar nieśmiertelności.

- Udało się? - spytał równie zaintrygowany pan Cavendish.

- Nie. Moc kamienia pozostała dla nas niedostępna.



- Jakiego kamienia? Masz na myśli zaginiony szmaragd, zwany Sercem Chepri? - Pan Rosenkranz wcześniej nie miał ochoty na udział w seansie, lecz teraz z każdą chwilą okazywał coraz większe zainteresowanie.

- Istotnie. To egipski odpowiednik kamienia filozoficznego. Mój ojciec bezprawnie ukradł go z grobowca w Dolinie Królów. Oszlifował ten kamień sam bóg Chepri i przekazał swoim kapłanom. Serce Chepri należało zawsze do najwyższego z nich. Prawda jest taka, że ciąży na nim klątwa.

- Skąd ta pewność, duchu? - chciała wiedzieć lady Christine.

- Czterech braci zginęło straszną śmiercią z powodu tego klejnotu.

- Co z nim uczyniliście? Został zniszczony? odezwała się Ariana. Miała nadzieję, że duch odpowie twierdząco. Dla niej szmaragd mógłby nie istnieć.

- Nikt z nas nie potrafił się na to zdobyć, bo zbyt wielka była jego wartość i potęga. Ukryliśmy go w bezpiecznym miejscu, zamierzając wydobyć, kiedy poznamy jego moc i nauczymy się nad nią panować.

- Gdzie spoczywa? - zapytał Nicolas.

- W bezpiecznym miejscu - powtórzył duch.

- Wskaż je! - nalegał Malcolm.

- Minęło tyle czasu...

- Gdzie jest szmaragd? Mówże, duchu!

- W kryjówce zamkniętej na dziewięć spustów...

Gdy zabrzmiały tajemnicze i ważne słowa, masywny stół, wokół którego siedzieli uczestnicy\* seansu, niespodziewanie zadygotał, przechylił się gwałtownie i zawisł nad podłogą. Wiatr z diabelskim wyciem szalał za oknem.

- Co się stało? Cóż to znaczy? - Wystraszona pani Blackfriars zerwała się z krzesła.

- Serce Chepri! To jego sprawka! Przeklęty szmaragd! - ostrzegł lord Dundragon. - Pamiętajcie, do kogo należy ten klejnot!

Bezosobowy głos odbił się echem w wielkiej sali. Brzmiał donośniej niż ryk szalejącego na zewnątrz wiatru. Z ogromną siłą napierał na ściany pałacu. Nagły podmuch otworzył prowadzące na taras drzwi, gasząc świece i ogień w kominku. Chmura zakryła tarczę księżycą i sala balowa pogrążyła się w ciemnościach.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### Miłość i śmierć

*Zobaczyłem też konia maści trupioszarej. A jeździec siedzący na nim nazywał się Śmierć. A jeźdźcowi towarzyszyła cała kraina zmarłych.*

Biblia, Apokalipsa św. Jana

*Prowadzimy bowiem walkę nie ze zwykłymi ludźmi, lecz mamy stawiać czoło Zwierzchnościom i Władzom, rządcom świata tych ciemności oraz mocom duchowym zła na wyżynach niebieskich.*

Biblia, List do Efezjan

*Położ mnie jak pieczęć na swojej piersi, jak pieczęć na swoim ramieniu. Miłość jest jak śmierć potężna..*

Biblia, Pieśń nad Pieśniami

''' Cytaty z Apokalipsy św. Jana, Listu do Efezjan i Pieśni nad Pieśniami w przekładzie Kazimierza Romaniuka.

1848

*Anglia, Londyn, pałac hrabiego Valcoeur*

Gdy pod naporem wichury otworzyły się oszkłone drzwi, wiodące na taras, w pierwszej chwili uczestnicy seansu byli kompletnie zbici z tropu. W mroku sali balowej wyobrażali sobie przez dłuższą chwilę, że Foscarelli atakują pałac. Zerwali się z krzeseł i rozpierzchli na wszystkie strony. Malcolm instynktownie zamknął w objęciach Ariannę, chcąc ją uchronić przed napaścią, a jednocześnie przywoływał matkę, aby się upewnić, czy nic jej nie grozi.

- Nie martw się, Malcolmie! - zawołał pan Quimby, przekrzykując piszczące ze strachu niewiasty. - Jest bezpieczna. Razem z Cavendishem już się nią zajęliśmy.

Ariana, przytulona do piersi Malcolma, wsłuchiwała się w głośne uderzenia jego serca. Czuła, że mimo zapewnień chlebodawcy nadal jest pełen obaw. Mięśnie miał napięte, jakby szykował się do odparcia ataku. Jej serce także biło mocno, choć nie była pewna, czy przyczyną jest wyłącznie strach. Po raz pierwszy w życiu mężczyzna trzymał ją w uścisku, była więc nie tylko zalękniona, lecz także podekscytowana. Mimo zakłopotania rozkoszowała się ciepłem bijącym od ukochanego i chłonęła korzenny zapach jego ciała. Oddychała płytko i pospiesznie, bo nazbyt ciasno zasnurowany gorset nie pozwalał zaczerpnąć powietrza pełną

piersią. Malcolm jedną ręką obejmował ją w pasie, a palce drugiej wsunął w ciemne loki, tuląc do piersi głowę Ariany. Daremnie próbował przeniknąć spojrzeniem nocny mrok. Wypatrywał napastników, starając się rozszyfrować ich zamysły.

Dobiegające z sali balowej okrzyki przerażenia zaalarmowały służbę, która tłumnie przybiegła jaśnie państwu na ratunek. Kamerdyner rzucił się ku oszklonym drzwiom tarasu i zamknął je, nie bacząc na podmuchy, rozwiewające poły surduta, a pokojówki szumiące halkami i spódnicami zapalały pospiesznie umieszczone w kinkietach świece.

- *Madame! Madame!* - krzyknął Dukker na widok swej pani, która zwiśla bezwładnie w fotelu, zamknęła oczy, a głowę odrzuciła na oparcie. Przypadł do niej, chwycił za ręce i powtarzał raz po raz: - Proszę się do mnie odezwać!

Zaniepokojony pan Cavendish, który stał najbliżej *madame* Polgar, zbliżył się natychmiast, sprawdził jej puls i przytknął ucho do gorsu, a potem smutno pokiwał głową.

- *Madame* Polgar nie żyje - oznajmił półgłosem. - Obawiam się, że porwanie oraz cierpienia, których doznała za sprawą Foscarellich, a także dzisiejsze wzruszenia ostatecznie podkopały nadwątlone siły życiowe. Serce nie wytrzymało takiego obciążenia i *madame* odeszła.

- *Non! Non!* To niemożliwe!

Ku ogólnemu zdumieniu Dukker przypadł do

martwej chlebobawczyni. Łkając rozpaczliwie, potrząsał nią mocno i błagał, żeby otworzyła oczy.

Malcolm i Ariana delikatnie, lecz stanowczo odciągnęli go od zmarłej i wyprowadzili do innego pomieszczenia. Tłumaczyli łagodnie, starając się go pocieszyć. Hrabina Valcoeur i pani Blackfriars przeszły do salonu i siedziały tam ramię przy ramieniu. Pierwsza miała w głowie kompletny zamęt, druga mimo smutku i zatroskania cierpliwie podpowiadała, co należy uczynić w takiej sytuacji.

- *Oui, oui...* Masz rację, Elizabeth. Zrobimy tak, jak uważasz. - Hrabina zalała się łzami i ukryła twarz w białej chusteczce obszytej koronką. - *La pauvre madame* Polgar! Na krótko przed seansem oznajmiła mi, że niedługo umrze. Jak mogłam jej pozwolić na przeprowadzenie ryzykownego eksperymentu! Wiedziałam, że nie wróciła jeszcze do sił. Foscarelli to banda nikczemników! Pastwili się nad nią z wyjątkowym okrucieństwem. Niech ich piekło pochłonie! Żałuję, że nie zatrzymałam jej na górze. Powinna jeszcze poleżeć. To moja wina, że umarła. Nie udało mi się skłonić jej do przełożenia seansu na inny dzień.

- Helene, przestań się obwiniać - zaprotestowała pani Blackfriars. - Moim zdaniem, nieboszczka była starsza, niż nam się wydawało. Dla wiekowej damy cierpienia doznane od Foscarellich okazały się ponad siły. Pan Cavendish ma rację. Doznała ataku serca. Helene, postaraj się uspoko-

ić. Gorący napój dobrze ci zrobi. Każę podać herbatę. A może wolisz kakao?

- Powiedziałam służbie, żeby podano kawę, ciociu Elizabeth - wtrąciła Ariana, wchodząc do salonu, gdzie panie siedziały wraz z resztą uczestników seansu. - Collie i Nicolas pomogli Dukkerowi położyć się do łóżka. Biedaczyna musi odpocząć. Zżył laudanum, niedługo zaśnie. Zgon *madame* Polgar był dla niego wstrząsem. Wszyscy mamy poczucie straty.

- Dzisiejszy seans kosztował ją życie, a my niczego się nie dowiedzieliśmy! - Zdenerwowany Nicolas wyjął etui, w którym trzymał cygaretki. Spytał panie, czy może zapalić, a gdy uzyskał zgodę, zaciągnął się głęboko.

- Myli się pan, młodzieńcze. Duch udzielił nam ważnej informacji - zaprotestował energicznie pan Cavendish. - Poznaliśmy co najmniej jeden ważny fakt.

- Do rzeczy, przyjacielu - niecierpliwił się zaciekawiony pan Quimby.

- Wiemy, że członkowie bractwa byli synami wdów. Pamiętacie wzmiankę ducha o Horusie osieroconym przez ojca Ozyrysa i owdowiałej Izydzie?

- Ależ tak. Ma pan rację - przyznał Malcolm, siadając na kanapie obok Ariany i z zapalem kiwając głową.

- Jak możecie dyskutować o tych swoich poszukiwaniach, gdy w pokoju obok spoczywa ciało *madame* Polgar! - jęknęła oburzona hrabina.

Zmarłą przeniesiono już z sali balowej do paradnego salonu. Przygotowaniem ciała do pogrzebu zajęły się siostry zakonne, sprowadzone z francuskiego kościoła na Little George Street. *Madame* Polgar była katoliczką. Wezwany do pałacu doktor Whittaker wystawił oficjalny akt zgonu i podjął się złożyć go w odpowiednim urzędzie. Hrabina była na skraju załamania nerwowego. Wszelkie dyspozycje w jej imieniu wydała Elizabeth wspomagana przez Arianę.

- Moja droga. - Hrabia mentorskim tonem zwrócił się do żony. - Doceniam twoją wrażliwość, ale zechciej pamiętać, że nie bacząc na śmierć *madame* Polgar, musimy podjąć zdecydowane kroki, żeby udaremnić wrogie knowania Foscarellich. Sama wiesz, do czego ci ludzie są zdolni.

- *Oui*. Masz rację - odparła Helene, otarła łzy i westchnęła głęboko, próbując wziąć się w garść.

Malcolm i Ariana chcieli jako pierwsi czuwać przy zmarłej, ale hrabina im na to nie pozwoliła, uznając to za swą powinność wobec przyjaciółki. Młodzi świadomi, że mimo późnej pory długo jeszcze nie będą w stanie zmrużyć oka, poszli zatem do biblioteki, aby porozmawiać na osobności. Ariana stanęła przy oknie i patrzyła w ciemność. Podobnie jak przybrana matka, sądziła, że gdyby w porę udało się zniechęcić *madame* Polgar do wywoływania duchów, nie musieliby teraz myśleć o jej pogrzebie. Malcolm podszedł bliżej. Gestem czułym jak najłagodniejsza pieśczoła położył ręce na ramionach ukochanej. Przyciszonym



głosem tłumaczył, że nieboszczka miała swoje lata, a po ostatnich przeżyciach całkiem opadła z sił. Poza tym nikt jej do niczego nie namawiał. Sama podjęła decyzję.

- Jestem sceptykiem i trudno mi uwierzyć, że naprawdę miała dar jasnowidzenia, muszę jednak przyznać, że brak dowodów przeciwko niej. Gdy zwłoki zostały przeniesione do salonu, wraz z twoim ojcem i panem Rozenkranzem obejrzelśmy stół, obrus, świeczniki, wychodzące na taras drzwi i harfę Dukкера. Ani śladu podejrzanych mechanizmów, wynalazków, dodatków, które mogłyby wpływać na naszą percepcję. Wszyscy trzej krytycznie odnosiliśmy się do talentów nieboszczki, ale po tych oględzinach nasuwa się jeden wniosek: *madame* Polgar nie oszukiwała.

- A zatem jako wróżka zasługiwała na zaufanie. Nie zwodziła i nie oszukiwała.

- Na to wygląda.

- Była także prawdziwym medium. Za jej pośrednictwem przemówił do nas lord Dundragon. - Ariana odwróciła się i spojrzała w szare oczy ukochanego. - Och, Collie, lękam się przyszłości. Go nas czeka? Im więcej dowiaduję się o Sercu Chepri, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że lord Dundragon miał rację, ostrzegając nas, że ten szmaragd przynosi nieszczęście. Naprawdę powinniśmy mieć się na baczności. Moim zdaniem, kłątwa szmaragdu dotknęła Foscarellich. Dlatego zachowują się jak szaleńcy. Nie *madame* Polgar, lecz ich należałoby zamknąć w zakładzie

dla obłąkanych. Chętnie odwiozłabym ich do Bedlam. Cała drzę, myśląc o tym, na jakie ryzyko wystawiasz się wraz z Nicolasem, a nawet moim papą, usiłując odnaleźć ten klejnot. Jestem niemal pewna, że się do tego szykujesz. Zdrowie, a nawet życie was wszystkich jest w niebezpieczeństwie.

- Ariano, nie demonizuj! Foscarelli to zwykli śmiertelnicy, choć są wyjątkowo nikczemni. Posuwają się dalej od innych, bo nie mają żadnych skrupułów. Nie znają litości. To ludzie bez sumienia. Można ich pokonać i z bożą pomocą zamierzam tego dokonać.

- Zasmuciłeś mnie tym wyznaniem, Collie. Lękam się o ciebie.

- Nic mi się nie stanie, Ariano. Zapewniam, że będę ostrożny, nie martw się. To raczej ja boję się o ciebie. Nie mam prawa dyktować ci, co powinnaś robić, lecz nalegam, żebyś przez jakiś czas nie wychodziła z domu. Foscarelli niewątpliwie śledzą znajomych *madame* Polgar. Mamy dowód, że są zdolni do wszystkiego, łącznie z porwaniem i torturami.

Ariana wzdrygnęła się, gdy uświadomiła sobie, jaki los czekałby ją, gdyby wpadła w łapy Foscarellich. Poczowała przejmujący chłód. Wydało się jej, że zamiast przebywać w ciepłej i przytulnej bibliotece, znalazła się nagle w pałacowym ogrodzie widocznym za oknami biblioteki, wystawiona na lodowate podmuchy wiatru.

- Nie do wiary, że ci nikczemnicy wciąż są

przyjmowani w najlepszych domach! Zasłużyli na towarzyski bojkot, a tymczasem damy z wyższych sfer, takie jak markiza Mayfield, przyjmują ich z otwartymi ramionami, choć niewątpliwie znają krążące w salonach plotki.

- To prawda. Jednak majątek i wysokie urodzenie otwierają wiele drzwi, które w innym wypadku pozostałyby zamknięte. Nawiasem mówiąc, zaszargana reputacja bywa niekiedy towarzyskim atutem. Wielu ludzi, zwłaszcza dam, fascynują rozpustnicy, libertyni, łowcy posagów i wszelkiego rodzaju hultaje, zwłaszcza jeśli są przystojni i szarmanccy.

- Muszę przyznać, że wicehrabia Ugo ma owe atuty - odparła Ariana. - Mimo to nawet gdyby Christine nie ostrzegła mnie przed nim, raczej wątpliwe, żebym obdarzyła go sympatią. Ten człowiek przypomina mi... węża, wielkiego gada z sennego koszmaru, o którym opowiadałam ci w Hyde Parku. Jak myślisz, Collie? Czy tamtego dnia, gdy wypłynęliśmy na połów ryb, mogłam z daleka dostrzec młodszego z Foscarellich na blankach zamku Dundragon? Myślę, że wtedy intuicyjnie wyczułam w nim nikkzemnika i wroga. Dzieci są bardzo wrażliwe i dostrzegają właściwości niepoznawalne dla ludzi starszych.

- Owszem. Twoja hipoteza wydaje się prawdopodobna.

- Choć przeżycia z dzieciństwa zatarły się w mojej pamięci, zachowałam wyraziste wspomnienie o tobie.

- Ja również o tobie pamiętałem. To było moje ostatnie radosne popołudnie w Withrose Grange. Przez wiele lat wspominałem tamtą wyprawę na ryby z malutką, ale wyjątkowo dzielną panienczką... która wyrosła z czasem na śliczną i odważną młodą damę.

- Pochlebiasz mi, Collie, i bardzo się mylisz - oznajmiła cicho, z czułym uśmiechem spoglądając mu w oczy. - Muszę przyznać, że w głębi ducha wcale nie jestem odważna. Panicznie boję się Foscarellich.

- Nie pozwolę, żeby wyrządzili ci krzywdę, Ano. Przysięgam!

Te zapalczywe słowa w mgnieniu oka wiele między nimi zmieniły. Zapomnieli o zdawkowych uprzejmościach i towarzyskiej ogładzie. Do głosu doszły tłumione uczucia: miłość, cierpienie, żal i gorycz... oraz pożądanie. Ariana triumfowała, gdy szare oczy Malcolma rozjaśnił osobliwy blask. Ukochany pozbył się wreszcie niepotrzebnej rezerwy. Objął ją mocno i pocałował tak namiętnie, jakby świat się kończył i nie było dla nich żadnej przyszłości.

Pierwszy miłosny pocałunek przeszedł wszelkie panieńskie oczekiwania. Siła i pierwotny żar pieścizot Malcolma przyprawiły Arianą o drżenie. Myślała tylko o nim, a po chwili oszołomiona nowymi doznaniem bez zastanowienia poddała się namiętności.

Malcolm opamiętał się pierwszy. Był dżentelmenem, honor nie pozwolił mu nadużyć zaufania

panny, której niewiele mógł ofiarować. Gdyby mógł ją poślubić... Odsunął się niechętnie, przewrwał pocałunek i wypuścił Arianą z objęć.

- Wybacz mi - przeprosił, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Zachowałem się karygodnie. Nie powinienem tak postąpić. Moim największym pragnieniem jest poprosić o twoją rękę, ale stan posiadania i pozycja w świecie nie uprawniają mnie do takiej deklaracji.

- Co ty mówisz, Collie? - obruszyła się Ariana. - Dlaczego przedkładasz dumę ponad nasze szczęście?

- Nie jestem łowcą posagów! Jak mógłbym żyć za twoje pieniądze? I tak czuję się okropnie, bo twój ojciec domyślając się zapewne, kim naprawdę jestem, kupił dla mnie czarnego ogiera pod wierzch, a potem sporo zapłacił, komu trzeba, aby śledztwo w sprawie śmierci Badgera i zaginięcia Toby'ego szybko zostało umorzone. Nie mogę wymagać, żebyś porzuciła życie w luksusie i dzieliła ze mną ubogą egzystencję. Nie jestem bogaty. W przeciwieństwie do twojego brata nie mogę liczyć, że wkrótce przypadnie mi tytuł i dobrze utrzymany majątek, czekający od lat na prawowitego właściciela. Moja scheda przepadła, została roztrwoniona dwa wieki temu z okładem. Nie ma szans, żebym ją odzyskał. Jestem i będę kartografem. Wszystko, na co mogę liczyć, to własna pracownia i sklep za dobrych kilka lat.

- To mi wystarczy, Collie. Nie proszę o więcej.

- Zapewne mówisz szczerze, ale domyślam się,

że masz zamożniejszych konkurentów. Mogą cię otoczyć zbytkiem, do którego przywykłaś od dziecka.

- Ale nikt prócz ciebie nie da mi szczęścia!

- Zlituj się, Ano! Mówiąc tak, stawiasz mnie w diabło trudnym położeniu.

- Sprytna z niej kokietka. Zapędziła cię w kozi róg - usłyszeli nagle głos Nicolasa, który wyszedł spomiędzy szaf bibliotecznych. - Wybaczcie, że mimo woli podsłuchiwałem. Christine poczuła się znużona, poszła spać, ale ja byłem zbyt rozbudzony, by się położyć. Uznałem, że lektura mnie uspokoi, i przyszedłem tutaj po książkę. Znalazłem uroczą powieść, siadłem w fotelu i wziąłem się do czytania. Okazało się, że jestem zmęczony bardziej, niż sądziłem, bo zacząłem drzemać. Ocknąłem się jakiś czas temu, ale nie chciałem wam przerywać miłego tete-a-tete. Wolałem, żebyście powiedzieli sobie wszystko, co powinno zostać powiedziane. Czekałem, aż... przerwiecie to uroczę gruchanie.

Zażenowana Ariana uświadomiła sobie, że Nicolas słyszał wszystko i widział, jak się całowali.

- Bezwstydnik z ciebie, braciszku.

- Winę za mój brak ogłady należy przypisać życiu, które dotąd prowadziłem. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak wyrzut, Ano - dodał pospiesznie, gdy spojrzała na niego uważnie. - Będę szczery i powiem, że kiedy dowiedziałem się, że żyjesz szczęśliwie pod opieką wujostwa, kamień spadł mi z serca. Poczułem ulgę, gdy

trafiłem wreszcie na twój ślad. Nasza mateczka nawet w chorobie i w obliczu śmierci wiedziała, co robi. Gdybyś wraz ze mną musiała walczyć o przetrwanie, z pewnością długo byś nie pożyła. *Maman* nie zdążyła mnie zabezpieczyć, bo śmierć przyszła zbyt wcześnie, ale wiedziała, że pokonam wszelkie przeciwności i dam sobie radę. Mam powód do dumy, bo sam poradziłem sobie w życiu, i ani myślę przeproszać, że nie jestem typowym dżentelmenem. Zamiast owijać w bawełnę, powiem szczerze i otwarcie, co mi leży na sercu. Oboje z Malcolmem najwyraźniej bardzo się kochacie. Wszyscy w tym domu to widzą. Trzeba być ślepcem, żeby nie dostrzec tej miłości. Złóścisz się, Ano, gdy Malcolm wskazuje przeszkody, które mogą udaremnić wasze małżeństwo, ale, moim zdaniem, z powodu owych skrupułów jeszcze bardziej zasługuje na miłość. Z kolei on skupiając się na przeszkodach, nie dostrzega poważnych niebezpieczeństw grożących jego wybrance. Zastanawiałeś się przyjacielu, na co może być narażona moja siostra, gdybyś jej nie poślubił?

- Do czego zmierzasz? - Zdumiony Malcolm zmarszczył brwi.

- Wkrótce rozniesie się wieść o Arianie, rodzonej córce Charlesa i Katherine, najmłodszej z grona potomków lorda Jamesa Ramsaya, earla Dundragon, który skradł szmaragd i zaczął tę całą aferę. Christine wspomniała o pogłoskach, jakoby Foscarelli nie mieli żadnych praw do zamku Dundragon i okolicznych majątności. Trudno powiedzieć, ile

w nich prawdy, ale uporczywość tych plotek daje do myślenia. Czyżby istotnie lord Iain Ramsay nie mógł bez ograniczeń dysponować odziedziczonym spadkiem ani grać w karty o swoje majątki z lordem Brunem? Do Foscarellich niewątpliwie już dotarły owe pogłoski. A jeśli wiedzą, że są one prawdziwe? Nie mam pojęcia. Niezależnie od tego, jak się rzeczy mają, dla wicehrabiego Uga małżeństwo z Aną to jedyny sposób, żeby uprawomocnić roszczenia Foscarellich. Gdyby do tego nas ukatrupili, byłiby jedynymi dziedzicami.

Umilkł, dając siostrze i przyjacielowi czas do namysłu.

- Zamierzam poślubić Christine nie tylko dlatego, że jestem w niej zakochany, lecz także dla jej bezpieczeństwa. Może stanowić zagrożenie dla Foscarellich, którzy przyczynili się do śmierci jej rodziców, a potem ich obrabowali. Dotychczas nie łączyli jej ze sprawą poszukiwań Serca Chepri, bo sądzili, że zginęła wraz z rodzicami. Odkąd znalazła się w gronie znajomych wrogiej im *madame* Polgar, z pewnością wzbudziła ich zainteresowanie. Prawdopodobnie zaczną się zastanawiać, ile pamięta z tragicznych wydarzeń sprzed lat. A jeśli spróbują wyrządzić krzywdę niedoszłej ofierze? Muszę temu zapobiec. - Nicolas spochmumiał.

- Zaraz po powrocie wujostwa Christine oświadczę się, a potem uzyskam pozwolenie na szybki i cichy ślub bez ogłaszania zapowiedzi, które mogłyby stanowić dla Foscarellich bodziec do działania. Młody, silny i zaprawiony w bojach



małżonek u boku potencjalnej ofiary z pewnością byłby im nie w smak, natychmiast zaczęliby knuć. W tajemnicy pokrzyżuję im plany.

Nicolas pomilczał chwilę.

- Rozważ to, Malcolmie - doradził. - Moglibyśmy urządzić podwójny ślub. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, idealnym kandydatem na szwagra. Przy tobie moja siostra byłaby nie tylko bezpieczna, lecz także szczęśliwa. W dzieciństwie, gdy się uparła, musiała postawić na swoim. Nie sądzę, żeby pod tym względem zmieniła się przez te wszystkie lata. Zagięła na ciebie parol, więc albo staniecie razem na ślubnym kobiercu, albo zostanie starą panną... chyba że ktoś przemocą udaremni jej zamysły. Przemyślcie to, kochani. Dobranoc. Idę spać.

Wziął książkę i wyszedł. Ariana i Malcolm zostali sami.

- No i proszę. Powinienem się wstydzić - przyznał nieco zirytowany Malcolm. - Uniosłem się honorem... i wyszedłem na egoistę. Myślałem tylko o sobie, Ano. Nic dziwnego, że według przepowiedni *madame* Polgar Król Mieczy, który mnie symbolizuje, mógł się okazać twoim sprzymierzeńcem lub nieprzyjacielem. Zapewne nieboszczka wróżka przewidziała ten konflikt racji oraz niepewność, jak mam się wobec ciebie zachować. Nie wiedziała, czy zostanę twoim mężem i roztoczę nad tobą opiekę, czy też z powodu nieposkromionej dumy mimo woli narażę cię na ogromne niebezpieczeństwo. Przeze mnie stałabyś się

kolejną ofiarą wicehrabiego Uga. Z pewnością on jest przewrotnym Królem Pentagramów, przed którym ostrzegała cię *madame*, wróżąc z kart tarota.

- Nie bądź dla siebie przesadnie surowy, Collie - mitygowała ukochanego Ariana. - Dopiero dziś usłyszałeś, że prawa Foscarellich do zamku Dundragon i leżących wokół niego posiadłości są kwestionowane. Skąd miałaś wiedzieć, że te domniemania są dla mnie poważnym zagrożeniem?

- Masz rację, ale zdaję sobie sprawę, że ci ludzie dla osiągnięcia celu nie cofną się przed żadną nikczemnością. Egipski szmaragd to ich obsesja. Wybaczysz mi, Ano, że dałem się ponieść szatańskiej dumie i postępowiałem jak egoista?

- Nie mówmy już o tym, Collie.

- Czuję się głęboko upokorzony, że tak mało mam ci do zaoferowania.

- Niepotrzebnie. Przecież to nie twoja wina. Najważniejsze, że będziemy razem.

- Zasługujesz na to, żeby opływać w dostatki,

- Collie, doskonale wiesz, że zależy mi wyłącznie na tobie. Zakochałam się chyba jako mała dziewczynka.

- I ja cię kocham całym sercem. Mam nadzieję, że to uczucie coś dla ciebie znaczy.

- Nic nie jest dla mnie ważniejsze od twojej miłości.

- W takim razie czy zechcesz mnie poślubić, Ano, choć bywam przesadnie dumny i mam wiele innych wad? Zgadzasz się na podwójny ślub wraz z Nicolasem i Christine?

- *Oui! Oui!* Pomysł jest znakomity.

Malcolm ponownie wziął Arianę w ramiona i pocałował, tym razem czule i łagodnie, jakby w ten sposób raz jeszcze chciał wyznać jej miłość. Serce przepełniła mu radość. Starął się zapomnieć o wątpliwościach i zastrzeżeniach. Nie po raz pierwszy obiecał sobie w duchu, że znajdzie zaginiony szmaragd i odzyska rodzinny majątek, a wówczas Ariana nie pożałuje nawet przez moment, że zgodziła się go poślubić. Kiedy o tym myślał, za oknami biblioteki, wilgotnymi od deszczu i skraplającej się mgły, ciemna chmura zakryła świetlistą tarczę księżyca. Gdy widmowa poświata zniknęła i zrobiło się całkiem ciemno, zimne dreszcze przebiegły mu po plecach, jakby przeczuł, że los jednak nie będzie dla niego tak łaskawy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### Szpieg wśród grobowców

*Cudowna jest głupota tego świata! Kiedy nasz los niedomaga - często zresztą skutkiem naszych własnych nadużyć - winimy za niepowodzenia słońce, księżyc i gwiazdy: tak jakby człowiek był nędznikiem z konieczności głupcem z wyroku niebios, łotrem, złodziejem i zdrajcą za sprawą obrotów sfer, pijakiem, kłamcą i rozpustnikiem z racji niezwalzonego wpływu planet.*

William Shakespeare  
„Król Lear” (1605-1606)

*Dobre czasy mamy za sobą. Odprowadzi nas do grobu wrzaskliwy kondukt intryg, oszustw, zrad i wszelkich katastrof.*

William Shakespeare  
„Król Lear” (1605-1606)

*Stałem przez chwilę przy tych mogiłach pod spokojnym niebem. Patrzyłem na ćmy krążące wśród wrzosów i dzwonków leśnych. Słuchałem miękkiego poszumu wiatru wśród traw i myślałem, że nic już chyba nie mąci spokojnego snu tym, co odpoczywają w tej cichej ziemi<sup>19</sup>.*

Emily Bronte

„Wichrowe wzgórze” (1847) ostatnie słowa

1848

*Anglia, Londyn, miejski cmentarz Wszystkich Świętych w Kensal Green*

Po śmierci *madame* Polgar na prośbę hrabiny Valcoeur pani Blackfriars wraz z synem pozostali w rezydencji. Elizabeth ogromnie cieszyła się z tego zaproszenia. Dręczyły ją obawy, że Foscarelli napadną na mieszkańców Hawthorn Cottage. Żałowała teraz, że powiedziała Malcolmowi o rodzowym dziedzictwie i Sercu Chepri, które na jej męża oraz jego szwagra Charlesa sprowadziło tyle nieszczęść, a w końcu śmierć.

Trwały przygotowania do pogrzebu. *Madame* Polgar pozostawiła dokładne instrukcje, jak ma wyglądać ta uroczystość. Wskazała też miejsce swego wiecznego spoczynku. Jej przyjaciele dowiedzieli się o tym od Dukкера, który nalegał, żeby wypełniono skrupulatnie wszelkie zalecenia *madame*.

Kiedy wszystko zostało ustalone i wydano sto-

<sup>1</sup> Przełożyła Janina Sujkowska.

sowne dyspozycje, całe towarzystwo udało się na śniadanie. Zasiedli do stołu w małej jadalni. Wtedy to Dukker wyznał, że po uprowadzeniu jego chlebodawczyni i wywiezieniu jej do Bedlam nie od razu przybiegł na Portman Square.

- Najpierw popędziłem na Henrietta Street, gdzie *madame* miała swój londyński dom. Jak się łatwo domyślić, mieszkanie było splądrowane. Kompletny chaos! Pod naszą nieobecność włamali się tam Foscarelli. Chodziło im zapewne o cenny krzyżyk ze srebra, który *madame odziedziczyła* po przodkach. Służba jest u nas nieliczna, zaledwie kilka osób. Pora była późna, wszyscy spali w pokojach na poddaszu i nic nie słyszeli.

- Włamywacze nie znaleźli tego, o co im chodziło, prawda? - spytał domyślnie Malcolm.

- Tak było w istocie. - Dukker sięgnął po złotą szkatułkę, z którą nie rozstawał się od chwili, gdy przybył do rezydencji, zsunął się z niskiego krzesła i podszedł do Ariany.

- *Madame* Polgar nakazała mi oddać to jaśnie panience, gdyby przytrafiło jej się coś złego.

- W skupieniu postawił szkatułkę obok nakrycia Ariany i uniósł wieczko. - Jak panienka widzi, w środku są karty do tarota. Gdy przybiegłem do domu, szkatułka była otwarta, a karty porozrzucane. Foscarelli wszędzie zajrzeli. Pozbierałem karty i włożyłem do środka.

- Dlaczego *madame* Polgar mi je zostawiła? - zdziwiła się Ariana.

- Nie chodzi o karty. To kamuflaż. Szkatułka

coś ukrywa i ten przedmiot jest darem *madame dla* jaśnie panienki - odparł tajemniczo karzeł, jeszcze bardziej zadziwiając Arianę. - Pod dnem jest skrytka. Zaraz pokażę, jak się do niej dostać.

Ku wielkiemu zdziwieniu Ariany szkatułka, która sprawiała wrażenie wykonanej z litego drewna, po naciśnięciu sekretnego punktu okazała się sporządzona z kilku segmentów. Dukker naciskał je kolejno, aż deszczułka, będąca z pozoru dnem szkatułki, usunęła się, odsłaniając umieszczony w skrytce srebrny krzyż. Wyjął go i podał Arianie.

- *Madame* powiedziała, że nawet jeśli panienka nie wie, do czego może się przydać ten krucyfiks, pan Blackfriars i pan Ravener wyjaśnia, o co chodzi. Wiem też od jaśnie pani, że ten ostatni jest bratem panienki. Nosi nazwisko de Ramezay i tytuł hrabiego Jourdain, prawda?

- Nie jestem pewna, czy mogę odpowiedzieć na to pytanie, Dukker - odparła szczerze, rzucając spojrzenie na brata i narzeczonego.

- *Madame* Polgar miała rację - przyznał Malcolm z ociąganiem, bo nie był pewny, czy można ufać Dukkerowi. Uznał jednak, że skoro karzeł wie o nich tak dużo, nie ma sensu niczego ukrywać. - Jak się tego dowiedziała?

- Od lat gromadziła informacje na temat bractwa Synów Izydy, jego członków oraz ich spadkobierców.

Dukker, który był nie tylko wiernym sługą, lecz także zaufanym powiernikiem swej chlebobawczyni, opowiedział zebranyemu o jej pochodzeniu,

burzliwym życiu i poszukiwaniu szmaragdowego skarabeusza.

- Ten krzyżyk *mada me* odziedziczyła po szkockiej babce, która poślubiła wołoskiego arystokratę, a wywodziła się w prostej linii od jednego z Synów Izydy. Proszę spojrzeć, *mademoiselle*. Krucyfiks jest opatrzony rzymską ósemką.

- Poproszę o szkło powiększające - powiedziała Ariana ze wzrokiem utkwionym w krzyżyku, ostrożnie trzymając go w dłoni. Wpatrywała się w ornament, ale nie widziała numeru.

- Zaraz przyniosę - odparł skwapliwie Nicolas. Po chwili wrócił z lupą i Biblią hrabiny Valcoeur.

- Przyjrzyj się, braciszku - zachęciła Ariana, podając mu krzyżyk.

- Tak, z pewnością mamy tu ósemkę - oznajmił Nicolas po starannych oględzinach. - Na odwrocie widnieje inskrypcja: Nahum 2,8. - Oddał Arianie lupę i zajrzał do Biblii. - Mam! *Niniva zaś jest jak staw pełen po brzegi, jego woda na wszystkie strony wypływa. Stańcie! Stańcie - słyszy się krzyki ze wsząd, ale nikt jakoś nie staje.*

- Jak pan rozumie ten cytat, *monsieur Jourdain*? - spytał Dukker.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób może ułatwić nasze poszukiwania. Aha, jeszcze jedno. Bardzo proszę, Dukker, żebyś nadal używał mego przybranego nazwiska. Wolałbym, żeby prawdziwe jak najdłużej pozostało nieznane Foscarellim. A wracając do krucyfiks, moim zdaniem, ozna-

Przełożył Kazimierz Romaniuk.



czenia rozdziałów i wersów stanowią liczbową wskazówkę dotyczącą miejsca, gdzie ukryto szmaragd. Na wszystkich posiadanych przez nas są odniesienia do równie zagadkowych słów.

- Ach tak! W takim razie *madame* Polgar słusznie zakładała, że istnieje wiele krucyfiksów i że są one w waszym posiadaniu! - zawołał podekscytowany karzeł.

- Mamy kilka, lecz nie wszystkie.

- Ile?

- Cztery, licząc z tym, który *madame* zostawiła Arianie.

- Tak mało? - Dukker był rozczarowany. - A zatem moja pani daremnie łudziła się, że zgromadziście ich więcej. Liczyła na to, że sprzymierzymy się przeciwko Foscarellim.

- Szkoda, że nie wspomniała o tym na początku naszej znajomości - wtrąciła smutno hrabina Valcoeur. - Moglibyśmy wziąć ją pod swoje skrzydła i uchronić przed napaścią tych łotrów.

- *Madame* była nadzwyczaj roztropną kobietą, pani hrabino. Mało kto poza mną cieszył się jej zaufaniem - odparł rzeczowo Dukker. - Wiedziała, że oddam za nią życie, bo kiedyś uratowała mnie od pewnej śmierci. Wtedy poszedłem do niej na służbę. Gotów byłem wypełnić każdy rozkaz. Jeśli *mademoiselle* - tu zwrócił się do Ariany

zechce, abym jej służył, przysięgam być najwierniejszym z wiernych.

- Doceniam twoje intencje i jestem szczerze wzruszona żarliwością tych słów - odparła Ariana,

zaskoczona propozycją karła. - Szczerze wyznam jednak, że nie mogę pojąć, dlaczego mnie wybrałeś na swą nową chlebobawczynię. Co mi na to odpowiesz?

- Chcę odkupić winę - przyznał Dukker. Na jego twarzy malował się wstyd i smutek. - To ja na Oxford Street pchnąłem *mademoiselle* tak mocno, że ów incydent omal nie skończył się tragicznie. Kazano mi panienkę przewrócić i ewentualnie zerwać krzyżyk z jej szyi. Karzeł ze mnie, ale krzepę mam wielką. Za mocno się zamierzyłem, a *mademoiselle* omal nie wpadła pod rozpędzony powóz. *Madame* Polgar była na mnie zła, bo niewiele brakowało, żeby panienka zginęła stratomana kopytami pędzących rumaków. Gdyby pan Blackfriars panienki nie uratował, stałbym się mordercą. Tysiąckrotnie przepraszam! Nie zamierzałem wyrządzić panience krzywdy.

- Oczywiście, i dlatego nie mam do ciebie żalu, a nawet jestem ci wdzięczna, bo w tych dramatycznych okolicznościach poznałam Malcolma.

Ariana taktownie umilkła i spłonęła rumieńcem. Nie ogłosili dotąd, że są zaręczeni. Malcolm zamierzał wkrótce porozmawiać z jej ojcem, lecz tego ranka nie nadarzyła się sposobność.

Gdy wstali od stołu, poprosił wreszcie hrabiego o chwilę rozmowy na osobności. Poszli razem do gabinetu. Malcolm od razu uzyskał zgodę na ślub.

- Zapewniam cię, mój drogi, że dla mnie i twojej cioci Helene wasze małżeństwo to wielka radość. Wiemy, że Ariana będzie przy tobie szczęś-

liwa i bezpieczna. Mam również nadzieję, że przygotowania do ślubu pomogą mojej żonie dojść do siebie po nagłej śmierci *madame* Polgar.

- Drogi wuju, żyję dostatnio, ale nie mam wielkiego majątku. Długo wahałem się, czy poprosić o rękę Ariany. Nie jestem łowcą posagów. Nicolas przekonał mnie wczoraj wieczorem, że przedkładając dumę nad miłość, mogę narazić ukochaną na niebezpieczeństwo ze strony Foscarellich. Kiedy się pobierzemy, uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją chronić. Obiecuję ponadto, że nie ustane w wysiłkach, by odnaleźć Serce Chepri i odzyskać rodzinny majątek.

- Nie wątpię, że postawisz na swoim, drogi chłopcze. Od kilku miesięcy oboje z Helene domyślaliśmy się, kim jesteś, i wciąż odkrywamy w tobie nowe zalety. Jesteś odważny, przywoity, szlachetny i skuteczny w działaniu. O takim zięciu marzyłem. Nawet gdybyś nie był Ramsayem z Dundragon, naszym krewnym i powinowatym, z otwartymi ramionami przyjąłbym cię do rodziny. Szczerze kochasz Ariane i uczynisz ją szczęśliwą. To nasza przybrana córka, ale jest nam bliska niczym rodzone dziecko. Nie wątpię, że zaopiekujesz się nią jak należy.

- Tak, wuju. Przysięgam, że tak będzie.

- Doskonale! A zatem przekażmy innym dobrą nowinę.

Po ogłoszeniu wiadomości o zaręczynach Ariany i Malcolma w pałacu zapanowała wielka radość. Nicolas wykorzystał odpowiedni moment

i oznajmił, że za zgodą Christine zamierza poprosić o jej rękę, gdy tylko wujostwo panny wróci do domu. Znow gratulacjom nie było końca. Gdy panowie udali się do gabinetu, aby dla uczczenia radosnych nowin wypalić po cygarze, panie przeszły do salonu i planowały podwójną ceremonię.

- Szkoda, że ślub musi być cichy. Marzą mi się ogłoszenia we wszystkich kronikach towarzyskich, cudowna uroczystość w katedrze i wesele z udziałem mnóstwa gości - żaliła się hrabina. - Ale trudno. Przez tę okropną aferę z egipskim szmaragdem nie możemy ogłosić całemu światu wspaniałej nowiny dotyczącej naszych rodzin. Zresztą, nie mam powodu do narzekań. *Le bon Dieu* jest dla mnie bardzo łaskawy. Dotąd miałam jedną córkę, a teraz dał mi jeszcze Christine, Nicolasa i Malcolma.

- Ja także mam powody do radości - oznajmiła pani Blackfriars. - Szkoda tylko, że od lat nie ma wśród nas Charlesa oraz Katherine. Cieszyłyby się, że nasze dzieci zamierzają się pobrać. Byłaby z ciebie bardzo dumna, Ariano. Za życia cię uwielbiała. Tobie, Helene, dziękowałyby, że tak wspaniale wywiązałaś się z roli przybranej matki. Wiedziała, komu zaufać i powierzyć swój skarb.

- Jaka... ona była? - zdławionym głosem spytała Ariana. - W pierwszej chwili wzięłaś mnie za nią, ciociu. Czy to oznacza, że jestem do niej podobna?

- Naturalnie, Ariano. Kiedy na ciebie patrzę, staję mi przed oczyma Katherine. Tak samo jak ty miała bujne czarne włosy i oczy koloru ametystów.

Po matce odziedziczyłaś także odwagę i wrażliwość, które wprost chwytają za serce. Nic dziwnego, że Malcolm jest w tobie zakochany. Kiedy byłaś mała, także miał do ciebie słabość i nazywał dzielną, kochaną dziewczuszką.

- Od tamtego czasu bardzo wyrosłam - odparła Ariana, wybuchając śmiechem.

- Owszem, lecz nadal jesteś dzielna i urocza - odparła pani Blackfriars. Poweselała i dodała z uśmiechem: - Ogromnie się cieszę, że wkrótce zostaniesz moją synową.

- A ja mam szczęście, bo zyskam drugą matkę. *Le bon Dieu* zsyła mi wiele łask.

- 2 ust mi to wyjęłaś, Ariano! - wpadła jej w słowo Christine. - Jestem szczęściarą, bo poznałam Nicolasa, a jego rodzina przyjęła mnie z otwartymi ramionami. To więcej, niż sobie wymarzyłam. Aż trudno uwierzyć, że mimo smutku, żałoby i niebezpieczeństw spływa na nas tyle radości.

- *Oni*. Słuszna uwaga. Te cudowne chwile przypominają mi promień światła, który jaśnieje w ciemnościach. Są dla nas nieoczekiwanym darem... jak krucyfiks ofiarowany Arianie przez *madame* Polgar. Może to ona wstawia się za nami w niebiosach? Miejmy nadzieję, że tak właśnie jest.

Ustalono, że podwójny ślub nastąpi niedługo po ceremonii pogrzebowej. Uczestniczyło w niej zaledwie kilka osób, które z Portman Square pojechały karocami na Kensal Green, gdzie miała spocząć *madame* Polgar. Cmentarz miejski, leżący

w pagórkowatej okolicy na zachód od Paddington, został założony w roku 1832. Chowano tam zmarłych wyznających wszelkie religie. Aleje wysadzone były jesionami, kasztanowcami, wiazami, lipami, dębami, topolami oraz brzoźami. We wschodniej części znajdowała się również pasieka i herbarium, gdzie rosły wonne zioła, przyciągające roje motyli. W koronach drzew gnieździły się nietoperze i sowy, a wśród zarośli buszowały rude lisy.

Kiedy Ariana wsparta na ramieniu Malcolma wysiadła z powozu za cmentarną bramą, pomimo zimowej aury nekropolia nie wydała jej się ponura. *Madame* Polgar wybrała sobie na wieczny spoczynek wyjątkowo piękne miejsce.

- To prawda - przyznał Malcolm, gdy Ariana powiedziała o tym głośno. Podał jej ramię. - Gdy nadejdzie moja godzina, pragnąłbym zostać pochowany w górach Szkocji, ale gdyby nie było takiej możliwości, tu chcę mieć grób.

- Nie rozmawiajmy o śmierci, Collie! - nalegała Ariana, gdy szli w stronę murowanej krypty, przygotowanej dla nieboszczki. - Rozpacz mnie ogarnia, kiedy myślę, że mogłabym cię stracić. Odkąd jesteśmy zaręczeni, jeszcze bardziej lękam się o ciebie. - Rozejrzała się wokół. - Nie wiadomo, co knują Foscarelii. Czy nie możemy zrezygnować z poszukiwań? Po co narażać się na śmierć? Ten szmaragd przynosi ludziom nieszczęście. Niech Foscarelii się za nim uganiają. Proponuję, żebyśmy dali sobie z tym spokój.

- To niemożliwe. Sprawy zaszły za daleko. Póki żyjemy, stoimy tym łotrom na drodze. Nienawiść przekażą potomstwu. Nasi ojcowie zginęli, żebyśmy mogli dalej egzystować. Swoim dzieciom winni jesteśmy równe poświęcenie. Nie możemy ich zostawić na pastwę wroga.

- Owszem. - Ariana zarumieniła się, gdy wspomniał o potomstwie. - Masz rację. Wcześniej nie brałam tej kwestii pod uwagę. Teraz widzę to inaczej.

Stali nad otwartym grobem *madame* Polgar. Padał deszcz i lokaje trzymali nad nimi parasole. Gdy Ariana spojrzała w głąb obmurowanej ceglami krypty, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, bo odniosła wrażenie, że grobowiec został przygotowany nie dla jasnowidzącej, lecz dla niej.

Lord Lucrezio Foscarelli, wicehrabia Ugo, wyglądał zza kamiennego anioła, który dał w trąbę, bez dźwięku wzywając na sąd nieboszczyków, spoczywających na miejskim cmentarzu. Wicehrabia nie zważał na ten zew, a na jego ustach błąkał się drwiący uśmiech, gdy spoglądał z ukrycia na grupkę śmiertelników. Był przekonany, że wraz z ojcem umknie śmierci, bo odnajdzie Serce Chepri, które zapewni im obu nieśmiertelność. Przez cały wiek trwały poszukiwania prowadzone przez ich antenatów. Daremnie. Szmaragd nadal pozostawał w ukryciu, ale Lucrezio ani myślał się poddać. Od dziecka był przekonany, że odnajdzie Serce Chepri i nauczy się wykorzystywać jego

moc. Nie miał litości dla przeciwników, którzy jak *madame* Polgar stawali mu na drodze.

Teraz ukryty za kamiennym aniołem spoglądał przez lornetkę na murowany grobowiec jasnowidzącej. Ze szczególną uwagą obserwował Dukera, który pokrzyżował mu plany. Przyrzekł sobie w duchu, że wredny karzeł zapłaci za swą zuchwałość.

Dzień i godzinę pogrzebu zdradziła mu przed kilkoma dniami markiza Mayfield. Ceremonia miała się odbyć o w piątek o trzeciej. Wicehrabia Ugo postanowił z ukrycia szpiegować żałobników i sprawdzić, kto przywdział żałobę po *madame* Polgar, ponieważ ludzie ci mogli być dla niego użyteczni. Przetarł soczewki chusteczką z najcieńszego płótna i przyjrzał się żałobnikom, aby zyskać pewność, że wzrok go nie zwodzi.

Poznał od razu lady Christine Fraser, której jakiś czas temu został przedstawiony. Z uwagą spoglądał na *mademoiselle* Arianę Levesque, hrabiankę Valcoeur. Spotkali się na balu maskowym u markizy Mayfield. Kogoś mu przypominała... Nie potrafił uchwycić tego podobieństwa, lecz bez wątpienia widział już podobną twarz. Obok Christine dostrzegł nieznanego mężczyznę, przy Arianie zaś stał jego wróg Malcolm Ramsay. Rozpoznał go natychmiast. Przed laty godzinami przesiadywał na murach obronnych zamku Dundragon, obserwując wyrostka, który samotnie łowił ryby na jeziorze Loch Ness. Wyobrażał sobie niekiedy, że mógłby się z nim zaprzyjaźnić, lecz



ojciec wybił mu to z głowy i zabronił wszelkich kontaktów z dziećmiakami, mieszkającymi w sąsiednich wioskach. Uznał, że nie są odpowiednimi towarzyszami zabaw dla syna hrabiego. Dopiero gdy spłonął dwór Whitrose Grange na terenie posiadłości dzierżawionej przez rodziców młodocianego wędkarza, Lucrezio dowiedział się, że jego niedoszły przyjaciel znany jako Malcolm MacLeod w istocie nosił nazwisko Ramsay i był ich wrogiem.

- Ramsayowie szpiegują nas od dziesięcioleci, mój synu - perorował rozgniewany ojciec. - Chcą odzyskać zamek Dundragon i ubiec nas, kradnąc szmaragd, zwany Sercem Chepri, ukryty w tej okolicy. Na szczęście w porę odkryłem ich knowania i zabiłem nieprzyjaciół. W przeciwnym razie < mi by nas uśmiercili.

- Wszyscy zginęli? Chłopiec także? - spytał nieco zdziwiony Lucrezio.

- *Si, si!* Przecież mówiłem, że nikt nie uszedł z życiem - zniecierpliwiał się jego ojciec. Opowiedział o nocnej wizycie we dworze, gdzie przyjął go Alexander Ramsay oraz drugi mężczyzna, zapewne jego kuzyn z Francji, Charles de Ramezay. Obu hrabia przebił sztyletem. - Ledwie wyszedłem, pożar ogarnął cały dwór. Domownicy i goście spali na piętze. Zapewniam cię, że nikt nie uszedł żywy z tego piekła. Spłonęli żywcem w swoich łózkach.

- A krucyfiks? Czy pan Ramsay miał go na szyi?

- Niestety! Albo nie odziedziczył tej pamiątki, albo ukrył ją we dworze.

Wczesnym popołudniem, gdy mgła rozproszyła

się nieco, hrabia wyruszył z kilkoma zausznikami do Whitrose Grange, aby przeszukać dymiące zgliszcza. Majątek opustoszał. Krzyżyka nie było w ruinach.

- A jeśli go nie znajdziemy? Co wtedy? - zapytał Lucrezio, gdy ojciec wrócił do zamku.

- Nie wiem - odparł hrabia, pochmurniejąc.  
- Może Ramsayom nie dostał się żaden krucyfiks albo też przechowują go z dala od Whitrose Grange. Mimo przeszkód nie zaniechamy poszukiwań.

- Ojczy, prawda jest taka, że minęło stulecie, a naszym antenatom, poczynając od hrabiego Bruna, udało się zdobyć zaledwie dwa krucyfiksy.

- Poszukiwania znacznie się przeciągnęły, lecz każde kolejne pokolenie je kontynuowało i poznawało coraz więcej szczegółów. Pewnego dnia dopniemy swego. Dziś pokonaliśmy wrogów! Ramsay junior i dwoje dzieci Charlesa de Ramezaya to ostatni z rodu. Koniec z nimi!

Tak się przynajmniej ojcu wydawało, pomyślał Lucrezio, spoglądając na Malcolma i jego matkę. Był przekonany, że ich poznaje, choć czas odmienił twarze i postaci. Wygląda na to, że umknęli z płonącego domu. Gorączkowe refleksje pobudziły umysł wicehrabiego Uga. Wspomnienia powracały jak fala przypływu. Gdy przez lornetkę przyglądał się Arianie, uświadomił sobie, kogo mu przypomina ta panna. Była podobna do Katherine de Ramezay, stryjenki Malcolma. A wysoki brunet miał rysy jej męża Charlesa i zapewne był jego

synem. Wicehrabia Ugo nie wierzył własnym oczom. Wrogowie Foscarellich na dziesięć lat jakby pod ziemię się zapadli. Uważano ich za ofiary tragicznego pożaru. Teraz okazało się, że uszli z życiem i knują przeciwko niemu, sprzymierzywszy się z *madame* Polgar. Na myśl o tym poczuł się jak człowiek niespodziewanie uderzony przez niewidzialnego przeciwnika.

Przez kilka chwil oddychał spazmatycznie, wsparty o grobowiec, za którym znalazł sobie kryjówkę. Dziesiątki myśli przebiegały mu przez głowę. Gdy nareszcie wziął się w garść i odzyskał równowagę ducha, ponownie spojrzął przez lornetkę na żałobników, stojących wokół grobu *madame* Polgar.

Podczas Rewolucji Francuskiej do Londynu zbiegło wielu księży oraz francuskich katolików, a ich kościoły wyrastały jak grzyby po deszczu. W szczytowym okresie londyńska wspólnota wiernych liczyła pięciu arcybiskupów, trzydziestu siedmiu biskupów i pięć tysięcy zwykłych kapłanów. Około roku 1814 większość z nich powróciła do ojczyzny. Z czasem pozostał tylko jeden kościół, dawniej pod wezwaniem Świętego Ludwika, potem znany jako Chapel Royal of France. Msze odprawiali tam francuscy księża. Jednym z nich był ojciec Gerard St. Clair, sprawujący święte obrzędy w czasie pogrzebu *madame* Polgar. Zaraz po przybyciu do Londynu dowiedziała się, że wiekowy kapłan spokrewniony jest nie tylko z francuską

rodziną St. Clair, lecz i ze szkockimi Sinclairami. Natychmiast wzbudził jej ciekawość. Wyraziła życzenie, aby ksiądz Gerard odprowadził ją na miejsce wiecznego spoczynku. Dukker wspominał o tym Arianie w czasie przygotowań do pogrzebu.

Po rozpoczęciu ceremonii Ariana nie zwracała uwagi na kapłana. Po pewnym czasie ogarnęło ją poczucie winy. Zamiast modlić się za duszę nieboszczki, myślała o Malcolmie, który trzymał ją pod rękę. Radowała się jego bliskością. Zawstydziała się, tym bardziej że ukochany wpatrywał się w księdza i wyprężony jak struna chłonał każde jego słowo. Spojrzała na czcigodnego staruszka i wstrzymała oddech, ponieważ nagle pojęła, co tak zaabsorbowało Malcolma. Przez moment była oszołomiona, jakby ktoś ją niespodziewanie uderzył.

Mocno poruszony Malcolm przycisnął ramię Ariany, jakby chciał ją ostrzec. Znieruchomiała u jego boku, niezdolna wydobyć głos lub odetchnąć, bo wreszcie dostrzegła zawieszony na szyi księdza Gerarda ozdobny srebrny krucyfiks - dokładną kopię tych, które hrabia przechowywał w sekretnej szufladzie swego biurka. Po chwili otrząsnęła się i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Malcolm nieznacznie pokręcił głową. Dyskretnie sprawdziła, czy inni żałobnicy dostrzegli krzyż, spoczywający na piersi kapłana i połyskujący srebrzyście w bladym świetle zimowego popołudnia, które wślizgnęło się pod baldachim utworzony z czarnych kopuł parasoli. Na

twarży Nicolasa malował się wyraz ponurej determinacji. Christine wpatrywała się w krucyfiks szeroko otwartymi oczyma. Ariana nie śmiała rozglądać się zbyt natrętnie, ale miała nadzieję, że hrabia również spostrzegł cenny przedmiot. Chętnie by się upewniła, bo wydawał się mocno zaabsorbowany, gdy wraz z ciotką Elizabeth pocieszał splakaną hrabinę, która powtarzała raz po raz:

- Biedna *madame* Polgar!

Serce Ariany kołatało niespokojnie. Skulona pod parasolem zastanawiała się, co uczynią Malcolm i Nicolas. Zdawała sobie sprawę, że nie sposób nad grobem jasnowidzącej zerwać księdzu z szyi upragniony krucyfiks i uciec. Wydarzenia, które wnet nastąpiły, zadały kłam jej przypuszczeniom. Wkrótce ośmiu grabarzy zdjęło z trumny czarną, aksamitną draperię, stanowiącą własność zakładu pogrzebowego. Podnieśli ciężką, masywną skrzynię, zamierzając ją opuścić w głąb murowanej krypty. W tym momencie Dukker zaczął nagle histeryzować. Krzyknął zbolałym głosem i rzucił się na księdza.

- *Non, Non!* Nie zakopujcie *madame!* Zabraniam! Ona żyje! Nie mogła umrzeć! Chcecie ją pogrzebać żywcem? Otwórzcie trumnę, bo *madame* się udusi!

Większość żałobników zamarła. Tylko Malcolm i Nicolas podbiegli do karła i odciągnęli go na bok, choć kurczowo czepiał się księdza, bełkocąc i jęcząc boleśnie. Usprawiedliwili karła, tłumacząc, że

rozpacz spowodowana śmiercią chlebobawczyni doprowadziła go na skraj obłądu. Wzięli pod boki wiernego sługę i mszyli ku bramie cmentarza. Wkrótce zniknęli w gęstej mgle. Ariana popatrzyła na kapłana i nogi się pod nią ugięły. Chwyliła ramię Christine, żeby nie upaść. Krzyż zniknął.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### Ślub oraz inne plany

*Nie każdy zamysł ludzki zgodny zDzeusa wolą.*

Homer  
„Iliada” .

*Z pewnością nie jesteśmy pierwsi.*

*Wielu w gospodarze przesiaduje, gdy burza  
piękne ich zmysły*

*W niwecz obraca i w ruinę. A wówczas oni  
wyklinają,*

*Że świat im straszną krzywdę, boleść czyni.*

A. E. Housman  
„Last Poems” (1922)

*Bądź pozdrowiona, miłości małżeńska,  
Prawo tajemne i źródło prawdziwe*

*Potomstwa ludzi, własności jedyna  
W raju, gdzie każda rzecz wspólną się mieni*<sup>21</sup>.  
John Milton  
„Raj utracony” (1667)

1848

*Anglia, Londyn, Portman i Berkeley Square*

- Skąd *madame* dowiedziała się o krucyfiksie księdza Gerarda? - Pytanie zadał pan Quimby, ale wszyscy się nad tym zastanawiali.

Po pogrzebie jasnowidzącej żałobnicy rozjechali się do domu. Nieliczni przyjaciele, którzy wspierali ją w ostatnich dniach życia, a ponadto panowie Quimby, Rosenkranz i Cavendish - takie grono zebrało się w rezydencji państwa Levesque przy Portman Square. Na miejscu zastali Malcolm, Nicolasa i Dukkerę, którzy dorożką pojechali prosto do domu. Hrabina poleciła służbie podać wczesny podwieczorek.

Karzeł zgodnie ze swoim obyczajem przycupnął na krześle w rogu pomieszczenia. Spojrzenia zebranych zwróciły się na niego, gdy pan Quimby zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

- Szczęście sprzyjało *madame*. Jakiś czas temu zdobyła cenne informacje na temat bractwa Synów Izydy. Nie ma się czemu dziwić, bo w przeciwieństwie do innych badaczy, takich jak pan Blackfriars i pan Ravener, zajmowała się tą sprawą od lat, a jest to materia dawna, niejasna i zawikłana. Wspo-

<sup>21</sup> Przełożył Maciej Słomczyński.



mniałem, że szkocka babcia *madame* Polgar, lady Sibyl Macbeth, wywodziła się od jednego z członków bractwa. Ta wiadomość została zanotowana w rodowych annałach. Wielu przedstawicieli owego klanu miało dar jasnowidzenia. Sami nazywali go „trzecim okiem”. Byli w stanie przepowiedzieć przyszłość. *Madame* odziedziczyła po nich tę zdolność. Dar wieszczcy objawił się u jej przodków w średniowieczu, gdy dostojny pan Hunter Macbeth, earl Bailekair, syn rycerza i młodej Cyganki poślubił dostojną Mary Carmichael, przez wieki uważaną za wiedźmę, bo przepowiadała przyszłość. Od tamtego czasu członkowie klanu mają kontakt z tajemnymi mocami, niepojętymi dla zwykłych śmiertelników. *Madame* Polgar dowiedziała się od babki, że zarówno pan na Bailekair, jak i jego małżonka, którzy, nawiasem mówiąc, byli dalekimi kuzynami, mieli niezwykle tęczówki barwy ametystów.

Karzeń umilkł, bo słuchacze wstrzymali oddech i pytająco spojrzeli na Arianę. Wszystkie twarze wyrażały zdumienie, ciekawość i namysł. Po chwili Dukker podjął wątek.

- *Oui...* Jak widać, oczy *mademoiselle* Ariany są takiego właśnie koloru. *Madame Polgar* pamiętała z opowieści swej babki, że lord Robert Roy Ramsay, earl Dundragon, założyciel bractwa Synów Izydy, ożenił się z panną należącą do rodu Macbethów, a konkretnie z siostrą wielmoży jednego z dwunastu należących do stowarzyszenia braci. Gdy *madame* ustaliła, że hrabia Valcoeur

jest krewnym *monsieur* Charlesa de Ramezaya, hrabiego de Jourdain, i usłyszała od starej niani o bezpłodności pani hrabiny, zaraz pojęła, że *mademoiselle* Ariana to zaginiona córka Ramezayów, wywodząca się z prostej linii od lorda Dundragon i jego żony z klanu Macbeth. Zapytają jaśnie państwo, jaki to ma związek z księciem Gerardem St. Claire. Wszyscy się pewnie zastanawiają, po co ta przydługa dygresja. Proszę o cierpliwość. Wkrótce rzecz się wyjaśni.

Dukker zamilkł na chwilę, jakby szukał właściwych słów.

- Nie jest tajemnicą, że *madame* po opuszczeniu ojczystej Wołoszczyzny długo podróżowała, nim osiadła na dobre we Francji. Zwiedziła wiele krajów i wszędzie studiowała tajemnice związane ze świeckimi bractwami i mniszymi zakonami. Stała się prawdziwą znawczynią kwestii dotyczących templariuszy oraz jerozolimskich szpitalników. Dowiedziała się również, że po rozwiązaniu zakonu i okrutnych prześladowaniach część templariuszy zbiegła z Francji do Szkocji, jako że liczne i trwałe więzi łączyły ich z tamtejszymi klanami, między innymi z Sinclairami. Jaśnie pan William St. Clair zasłynął jako fundator osobliwie ezoterycznej kaplicy niedaleko swej siedziby, zwanej Rosslyn Castle. *Madame* wywnioskowała, że siedemnasto- czy osiemnastowieczny entuzjasta wiedzy tajemnej, noszący się z zamiarem ustanowienia nowego bractwa w celu odkrycia sekretów Serca Chepri, z pewnością

zaprosił do tego grona kogoś z Sinclairów i Macbethów, ponieważ oba klany od dawna wprowadzone były w arkana ezoteryki. Szkoccy Sinclairowie są na różne sposoby spokrewnieni i spowinowaceni z francuskimi St. Clairami. Gdy *madame* przeniosła się do Londynu, szybko trafiła na ślad Gerarda St. Clair. Trudno powiedzieć, czy księżulo zdaje sobie sprawę, jakie jest znaczenie jego krucyfiksu. *Madame* sądziła, że nie ma o tym pojęcia, ale gdy chciała od niego odkupić cenny przedmiot, wymówił się, twierdząc, że to rodowa pamiątka, z którą ze względów uczuciowych nie zamierza się rozstać. Gotów byłam dla mojej pani ukraść krzyż, lecz ksiądz Gerard stale nosił go na szyi. Rzadko opuszczał Chapel Royal, nie było więc sposobności, żeby podstępem lub siłą odebrać mu rodzinną pamiątkę. Doskonała okazja nadarzyła się dopiero w czasie pogrzebu. Gdyby nawet księżulo mnie podejrzewał, nie zdoła niczego udowodnić - dodał karzeł, wielce z siebie zadowolony. Spojrzał na Arianę, która zmarszczyła brwi.

- Moim zdaniem, niepotrzebnie się narażałeś - odparła surowo. - Gdybyś został przyłapany na gorącym uczynku przez jednego z żałobników spoza naszego grona, a było ich kilku, ksiądz domagałby się zapewne wezwania policji oraz surowego ukarania winnego. Mogłeś skończyć w więzieniu.

- Ale udało się! *Madame* byłaby ze mnie dumna, bo okazałem nie lada spryt. Domyślam się, że

tego ode mnie oczekiwała, skoro wyraźnie zażyczyła sobie, żeby ksiądz Gerard modlił się nad jej grobem. W ten sposób chciała go wywabić z Chapel Royal, bym mógł zdobyć kolejny krucyfiks. - Uradowanemu Dukkerowi zrzęła mina. Był zawiedziony, bo oczekiwał pochwał.

- Moja siostra obawiała się po prostu, że spotka cię coś złego - tłumaczył Nicolas, próbując go ugłaskać. - Okazałeś się dla nas wielce użyteczny, nie chcemy cię stracić. Tak czy inaczej, zdobywając kolejny krzyż, wykazałeś niezwykłą roztropność i prawdziwą brawurę. - Zamyślony umilkł na chwilę i obracał w palcach trofeum Dukкера, a następnie dodał, zwracając się do całego towarzystwa: - Widzę tu rzymską piątkę, a z tyłu inskrypcję: Druga Księga Kronik 3, 17. Wers brzmi: *Kolumny ustawiono przed świątynią, jedną z prawej, a drugą z lewej strony. Ta z lewej otrzymała imię Jakin, ta z prawej - Boaz.*

- Te słowa łatwo zinterpretować! - stwierdził ochoczo pan Cavendish, gestykulując z zapalonym ręką, w której trzymał fajkę. Nie zwracał uwagi na to, że popiół sypie mu się na ubranie. - Wygląda na to, że Serce Chepri ukryte jest w pobliżu jakiejś świątyni. Zapewne koło greckich lub celtyckich ruin...

- A skąd ta pewność, Bonny? - zachnął się pan Rosenkranz, odstawiając filiżankę na spodek. - Wersety, do których odsyłały nas inskrypcje na innych posiadanych przez nas krucyfiksach na to nie wskazują.

- Czyżby, Jakobie? W jednym z nich jest mowa o sadzawce. Doskonale wiesz, że w pobliżu świątyni umieszczano zwykle takie zbiorniki wodne.

- Oczywiście, Bonny - przytaknął życzliwie pan Quimby. - Według mnie Jakob chciał tylko podkreślić, że cytaty z Biblii wskazane na krucyfikach odnoszą się raczej do... imponderabiliów, do pojęć abstrakcyjnych. Nie potrafię precyzyjnie tego określić. Przykładowo dowiadujemy się, że *Jam jest alfa i omega*, I tak dalej. Brak w tych wersetach konkretnych wskazówek dotyczących miejsca, gdzie został ukryty szmaragd.

- Alfa i omega to greckie litery, być może wyryte na frontonie owej świątyni! - oznajmił radośnie pan Cavendish, niezrażony kontrargumentami Rosenkranza.

- Przyniosę wszystkie nasze krucyfiksy - zaproponował hrabia Valcoeur. - Ułożmy je w kolejności. Może coś wymyślimy.

Przez całą godzinę deliberowali pochyleni nad krzyżkami i otwartą Biblią, ale nic im z tego nie przyszło. Daremnie próbowali dociec, gdzie należy szukać Serca Chepri.

Nim pogrzeb dobiegł końca, wicehrabia Ugo ukradkiem opuścił cmentarz Kensal Green i pośpiesznie udał się na Berkeley Square, do okazałej rezydencji, którą dzielił z ojcem. Wyskoczył z czarnej karety, nie czekając, aż lokaj opuści schodki, i wpadł do holu, głośno wołając swego *padre*. Znalazł go w gabinecie.

- Przechytrzyli nas! Wszyscy łącznie z tą starą wiedźmą *madame* Polgar okazali się od nas sprytniejsi! - wykrzyknął, gwałtownym ruchem przegarniając kruczoczarne włosy i chodząc z kąta w kąt jak tygrys zamknięty w klatce.

- Jak mam to rozumieć, synu? - Hrabia Foscarelli z piórem w ręku siedział przy biurku, pochylony nad dokumentami. Podniósł głowę i spojrzął na syna, który był mocno wzburzony. - *Madame* Polgar nie może nas przechytrzyć, bo wyzionęła ducha.

- *Si!* Tak samo mówiłeś o Malcolmie Ramsayu i jego kuzynach, Nicolasio i Arianie. Powtarzałeś, że spłonęli żywcem, gdy w Withrose Grange nocą wybuchł pożar. Ale oni żyją! Byłem na cmentarzu i na własne oczy widziałem Elizabeth Ramsay, matkę Malcolma. Bóg raczy wiedzieć, czy ta stara wiedźma *madame* Polgar naprawdę umarła. Zadam sobie pytanie, kogo grabarze pochowali dzisiaj na Kensal Green, *padre*. Może chcą nam zamydlić oczy i knują, jak to robili przez trzynaście lat? Czemu byłeś taki łatwowierny? Trzeba się było upewnić, że tamci naprawdę zginęli w płomieniach. Dlaczego nie zabiłeś od razu *madame* Polgar? Zamiast pakować czarownicę do Bedlam, należało ją od razu ukatrupić. Tamci by jej wtedy nie odbili. *Dio buono! Padre*, słyszałeś choć słowo z tego, co powiedziałem?

- *Si... si*, Lukrezio - wymamrotał hrabia Foscarelli. Opadł bezwładnie na oparcie fotela i siedział bez ruchu. Porażony usłyszanymi przed chwilą

nowinami, sprawiał wrażenie steranego wiekiem starca. - Żyją, powiadasz? Aż tylu się uratowało? Jakim sposobem? Wierz mi, że gdy tamtej nocy opuszczałem Withrose Grange, rozpętało się tam istne piekło. Alexandra i Charlesa osobiście przebiłem sztyletem, a reszta domowników spała. Powinni spłonąć żywcem...

- Jakimś cudem się uratowali - przerwał opryskliwie wicehrabia Ugo. - Być może ktoś obudził się na czas i zaalarmował resztę? Czy ja wiem? Co robić, *padre*? Na domiar złego lady Christine Fraser była z Ramsayami na pogrzebie. Najwyraźniej się do nich przyłączyła. Kto wie, ile pamięta i co mogłaby powiedzieć na temat wypadku, w którym zginęli jej rodzice? Z kim jeszcze sprzymierzyli się nasi wrogowie? Czy plotki krążące w okolicach zamku Dundragon, jakoby można pozbawić nas szkockich majątności, są prawdziwe? Czyżby lord Bruno, ówczesny hrabia Foscarelli, nie miał prawa ich przejąć? A jeśli Malcolm odzyska rodowe dobra i będzie mógł swobodnie szukać Serca Chepri?

- Nie sądzę. - Hrabia Foscarelli doszedł już do siebie po doznanym wstrząsie, a jego umysł pracował gorączkowo. - Szkoci to dzicz. Tyle lat minęło, a oni nadal uważają nas za obcych. Wiele by dali, żeby się nas pozbyć, i z poczucia bezsilności plotkują, wygadując same bzdury. Machnijmy na to ręką. W tej chwili najważniejsze jest, żebyśmy ustalili, co Malcolm i jego kompani wiedzą o szmaragdzie oraz ile krzyży udało im się zgromadzić. Mamy trzy, w ich posiadaniu muszą być co naj-

mniej dwa jeden należący dawniej do Charlesa, drugi do Alexandra. Z pewnością nie uległy zniszczeniu w czasie pożaru. Skoro Malcolm uszedł cało wraz z matką i kuzynami, na pewno zabrał rodzinne pamiątki.

- Moim zdaniem, *madame* Polgar zostawiła im swój krzyż, żeby nam zrobić na złość. Z drugiej strony jednak, jak powiedziałem, nie ma pewności, że ta wiedźma rzeczywiście umarła - denerwował się wicehrabia Ugo. - I jeszcze jedno. Osłupiałem ze zdumienia, widząc, że stary klecha odprawiający modły nad grobem ma na piersi duży srebrny krucyfiks. Przez lornetkę nie widziałem dokładnie ornamentów, ale zakładam, że to jeden z dziewięciu. Mam podstawy, żeby tak sądzić. Pilnie obserwowałem Dukkerę. Wyobraź sobie, że ukradł księdzu ten krucyfiks. *Madame* Polgar na pewno coś wywąchała i tak pokierowała zdarzeniami, by jej wspólnicy mogli dodać kolejny egzemplarz do swojej kolekcji.

- To by oznaczało, że mają cztery krzyże albo i więcej. Przez trzynaście lat nie brakowało im czasu na spokojne poszukiwania. Zyskali nad nami przewagę. Z tego wniosek, że musimy znaleźć sposób, żeby odebrać im wszystkie krzyże.

- *Si, padre...* - Wicehrabia Ugo w zadumie pokiwał głową. - Chyba wiem, jak tego dokonać.

Malcolm i Nicolas wkrótce uzyskali wszelkie dokumenty niezbędne do zorganizowania podwójnej ceremonii, która miała odbyć się bez



udziału osób postronnych w kościele Świętej Trójcy w dzielnicy Marylebone. Uniknięto wcześniejszych zapowiedzi, a co za tym idzie także przedwczesnego ujawnienia nowiny o ślubie.

Gdy nadszedł wyznaczony dzień, Ariana nie była w stanie zjeść rano śniadania, które Fanny przyniosła do pokoju na srebrnej tacy. Zastanawiała się, czy Christine, która wróciła do domu wujostwa na Hanover Square, jest równie przejęta i zemocjonowana.

Nicolas i Christine zdecydowali się na razie nie zdradzać lady i lordowi Eaton sekretów dotyczących Serca Chepri. Kiedy przyszło do rozmowy o cichym ślubie, wyjaśnili, że Nicolas przebywa w Londynie incognito i ze względu na konieczność uporządkowania rodzinnych spraw wielkiej wagi nie ujawnia prawdziwego nazwiska i tytułu hrabiowskiego. Wujostwo Christine byli nieco zbici z tropu, ale przyjęli do wiadomości tłumaczenia młodych i dali im zgodę na ślub oraz błogosławieństwo. Hrabia i hrabina Valcoeur mieli w tym swój udział, bo zapewnili, że ukochany bratanek istotnie przejmie wnet rodową schedę. Przekonywali również, że Christine trafiła się dobra partia, bo jej narzeczony ma tytuł i znaczny majątek.

Każda z rodzin wybierała się do kościoła własnym powozem. Podczas ceremonii miały być obecne panny służące oblubienic, a także panowie Quimby, Rosenkranz i Cavendish.

Ariana odsunęła tacę ze śniadaniem, zerwała się

na równe nogi i podbiegła do okna sypialni, wychodzącego na Portman Square i niewielki park.

- Byle tylko nie padało, Sophie! - Westchnęła, spoglądając przez szybę zamgloną od deszczu i mżawki.

- Miejmy nadzieję, że lunie dopiero po ślubie. Powinna panienka coś zjeść, bo inaczej podczas ceremonii zdarzą się panience zawroty głowy lub omdlenie. Bardzo proszę, chociaż parę kęsów.

- *Non*, jestem zbyt podekscytowana. Gdybym teraz coś zjadła, na pewno dostałabym mdłości. Och, Sophie, musiałam się uszczypnąć! Trudno mi uwierzyć, że naprawdę mam wyjść za Malcolma. Ciągłe odnoszę wrażenie, że za jakiś czas obudzę się i odkryję, że to był tylko sen. Chyba bym tego nie przeżyła! W drodze do kościoła będę umierać ze strachu, że Malcolm nie przyjedzie albo fatalny zbieg okoliczności pokrzyżuje nam plany i trzeba będzie odwołać ślub. Przestanę się lękać dopiero wtedy, gdy ksiądz ogłosi nas mężem i żoną.

Wbrew obawom Ariany wszyscy bez przeszkód dotarli do wyniosłego kamiennego kościoła. Wkrótce odziana w elegancką suknię ślubną stanęła przed ołtarzem u boku ukochanego. Obok mieli drugą młodą parę - Christine i Nicolasa. Padły słowa przysięgi małżeńskiej. Po krótkiej ceremonii ksiądz oznajmił, że Malcolm i Ariana zostali sobie poślubieni. Nadal trudno jej było uwierzyć we własne szczęście. Uczucie niepewności towarzyszyło jej nawet po powrocie na

Portman Square, gdzie miało się odbyć weselne przyjęcie. W jadalni przystrojonej cieplarnianymi kwiatami oraz girlandami z roślin zimozielonych wesołe towarzystwo siadło do obiadu. Na biesiadników czekał piętrowy tort oraz butelka doskonałego szampana. Weselników było niewielu, lecz wszystkim dopisywały humory. Panowie jeden po drugim wznosili toasty, składając obu parom serdeczne życzenia. Nawet pan Rosenkranz rozochocił się wreszcie i unosząc kieliszek zawołał:

- *Mazeł tow!* Na szczęście!

Malcolm miał nadzieję, że owe życzenia będą dla niego pomyślną wróżbą w niełatwych poszukiwaniach, ale przez wzgląd na lorda i lady Katon, którzy nic na ten temat nie wiedzieli, ani słowem nie wspomniał o Sercu Chepri oraz niebezpieczeństwach, którym będzie musiał stawić czoło wraz z Arianą, Christine oraz Nicolasem. Milczał, żeby nie zepsuć innym weselnego nastroju. Omal nie wybuchnął śmiechem, gdy uświadomił sobie, że w przeciwieństwie do Foscarellich, którzy pragnęli odszukać szmaragd, zatrzymać go dla siebie na wieki i przeniknąć jego moc, po odnalezieniu zamierzał go natychmiast spieniężyć. W głowie mu nie powstało, że mógłby stać się nieśmiertelny. Życie bez końca po zgonie najbliższych wydawało mu się prawdziwym przekleństwem i koszmarem. Magicznym szmaragdem interesował się jedynie z konieczności i bez entuzjazmu planował kolejne etapy poszukiwań. Zdecydował się je podjąć głównie ze względu na Arianą.

Chciał jej zapewnić bezpieczeństwo i dostanie życie, które zależały od tego, czy uda mu się wydobyć klejnot z kryjówki.

- Masz taką poważną minę, Collie. O czym myślisz? - spytała półgłosem Ariana.

- O tobie, najdroższa Ano - odparł Malcolm, otrząsając się z zadumy i siląc się na beztroski uśmiech. - O twoim bezpieczeństwie.

- Spróbujmy choćby na krótko zapomnieć o naszych problemach, Collie! Nie rozmawiajmy teraz o przeklętym szmaragdzie. Nie pozwólmy, żeby ciężąca na nim klątwa zmaćla nasze dzisiejsze szczęście. Udawajmy, że ten klejnot nie istnieje albo spoczywa w zapieczętowanym grobowcu egipskiego kapłana. Niech nam się wydaje, że earl Dundragon nigdy tam nie dotarł. Przyznaję, że szmaragd ma wielką moc, ale potęga naszej miłości jest większa.

- Dobrze powiedziane, Ano! Cokolwiek się wydarzy, zachowajmy w pamięci te słowa.

Zmienił temat. Gdy weselna uczta dobiegała końca, nowożeńcy pokroili tort, a kieliszki napełniono szampanem. Potem hrabina Valceour zaprosiła gości do małego salonu, także ozdobionego dekoracjami z kwiatów i jedliny. Meble przesunięto pod ściany. Na amatorów gry w karty czekały rozstawione stoliki. Pośrodku zostawiono miejsce dla tancerzy. Hrabia sprowadził wcześniej niewielki zespół muzyczny. Teraz klasnął w dłonie, zachęcając młode pary, aby zatańczyły jako pierwsze. Nastrój był coraz weselszy. Ariana i Christine

nie posiadały się z radości, wirując w objęciach świeżo poślubionych małżonków. Brakowało wprawdzie dam, lecz mimo nadmiaru panów zabawa trwała w najlepsze. Malcolm z przyjemnością spoglądał na matkę. Od lat nie była równie ożywiona. Policzki jej się zarumieniły, a uśmiech nie schodził z ust, gdy wywijąta na parkiecie z panem Quimbym, a potem z jego przyjacielem Cavendishem. Nawet pan Rosenkranz puścił się w tany, a na wychudłej twarzy zamiast kwaśnej miny pojawił się wyraz błogości.

Czas mijał szybko. Wesele trwało do zmierzchu, który zimą zapadał dość wcześnie. Goście jeden po drugim zaczęli się żegnać. Do kolacji nowożeńcy zasiedli w rodzinnym gronie. Po posiłku Ariana i Christine wymknęły się z jadalni. Z przejęciem myślały o nocy poślubnej. Hrabina wskazała im nowe apartamenty, tłumacząc, że takie zmiany są konieczne, aby młodzi mężowie nie czuli się intruzami w panieńskich pokoikach.

Ariana czekała na Malcolma w ich wspólnej sypialni. Wiele by dała, żeby wrócić do swego dawnego królestwa, gdzie każdy drobiazg był jej znajomy. Christine czekała na Nicolasa w małżeńskiej sypialni po drugiej stronie korytarza. Ciekawe, czy i ona najchętniej umknęłaby teraz do panieńskiego pokoju w domu wujostwa na Hanover Square, pomyślała Ariana. Nagle uświadomiła sobie, że dzieciństwo i pierwsza młodość nieodwołalnie dobiegły końca. Stała na progu dojrzałości i z młodej dziewczyny stawała się kobietą

w pełnym tego słowa znaczeniu. Gdy noc przeminie, nie będzie już powrotu do dawnego życia. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Malcolm jest wprawdzie kuzynem, lecz chociaż znają się od dzieciństwa, w gruncie rzeczy poślubiła nieznanego mężczyznę, starszego o jedenaście lat, bogatszego w życiowe doświadczenie i znającego o wiele lepiej zawiłe ścieżki tego świata. Był kartografem... ale jak przez trzynastcie lata przymusowej rozłąki z kuzynką spędzał wolny czas po wyjściu z pracowni? Ariana nie знаła odpowiedzi. Z obawy, że wyda mu się wścibska, unikała trudnych pytań. Zastanawiała się, czy dzielił łóżce z innymi kobietami, brał je w *ramiona*, całował i kochał. Kiedy się nad tym zastanawiała, poczuła nagły przypływ zazdrości. Ogólnie rzecz biorąc, wiedziała, czego się oczekuje od młodej żony w noc poślubną, ale była niewinną panienką, odczuwała więc lęk, a zarazem zżerała ją ciekawość. Na domiar złego obawiała się, że nie spełni oczekiwań męża, jeśli ten zacznie ją porównywać z dawnymi kochankami.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi, ale zamiast Malcolma na progu stanęła Sophie.

- Przyszłam, żeby pomóc przy wieczornej toalecie, *madame*- powiedziała.

- Dziwnie się czuję, gdy zwracasz się do mnie w ten sposób!

- Tak się należy. Rada jestem, że jaśnie pani wyszła jednak za pana Malcolma. No i obyło się

bez złamanego serca. Mam nadzieję, że jaśnie państwo będą razem bardzo szczęśliwi.

- Dziękuję, Sophie. Jestem tego pewna.

Ariana zażyła kąpieli w sąsiadującej z sypialnią łazience. Sophie pomogła jej włożyć koszulę nocną i szlafroczek, a następnie rozpuściła i wyszczotkowała ciemne włosy. Przygotowania dobiegły końca i Ariana została sama. Skronie jej pulsowały, a serce trzepotało jak schwytyany motyl, gdy siedziała nieruchomo przy toalecie. Nagle usłyszała ciche pukanie. Do sypialni wszedł Malcolm. Zerwała się na równe nogi, przewracając stołek.

- O Boże! - krzyknęła zduszonym głosem, próbując go podnieść drżącymi dłońmi.

Malcolm podbiegł natychmiast, żeby ją wyręczyć, a potem wziął za ręce i ścisnął je lekko.

- Nie obawiaj się, Ano. Będę ostrożny.

- Wiem. - Powoli skinęła głową. - Rzecz w tym, że taka jestem młoda i naiwna. Lękam się, Collie, że będziesz mną... rozczarowany.

- Ano, kochanie moje. - Uśmiechnął się z czułością. - O rozczarowaniu mowy być nie może. Zrozum, że wszystko mnie w tobie zachwyca. Jesteś ucieleśnieniem, wszystkich moich marzeń. To za mało powiedziane! Jesteś dla mnie wszystkim.

Objął ją i przytulił. Zamknięta w mocnym uścisku poczuła się wreszcie spokojna i bezpieczna. Nowożeńcy zapomnieli o jesiennym wietrze, szarpiącym nagie gałęzie drzew w ogrodzie, o kropkach deszczu, dzwoniących o szyby. Malcolm tulił

i kołysał żonę w ramionach i przemawiał do niej łagodnie jak do dziecka.

Ariana szybko zapomniała o swoich obawach. Budziła się w niej młoda kobieta spragniona nowych doznań. Krew coraz szybciej pulsowała w żyłach. Ariana oddychała płytko. Rozchyliła usta i zwilżyła językiem suche wargi. Jęknęła cicho i ogarnięta pożądaniem mocniej przyłgnęła do męża. Bezwiednie uniosła ramiona i wsunęła palce w jego ciemne włosy. Spragniona pocałunku uniosła twarz. Nie czekała długo. Malcolm całował jej usta, oczy, włosy. Pieścił ją, dotykał, zachęcał i zwodził. Powoli zsunął ze szczupłych ramion jedwabny szlafrok, który z cichym szelestem opadł na podłogę. Objął dłońmi piersi. Przez cienką tkaninę koszuli czuła, że je całuje. Gdy oszołomiona zachwiała się i jęknęła cicho, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie miała pojęcia, jak i kiedy pozbyli się ubrań. Nadzy spoczęli obok siebie. Pieszczotom i pocałunkom nie było końca. Gdy stali się wreszcie jednym ciałem, Ariana, zaskoczona niezwykłością oraz intensywnością doznań, krzyknęła cicho. Złączeni mocnym uściskiem i świadomi doskonałej bliskości zapomnieli o całym świecie.



## ROZDZIAŁ DZIWIĘTNASTY

### Serce Chepri

*W sercu człowieka jest skarb ukryty,  
W ciszy, bez świadków pieczętowany.*

Charlotte Bronte  
„Evening Solace” (1846)

*Serce ma twarde jak kamień,  
mocno osadzone jak dolny kamień młyński<sup>22</sup>.*  
Biblia, Księga Hioba

*Warto natomiast patrzeć na człowieka  
Wśród niebezpieczeństw i przeciwności, aby  
określić,  
Kim jest naprawdę, jaki to człowiek; wtedy  
dopiero*

Przełożył Kazimierz Romaniuk.

*Słowa prawdziwe z serca głębiny tajnej wypłyną  
I maska spadnie, i sama prawda nam się objawi.*

Lukrecjusz [Titus Lucretius Carus]

„De rerum natura”

(„O naturze wszechrzeczy”)

1848

*Anglia, Londyn; Szkocja, okolice Loch Ness*

Kilka dni po ślubie dwu par około południa Jakob Rosenkranz i Boniface Cavendish przybyli niespodziewanie do pracowni kartograficznej pana Quimby'ego. Gdy ujrzeli Malcolma, Harry'ego i Turka, którzy siedzieli przy kominku, jedząc kanapki, powitali ich wylewnie i zażądali, aby ten pierwszy bez zwłoki poszedł z nimi do pana Quimby'ego, którego spodziewali się zastać w gabinecie.

- Przykro mi, ale pryncypał wyszedł. Codziennie wraca do domu na obiad i krótką drzemkę.

- A nie mówiłem? - Jubiler zgromił spojrzeniem księgarza. - Nalegałem, żebyśmy od razu poszli do niego do domu, ale ty się uparłeś, żeby pędzić na Oxford Street.

- Skąd miałem wiedzieć, że Septimus jak dawniej, tak i teraz chodzi do domu na obiad? - tłumaczył się pan Cavendish, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Dobry Boże, ma już swoje lata! Kto by się spodziewał, że codziennie biega tam i z powrotem.

- Nie rób z niego starca, Bonny! Jesteście rówieśnikami - zachnął się Rosenkranz. - Do niedołężności jeszcze mu daleko. Od czasu do czasu miewa tylko ataki podagry.

- Za dużo wina i tłustych potraw. Kawa i kanapki ze straganu. Oto dieta, która pozwala cieszyć się dobrym zdrowiem. - Rozpromieniony księgarz poklepał się po wydatnym brzuchu i popatrzył na Malcolma. - Wygląda na to, młody człowieku, że wszyscy trzej musimy iść zaraz do Septimusa, bo mamy ważne nowiny, które dotyczą przede wszystkim ciebie i spraw, którymi się zajmujesz.

- Idź z panami, Malcolmie - wtrącił się Harry. - Ja tu wszystkiego dopilnuję. Gdyby wyniknęły jakieś trudności, pošlę po ciebie Tucka.

- Dzięki, kolego. Oddałeś mi wielką przysługę ucieszył się Malcolm. Zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz, z półki wziął parasol i rękawiczki. Po chwili był gotowy do wyjścia.

Panowie Brackfriars, Cavendish i Rosenkranz nie bacząc na zimowy chłód, szybkim krokiem przemierzali londyńskie ulice. Wkrótce dotarli do kamienicy, w której mieszkał pan Quimby. Zbudzili go z popołudniowej drzemki, którą uciał sobie w bibliotece. Nogi miał okryte ciepłym, chroniącym od dokuczliwego chłodu pledem, a stopy oparł na podnóżku przystawionym do ulubionego fotela. Głowę okrył szlafmycą, która podczas snu mocno się przekrzywiła.

- Na miłość boską, co się stało? Sprawa jest niewątpliwie bardzo ważna, bo inaczej nie nachodzilibyście mnie o tej porze! - zawołał i poprawił szlafmycę

- Nie zgadniesz, Septimusi, od razu więc powiemy, w czym rzecz - odparł Bonny i natych-

miast oznajmił wielką nowinę: -Jakob już wie, kto wykonał krucyfiksy, należące do członków bractwa Synów Izydy. Ja mam ich listę, a ponadto odnalazłem w Londynie spadkobiercę jednego z nich.

- Znakomicie! Dobra robota, przyjaciele! Wiedziałem, że można na was polegać. - Uradowany i dumny pan Quimby uściśnął im dłonie.

- Jestem panom bardzo zobowiązany - dodał Malcolm. - Wszyscy trzej byliście mi wielce pomocni. Jak wam się za to odpłacę?

- Potraktuj ową przysługę jako spóźniony prezent ślubny - odparł jowialnie pan Cavendish. - Mogę chyba powiedzieć w imieniu nas trzech, że bierzemy udział w tej niebezpiecznej przygodzie nie dla pieniędzy, nie dla jakiejś nagrody, lecz aby naprawić wielkie zło, które stało się przed dziesiątkami lat i nadal zatruwa życie wielu zacnym ludziom. Taki cel nam przyświeca.

- Dobrze powiedziane! - przytaknęli zgodnie Quimby i Rosenkranz.

- Dzięki, panowie, serdeczne dzięki - odparł Malcolm głosem drżącym ze wzruszenia.

- Jakobie, powiedz wreszcie, kto wykonał krucyfiksy - niecierpliwił się pan Quimby.

- Mordecai Weisel, nadzwyczaj skrupulatny jubiler, prowadzący dokładne zapiski na temat swych dzieł. Jego spadkobierca Isaac Weisel okazał się równie skrupulatny, bo zachował całe archiwum swego przodka. Mieszka teraz w Bonn. Dziś rano otrzymałem odpowiedź na list, który do

niego wysłałem. Tak jak przypuszczaliśmy, krzyży wykonano dziewięć. Gdy były gotowe, cztery zostały wysłane do Szkocji trzy do Francji, jeden do Włoch i jeden do Anglii, a konkretnie do Londynu. Kolej na ciebie, Bonny!

- Dzięki, Jakobie. - Księgarz uśmiechnął się szeroko. - Po długich i starannych poszukiwaniach trafiłem w Londynie na ślad jednego z krucyfiksów. Pozostaje w rękach Hilliarda Pembertona, pułkownika dragonów w stanie spoczynku zamieszkałego przy Wimpole Street. Nie mam pojęcia, czy ten dżentelmen zdaje sobie sprawę ze znaczenia swego krzyża. Moim zdaniem, zamiast się nad tym zastanawiać, pomyślmy raczej, jak zdobyć krucyfiks, za zgodą pułkownika czy wbrew jego woli.

- Bonny, nie chcesz chyba powiedzieć, że gotów byłbyś jak Dukker posunąć się do kradzieży. - Rosenkranz spojrział na niego z przerażeniem i dezaprobatą.

- A żebyś wiedział! - odparł buńczucznie pan Cavendish. Jego mina wskazywała, że jest zdumiony prostodusznością jubilera. - Nie łudź się chyba, że Pemberton z własnej woli podaruje nam swój krucyfiks, zwłaszcza jeśli zdaje sobie sprawę z jego wartości. Zresztą nawet gdybym mu go odebrał, to wcale nie byłaby kradzież. Niezależnie od tego, w czym ręku są krucyfiksy, stanowią narzędzia umożliwiające odnalezienie zaginionego szmaragdu, zwanego Sercem Chepri, a właścicielem klejnotu był lord Rob Roy Ramsay, dzie-

wiąty earl Dundragon. Fakt, że członkowie bractwa Synów Izydy, którego był założycielem, czcili ów bezcenny szmaragd nie ma tu żadnego znaczenia. A zatem wszystkie krucyfiksy należą do naszego drogiego Malcolma.

- Zgodnie z prawem szmaragd jest własnością egipskiego rządu, Bonny - odparł stanowczo jubiler i zwrócił się do młodego człowieka. - Mam nadzieję, że gdy szczęśliwie odnajdziesz ten klejnot, młodzieńcze, zwrócisz go pełnoprawnym właścicielom i... zostaniesz za to hojnie wynagrodzony w brzęczącej monecie.

- Christine! Musimy natychmiast jechać do Battersea Fields! - zawołała Ariana, wpadając do buduaru pewnego zimowego ranka, kilka dni po wizycie Cavendisha i Rosenkranza u pana Quimby'ego. - Zdarzył się okropny wypadek. Colli i Nicolas są ciężko ranni!

- Boże miłosierny! Nie! - Christine pobladła i zerwała się z fotela. Tamborek z batystową chusteczką, którą wyszywała dla męża jako prezent gwiazdkowy, upadł na podłogę. - Skąd masz tę wiadomość, Ariano?

- Butterworth przed chwilą oddał mi list napisany przez właściciela strzelnicy. Ten człowiek nalega, żebyśmy przyjechały, nim będzie za późno.

- Ruszajmy natychmiast!

- *Non, medames!* - sprzeciwił się stanowczo Dukker. Odłożył harfę, na której grał, umilając czas

damom zajęтым ręcznymi robótkami. - Nie zgadzam się na żadne wyjazdy! To może być podstęp naszych wrogów.

- Nie masz racji, Dukker - odparła rozgorączkowana Ariana. - Collie i Nicolas rzeczywiście pojechali dziś do Battersea Fields. Sobotnie poranki spędzają zwykle na strzelnicy. Niech stangret przygotuje drugi powóz papy i zajedzie przed dom. Christine i ja zaraz będziemy gotowe.

- Błagam, niech *madame* będzie rozsądna! Proszę pozwolić, żebym najpierw sam pojechał na strzelnicę i sprawdził, czy wiadomość jest prawdziwa. Jestem przekonany, że Foscarelli nas śledzą, tak jak szpiegowali biedną *madame* ~*Polgar*. Z pewnością wiedzą już, kim są nasi młodzi panowie i, co gorsza, znają ich rozkład dnia. Postanowili wywabić *mesdames* z pałacu, a to dla jaśnie pań pewne nieszczęście.

- Musimy zaryzykować, Dukker - odparła Ariana z ponurą determinacją. Jej śliczna twarz jeszcze bardziej sposepniała. - Jeśli to prawdziwa wiadomość, a Collie i Nicolas rzeczywiście są ranni, do końca życia miałabym wyrzuty sumienia, że w takim momencie nie było nas przy ich boku.

Po chwili ustalono, że Dukker ruszy konno za powozem i będzie go obserwować z pewnej odległości, żeby w razie napadu wszcząć alarm. Stangret i lokaje na wszelki wypadek dostali nabite pistolety. Wkrótce damy były w drodze. Siedziały przytulone, jakby w ten sposób chciały sobie nawzajem dodać otuchy.

Arianę ogarnęła panika. Do niedawna powóz toczył się gładko w stronę Battersea Fields, lecz za mostem nagle otoczyła go banda obwiesiów.

- Ariano! Na miłość boską! - zawołała Christine, ściskając ramię szwagierki. Jej śliczna twarz była śmiertelnie blada. - Tak samo zaczął się napad, w którym zginęli moi rodzice!

Stangret wrzeszczał i strzelał z bata, próbując zmusić konie do szybszego biegu i umknąć z bójcom. Na próżno. Wkrótce musiał zwolnić i zjechać na pobocze. Drzwi otworzyły się szeroko. Strwożoną pasażerkę wbrew ich protestom wywleczona na zewnątrz. Oniemiały, widząc służących, którzy leżeli nieruchomo w kałuży krwi. Bezceremonialnie wepchnięto je do stojącego obok czarnego ekwipażu. Gdy konie ruszyły z kopyta, obie krzyknęły i rzuciły się do drzwi, chcąc wyskoczyć w pędzie, ryzykując, że skręca sobie kark, al zamek najwyraźniej został zablokowany od zewnątrz.

- Jesteśmy zgubione! - Christine ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. - O Boże! Co z nami teraz będzie, Ariano? Nie ulega wątpliwości, że wprowadzili nas zausznicy Foscarellich, tak jak *madame* Polgar.

- Obawiam się, że masz rację. Powinnam była posłuchać Dukkerę i wziąć sobie do serca jego ostrzeżenia. Lękam się, czy nie przypłacił życiem tej mojej brawury. Jeśli umknął, niewątpliwie popędzi zaraz na strzelnicę, żeby zawiadomić o porwaniu. Może nie wszystko stracone. Mamy



szanse na ocalenie. Trzeba mieć nadzieję i nie upadać na duchu.

Po pewnym czasie zorientowały się, że jadą północnym gościńcem, który łączył Anglię ze Szkocją.

- Myślę, że wiozą nas do zamku Dundragon - myślała głośno Christine. - Przypuszczam, że znają już prawdziwe nazwiska Nicolasa i Malcolma. Biedny Dukker był tego samego zdania. Porwali nas, żeby zmusić rodzinę do wydania krucyfiksów.

Jej domysły potwierdziły się, gdy stanęli na popas w gospodzie na pustkowiu. Wyglądając przez okno powozu, ujrzały obu Foscarellich, którzy w tym samym czasie dotarli tu innym pojazdem.

- Witam panie - rzucił wicehrabia Ugo, otwierając drzwi, które zgodnie z przypuszczeniem uprowadzonych dam zostały zaryglowane od zewnątrz. Uśmiechał się miło, jakby spotkał je w czasie przechadzki ulicami Londynu. - Ufam, *mademoiselle*, że podróż nie była zbyt męcząca - zwrócił się do Ariany. - Nie zna pani jeszcze mego ojca, więc pozwolę sobie dokonać oficjalnej prezentacji: hrabia Foscarelli, *mademoiselle Ariana Levesque*. Och, przepraszam za swój błąd. Oto *madame* Ariana Ramsay. Papo, zapewne pamiętasz lady Christine Fraser, a obecnie lady Christine Ramsay.

- Panie hrabio, proszę nas natychmiast uwolnić! - zażądała stanowczo Ariana, nadrabiając

miną, bo ogarnęło ją przerażenie, gdy uświadomiła sobie, że wrogowie znają ich pilnie strzeżone tajemnice.

- Zapewniam, że wkrótce odzyskają panie wolność - odparł skwapliwie wicehrabia Ugo, błyskając w uśmiechu białymi zębami. Silił się na uprzejmość, ale jego uporczywe spojrzenie budziło lęk. - W zamian za wszystkie zgromadzone przez was krucyfiksy, stanowiące klucz do kryjówek, w której spoczywa Serce Chepri.

- Nie wiem, o czym pan mówi - obruszyła się Ariana, drżąc na całym ciele.

- Ja również - dodała Christine.

- Miejmy nadzieję, że Ramsay i Jourdain lepiej się orientują, bo w przeciwnym razie czeka panie długa podróż i nieprzyjemny pobyt na zamku Dundragon, dokąd wszyscy teraz zmierzamy.

Wyczerpująca podróż trwała dwa dni. Hrabia Foscerelli i wicehrabia Ugo jechali z paniami. Zatrzymywali się jedynie po to, by zmienić stangreta i konie. Ariana milczała uparcie, patrząc w okno. Gdy ujrzała w oddali ciemną sylwetkę zamczyska, całkiem upadła na duchu, bo zwątpiła, aby Christine i jej udało się zbiec z takiej fortecy.

Malcolm i Nicolas, gnani strachem o ukochane, co koń wyskoczy pędzili do Szkocji. Ruszyli wierzchem zaraz po otrzymaniu od Dukкера wiadomości, że ich żony zostały uprowadzone. Z obawy, że Foscarelli podsuną im fałszywy trop, w drodze sprawdzali wszelkie ślady i rozpytywali o dwie

młode damy w towarzystwie włoskich arystokratów. Domyślili się, że wrogowie sami eskortują swe ofiary do szkockich włości. Podczas tej podróży Malcolm i Nicolas rozważali najróżniejsze sposoby odbicia Ariany i Christine. W końcu ułożyli plan, który miał spore szanse na urzeczywistnienie.

Po przybyciu nad Loch Ness rozbili obóz w mi-nach Withrose Grange i przez lornetkę obserwowali zamczysko. Szybko odkryli, że porwane damy zostały uwięzione na najwyższym piętrze jednej z baszt. W wąskim okienku ukazywały się od czasu ich smutne, wymizerowane twarze. Po południu wybrali się do jednej z okolicznych wiosek, gdzie wypożyczyli łódź. Dawny parobek Alexandra Ramsaya chętnie wspomógł jego syna Malcolma. Łódź została ukryta w zatoczce. Pod osłoną nocy Malcolm wraz z Nicolasem na wiosłach przepłynął wąskie jezioro. Nie bez trudu wdrapali się po stromym i wilgotnym zboczu niewielkiego półwyspu, na którym stał zamek podobny do wypatrującego padliny krwiożerczego sępa.

Odszukali furtkę ukrytą w murach i, używając przyniesionych narzędzi, szybko rozerwali przedzwiały łańcuch oraz kłódkę. Choć przezornie naoliwili zawiasy furtki, przy pierwszej próbie uchylenia drzwiczki zgrzytnęły głośno. Nocni eksploratorzy długo stali nieruchomo jak posągi, czekając, aż przybiegną zaalarmowani hałasem wartownicy. Serca waliły im jak młotem, lecz

niepotrzebnie się obawiali. W ogromnym zamku nikt nie usłyszał skrzypiącej furtki. Noc była mroźna, zziębnięci najemnicy Foscarellich tupali, klepali się po barkach i spacerowali wielkimi krokami, głośno narzekając na paskudną robotę, którą im przydzielono. Wściekli na pryncypałów, marnie się do niej przykładali.

Malcolm i Nicolas wiedzieli, w której baszcie przetrzymywano ich żony, ale nie mieli pojęcia, jak się tam dostać z poziomu dziedzińca. Przez nikogo niezauważeni przemknęli pod ścianami do głównego wejścia, wślizgnęli się do środka i uchylali kolejno wszystkie drzwi, szukając wiodących na górę schodów. W pewnym momencie usłyszeli osobliwy dźwięk.

- Cicho... - ostrzegł Nicolas, dotykając ramienia Malcolma, aby go zatrzymać. - Co to za hałasy?  
- zapytał, przechylając głowę na bok i pilnie nasłuchując.

- Ktoś okropnie chrapie! - wyjaśnił po chwili Malcolm i dodał: - W pokoju obok.

- Wystrój jest tu bogatszy. Jesteśmy chyba w prywatnych apartamentach. To pewnie sypialnia jednego z Foscarellich.

- Chyba masz rację. Co robimy? Idziemy dalej?

- Gdyby udało się zaskoczyć łotra we śnie i zmusić do mówienia, szybciej uwolnilibyśmy nasze panie, a zarazem mielibyśmy w garści cennego zakładnika - szepnął Nicolas z ponurą miną.

- Racja. W takim razie wchodzimy.

Uchylili drzwi, które nie były zaryglowane,

i ukradkiem wślizgnęli się do środka. Mrok rozjaśniała wpadająca przez okna widmowa poświata księżycy oraz żar główni dogasających na kominu. Zasłony wielkiego łóża z baldachimem były opuszczone dla ochrony przed zimowym chłodem. Malcolm stanął z jednej strony, Nicolas z drugiej. Jednocześnie unieśli grubą tkaninę i zobaczyli pogrążonego we śnie wicehrabiego Uga oraz ciemnowłosą kobietę śpiącą w jego objęciach. Oboje byli nadzy i cuchnęli winem. Malcolm przeżył chwilę grozy, bo w pierwszej chwili wydało mu się, że uśpiona brunetka to Ariana. Wrażenie nie było bezpodstawne. Jakże łatwo nikczemny Włoch mógłby spoić bezbronną Arianę, zniewolić ją i zatrzymać na całą noc w swym łóżu. Malcolm szybko poznał, że się myli. U boku wroga leżała obca dziewczyna. Mimo to jego nienawiść do Foscarellego rosła z każdą chwilą. Zatkał mu usta ręką i przyłożył pistolet do skroni. Nicolas zajął się brunetką. Wywłókł ją z pościeli, kazał się ubrać i siedzieć cicho w kącie. Zagroził jej, że zginie, jeśli będzie się sprzeciwiać. Przerazona dziewczyna potulnie zrobiła wszystko, czego żądał.

Malcolm nadal trzymał wicehrabiego na muszce. Poleciał mu włożyć ubranie.

- A teraz proszę nas zaprowadzić do wieży, gdzie przetrzymujecie nasze żony - oznajmił, gdy Foscarelli odział się pospiesznie.

- Ani myślę. Doskonale o tym wiecie - odparł.

Zaskoczył obu przeciwników, chwytając dwa rapiery wiszące na ścianie. Zaatakował Nicolasa,

który stał bliżej, bo przed chwilą podszedł do Malcolma. Przerażona kochanka Foscarellego podkasała spódnicę i rzuciła się do ucieczki. Malcolm nie wiedział, co robić. Pędzić za nią, żeby nie zaalarmowała wartowników czy stanąć do walki u boku przyjaciela?

- Na miłość boską! Łap tę dziewczkę! - krzyknął Nicolas, rozstrzygając wątpliwości przyjaciela. Chwytał inny rapier z kolekcji broni, zdobiącej ściany, i natarł na Foscarellego.

Malcolm zdawał sobie sprawę, że nie dorównuje Nicolasowi w sztuce szermierki, więc posłuchał i rzucił się w pościg za dziewczką. Za późno! Z wrzaskiem pędziła już w głąb korytarza. Zaalarmowała hrabiego Foscarellego, który w nie-dbale narzuconym ubraniu wybiegł z sypialni, trzymając w ręku pistolet. Spostrzegł Malcolma i natychmiast wypalił. Gdy niedoszła ofiara przypadła do ściany, a pocisk chybił o włos, Foscarelli rzucił broń i zaczął uciekać. Malcolm pobiegł za nim, obawiając się, że chce sprowadzić pomoc. Musiał unieszkodliwić wroga, zanim ten postawi na nogi całą straż!

- Christine! Christine, obudź się! - Ariana potrząsnęła szwagierką. - Coś się dzieje w zamku!

- W zamku? Co się stało? - Christine przetarła oczy. Usiadła na wielkim łóżku, które dzieliły w pustej, zimnej komnacie. Nie opuściły jej ani na chwilę, odkąd przywieziono je do Dundragon.

- Nie... nie wiem. - Ariana z zimna i strachu szczękała zębami, choć owinęła się ciasno wełnianym kocem. - Chyba słyszałam odgłos wystrzału. Może Collie i Nicolas przybyli nam na ratunek?

- Ariano, módlmy się, żeby tak było. Obyś się nie myliła! Nicolas miał rację. Foscarelli to szaleńcy. W przeciwnym razie nie porwaliby nas, żeby przetrzymywać w zimnej i wilgotnej norze...

- Cicho! Posłuchaj! - Ariana przechyliła głowę. - Znowu strzelają! Jestem tego pewna. Słyszałam takie hałasy w Paryżu podczas zamieszek wznieconych przez radykałów przeciwko Ludwikowi Filipowi.

Zeskoczyła z łóżka i podbiegła do wąskiego okna. Daremnie usiłowała przebić wzrokiem ciemność i zobaczyć, co się dzieje na dziedzińcu. Widziała tylko sylwetki wartowników, którzy najwyraźniej niczego nie słyszeli, bo nadal krążyli spokojnie po blankach.

- Czujesz tę dziwną woń? - zaniepokoiła się Christine, raz po raz wciągając nosem powietrze. - To dym!

- Pewnie z kominków w sypialniach Foscarellich - odparła uszczypliwie Ariana. - A my tu marzniemy.

- Mylisz się! Czuć go spod drzwi. - Christine podbiegła do nich, upadła na kolana i węszyła niespokojnie. - Miałam rację! Zamek się pali!

W tej samej chwili Ariana spostrzegła, że wśród wartowników powstało wielkie poruszenie. Opu-

szczali posterunki i pędzili ku bramie. W oknach pokazała się łuna.

- Pożar! Ludzie Foscarellich uciekają!

Christine zerwała się na równe nogi i podbiegła do Ariany. Objęły się mocno, przerażone myślą, że przyjdzie im spłonąć żywcem w zamkniętej komnacie. Nagle usłyszały chrzęst klucza, obracającego się w żelaznym zamku. Drzwi otworzyły się szeroko i na progu stanął jakiś mężczyzna. Przez moment były przekonane, że Foscarelli przyszedł je zabić, ale gdy przybysz uniósł lichtarz z płonąca świecą, poznały Nicolasa i odetchnęły z ulgą.

- Chodźcie. Nie mamy czasu do stracenia - popędzał je. - Zamek się pali. Musimy uciekać!

- Collie? - zapytała Ariana, przerażona, że może stracić ukochanego męża.

- Nie mam pojęcia. - Zasmucony Nicolas pokręcił głową. - Rozdzieliliśmy się. Jedno wiem: lord Ugo nie żyje. Sam przebiłem go rapierem. Pospieszmy się. Trzeba uciekać, bo zginiemy w płomieniach.

- Nie zostawię Malcolma! A jeśli został ranny i potrzebuje pomocy? Bez niego nie pójdę! Muszę go znaleźć! - krzyknęła Ariana.

Rzuciła się do wyjścia. Nicolas daremnie wołał za nią, żeby trzymali się razem. Pędziła zadymionymi korytarzami, nawołując głośno.

- Collie! Collie!

Mijając płonący gabinet, z przerażeniem ujrzała hrabiego Foscarellego, walczącego na śmierć i życie z Malcolmem o pistolet, który nagle wystrzelił. Na białej koszuli hrabiego pojawiła się czerwona



plama. Ranny z ręką przyciśniętą do boku cofnął się o krok. W tej samej chwili z płonącego sufitu runęła gruba belka. Hrabia usłyszał trzask i odruchowo spojrział w górę. Krzyknął chrapliwie, ale nie zdążył uskoczyć. Płonący kawał drewna przygwoździł go do podłogi, zabijając na miejscu.

- Collie! - zawołała Ariana.

Malcolm rzucił się do niej, chwytając po drodze srebrną szkatułkę stojącą na biurku.

- Gdzie Nicolas i Christine? Co z nimi? - zapytał krótko.

- Pobiegli na dziedziniec. Mam nadzieję, że są bezpieczni.

- Nie zgub tego. - Wcisnął szkatułkę w ręce żony, porwał ją na ręce i pobiegł zadymionym korytarzem w stronę wyjścia.

Gdy wypadł na ogromny dziedziniec, ujrzał nie tylko Christine i Nicolasa, którzy wyszli z opresji bez szwanku, lecz także hrabiego Valcoeur i Dukera, którzy przybyli z grupą policjantów- Udało się schwytać kilku zauszników Foscarellich. Wezwano strażaków z pobliskich wiosek. Próbowali ugasić pożar, ale ich wysiłki nie na wiele się zdały.

- Co z hrabią? - zapytał Nicolas, ruchem głowy wskazując zamczysko.

- Nie żyje. A wicehrabia Ugo?

- Zginął z mojej ręki.

- I dobrze - odparł rzeczowo Malcolm- - Koniec z Foscarellimi. Nie będą nam więcej zagrażać. Bogu dzięki! Możemy spokojnie szukać Serca Chepri. Może nam szczęście dopisze?

O świcie byli jeszcze w ruinach wypalonego zamku. Malcolm dłutem otworzył szkatułkę, w której hrabia Foscarelli ukrył trzy krzyże opatrzone numerami: trzy, cztery i dziewięć. Wskazane na nich biblijne wersety okazały się równie zagadkowe, jak wszystkie poprzednie. Zgromadzili osiem krzyży. Brakowało tylko jednego. Malcolm nagle doznał olśnienia.

- Popatrzcie na dziewiąty! Brak na nim odniesienia do Bilbii, jest za to łacińska inskrypcja: *Hic sunt dracones- Tu są smoki*. To nawiązanie do formuły *Hic sunt leones - Tu są lwy*. Tak dawni kartografowie oznaczali krainy, które nie zostały jeszcze zbadane. Moim zdaniem, treść biblijnych przekazów jest bez znaczenia. Ważne są cyfrowe oznaczenia, czyli swego rodzaju współrzędne, a także łacińskie i angielskie tytuły ksiąg: „Nahum”, „Exodus”, „Secundum Paralipomenon”<sup>23</sup> oraz „Księga Mądrości”, po łacinie „Sapientia”, po angielsku „Wisdom”! Brak konsekwencji w doborze tytułów utrudnia rozwiązanie łamigłówek. Już wiecie, w czym rzecz? Nie? Spójrzcie! Początkowe litery tytułów: N, E, S oraz W to oznaczenia stron świata na tarczy kompasu, a numery rozdziałów i wersów oznaczają, ile kroków należy zrobić w danym kierunku. Co więcej, owe wskazówki należy uwzględniać, odwracając porządek, to znaczy rozpocząć od dziewiątki i dojść do jedynek. Na pierwszym krzyżu było nawiązanie do słów Jezusa, który jest początkiem i końcem. Napisy pierw-

<sup>23a</sup> Druga Księga Kronik.

szy i dziewiąty nie pasują do schematu, bo zawierają wskazówki o charakterze ogólnym. Uwaga o początku i końcu sugeruje odwrócenie kolejności. Wzmianka o smokach stanowi oczywiste nawiązanie do zamku Dundragon. Na podstawie posiadanych współrzędnych trzeba wyrysować mapkę i szukać w najbliższej okolicy. To zadanie dla mnie. Na pewno sobie poradzę, ale problem w tym, że brakuje szóstego krucyfiks. Bez niego nie znajdziemy Serca Chepri. Właścicielem brakującego krzyża jest pułkownik Pemberton. Musimy wrócić do Londynu i przekonać tego dżentelmena, żeby nam go sprzedał, odstąpił lub użyczył.

- Gdyby się opierał, dam mu po łbie i ukradnę krucyfiks - wtrącił buńczucznie Dukker.

Okazało się jednak, że nie muszą stosować tak drastycznych środków, bo po raz kolejny los się do nich uśmiechnął. Wkrótce do Dundragon niespodziewanie zjechała pani Blackfriars, a z nią panowie: Quimby, Rosenkranz i Cavendish. Przywieźli szkatułkę z pięcioma zgromadzonymi wcześniej krucyfiksami... a także ostatni brakujący, opatrzony numerem sześć. Całe towarzystwo, które na czas poszukiwań zatrzymało się w wygodnym zajeździe, przybyło do pokoju Malcolm. Krucyfiksy zostały ułożone na stole w odpowiedniej kolejności.

- Jak ci się udało zdobyć szósty? - zapytał Malcolm, z niedowierzaniem spoglądając na matkę. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy niczym pensjonarka spłonęła rumieńcem.

- Kiedy pojechaliście ratować dziewczęta, udałam się na Oxford Street, żeby opowiedzieć panu Quimby'emu, co się stało. Usłyszałam od niego, że pewien zamieszkały w Londynie dżentelmen ma krzyżyk, którego brakuje nam do kompletu. Padło nazwisko pułkownika Pembertona. Okazało się, że chodzi o Hilliarda Pembertona, który przed laty bezskutecznie starał się o moją rękę. Nazywaliśmy go Pemby. Ogromnie się o was bałam, gotowa więc byłam na wszystko. Niewiele myśląc, odwiedziłam Pemby'ego, opowiedziałam o naszych nieszczęściach i poprosiłam o pomoc. To prawdziwy dżentelmen! Bez wahania ofiarował mi krucyfiks, niczego w zamian nie żądając. Poprosił jedynie, żeby wolno mu było złożyć mi wizytę, a także zaprosić na uroczystą kolację, gdy doprowadzimy nasze sprawy do szczęśliwego końca. Nalegał, żebym go informowała, jak się sprawy mają. - Pani Blackfriars zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Powinnaś spełnić prośbę pułkownika - zachęcił serdecznie Malcolm. - Ojciec nie żyje od lat. Pora zapomnieć o żałobie. Masz prawo ułożyć sobie życie. A teraz bierzmy się do pracy. Na podstawie wszystkich posiadanych przez nas wskazówek trzeba wyrysować plan. W ten sposób dojdziemy, gdzie ukryto Serce Chepri.

Gdy mapka była gotowa, ruszyli do zamku i zaczęli liczyć kroki. Wkrótce zaczęli kopać. Łopaty zgrzytnęły o pokrywę niewielkiej kamiennej krypty. Gdy unieśli wieko, ujrzeli wewnątrz

żelazną skrzynię. Po jej wydobyciu łomem podważono zardzewiałą kłódkę, która pękła na dwoje. W skrzyni leżał zeszywniały od wilgoci skórzany woreczek. Malcolm otworzył go z trudem. Na jego dłoń wypadł wielki, bezcenny szmaragd, lśniący zielonkawym blaskiem w promieniach bladego zimowego słońca. Klejnot emanował tajemniczą mocą.

- Mój Boże, trudno uwierzyć, że trzymam go w dłoni - wymamrotał Malcolm.

- Słuszna uwaga. Oddaj szmaragd, mapiarzu!

Wszystkie głowy zwróciły się ku intruzowi. Za gęstych zarośli dębowego zagajnika, w którym znaleziono kryptę, wyszedł Tobias Snitch. Z miną triumfatora ścisnął w rękę wycelowany w Malcolma pistolet.

- I co, mapiarzu? Zamurowało cię? Jak widzisz, nie udało ci się ukatrupić Toby'ego! Szczęście mi sprzyjało. Tamtej nocy mała barka płynęła Tamizą. Załoga usłyszała wołanie o pomoc. Wypatrzyli mnie i wciągnęli na pokład. Gdyby nie oni, utonąłbym jak amen w pacierzu. Od tamtej nocy mam cię na oku. Dawaj szmaragd! Żadnych sztuczek! Nie próbuj go ukryć. To się nie uda! Jeden z ludzi wynajętych przez Włochów do śledzenia waszej bandy wszystko mi wyśpiewał. Nie mogłem zrozumieć, czemu stale depcą ci po piętach, więc spiłem drania i wziąłem go na spytki. Wiem, ile wart jest ten kamyczek. Będzie mój, a ty zginiesz marnie, bo zastrzeliłeś mojego kumpla Badgera. - Uniósł pistolet, celując w głowę Malcolma.

Nim młody człowiek zdążył odpowiedzieć lub zrobić unik, padł strzał. Toczy osunął się na ziemię. Był martwy. Z gęstych, cienistych zarośli wyłonił się pan al-Walid z dymiącym pistoletem w rękę oraz jego służący Hosni. Za nimi szedł nieznajomy mężczyzna.

- Nie mogłem pozwolić, żeby ten złodziej i szubrawiec zastrzelił pana i ukradł Serce Chepri - oznajmił al-Walid spokojnie i rzeczowo, zwracając się do Malcolma. - Klejnot z mocy prawa stanowi własność egipskiego rządu, który mam zaszczyt reprezentować. Jak się państwo domyślają, nie jestem herpetologiem. Muszę wyznać, że, podobnie jak nieboszczyk *monsieur* Tobias Snitch, śledziłem pana Ramsaya i poznałem wiele jego rodzinnych tajemnic. W przeciwieństwie do Snitcha i Foscarellich nie chcę jednak odebrać panu wspaniałego trofeum. Proponuję, żebyśmy dokonali wymiany korzystnej dla obu stron. Nim wyjaśnię, w czym rzecz, chciałbym państwu przedstawić dżentelmena, który był łaskaw nam towarzyszyć. Oto pułkownik Hilliard Pemberton - przedstawił, wskazując<sup>1</sup> nieznajomego. - Wiedziałem, jaką rolę odgrywa w tej sprawie, ponieważ Hosni śledził panią Blackfriars. Gdy doszła mnie wieść o porwaniu *madame* Ramsay i *madame* Jourdain, zaproponowałem pułkownikowi, żebyśmy razem wyruszyli do Szkocji. Miałem nadzieję, że wspólnymi siłami uratujemy panie z opresji.

- Rozumiem - odparł Malcolm, ukłonem wita-

jąc Pembertona. - Wspomniał pan o wymianie. Na czym miałyby polegać?

- Szmaragd za bezcenny dla pana dokument - odparł krótko al-Walid. - Przed laty jeden z naszych agentów, szukających Serca Chepri, znalazł w pewnym archiwum list napisany przez lorda Iana Ramsaya, ówczesnego earla Dundragon, do młodszego brata Neilla, wicehrabiego Strathmór, który był jego spadkobiercą. Lord Iain informował brata, że ojciec tuż przed śmiercią sporządził nowy testament, zmieniając sposób dziedziczenia rodowych majątkości. Przyjął zasadę majoratu, która uniemożliwiała aktualnemu właścicielowi swobodne dysponowanie tymi dobrami. W świetle owego dokumentu wygraną hrabiego Bruna należy uznać za niebyłą, bo lord Iain nie miał prawa grać o swoje włości. Testament zaginął. Lord Iain przyznał się bratu do jego ukrycia, ale list był niedokończony i urywał się na słowie „zakopany”. Dużo czasu minęło, nim domyśliliśmy się, że testament został pogrzebany wraz z ciałem earla Somerleda Ramsaya, ojca lorda Iaina. - Al-Walid wsunął rękę w zanadrze obszernej białej galabii. - Oto ów testament. Dam go panu za szmaragd. Uczciwa zamiana, nieprawdaż?

Ośłupiały Malcolm wpatrywał się w Egipcjanina, niezdolny wykrztusić słowa.

## EPILOG

### Dziedzictwo

*Nieczęsto, przyjaciela, człek szlachetny otrzy-  
muje majątek albo tytuł, choć wart tego, bo się  
trudził  
I między czarodziejskie bajki można włożyć  
Sugestię, że każdy ma to, na co zasłużył  
Lub zasługuje na to, co już ma.*

Samuel Taylor Coleridge  
„The Good Great Man” (1802)

*Przez wzgląd na antenatów powinniśmy za-  
chować bez uszczerbku powierzoną nam schedę,  
a wobec przyszłości mamy obowiązek chronić  
przed zniszczeniem dziedzictwo należne potom-  
nym.*

Anonim  
„The Letters of Junius” (1769), nr 20



*Kto pozostawia swój dom w nieładzie, wiatr  
zbiera.*

Biblia, Księga Przysłów

### Serce i dusza

*Tak, skoro życie moje ku rychłemu zmierza  
kresowi*

*To dziś błaganie zanoszę:*

*Tu i na tamtym świecie o duszę z kajdan  
uwolnioną,*

*O dość odwagi w bólu proszę.*

Emily Bronte

„The Old Stoic” (1846)

*Czy się odważysz teraz, duszo,  
Podążyć za mną w kraj nieznany,  
Gdzie ziemia spod stóp się usuwa  
I drogi żadnej już nie mamy?*

Walt Whitman

„Leaves of the Grass” (1855-1892)

„Darest Thou Now O Soul”

*Jakże cudowne jest życie człowieka, samo  
istnienie!*

*Jak to wspaniale*

*Połączyć serce, duszę, i zmysły na wieczność  
W radości chwale!*

Robert Browning

„Saul” (1855)

1848

*Rezydencja Ramsayów, Portman Square*

Lord Malcolm Ramsay, earl Dundragon, którego niezbywalne prawa do tytułu i majątku potwierdzone zostały przed sądem na podstawie testamentu, zawierającego ostatnią wolę earla Somerleda Ramsaya, wyglądał przez okno, ramieniem obejmując swą piękną żonę, lady Ariannę.

Ich kupiony niedawno, uroczy pałacyk sąsiadował z rezydencją hrabiostwa Valcoeur. Tuż obok zamieszkali hrabia i hrabina Jourdain.

Hrabina Elizabeth Ramsay dała się uprosić i gościła u syna i synowej. Jej dworek Hawthorn Cottage w dzielnicy St. John's Wood został wynajęty. Można było jednak przypuszczać, że urodziwa dama niedługo pomieszka z Arianną i Malcolmem, bo pułkownik Pemberton zamierzał wkrótce się oświadczyć i sądzono, że zostanie przyjęty.

Warsztat jubilerski pana Rosenkranza pracował pełną parą, odkąd w londyńskich salonach pojawiły się aż cztery hrabiny ozdobione prześlicznymi klejnotami wykonanymi pod nadzorem znakomitego mistrza. Zamówienia przychodziły z najlepszych domów, więc trzeba było się dwoić i troić, żeby sprostać wymaganiom nowej klienteli.

Tłumy czytelników spragnionych pouczającej lektury odwiedzały księgarnię pana Cavendisha,

a polecane przez niego tomy były tematem ożywionych dyskusji literackich podczas towarzyskich wieczorów wyższych sfer.

Pracownia kartograficzna i sklep pana Quimby'ego prosperowały znakomicie, choć Malcolm już tam nie pracował. Harry Devenish odetchnął z ulgą, bo nareszcie był pewny, że z czasem przejmie firmę obecnego chlebobdawcy.

Pan al-Walid wyjechał z Hosnim do Egiptu, zabierając szmaragd. Malcolm odetchnął z ulgą, gdy zniknęło widmo ciężającej na szmaragdzie klątwy egipskiego kapłana.

Zamek Dundragon, podobnie jak dwór Withrose Grange, zmienił się w wypaloną ruinę, górującą nad ciemnymi wodami Loch Ness, ale Malcolm miał nadzieję, że gdy złe wspomnienia zbledną, przekona Ariane do odbudowy rodowej siedziby, której zamierzał kiedyś przywrócić dawny blask.

- Muszę przyznać, najdroższa Ano, że po wszystkich naszych przygodach tylko jednego żałuję. Powiniennem był poprosić *madame* Polgar, żeby przepowiedziała mi przyszłość. Zastanawiam się, co wyczytałaby z kart i jaką wróżbę by mi przekazała.

- Dobrze wiem, Collie, *mon coeur*, jak by ci odpowiedziała. - Ariana z czułością popatrzyła na męża. - Usłyszałbyś od niej to samo, co ja: że narazisz się na wielkie niebezpieczeństwo, szukając Serca Chepri, ale owocem tych poszukiwań będzie spełnienie najskrytszych pragnień twego serca.

- I tak jest w istocie. - Malcolm pocałował ją namiętnie, a potem dodał: - Starożytni Egipcjanie wiedzieli, czym jest prawdziwa mądrość. Gdy trzymam cię w ramionach, dochodzę do wniosku, że mieli rację, twierdząc, że dusza człowieka mieszka w jego sercu.